

ZESZYT CZTERDZIESTY CZWARTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1978

ZESZYT CZTERDZIESTY CZWARTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1978

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 292

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Wacław DRZEWIECKI

W WALCE O JEDNOŚĆ POLSKIEJ EMIGRACJI POLITYCZNEJ

W listopadzie 1947 roku Stanisław Mikołajczyk — ówczesny Prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego, po ucieczce z Kraju, przebywał czasowo w Anglii.

Ponieważ Prezesa Mikołajczyka dobrze znałem przez cały okres wojny, zarówno w czasie pełnienia przez niego funkcji Przewodniczącego Rady Narodowej (po Paderewskim) jak i Prezesa Rady Ministrów po śmierci gen. Sikorskiego — umówiłem się z nim telefonicznie i przeprowadziłem wywiad na temat sytuacji w Kraju w latach 1945-47. Byłem wówczas Kierownikiem Referatu Języków Obcych w Sztabie Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia (PKPR) i odbitki wywiadu zostały przesłane według rozdzielnika Sztabu.

W czasie ubiegłych 30 lat nie spotkałem nigdzie wzmianki o tej sprawie w prasie emigracyjnej, a sądzę, że dla celów historycznych temat mojej ówczesnej rozmowy z Mikołajczykiem w jego naświetleniu winien dotrzeć do szerszego ogółu emigracyjnego.

W październiku 1948 roku wyjechałem z Anglii do Stanów Zjednoczonych w sprawach handlowych.

W owym czasie polska emigracja polityczna była rozbita.

Główna linia podziału powstała pomiędzy dwoma ugrupowaniami:

- zdecydowani od początku przeciwnicy jakichkolwiek prób kontaktów z władzami Polskiej Republiki Ludowej — najwybitniejszym reprezentantem tej grupy był generał W. Anders,

- politycy, którzy po uchwałach jałtańskich, przewidujących utworzenie Rządu Jedności Narodowej i wolne wybory w Polsce, pojechali do Kraju w roku 1945 i po sfałszowanych wyborach w roku 1947 uciekli z Kraju na ponowną emigrację — najwybitniejszym ich przedstawicielem był b. premier Rządu Emigracyjnego i Prezes Stronnictwa Ludowego Stanisław Mikołajczyk.

Wśród wielu przywódców emigracji — między innymi gen. dr Marian Kukiel — b. Minister Obrony Narodowej — wyraził w rozmowie ze mną opinię, że doprowadzenie do porozumienia i uzgodnienie podstawowych zasad polskiej polityki emigracyjnej pomiędzy gen. Andersem i Stanisławem Mikołajczykiem winno wybitnie przyczynić się do ustabilizowania i jednolitości stanowiska emigracji politycznej.

Mając otwartą drogę do osobistego kontaktu zarówno z gen. Andersem jak z Mikołajczykiem, postanowiłem wykorzystać mój pobyt w Stanach dla przeprowadzenia rozmów z obu przywódcami.

Po przyjeździe do Stanów złożyłem wizytę Mikołajczykowi w Waszyngtonie i uzyskałem jego bez zastrzeżeń aprobatę na rozpoczęcie rozmów z gen. Andersem dla ustalenia podstaw porozumienia.

W tym okresie przeprowadziłem również rozmowę z Prezesem Stronnictwa Narodowego Tadeuszem Bieleckim, wykorzystując jego wizytę w Nowym Jorku i powiadomiłem go o moich staraniach o zbliżenie między gen. Andersem i Mikołajczykiem.

W styczniu 1949 roku przyjechałem na kilka dni do Anglii. Złożyłem wizytę generałowi Kukielowi w obecności jego adiutanta rtm. Nadratowskiego (obecnie pułkownika) i uzyskałem zapewnienie Generała o celowości moich kroków. Skomunikowałem się z moim byłym przełożonym z PKPR (Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia) płk. Zimnałem i zostałem przez niego wprowadzony na rozmowę do gabinetu gen. Andersa.

Przedstawiłem gen. Andersowi stanowisko Stanisława Mikołajczyka, a w szczególności jego pytanie, czy i jakie zastrzeżenia ma gen. Anders co do rozpoczęcia rozmów.

Gen. Anders oświadczył, że w pierwszym rządzie pragnie odpowiedzi Mikołajczyka na następujące pytania:

1. *Jałta*

Jak Pan Mikołajczyk może usprawiedliwić swoją aprobatę uchwał Wielkiej Trójki w Jałcie, a w szczególności swoją zgodę na odstąpienie Związkowi Sowieckiemu połowy terytorium Polski przedwojennej ze Lwowem i Wilnem na czele i — w wyniku

tej aprobaty — swój wyjazd do Kraju dla współpracy z władzami PRL i uczestniczenia w akcjach Rządu?

2. Osobisty stosunek Mikołajczyka do Andersa: Przewisko watażki

Czym pan Mikołajczyk może usprawiedliwić swoją radykalną krytykę gen. Andersa w szeregu wywiadów udzielonych prasie krajowej, a w szczególności używanie przezwiska „watażka” na symbolizowanie roli gen. Andersa w walce o wyzwolenie Kraju?

3. Odebranie polskiego obywatelstwa gen. Andersowi

Jak pan Mikołajczyk może usprawiedliwić swój udział w głosowaniu pozytywnym za odebraniem obywatelstwa gen. Andersowi na posiedzeniu Rady Ministrów we wrześniu 1946 roku w Warszawie?

Po powrocie do Stanów Zjednoczonych przedstawiłem Mikołajczykowi powyższe pytania gen. Andersa.

Poniżej podaję szczegółowe odpowiedzi:

1. Jałta

Układ jałtański, który pozostawił w rękach Związku Sowieckiego wschodnią połowę Polski przedwojennej, był jednocześnie jedynym konkretnym zobowiązaniem, zaaprobowanym przez całą Wielką Trójkę, przyznającym Polsce powojennej wielkie obszary na Zachodzie w postaci Ziem Odzyskanych od Niemiec. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że zmiana granic na Wschodzie mogłaby nastąpić jedynie w wypadku konfliktu zbrojnego i wymuszenia siłą na Rosji Sowieckiej odrotu na Wschód poza granice układu ryskiego z 1921 roku. Nie widziałem możliwości takiego konfliktu z czynnym zaangażowaniem sił angielskich i amerykańskich przeciwko Związkowi Sowieckiemu dla wywalczenia granic naszych na Wschodzie z Wilnem i Lwowem w ramach Odrodzonej Rzeczypospolitej. Natomiast Ziemie Odzyskane były natychmiastową realną możliwością i oceniałem ich potencjał gospodarczy wyżej od potencjału utraconych terenów wschodnich.

Ponadto układ jałtański sprecyzował bezsporne prawa wszystkich polskich stronnictw demokratycznych do wolnych wyborów i stworzenia warunków dla Rządu Jedności Narodowej — warunki te nigdy nie zostały w praktyce zrealizowane, ale nie byliśmy jeszcze tego pewni na wiosnę 1945 roku.

W tych warunkach uznałem za mój obowiązek wykonać wszystko, co było w mojej mocy do zapewnienia Polsce powojennej tych korzyści, które teoretycznie wynikały z układu jałtańskiego.

skiego. Dlatego zgodziłem się na wejście do Rządu jako wicepremier wraz z dwoma innymi członkami Stronnictwa Ludowego jako ministrami: byli nimi Kiernik i Wycech.

2. *Osobisty stosunek Mikołajczyka do Andersa: Przewisko watażki*

Wielokrotne wypowiedzi gen. Andersa po zakończeniu działań wojennych, zarówno w wywiadach udzielanych prasie zachodniej jak i prasie emigracyjnej, miały niejednokrotnie buńczuczne formy — zwłaszcza co do improwizacji formy wymarzonego powrotu do Wolnej i Niepodległej Polski z gen. Andersem na czele Wyzwoleńczych Wojsk Polskich, z wjazdem do stolicy *na białym koniu*, itp. Obraz taki mimowoli kojarzył się w moich wyobrażeniach z ubiegłymi okresami naszej historii, a w szczególności walk na Ukrainie XVII-go wieku, gdzie czołową rolę po stronie Kozaków odgrywali ich konni rycerze zwani „watażkami”. Wypowiedzi tych nigdy nie traktowałem poważnie.

3. *Odebranie polskiego obywatelstwa gen. Andersowi*

W końcu września 1946 ówczesny Premier Osóbka-Morawski zwołał posiedzenie Rady Ministrów. Na czołowym punkcie porządku dziennego znalazła się sprawa odebrania obywatelstwa polskiego wyższym dowódcom Polskich Sił Zbrojnych na emigracji, którzy po wojnie nie powrócili do Kraju.

Osóbka-Morawski przeczytał listę dowódców (jak się później okazało była to lista według rozdzielnika Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie) z generałami Kopańskim i Maczkiem na czele.

Zażądałem głosu i oświadczyłem, że wniosek o odebranie obywatelstwa wymienionym wyższym dowódcom Armii Polskiej jest wyzwaniem rzuconym wszystkim przyszłym pokoleniom Polski, dla których ci generałowie zostaną na zawsze Bohaterami Narodowymi. Akcja ta tym bardziej jest nie do pomyślenia, że żaden z wymienionych dowódców w ogóle nie angażował się nigdy w sprawy ani tym bardziej wypowiedzi polityczne, wobec czego nie ma żadnych podstaw do ich potępienia.

Na to zerwał się sekretarz PZPR Władysław Gomułka i oświadczył:

„Zgadzam się z wypowiedzią obywatela wicepremiera, że odebranie obywatelstwa w pierwszym rządzie winno dotyczyć tych, co się angażowali politycznie. I dlatego stawiam wniosek o odebranie obywatelstwa gen. Andersowi, którego nazwisko nie było wymienione”.

(Gen. Anders był podówczas we Włoszech i nazwisko jego

nie figurowało w rozdzielniku Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie).

Osóbka natychmiast zgodził się na dodatkowy wniosek Gomułki i przedstawił do głosowania listę z uwzględnieniem nazwiska gen. Andersa i zarządził głosowanie.

Za wnioskiem głosowali wszyscy ministrowie z wyjątkiem nas 3-ch — członków Stronnictwa Ludowego — myśmy wstrzymali się od głosowania tj. imiennie: Mikołajczyk, Kiernik i Wycech. Nie mogliśmy głosować „przeciw”, gdyż protest tego rodzaju prowadziłby w prostej drodze do naszej dymisji, a uważaliśmy podówczas, że obowiązkiem naszym nadal jest przetrwanie do okresu wyborów, w których pokładaliśmy niesłuszne nadzieje, jak to przyszłość wykazała w formie kompletnego sfalszowania wyników w wyborach w styczniu 1947 roku.

Powyższe odpowiedzi Mikołajczyka przedstawiłem gen. Andersowi natychmiast po moim powrocie do Anglii w pierwszych dniach kwietnia 1949 roku. Nie miałem żadnych informacji by akcja moja, jako pośrednika w usunięciu nieporozumień pomiędzy gen. Andersem i Stanisławem Mikołajczykiem, dała jakiegokolwiek rezultaty.

STANISŁAW MIKOŁAJCZYK O SYTUACJI W KRAJU

ROZMOWA PRZEPROWADZONA W DNIU 17 LISTOPADA 1947

Pytanie: *Jak wyglądają warunki bytu chłopca i robotnika pod okupacją komunistyczną w porównaniu z rokiem 1939?*

Odpowiedź: CHŁOP. — Warunki bytu chłopca polskiego w latach 1945/46 były w pewnych rejonach kraju lepsze, niż w 1939 r. Nie dotyczyło to nigdy rejonów zniszczonych przez bezpośrednie działania wojenne. Z tym zastrzeżeniem można stwierdzić, że w pierwszym okresie po wojnie, wobec jedynych świadczeń, ograniczających się do niewielkiego i trudnego do skontrolowania kontyngentu w naturze tam, gdzie chłop miał inwentarz i warunki normalnej gospodarki, warunki jego bytu były lepsze niż przed wojną. Dodatkowo wpłynęła na to koniunktura: tzw. wolny rynek z wysokimi cenami oraz rabunkowa eksploatacja Ziemi Zachodnich — poniemieckich, skąd chłop w województwach centralnych został zaopatrzony w inwentarz i sprzęt. Jednym z decy-

dujących czynników była olbrzymia pomoc UNRRA. Wprawdzie z przyznanej Polsce pomocy globalnej na sumę 500 milionów dolarów komuniści obcięli pomoc dla rolnictwa z 116 milionów na 46 milionów oraz zażądali przede wszystkim dostaw konsumpcyjnych (tłuszcze, konserwy) zamiast produkcyjnych (inwentarz żywy) — jednak w okresie krytycznym pomoc UNRRA była zbawienna dla polskiego rolnictwa. (Generalnie główne zaopatrzenie od UNRRA stanowiły: żywność i maszyny przemysłowe zgodnie z doktryną o uprzemysłowieniu kraju). W tych warunkach okresowo chłop miał się dobrze. Na te warunki nie miała najmniejszego wpływu reforma rolna, przeprowadzona demagogicznie w formie mechanicznego podziału wielkiej i średniej własności ziemskiej na przeważnie 1 ha działki bez żadnych kredytów ani pomocy na zagospodarowanie. Na szczęście po odliczeniu lasów, reforma ta w województwach centralnych objęła tylko ok. 10 % ziemi ornej, dzięki czemu klęska w ten sposób przeprowadzonej reformy nie załamała całkowicie rolnictwa.

Od roku usprawniona administracja komunistyczna nałożyła na chłopów sumę świadczeń, wynoszącą 400-800 % wartości poprzednich kontyngentów, stwarzając warunki, doprowadzające za jednym zamachem chłopów do nędzy (chłop od 5 ha wzwyż uważany jest za kułaka). Wszystkie obecne zarządzenia komunistów mają na celu obrzydzenie chłopu samodzielnej gospodarki i zmuszenie go do szukania pracy wyrobniczej według schematu: spółdzielnia-sowchoz-kołchoz. Właściwych kołchozów poza ziemiami eksploatowanymi na Zachodzie przez Armię Czerwoną (ca 800.000 ha) formalnie jeszcze nie ma — jednak etap spółdzielni rozwijany jest systematycznie, poczynając od Ziemi Odzyskanych. Jedną z metod polityki komunistycznej, zmierzającej do „dobrowolnego” tworzenia spółdzielni-sowchozów jest kierowanie repatriantów ze Wschodu na Zachód na gospodarstwa poniemieckie po kilka rodzin do tego samego domu i gospodarstwa, co stwarza warunki nie do zniesienia dla repatriowanych, którzy zmuszeni są w ten sposób zwracać się o zatrudnienie do najbliższych „spółdzielni”.

Repatriacja ze Wschodu ustała, aczkolwiek same władze sowieckie oświadczyły, że na Ziemiach Wschodnich pozostało 600.000 Polaków, którym jednak zabroniono opuszczać swoje siedziby i zatrudnienie po stronie sowieckiej.

ROBOTNIK. — Nie ma w Polsce obecnie kategorii robotnika, który by miał się lepiej niż przed wojną. Wszystkim jest gorzej, ale w różnym stopniu. W najlepszych stosunkowo warunkach są górnicy, gdyż produkcja węgla, jako artykułu, którego eksport zapewnia natychmiastową zapłatę w dewizach twardych

oraz daje dodatkowo 100 % wartości w kredycie na sprzęt przemysłowy, jest najbardziej uprzywilejowana. Górnik zarabia ok. 22.000 złotych miesięcznie, włóknarz 4.000 - 5.000, nauczyciel 3.000 - 5.000. Liczby te mało mówią, ponieważ system racjonowania praktycznie nie istnieje, a ceny na wolnym, czyli czarnym rynku są potworne.

Wobec upaństwowienia (nacionalizacji) przemysłu każdy strajk jest aktem przeciwpaństwowym, sabotażem najsurowiej karanym. Związki Zawodowe powołane są tylko do „usprawnienia produkcji” i praktycznie pochodzą z nominacji — wybory tajne są z reguły unieważniane.

Wielka część produkcji idzie na eksport — szczegóły są starannie ukrywaną tajemnicą i żadne dane oficjalne nie podają właściwego stanu rzeczy, ani co do kierunku eksportu, ani co do bezwzględnej wartości zawartej transakcji. Pomocą w zestawieniach oficjalnych są tzw. mnożniki przeliczeniowe, różne dla różnych gałęzi produkcji.

Pytanie: *Jak przedstawia się odpór społeczeństwa na doktrynę komunistyczną?*

Odpowiedź: INTELIGENCJA. — Inteligencja, inwigilowana i zmuszana do aktów lojalności wobec *régime'u* najprędzej się załamała (co najmniej zewnętrznie). Żaden inteligent pod rządami komunistycznymi nie będzie mógł egzystować, o ile nie złoży w takiej czy innej formie deklaracji ideowej, obowiązującej go do popierania *régime'u*. Miarą tego jest potworna uchwała rektorów uniwersytetów przed zakończeniem procesu krakowskiego. Przed wrześniem świat nauki zdobył się na protesty w sprawie Brześcia — dziś jest to nie do pomyślenia. Nie mając żadnych innych środków poza rządowymi posadami, lub zamówieniami, inteligencja zmuszona została do milczenia, lub współpracy.

ROBOTNIK. — Skupienie pracowników przemysłu w wielkich obiektach umożliwia zapewnienie „lojalności” przez ustawienie w odpowiednich miejscach karabinów maszynowych. Ponadto prawdziwi przywódcy robotników są unieszkodliwieni. Robotnik nienawidzi *régime'u*, ale nie może pozwolić sobie na żadne poważniejsze demonstracje, które są tłumione bezwzględnie w zarodku. Tym niemniej jest faktem, że każdy prawdziwy patriota i wróg *régime'u* może być najzupełniej bezpieczny wśród samych PPR-owców (pod warunkiem, że nie ma wśród nich prowokatora). Robotnik żyje w nędzy i nie ma nawet ze strony komunistów najmniejszego usiłowania do udowodnienia mu, że

jest przeciwnie. Doktryna głosi: „Będziecie całe życie w nędzy — być może dzieci wasza będą miały lepiej”. *Robotnik jest przeciwnikiem régime'u* i jest wysoko uświadomiony ideowo.

CHŁOP. — Najtrudniejszym elementem do wynarodowienia i przyjęcia doktryny komunistycznej okazał się chłop. Wpływały na to nie tylko ekscesy komunistyczne, wymierzone w wieś i chłopca, ale same warunki terenowe i geograficzne. Chłop jest twardy, wytrzymały, odporny na chłód i niewygody — jeść zawsze będzie miał tyle, żeby wyżyć — panować nad nim niełatwo, bo wieś jest rozrzucona po całym kraju i kilku karabinami maszynowymi jej problemu się nie rozwiąże. Chłop przeszedł w czasie okupacji wielką drogę od zaściankowości do narodowego uświadomienia. Chłop jest dumny dziś nie tylko z tego, że obcuje z naturą i żywi miasto — chłop nauczył się być dumnym z tego, że jest Polakiem.

Pytanie: *Jakie są możliwości przetrwania w tych warunkach?*

Odpowiedź: Naród polski wykazał zdumiewającą odporność w czasie obu okupacji. W obecnych warunkach można być pewnym, że 2 lub 3 lata okupacji komunistycznej nie zmienią zasadniczego oblicza narodu. Jeśli jednak ustrój komunistyczny przetrwa dłużej — Polska, jak i wszystkie inne kraje za żelazną kurtyną, zostanie skomunizowana nieodwracalnie, poprzez szkołę, urząd, stanowisko — wychowaniem, propagandą, korupcją.

Pytanie: *Czy Kraj wierzy, że ratunek może przyjść z Zachodu?*

Odpowiedź: Kraj nie ma i nie może mieć innej nadziei. Nie ma na świecie żadnej innej możliwości. Dlatego Kraj wierzy i modli się. Oczekuje ratunku z Zachodu. Mimo całej rozsławiającej propagandy anty-anglosaskiej Kraj ufa Anglosasom. Ameryka jest u szczytu popularności. Kraj wierzy, że wojna jest nieunikniona i modli się o nią. Chłop, zapytany, dlaczego raduje się na myśl o wojnie, która może grozić ostatecznym zniszczeniem jego dobytku, odpowiada: „Wolę szczepnąć, niż żyć tak jak dzisiaj”.

Pytanie: *Czy można się spodziewać, że Zachód także widzi nieuchronną wojnę?*

Odpowiedź: *Wśród zachodnich aliantów* utrzymuje się jeszcze kurczowo przekonanie, że można utrzymać podział świata na dwa

obozy bez konieczności konfliktu, byle nie cofać się z uzyskanych już pozycji (Elba - Triest).

Jeśli chodzi o mnie uważam, że są tylko dwie ewentualności przed światem: wojna, albo wszechświatowe państwo komunistyczne, co nie jest wykluczone. Nie wszyscy, niestety, zdają sobie już z tego sprawę.

Pytanie: *A czy Rosja również wierzy w nieuchronną wojnę?*

Odpowiedź: Cały wysiłek Rosji Sowieckiej od lat nastawiony jest w tym kierunku. Obecnie propaganda, zwłaszcza wśród wojska, zupełnie się z tym nie kryje i każdy żołnierz sowiecki wierzy w ostateczną „zwycięską rozgrywkę z Zachodem”, jako rzecz nieuniknioną.

Pytanie: *Czy w Polsce są widoczne jakieś przygotowania do wojny?*

Odpowiedź: Góra komunistyczna jest na to przygotowana. J. Berman niejednokrotnie twierdził oficjalnie, że Rosja posiadała tajemnice bomby atomowej. Wydaje się to wysoce nieprawdopodobne.

Pytanie: *Jak przedstawia się ta góra komunistyczna w Polsce, czy są to ludzie wybitni, czy poczuwają się do polskości i jak wygląda hierarchia?*

Odpowiedź: Dyktatorem Polski jest Jakub Berman — wybitnie zdolny, bardzo inteligentny, doskonały teoretyk i organizator, Żyd z pochodzenia. Drugim w hierarchii jest Zambrowski — również w Moskwie wyszkolony Żyd — o słabej inteligencji — ale nieugiętym charakterze. Trzecie miejsce zajmuje Hilary Minc — bodaj najniebezpieczniejszy dla przyszłości Polski. Berman z Gomułką doprowadzili przez swoje otwarte doktrynerstwo do tego, że nigdy chyba w historii narodu polskiego nie było tak jednolitej postawy, jak w nienawiści do komunizmu. Minc jest znacznie sprytniejszy — znakomicie przemyślanym, kolejnym dekretem ekonomicznym wyjaławia społeczeństwo, odbiera inicjatywę prywatną, rujnuje osiągnięcia indywidualne — wpręga całość gospodarki polskiej w rydwan gospodarki i doktryny sowieckiej. Na dalszym miejscu są Gomułka, Bierut (.....). Żymierski nie odgrywa żadnej roli — jest tylko fasadą dla mniej ważnych uroczystości państwowych i wojskowych.

Pytanie: *Dlaczego wojna jest nieunikniona?*

Odpowiedź: Rosja Sowiecka w samym założeniu swojej doktryny ma zniszczenie ustrojów kapitalistycznych. Izolacja sprzed wojny 1939 roku była tylko etapem. Nawet gdyby inne względy nie decydowały, wojna jest nieunikniona ze względów ekonomicznych. Rosja do września 1939 roku w kolejnych *piatiletkach* nie osiągnęła wysokiego poziomu produkcji pod względem jakościowym. Produkowała masowo, ale źle. Parada zwycięstwa w Moskwie z tysiącami czołgów i zmotoryzowanej artylerii na Czerwonym Placu w Moskwie pokazała, że jeszcze wówczas Rosja stała w tyle za Zachodem o kilkanaście co najmniej lat. Ale Rosja poszła na zachód, objęła precyzyjne warsztaty produkcyjne Niemiec i innych krajów oraz adoptowała tysiące techników o najwyższym poziomie współczesnej techniki. Zatrzymanie się na miejscu, według założeń polityków Zachodu — to danie możliwości dojścia tej produkcji do perfekcji, a w oparciu o niezmierzone zapasy surowców do nieuchronnej zguby Zachodniej Cywilizacji. Czas gra na korzyść Rosji. Kiedy Rosja będzie dość potężna ruszy przed siebie z własnej woli i wówczas może być za późno. Komuniści zarówno rosyjscy, jak i polscy rozpoczęli już daleko posunięty flirt z komunistami niemieckimi. Już na posiedzeniach tzw. Sejmu w Warszawie były wnioski komunistyczne o nawiązanie braterskich kontaktów z „demokratycznymi” Niemcami i zapomnienie dawnych uraz. Do doktryny komunistycznej dochodzi zatem próżność nieśmiertelnych dążeń odwetowych Niemców, o czym się również zapomina na Zachodzie. O ile w rozgrywce dałoby się uniknąć czynnego zaangażowania Niemców po stronie Zachodu, Polska miałaby wszelkie dane do trwałego ustabilizowania obecnych granic. Tymczasem mnożą się objawy, że Sowiety zdecydowane są zaangażować w przyszłym konflikcie maksimum sił niemieckich po swej stronie. Przez Polskę przechodzą transporty przeszkolonych w doktrynie komunistycznej b. jeńców niemieckich. Transporty te jadą na Zachód z napisami: *Nach Heimat* i z wywieszonymi olbrzymimi portretami Marksa i Lenina (Stalina dotąd nie). W tym leży zapowiedź groźby co do naszego obecnego stanu posiadania na Zachodzie ze strony sowieckiej.

Pytanie: *Jak przedstawia się sprawa odbudowy w Polsce?*

Odpowiedź: Komuniści ustalili następującą kolejność w inwestycjach budowlanych: gmachy reprezentacyjne, więzienia, domy mieszkalne. Goście zagraniczni, którzy widzą ruch budowlany

w Polsce nie zdają sobie sprawy, że patrzą na budowę nowego urzędu komunistycznego lub więzienia. Następujący przykład liczbowy charakteryzuje „osiągnięcia” w dziedzinie odbudowy zniszczonych zabudowań chłopskich w rejonie największych zniszczeń (linia frontu 1944/45): w tym terenie władze odbudowały około 5.000 chałup, podczas gdy sami chłopcy z kradzieżnego z sąsiednich lasów drzewa odbudowali 17.000. W narodzie polskim jest olbrzymia wola pracy — komuniści hamują naturalne procesy rozwojowe, naginając je do swych celów i doktryny.

STUDIUM POLSKI PODZIEMNEJ
w Londynie

11 Leopold Road, London W5 3PB

„ARMIA KRAJOWA W DOKUMENTACH 1939-1945”

Tom IV (lipiec - październik 1944)

jest do nabycia w księgarniach
i w Studium Polski Podziemnej.

Tom IV obejmuje okres Powstania Warszawskiego.
Zawiera on 515 dokumentów, szkice, tabele i fotografie.
Cena tomu IV wynosi £ 10.50 lub \$ 21.00 plus koszt przesyłki
pocztowej £ 1.00 lub \$ 2.00.

W Studium Polski Podziemnej są jeszcze do nabycia
egzemplarze tomu I-go (wrzesień 1939 - czerwiec 1941),
tomu II-go (czerwiec 1941 - kwiecień 1943) oraz tomu III-go
(kwiecień 1943 - lipiec 1944).

Ceny: tomu I £ 6.00 lub \$ 12.00

tomu II £ 6.00 lub \$ 12.00

tomu III £ 9.00 lub \$ 18.00

plus przesyłka każdego z nich £ 1.00 lub \$ 2.00.

Sprzedaż tych tomów ułatwia wydanie tomu V-go, który
będzie zawierał dokumenty okresu po Powstaniu Warszaw-
skim aż do końca istnienia Polskiego Państwa Podziemnego
tzn. do lipca 1945 roku.



Michał CHĘCIŃSKI

„LUDOWE WOJSKO POLSKIE” PRZED I PO MARCU 1968

Z sowieckiego punktu widzenia Ludowe Wojsko Polskie (LWP) nie stanęło na wysokości zadania w krytycznych miesiącach 1956 roku. Zamiast być wydłużonym ramieniem Sowietkiej Armii, LWP stało się w znacznej mierze ośrodkiem i oporą patriotycznych dążeń Narodu Polskiego. Mimo wielu lat politycznej i policyjnej indoktrynacji większość korpusu oficerskiego wykazała antysowiecką postawę.

Poddanie LWP powtórznej kontroli i inspiracji Moskwy stało się tym pilniejsze ponieważ po 1955 roku wycofano do ZSSR większość sowieckich oficerów w polskich mundurach i „doradców”. Szczególnie dotkliwa okazała się w związku z tym próżnia powstała w kontrwywiadzie wojskowym (w Informacji Wojskowej). Dlatego od pierwszych dni po „ulożeniu się” Kremla z Gomułką, KGB zaczęło tworzyć w pośpiechu nowy system nadzoru nad wojskiem PRL’u, który tym razem miał być mniej demonstracyjny, ale skuteczniejszy niż w „epoce Stalina-Berii”. W nowych warunkach troskliwie dbano o zachowanie szyldów i pozorów niezależności państwowej, przy jednoczesnym wykorzystaniu dyskretnych form inspiracji i ingerencji. Warunkiem funkcjonowania nowego systemu sowieckiego nadzoru było wszakże umocnienie roli policji politycznej.

W LWP powtarzano wówczas niemal codziennie, że kierowniczą siłą w państwie i w armii jest partia, która nigdy już nie pozwoli, by organa bezpieczeństwa „stały się ponad nią”? Opisanie systemu kontrolowania wojska przez partię pozwoli lepiej zrozumieć w jaki sposób został on w krótkim czasie „zdeformowany”.

Polityczny nadzór nad LWP sprawuje jeden z członków Biura Politycznego oraz jeden z sekretarzy partii. Zdarza się przy tym,

że także Minister Obrony Narodowej jest członkiem Biura Politycznego, co właśnie miało miejsce po 1956 roku. Nadzorujący wojsko i bezpieczeństwo sekretarz partii kieruje specjalnym wydziałem KC, którym w Polsce jest (i zawsze był) Wydział Administracyjny. Tam opracowuje się główne wytyczne dla polityki personalnej LWP i bezpieczeństwa oraz system bieżącej kontroli nad ważniejszymi aspektami organizacyjnymi i politycznymi tych dwóch instytucji. Natomiast w gestii Głównego Zarządu Politycznego WP leżą sprawy politycznego wychowania i propagandy, zgodnie z wytycznymi płynącymi z Biura Politycznego, ale częściowo także ze wspomnianego Wydziału Administracyjnego KC partii. Instruktywna rola Wydziału Administracyjnego wydawać się może dziwna, ponieważ także Szef Głównego Zarządu Politycznego WP jest — formalnie rzecz biorąc — kierownikiem jednego z Wydziałów KC; taki bowiem jest status GZP WP w układzie partyjnym. Żeby zrozumieć ten dziwny układ zależności, należy wyjaśnić, że Wydział Administracyjny KC PZPR, głównie zaś jego kierownik, utrzymują bieżący kontakt z Wydziałem Zagranicznym KC KPZS oraz z odpowiednimi agendami KGB, podczas gdy Szef GZP WP utrzymuje taki kontakt z GZP Sowieckiej Armii.

Inny typ podwójnej zależności występuje w samym LWP. Szef kontrwywiadu wojskowego (aktualnie jest to Szef WSW*) podlega formalnie Ministrowi Obrony Narodowej. Równocześnie jednak był on zawsze, i jest po dzień dzisiejszy, w bieżącym kontakcie z odpowiednim szefem KGB; dziś — podobnie jak dawniej — jest to kontakt o charakterze instruktywnym, czyli Moskwa dyktuje, a Warszawa wykonuje.

Podwójny system powiązań i zależności jest konieczny dla tworzenia kamuflażu. Na zewnątrz, dla nieorientowanego obserwatora, rządzi Minister Obrony Narodowej, albo jego zastępca „politruk”. Jednakże w momentach krytycznych i politycznie ważnych, o biegu wydarzeń w armii i o jej powiązaniach z ważniejszymi ogniwami władzy w kraju decyduje kontrwywiad wojskowy oraz, w dużym stopniu Wydział Administracyjny KC. Dopóty te dwie najważniejsze dźwignie władzy znajdują się pod kontrolą jednego z członków rządzącej elity (Biura Politycznego czy KC), to konflikty w których należy uruchomić wojskową policję polityczną rozstrzygane są w zależności od układu sił w klikach zmagających się w kraju. Z chwilą jednak gdy dźwignie te przechodzą pod władzę czynników zewnętrznych, cały obo-

* WSW — Wojskowa Służba Wewnętrzna utworzona w lutym 1957 r. na miejsce skompromitowanej Informacji Wojskowej.

wiązujący formalnie układ rządzenia staje się fikcją osłaniającą bezsilność działających na scenie „kierowników państwa”.

Kiedy po październiku 1956 Spychalski zaczął rekonstruować naczelne władze LWP, doskonale orientował się w tym labiryncie komunistycznego systemu rządów; sam kiedyś go tworzył i sam padł jego ofiarą. Największą gwarancją dla fizycznej i politycznej egzystencji nowej elity rządzącej w PRL była nadzieja na uzyskanie choćby częściowej niezależności od Sowietów. Dlatego m.in. późniejszy marszałek PRL dążył do takiego rozstawienia nowych ludzi w LWP by nie być narażonym na naciski zewnętrzne. W pierwszych tygodniach po Październiku takie właśnie było stanowisko całego Biura Politycznego, w tym także samego Gomułki.

Możliwość uzyskania ograniczonej choćby samodzielności politycznej przez PRL była zresztą głośno deklarowana przez Moskwę, a złudzenia że w tym kierunku rozwiną się stosunki w łonie Sowieckiego Bloku państw podzielane były przez liczne kręgi na Zachodzie.

Istnieją poważne oznaki wskazujące na zamiar zbudowania nowego kontrwywiadu wojskowego w ten sposób, by osłaniał on LWP przede wszystkim przed szpiegowską i polityczną penetracją z Zachodu ale także przed szpiegowską infiltracją KGB. Współpraca z sowieckim sojusznikiem miała być oparta na zasadach wzajemnej lojalności. Potrzebne Sowietom informacje, w tym także wywiadowcze i kontrwywiadowcze, miały być przekazywane odgórnie; wyłącznie przez instancje wyznaczone do tego przez Ministra i Biuro Polityczne i w sposób nie gwałcący podstaw suwerenności Polski. Tym samym miała być ograniczona rola agentów KGB, panoszących się w większości centralnych i ważniejszych ogniw LWP.

By tak pomyślany układ stosunków „ze wschodnim sojusznikiem Polski” — którego pozycji w Bloku Sowieckim nikt nie myślał nawet podważyć — funkcjonował, Spychalski obsadził najważniejsze funkcje w LWP oficerami, których mógł darzyć zaufaniem zarówno osobistym jak i politycznym. Dominowali wśród nich ludzie wywodzący się z GL i AL-u oraz kilku dowódców, którzy w latach stalinowskich byli represjonowani lub dyskryminowani.

Głównym Inspektorem Szkolenia MON i zastępcą Ministra Obrony Narodowej został zdolny i ambitny gen. Zygmunt Duszyński. Szefem Głównego Zarządu Politycznego WP został gen. Janusz Zarzycki, Szefem Departamentu Kadr MON — gen. Jerzy Fonkowicz; cała trójka wywodziła się z AL-u i była w latach 1948-1955 dyskryminowana. Z okupacyjnego PPR-u wywodził

się także nowomianowany szef utworzonego na miejsce Informacji Wojskowej — Szefostwa Wojskowej Służby Wewnętrznej (WSW) — gen. Aleksander Kokoszyn. Był on wszakże również absolwentem Aleksandrowskiej Szkoły NKWD (do której skierowali go Rosjanie w roku 1940) co miało podkreślić lojalność Spychalskiego wobec KGB. Warto tu zaznaczyć, że jego żoną była Barbara Sowińska, maltretowana długie lata w lochach X-go Departamentu i właśnie wówczas porzucona przez będącego na wolności męża. W kierownictwie MON został więc tylko jeden sowiecki oficer — gen. Jerzy Bordziłowski, jako Szef Sztabu Generalnego MON, co było wyraźnym gestem pod adresem Moskwy (zostało także kilku sowieckich generałów na szczeblach niższych, np. Urbanowicz, Owczynnikow i inni).

Większość stanowisk dowódczych w rodzajach sił zbrojnych i w okręgach wojskowych objęli także oficerowie, którym nieobca była myśl by Polska, a przynajmniej jej armia, stały się w pewnej przynajmniej mierze niezależne od nakazów Moskwy. Dowódcą lotnictwa wojskowego został gen. Jan Frey-Bielecki, który w krytycznych dniach Października — jako dowódca korpusu lotniczego w Poznaniu — postawił samoloty swojej jednostki w stan gotowości bojowej i zagroził zbombardowaniem sowieckich kolumn pancernych, które posuwały się w kierunku Warszawy. Dowódcą Marynarki Wojennej został kontr-admirał Jan Wiśniewski, który w tymże październiku zajął podobną postawę i zablokował okrętom sowieckim wejście do polskich portów wojennych. Dowódcą Warszawskiego Okręgu Wojskowego został gen. Józef Kuropieska, człowiek który przesiedział w więzieniu Informacji LWP 5 lat z wyrokiem śmierci i który nie zhańbił się najmniejszym nawet ustępstwem wobec swoich oprawców. Inny wieloletni więzień Informacji i były dąbrowszczak — gen. Wacław Komar, objął dowództwo nad Wojskami Wewnętrznymi, zaś wojskami KBW dowodził gen. Włodzimierz Muś, którego od 1953 roku dyskryminowano za odmowę zorganizowania obozów odosobnienia dla „syjonistów”. Jednym z inicjatorów utworzenia tego obozu w okresie kiedy ujawniono w Moskwie „spisek lekarzy” był — żeby było śmieszniej — Jakub Berman. Szefem wywiadu wojskowego został z kolei gen. Grzegorz Korczyński, ślepo wierny Gomułce i także były więzień Informacji — choć nie całkiem tak bez winy (ciężało na nim morderstwo grupy żydowskich uciekinierów z getta, z czego w żaden sposób nie umiał się wytłumaczyć).

Taki zespół dowódczy LWP a także Spychalski osobiście, nie mogli być na dłuższą metę tolerowani przez Kreml. Oczyszcze-

nie dowództwa LWP stało się dlatego od października 1956 jednym z głównych zadań KGB w Polsce.

W dziejach politycznych i policyjnych czystek przeprowadzonych w ZSSR niemal zawsze usypiano czujność przyszłych ofiar ustępstwami, pochwałami i nagrodami. Uderzenia przychodziły znienacka, albo terror wobec nich narastał stopniowo, by przekształcić się w końcu w pełny pogrom. Przypomnijmy, że zanim zdziesiątkowano liczną grupę przedwojennych oficerów polskich w PRL, przyjęto wielu z nich do LWP na bardzo eksponowane stanowiska, by z czasem ich wewnętrznie skłócić, politycznie rozbroić i pod koniec masowo represjonować.

Zaplanowana przez KGB „popaździernikowa” czystka w LWP miała być — i w istocie była — identyczna, jeżeli idzie o zastosowaną taktykę działania. Zaczęto od usuwania tych, którzy wyróżnili się głośną postawą „antysowiecką”, jeżeli przez to pojęcie rozumieć opór przeciw nadmiernej dominacji Sowietów w Polsce. Tym samym zaczęto w umysły tych, którzy chwilowo pozostali, wsączać, strach, później bezsilność, aż wreszcie nawyki do coraz dalej idącego konformizmu. O wytworzenie takiej właśnie atmosfery KGB starało się w szczególności na najwyższych szczeblach decyzji LWP.

Popaździernikowe czystki w wojsku PRL miały ponadto i inne właściwości. W latach 1948-1955 przebiegały one przy biciu w werble wielkich sloganów politycznych, towarzyszyły im *quasi*-polityczne dyskusje i kończyły się w sposób krwawy i brutalny. Chruszczow i jego następcy zrezygnowali z tych skompromitowanych metod. Nie dlatego, że byli bardziej humanitarni lub liberalni, lecz ponieważ wiedzieli, że strach zasiany w latach wcześniejszych sprzyja poczynaniom bardziej „łagodnym”. Pamięć byłych i niedoszłych ofiar systemu stalinowsko-beriońskiego zniewalała wolę działania.

Stopniowo sączony do elity LWP strach był tylko jednym z narzędzi. KGB korzystało przede wszystkim z szeroko rozbudowanej w latach wcześniejszych sieci jej agentów, roztawionych we wszystkich ważniejszych ogniwach decyzji personalnej i politycznej. Sięgnięto ponadto do organizowania intryg, wykorzystywania ambicijek i ludzkich słabostek, w szerokim zakresie zaczęto stosować szantaż i przekupstwo (przy awansach, wyjazdach za granicę, skierowaniach na wojskowe akademie, etc.), szerząc tym samym polityczną i moralną demoralizację.

Ten proces był ułatwiony przez fakt, że Kremlowi udało się już w kilka miesięcy po Październiku zmusić Gomułkę do ustępstw w kwestii izolowania, a następnie całkowitego rozgromienia liberalnego skrzydła w partii. Dążąc do przekonania

Nikity, że zasługuje na jego zaufanie, Gomułka usunął kolejno: Władysława Matwina, Jerzego Morawskiego i Jerzego Albrechta z Biura Politycznego oraz liczną grupę partyjnych funkcjonariuszy wyższego i średniego szczebla. Trzeba w tym miejscu oddać sprawiedliwość Spychalskiemu i przypomnieć, że mimo iż był on znany z oportunistu, to jednak, na ile mógł, starał się opóźniać proces czystek w LWP. Nie miał natomiast wpływu Minister ON na mianowanie w 1961 roku słynnego „gazrurki”, oddanego ślepo Sowietom — Kazimierza Witaszewskiego — kierownikiem Wydziału Administracyjnego KC PZPR, o znaczeniu którego pisaliśmy wyżej. Za to ustępstwo Gomułka na rzecz Moskwy, wkrótce przyjdzie mu zapłacić bardzo drogo.

Już w 1957 roku zostaje z LWP usunięty kontradmirał Jan Wiśniewski; zbyt głośna była jego postawa w krytycznych dniach Października. W tym samym czasie odchodzą z wojska lub zostają przestawieni na „boczne tory”: gen. W. Komar i płk Edward Koniński — organizatorzy obrony Stolicy przed sowieckim najazdem w dniach obrad VIII-go Plenum KC PZPR. Po czym następuje uroczyste... mianowanie grupy oficerów do stopni generalskich i to ma zapowiadać pogodną przyszłość dla tych „mniej patriotycznych”, uchodzących jednak za zwolenników odnowy. W lipcu 1959 otrzymują nominacje na wyższe stopnie generalskie: gen.gen. Z. Duszyński, J. Frey-Bielecki, Marian Graniewski, Józef Kuropieska, Bronisław Bednarz (wówczas Z-ca Szefa GZP WP, czyli Zarzyckiego), J. Fonkowicz, A. Kokoszyń, Edward Pfefer, Czesław Mankiewicz. Demonstracyjne mianowanie jednych idzie w parze z bardziej cichym usuwaniem innych. W latach 1960-1962 zostają usunięci, pod wyraźnym naciskiem sowieckich przedstawicieli w Dowództwie Paktu Warszawskiego i także Szefa Sztabu Generalnego Sowietkiej Armii, marszałka S. Biriuzowa, liczni oficerowie pochodzenia żydowskiego i wraz z nimi grupa byłych oficerów AL-u oraz ci co wykazali nonkonformistyczną postawę w 1956 roku. Odchodzą więc: gen. J. Zarzycki z szefostwa GZP i na jego miejsce przychodzi obecny Minister Obrony — gen. Wojciech Jaruzelski. Ze stanowiska Komendanta Wojskowej Akademii Politycznej odchodzi długoletni więzień w okresie stalinowskim — gen. Adam Uziembło, i jego miejsce zajmuje obecny Wiceminister ON — gen. Józef Urbanowicz, łotewski Polak i wierny syn „sowieckiej rodziny”. Z Dowództwa Paktu Warszawskiego odchodzi wyjątkowo zdolny gen. Tadeusz Pióro. Rosjanie obrazili się na niego ponieważ powiedział w pewnym publicznym miejscu, że czytać *tylko Krasnuju Zwiezdę*, może on także w domu; aluzja była zbyt jednoznaczna.

Okazję do kolejnych czystek dały ucieczki na Zachód kilku

oficerów: z II-go Zarządu Sztabu Generalnego uciekł płk Paweł Monat, z lotnictwa mjr Obacz, a z wywiadu cywilnego — płk Goleniewski (który później ogłosił, że jest synem rosyjskiego cara z nieprawego łoża). Ofiarami tych ucieczek stali się w pierwszej kolejności nieliczni już oficerowie pochodzenia żydowskiego. W cieniu tych antyżydowskich czystek usuwa się nadal oficerów-alowców lub tych, którzy nie chcieli się podporządkować sowieckiemu dyktatowi. Zostaje więc zwolniony Szef Sztabu lotnictwa operacyjnego płk Wincenty Heinrich, zasłużony oficer AL-u, który jest człowiekiem prawym i patriotą, o czym świadczy i dziś jego podpis pod Deklaracją Ruchu Demokratycznego z października 1977 roku. W 1962 roku zostaje nagle odwołany ze swego stanowiska gen. J. Frey-Bielecki. Chęć izolowania go od społeczeństwa, a nie tylko od wojska, jest tak silna, że utrudniają temu pełnemu inicjatywy człowiekowi kontynuowanie inżynierskich studiów na Politechnice Warszawskiej.

Wszystkie te zwolnienia z LWP odbywały się niejako wbrew woli Spychalskiego, pod brutalnym i jawnym naciskiem Sowietów. Było to w nowych warunkach nieco krępujące dla Kremla, dlatego postanowiono w Moskwie w sposób drastyczny złamać cały układ stosunków w łonie dowództwa LWP z taką pieczołowitością zbudowany przez Spychalskiego. Przede wszystkim postanowiło KGB w sposób ostateczny podporządkować sobie kontrwywiad wojskowy wraz z Pionem Porządkowym WSW, czyli żandarmerią wojskową i specjalnymi oddziałami szturmowymi dla zwalczania zbuntowanych tłumów i zrewoltowanych jednostek wojskowych; wszystko to znajdowało się po Październiku w dyspozycji szefostwa WSW. Celem tej operacji KGB było postawienie na czele tej najważniejszej w LWP instytucji człowieka, który byłby jej ślepo oddany, przy jednoczesnym usunięciu jeszcze kilku byłych AL-owców i patrotycznie nastrojonych oficerów, zajmujących w LWP kluczowe stanowiska. Wykonawcą tego planu stał się ppłk, a dziś generał dywizji Teodor Kufel.

Okazją do podjęcia tej akcji stał się konflikt ambicjonalny między gen. Kokoszynem i jego zastępcą w WSW — gen. Pietrzakiem. Trzeba przyznać że obaj mieli w tym konflikcie rację, zarzucając sobie brak inteligencji, prymitywizm i inne temu podobne zalety. Pietrzak zresztą zdołał w krótkim czasie swej służby na stanowisku Z-cy Szefa WSW wykazać się jeszcze innymi „zaletami”. Już w pierwszych dniach urzędowania kazał sobie nisko wycenić sprzedany mu na „licytacji” samochód służbowy „Citroën”, który następnie sprzedał z grubym zyskiem. Ponadto co piątek i świątek upijał się na „lisa” i jego kierowca stale wynosił go na plecach z samochodu. Ale miał też Pietrzak

jeden minus w swoim konflikcie z Kokoszynem: podczas gdy był on tylko pupilkim Zenona Kliszki, jako „zasłużony Czwartak”, za Kokoszynem stało jednak do czasu KGB. Więc Pietrzak przegrał i postanowił zrobić doktorat, w czym z kolei walcie dopomógł mu jeden z „murzynów”. Późniejszy bohater marcowych wydarzeń został wkrótce „doktorem od wojny partyzantkiej i dywersyjnej”. I swoje myśli przelewał na papier, także przy pomocy „murzyna”, w specjalnie dla niego utworzonym departamencie w Sztabie Generalnym LWP. Dopiero później został głównym doktorem od policjantów i ambasadorem.

Odejście Pietrzaka wytworzyło wszakże w Szefostwie WSW próżnię, którą trzeba było kimś szybko wypełnić. Zajął to miejsce ppłk Teodor Kufel. I od tej nominacji zaczął się ostateczny upadek Spychalskiego a w dużej mierze także samego Gomułki.

Otóż trzeba przede wszystkim wyjaśnić jak od Października działała w Polsce KGB, jeżeli idzie o służbę bezpieczeństwa. Nie ma już doradców i nie ma oficerów w polskich mundurach, mówiących tylko po rosyjsku. Na ich miejsce pojawiła się grupa „oficerów kontaktowych”. Skromni i dyskretni starają się przede wszystkim załatwić rzecz główną: objąć ścisłym nadzorem działalność kierownictwa WSW w wojsku i MSW ew. w cywilnej służbie bezpieczeństwa. Żaden szef lub zastępca szefa w tej służbie nie utrzyma się na stanowisku, jeżeli odmówi ścisłej współpracy, czyli podporządkowania się oficerom kontaktowym. Ale można zrobić więcej niż się podporządkować. Można całkowicie im się sprzedać. I na tym polegała i do dziś polega siła i pewność siebie generała dywizji Teodora Kufla. Zaznaczmy w tym miejscu, że ta nowa forma kontroli i sowieckiej inspiracji, urzymywana przy pomocy owych oficerów kontaktowych KGB nie została zauważona nawet przez tak znakomitego znawcę Europy Wschodniej jak prof. Zbigniew Brzeziński (w jego książce: *The Soviet Bloc; Unity and Conflicts*. Harvard University Press, 1967).

Dla zrozumienia jakie znaczenie miało zastąpienie Pietrzaka przez Kufla, trzeba tu wyjaśnić pewne szczegóły. Czytelnik, pragnący zapoznać się bliżej z lekko zafałszowaną przeszłością tych dwóch „wybitnych postaci” może dowiedzieć się o nich z 13-go tomu WEP (Kokoszyn nie zdążył już się tam wpisać). Otóż Pietrzak skromnie pominął, że jest doktorem od partyzantki oraz fakt, że podczas poznańskich rozruchów — kiedy jako Komendant MO tego miasta zorientował się co się święci — podał partyjną legitymację i przebrał się po cywilnemu. A to jednak było lepsze niż strzelanie do bezbronnych robotników, jak to czynili później jego podwładni na Wybrzeżu. Natomiast skromność Kufla ma większą wymowę.

W 1965 gen. Kufel został wyróżniony nagrodą literacką Ministra Obrony Narodowej za książkę „Droga Walki”, którą napisał jeden z byłych jego podwładnych, *nota-bene* niezły zapowiadający się dziennikarz. Otóż w tych swoich wspomnieniach gen. Kufel przemilczał co robił przez 8 miesięcy w latach okupacji. Ta luka w jego życiorysie została w książce zgrabnie zaklajstrowana, a był to rok 1943 — dla ruchu oporu najbardziej krytyczny. Teodor Kufel nie pisze także o swoim rocznym pobycie w 1955 roku w Moskwie na wyższym kursie oficerów bezpieczeństwa, gdzie zdołał nawiązać interesujące kontakty. Ambitny, wyjątkowo zdolny intrygant, generał dywizji ma wyraźne kłopoty z poprawną pisownią w ojczystym języku.

Otóż kiedy Spychalski mianował Kufla na miejsce Pietrzaka wiedział o nim niewiele. Sądził, że jego AL-owska przeszłość daje gwarancję pewnej jego lojalności wobec kierownictwa MON. Ale o Kuflu wiedzieli więcej w Moskwie i dlatego bardzo jego kandydaturę poparli. Istnieje bowiem niepisana umowa, że kluczowe stanowiska w służbie bezpieczeństwa demoludów „konsultowane” są z KGB.

Początkowo ppłk Kufel objął stanowisko Szefa I-go Zarządu WSW, co było równoznaczne ze stanowiskiem Zastępcy Szefa WSW. I-szy Zarząd wykonywał i wykonuje i dziś te same funkcje, które do 1956 roku wykonywała Informacja Wojskowa. Miał zatem Kufel do swojej dyspozycji cały ogromny aparat kontrwywiadu wojskowego. I skutecznie ten fakt wykorzystał. Nie tylko on, także i jego moskiewscy opiekunowie.

Niemal od pierwszych miesięcy swego urzędowania w Szefostwie WSW zaczął Kufel snuć prowokację, która miała dwa cele: skompromitowanie Duszyńskiego i Fonkowicza w ten sposób, by poderwać autorytet Spychalskiego, oraz jak najszybciej zająć miejsce Kokoszyna. Pomagali mu w tym: sowiecki oficer kontaktowy — odgórnie, dla dodania mocy — i mjr Józef Łachut — oddolnie, jako totumfacki i wykonawca najbardziej brudnych zamysłów operacyjnych. Podśluchy, inwigilacja, małe prowokacje etc., dały już w 1964 roku pożądane wyniki. Przy czym cała ta operacyjna obstawa odbywała się wbrew wyraźnemu zakazowi Spychalskiego. Kiedy jesienią 1964 roku przedstawiono Gomułce spreparowane zdjęcie i różne donosy, w tym i zarzut, że sekretarka Duszyńskiego utrzymywała bliższe kontakty z przedstawicielami państw zachodnich (co było fałszerstwem) — Duszyński musiał ze swego kluczowego stanowiska w LWP odejść. Ale Duszyński był w tym wypadku zarówno celem jak i środkiem. Jego odejście spowodowało łańcuch następstw, które miały odegrać zasadniczą rolę w popaździernikowych dziejach PRL-u.

Biorąc pod uwagę, że „rozpracowanie” Duszyńskiego odbyło się wbrew woli Spychalskiego i bez zgody Biura Politycznego — co w stosunku do oficerów tego szczebla było zasadą ustaloną jeszcze w 1955 roku — oraz fakt że akcja ta zakończyła się sukcesem Kufła, stworzono precedens dla całkowitej już niezależności kontrwywiadu wojskowego od samego Spychalskiego i od najwyższych władz partii. W ten sposób znów „postawiono organa bezpieczeństwa ponad partię”. Afera z Duszyńskim szybko obiegła wojsko PRL-u i każdy z wyższych oficerów, zatroskany o swoją przyszłość, już nie miał wątpliwości kto kogo ma w tym wojsku słuchać i o czyje względy należy zabiegać. Autor tego tekstu mógł to stwierdzić z autopsji. W 1965 roku znalazłem się w tej samej grupie wyróżnionych nagrodą Ministra Obrony Narodowej PRL, co gen. Kufel. Spychalski osobiście wręczał nagrody i składał gratulacje. Był to naprawdę żałosny widok: wręczenie nagrody literackiej człowiekowi, który nie tylko nie wie co to jest literatura, ale który pozbawił go na zawsze władzy nad armią.

I był jeszcze trzeci skutek afery Duszyńskiego: masowa czystka wśród wyższych oficerów LWP, którą przeprowadził Kufel na polecenie już KGB, kiedy wkrótce objął stanowisko po usuniętym Kokoszynie. O faktycznym znaczeniu partii jako „siły rządzącej” świadczy *nota-bene* znamieny fakt. Wypchnięty z WSW Kokoszyń został skierowany na stanowisko Sekretarza Komisji Kontroli Partyjnej Głównego Zarządu Politycznego WP, miejsce przeznaczone dla impotentów „władzy”.

Tak więc w ślad za Duszyńskim zostają usunięci ze swoich stanowisk lub w ogóle z wojska gen. Jerzy Fonkowicz, Szef Departamentu Kadr MON, były oficer Sztabu Głównego AL, dyskryminowany z tego powodu w latach „stalinowskich”, który zresztą bardzo oportunistycznie wykonywał dotąd wszystkie czystki antyżydowskie i antyrewizjonistyczne. W tymże 1965 roku zostaje z LWP zwolniony gen. Franciszek Skibiński, jeden z bardziej doświadczonych dowódców Wojska Polskiego, wieloletni więzień w okresie „stalinowskim”, Szef Biura Studiów Sztabu Generalnego LWP. Miejsce zwolnione przez Skibińskiego obejmuje właśnie gen. Duszyński. Na mniej znaczące stanowisko przechodzi gen. Bednarz, odchodzi gen. Z. Michalak, przenoszą gen. J. Kuropieskę z d-cy okręgu wojskowego na mniej znaczące stanowisko Komendanta Akademii Sztabu Generalnego, odwołują gen. Zdzisława Bobeckiego. Tylko w dowództwie Wojsk Obrony Powietrznej Kraju, wydzielonego z lotnictwa operacyjnego (czego zachodni dziennikarze nie zrozumieli), pozostało kilku oficerów, których zwolnienie po 1967 roku stało się głośne i spełniło

ważną rolę w kolejnej prowokacji zmontowanej przez gen. Kufla.

Nie sposób w tym miejscu przemilczeć znamienego zjawiska, świadczącego jak bardzo nieorientowani są dziennikarze zachodni, urzędujący w krajach Bloku Sowieckiego i jak powierzchowne są wnioski niektórych sowietologów. Kiedy w Polsce, a nie tylko w LWP, trwały rugi byłych AL-owców z ważniejszych stanowisk, a było to po 1964 roku, cała prasa światowa donosiła, że oto „partyzanci” pod przewodnictwem Moczara szykują się do objęcia schedy po Gomułce. Tymczasem zarówno Moczar, jak jeszcze pilniej Kufel, wykonywali plan Moskwy, który miał doprowadzić do ostatecznego rozgromienia wszelkich przejawów samodzielnosci narodowej nadziei. Przy czym znakomitym kamuflażem, osłaniającym faktyczne cele tej niezwykle precyzyjnie przygotowanej antypartyzanckiej akcji, były masowo kolportowane hasła antysemickie. Całkowite „odżydzenie” LWP było wprawdzie celem w sobie, wyraźnie i uporczywie stawianym przez KGB, ale był to zarazem znakomity środek otumanienia bardzo wielu oficerów, wśród których nie brakło ludzi inteligentnych i na swój sposób pragnących dobra Polski. Jak dalece odbiegała antyżydowska akcja propagandowa w LWP od faktycznego „zagrożenia” świadczyć mogą liczby. Na ok. 40 tysięcy oficerów służby czynnej było w 1967 roku nie więcej jak ok. 150 pochodzenia żydowskiego. Jeżeli nawet w pełni zastosowanoby kryteria norymberskie ich liczba też nie przekroczyłaby 200. Przy czym tylko nieliczni z nich zajmowali stanowiska eksponowane i „wrażliwe”. Większość zbliżała się do wieku emerytalnego.

Władzę Kufla nad WSW, a WSW nad wojskiem trzeba widzieć szerzej, jako integralną część ogólnej sytuacji politycznej w kraju i na świecie. Nie ulega wątpliwości, że po Zjeździe partyjnym z 1964 roku zaczął się głęboki kryzys w łonie gomułkowskiego kierownictwa. Trzeba też przypomnieć, że Spychalski był od 1965 roku bezwolnym wykonawcą decyzji WSW jeżeli idzie o politykę personalną i o propagandę. Wiedzieli bowiem, zarówno on jak i Gomułka, że w cieniu WSW stoi KGB.

Trudno zrozumieć na co liczył Spychalski godząc się na taką ponizającą dla niego sytuację. Wszak doświadczenie lat pięćdziesiątych powinno było go nauczyć, że zakończy się to dla niego katastrofą. Nie mógł też nie wiedzieć Minister Obrony Narodowej, że rozwija się w LWP i poza nim szeptaną propagandę, obwiniającą go m.in. o to, że on i jego żona są żydowskiego pochodzenia. Fakt, że sam taki zarzut mógł osłabić pozycję marszałka jest dość wymowny. Ponadto każdy mógł bez trudu sięgnąć do tekstu słynnego III-go Plenum z 1948 roku, żeby

sobie przypomnieć, że wówczas zarzucano Spychalskiemu m.in. to, że jego brat był pułkownikiem Armii Krajowej i inne „nacjonalistyczne” wady. Jest więc godną podziwu ta psychoza, którą z taką precyzją zakorzenia się w masach za pomocą środków propagandy i komunikacji.

Zanim WSW przygotowała ostateczny upadek Spychalskiego, zarówno Kufel jak i KGB byli świetnie zorientowani, że nie cieszy się on w LWP autorytetem. Przyczyny izolacji Spychalskiego w korpusie oficerskim są bardzo wielostronne. Zarzut „żydostwa” został rzucony na podatny grunt jego niepopularności, przede wszystkim jako wojskowego o skromnych raczej walorach. Zgubnym dla marszałka był także jego pierwszy okres rządów, kiedy bardzo opryskliwie odnosił się do byłych „stalinowców”, których w LWP nie brakowało. Później, kiedy godził się na usunięcie z wojska swoich najbliższych towarzyszy broni z AL-u, stracił poparcie innej, bardziej liberalnej, części korpusu oficerskiego. Jedni wypominali mu więc brutalność z końca lat pięćdziesiątych, a inni miękkość i bezwolność wobec żądań Moskwy i WSW z lat sześćdziesiątych. Kiedy więc zakończyła się afera Duszyńskiego, Spychalski nie miał już w LWP ani poparcia z góry ani z dołu. Był sam i mógł liczyć tylko na Gomułkę.

Tak wyglądała sytuacja w LWP gdy nadszedł rok 1966, który można nazwać rokiem zmagani władz komunistycznych z Kościołem. Rola „ludowego wojska polskiego” w tych zmaganiach nie może być pominięta. Nie wchodząc w bardziej szczegółowy opis obchodów 1000-lecia Państwa, trzeba jednak przypomnieć nerwową reakcję Gomułki i jego otoczenia na demonstracje religijne organizowane w miastach i miasteczkach przez które przenoszono słynny obraz Matki Boskiej z Częstochowy. Masowy udział wierzących, a także niewierzących, Polaków w tych kościelnych procesjach i zebraniach podkreślał, że jest w Polsce ogromna siła polityczna, niezależna od partii i władz — Kościół. W tej sytuacji postanowiono w KC zorganizować kontrdemonstracje. Okazało się jednak, że jest to sprawa bardziej niż trudna. Nie można było w tej kontrakcji liczyć ani na robotników, ani na zwykłych urzędników, nawet jeżeli byli partyjni. Postanowiono więc zmobilizować najwierniejsze zastępy partii, do których zaliczono także korpus oficerski służący w centralnych i partyjnych instytucjach MON-u, w akademiach wojskowych i w innych podobnych placówkach. Najbardziej dramatyczny przebieg miała mieć ta kontrdemonstracja w Warszawie. Ponieważ jako oficer akademii wojskowej, byłem uczestnikiem tych wydarzeń, chcę przekazać kilka refleksji i opisów.

Do akcji propagandowej przeciw Kościołowi oficerowie

WAP-u (Wojskowej Akademii Politycznej) zostali zmobilizowani już na początku 1966 roku. Specjalnie przygotowane grupy propagandowe jeździły po wsiach i miasteczkach, po zakładach pracy i PGR-ach, głosząc chwałę PZPR-u w walce „o dobrobyt i niepodległość Polski”. Kardynała Wyszyńskiego i Kościół atakowano głównie w związku ze słynnym „Listem biskupów”. W WAP-ie kierowali tą antykościelną akcją ppłk dr Leonard Ratajczyk i płk prof. Tadeusz Jędruszczak, który w tej akcji był przełożonym Ratajczyka.

Wczesnym latem 1966 roku, w dzień kiedy miała odbyć się w Warszawie procesja i uroczyste przywitanie Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej na Starym Mieście, ogłoszono w WAP-ie stan pogotowia. Nikt z oficerów nie wiedział o co idzie. Zebrany rozkazano natychmiast przebrać się po cywilnemu i stawieć się niezwłocznie w dużej sali budynku Centralnej Biblioteki Rolniczej, który znajduje się kilkaset metrów od kościoła św. Marcina i Katedry. Po przybyciu na miejsce spotkałem tam zebranych około 200-250 oficerów z różnych warszawskich instytucji, z których większość znałem. Trzeba tu dodać, że wielu z nich dosłużyło się stopni pułkownikówskich, a liczni mieli tytuły doktorskie i nawet profesorskie. Nikt nie wiedział dokładnie po co się w tej sali zjawił. Znamienne, że nie spotkałem tam wielu oficerów WSW. Widocznie wyznaczono im inną, ważniejszą funkcję.

Odprawę informacyjną przeprowadził zastępca Szefa WUB Warszawy. Ale żeby cała ta afera miała charakter legalny był także obecny jakiś oficer WSW i GZP. Obecny wyjaśniono, że każdy otrzyma specjalną opaskę i pałkę, które powinny być odpowiednio ukryte. Oficerowie mają się zmieszać z tłumem modlących się lub zebranych przed katedrą dla wysłuchania kazania kardynała Wyszyńskiego. Ponieważ oczekuje się, że zebrani spróbują po kazaniu zorganizować burzliwą procesję, trzeba będzie ją rozpędzić. Oficerowie włączają się do akcji na dany znak, kiedy MO przystąpi do szturm.

Słuchający, przynajmniej większość z nich, oniemieli. *Po raz pierwszy w dziejach PRL-u i chyba w dziejach Polski w ogóle, mieli być użyci starsi oficerowie regularnych Sił Zbrojnych jako pałkarze przeciw starcom, kobietom, dzieciom i bezbronnym mężczyznom.* Martwa cisza i brak jakichkolwiek pytań pod adresem referenta z безпеکی świadczyły o tym, że wszyscy zrozumieli: oto ci, którzy mieli być z tytułu obowiązków i powołania obrońcami ojczyzny, mają stać się zwykłymi pałkarzami dyrygowanymi przez policjanta. Nie jest ważne, że w końcu nie rozdali pałek (podobno zabrakło dla wszystkich), tylko same opaski i że nie

doszło także do rozpędzenia tłumu. Widocznie tłum wierzących był zbyt wielki i ktoś się zreflektował, że może to być dla komunistycznych rządów w PRL początkiem końca. Nie należy zresztą wykluczyć, że Kufel i Moczar chcieli już w 1966 roku zorganizować prowokację, która miała doprowadzić do upadku grupy Gomułki. I nie ulega wątpliwości, że była ta akcja w pełni koordynowana z KGB. Ale z punktu widzenia moralnego i politycznego, to co wkrótce nastąpiło, spowodowało przełom w postawie korpusu oficerskiego w Stolicy (a zapewne także w innych miastach wojewódzkich). Kiedy w dwa lata później kazano tym ludziom szczerć swych towarzyszy broni z lat wspólnych frontowych bojów byli już do tego przygotowani. I już bez oporów przyjęli te same pałki i opaski ORMÓ w marcu 1968, tłumnie uczestnicząc w biciu studentów.

A pamiętać trzeba, że grupa wojskowych w której ja się znalazłem była tylko częścią ogromnego „aktywu” zmobilizowanego także z innych wiernych instytucji Min. Spraw Zagr., Min. Handlu Zagr. i Centrale Handl. Zagr., słowem z tych urzędów, gdzie praca była „tłusta” i wymagała politycznego deklarowania się. Ich też spodlono. Może warto jeszcze dodać, że Kardynał w swoim kazaniu podkreślił, iż wie o tej „mobilizacji aktywu”, zaznaczył bowiem, że apeluje także do tych, których przysłano z obcym tym ludziom celem i że wierzy, iż także w ich piersiach bije serce katolika i Polaka (cytuje z pamięci). I po zebranych przeszedł głośny szmer.

W tych miesiącach nastąpiła ostateczna izolacja Spychalskiego w wojsku, a Gomułki w partii. Trudno powiedzieć w jakiej mierze Minister Obrony PRL był konsultowany zanim podjęto decyzję w sprawie zaangażowania korpusu oficerskiego LWP do tej haniebnej antykościelnej akcji. Jakiś raport w tej sprawie musiał jednak do niego dotrzeć i tym samym on też ponosił odpowiedzialność za to wydarzenie. Tak przynajmniej zostało to zrozumiane w wojsku. Pogłębiło to brak szacunku i nawet nie-nawiść do „odnowiciela” popaździernikowej Polski i przyspieszyło jego i Gomułki upadek. Może nawet wielu było skłonnych właśnie z powodu tej antykościelnej akcji uwierzyć, że Spychalski jest Żydem.

Następstwa Wojny Sześciodniowej w PRL znalazły w świecie głośny oddźwięk, podobnie jak mające miejsce w niespełna rok później wydarzenia marcowe. Nie doczekało się wszakże do dziś spokojnej i bardziej pogłębionej analizy wiele dość zagadkowych aspektów tych ważnych dni. Głośna była w 1967 roku sprawa zwolnień w „dowództwie wojsk lotniczych”.

Ogólnie wiadomo, że po Wojnie Sześciodniowej doszło do

totalnego już „odzydzenia” korpusu oficerskiego LWP. W zgiełku antysemickich sloganów tylko nieliczni zauważyli, że rugi Żydów były wprawdzie dla Moskwy ważne, ale równie ważne było doprowadzenie do ostatecznego wyczyszczenia LWP z wszystkiego co nosiło nawet ślady samodzielności narodowej. Spychalski, który był przecież — jak to było pokazane — człowiekiem bezwolnym, tchórzliwie konformistycznym i w pełni posłusznym Moskwie, symbolizował jednak — podobnie jak Gomułka — owe nikłe nadzieje Października. I te nadzieje KGB postanowiło dobić do cna rękoma samych Polaków i — żeby było śmieszniej — pod hasłem „władzy dla partyzantów”. Otóż afera grupy generałów z Dowództwa Wojsk OPK przysłużyła się tej sprawie kolosalnie. I to trzeba po krótkce wyjaśnić.

Na partyjnym zebraniu d-twa Wojsk OPK, kiedy usunięto z partii trzech dowódców — wypadek nie mający precedensu w dziejach LWP — i które praktycznie przekształciło się w spisek przeciw swoim szefom i samemu Spychalskiemu, dyrygowali właściwie agenci i rezydenci WSW. Dysponowali oni zarzutami dostarczonymi przez... „towarzyszy radzieckich” („jakiś niezidentyfikowany samolot krążył nad Polską” ponoć w tych dniach kiedy „rozstrzygały się losy... Polski”). Dowódca Wojsk OPK był gen. dyw. Czesław Mankiewicz, jego zastępcą był gen. bryg. T. Dąbkowski, a Szefem Sztabu gen. bryg. J. Stamieszkin. Mankiewicz to był partyzant z „krwi i kości”, aresztowany i kolejno torturowany przez Gestapo i polskich siepaczy Berii, bliski przyjaciel Spychalskiego, itd. Otóż właśnie ta ostatnia cecha, czyli przyjaźń ze Spychalskim była w tej aferze najważniejsza.

Organizując spisek przeciw Mankiewiczowi i żądając usunięcia swoich dowódców ponad głową Spychalskiego, w liście skierowanym wprost do Biura Politycznego PZPR, a nie do swojego prawowitego ministra — oficerowie dowództwa wojsk OPK wykazali votum nieufności wobec swojego najwyższego w wojsku przełożonego. I to już był ostateczny koniec kariery wojskowej i politycznej marszałka i ciągle jeszcze członka Biura Politycznego. Przy czym — jak pamiętamy — Spychalski wiedział doskonale, że za tym spiskiem stoi jego „podwładny” — gen. Kufel, a za plecami Kufela potężne KGB. Marszałek znów uległ i wolę tych spiskowców akceptował.

Po aferze z Mankiewiczem był już Spychalski absolutną marionetką w rękach WSW. Mogę sądzić, że w nocy nasłuchiwał czy nie przychodzą go aresztować po raz drugi. Ale w dzień udawał jeszcze przez kilka miesięcy, że jest naczelnym dowódcą LWP, podpisywał listy zwolnień oficerów, którzy mieli choć jedną ujawnioną kroplę żydowskiej krwi. To nie jest przesada,

zwalniano nawet za „niedobry wygląd”, albo za koleżeństwo z ludźmi, którzy mają ciemne i kręcone włosy (np. w Wojskowej Akademii Technicznej taki zarzut postawiono płk. B. Libickiemu). Minister akceptował nawet kilka zupełnie prowokacyjnych procesów sądowych, które odbyły się jednak tajnie. (Na przykład płk J. Alberta w Bydgoskim).

Nie należy się więc dziwić, że kiedy nadeszły krytyczne dni marca było LWP mocną ostoją... KGB w Polsce. Z przerażeniem patrzałem jak moi byli koledzy z LWP wożeni są samochodami pod bramę Uniwersytetu Warszawskiego albo Politechniki i jak uzbrojeni w pałki, z opaskami ORMÓ, wstydliwie opuszczali oczy, gdy zauważyli mnie, dyscyplinarnie zwolnionego z tej „zaszczytnej służby”. Wielu z nich szczerze mi zazdrościło, a ja im współczułem. Ale tylko nieliczni mieli odwagę odmówić uczestniczenia w tej haniebnej akcji. Takich zwalniano natychmiast dyscyplinarnie, grożąc wyciągnięciem dalszych konsekwencji za odmowę wykonania rozkazu. Należy tu odnotować demonstracyjną odmowę płk. prof. Edwarda Perkowicza z Akademii Sztabu Generalnego, który oświadczył, że gotów jest w każdej chwili bronić ojczyznę z bronią w ręku, jak przystoi żołnierzowi, ale z pałką przeciw studentom, i to przebrany po cywilnemu, nigdy nie pójdzie. Natychmiast Spychalski podpisał rozkaz o zawieszeniu go w czynnościach służbowych, po czym go z LWP zwolniono dyscyplinarnie. Tylko że takich jak płk Perkowicz było niewielu. Dodajmy, że płk Perkowicz był oficerem armii polskiej jeszcze przed 1939 rokiem. Odmówił także bicia studentów płk dr Zygmunt Beczkiewicz, ale posłużył się przy tym wymówką, że studenci Uniwersytetu Warszawskiego znają go osobiście, ponieważ prowadził tam wykłady, więc zdemaskują go, że nie jest ORMÓ-wcem. WSW poleciło więc przywrócić mu „wysokie oficerskie pagony”. Smutne są dzieje LWP.

Kiedy cały kraj żył pod wrażeniem masowych demonstracji studenckich „polskie i ludowe” wojsko było już w pełni sterroryzowane, usłużne wobec wojskowej policji politycznej, czyli WSW, zatem pod pełną kontrolą Moskwy. W miesiąc po pierwszych masowych wystąpieniach studentów UW zdjęto miękko Spychalskiego ze stanowiska Ministra Obrony i dano mu „kopniaka w górę”. Opublikowany w całej prasie dokładny życiorys „Jego Eminencji” i „jego małżonki” miały przekonać rozjuszony antysemityzm aparatu policyjny i partyjny, że ich nowy Przewodniczący Rady Państwa jest czystej krwi aryjczykiem. I tak nikt w to nie chciał wierzyć. Wszak „dobrze zorientowana” prasa zachodnia dawno już stwierdziła na podstawie „poufnych źródeł”, że żony Spychalskiego, Gomułki i Kliszki są Żydów-

kami (*Industriekurier* z 6. I. 1968, *Münchener Merkur* z 28. X. 1967) — co pilnie „powtarzano” w kręgach wojskowych i cywilnych policjantów.

Spychalski „Żyd” utrzymał się na swoim stanowisku jeszcze jakiś czas, po czym wraz z Gomułką zniknął ze sceny politycznej.

Wśród zachodnich obserwatorów i „sowieologów” przyjął się zwyczaj oceniania ludzi według ich przeszłości wojennej lub powojennej. „Partyzant”, „szkolony przez Sowiety w I-szej Dywizji”, „były stalinowiec”, były „żołnierz AK”, itp. Czas pojąć, że te podziały w większości wypadków niczego nie wyjaśniają, a nawet zaciemniają obraz. Mogłbym podać kilka bardzo głośnych nazwisk oficerów z elity AK, którzy służąc w LWP w różnych okresach oddali Sowietom ogromne usługi; nie jest przy tym ważne czy czynili to świadomie, czy nieświadomie. Mogłbym podać podobną listę nazwisk „byłych stalinowców”, którzy przysporzyli Moskwie moc kłopotów i potem — gdy przejrzeni — stali się zdecydowanymi zwolennikami uniezależnienia się od tego imperium. Ten tradycyjny podział traci zresztą w Polsce znaczenie także na skutek procesów biologicznych; struktura polityczna rządzącej elity jest w coraz większej mierze zależna od postawy średniego i młodego pokolenia.

Chcąc więc zrozumieć to, co się stało w łonie LWP po marcu 1968 trzeba więcej uwagi poświęcić analizie utrwalonych układów i stosunków w łonie elity władzy w ogóle. Wyjaśniliśmy już, że kiedy odszedł z MON-u Spychalski nie to było ważne, że jego miejsce zajął gen. Wojciech Jaruzelski. Ważniejszy był fakt, że Jaruzelski doszedł do tego stanowiska w warunkach, gdy WSW — jak w latach „stalinowskich” — było nadal dominującą egzekutywą w sprawach personalnych LWP oraz wydłużonym ramieniem KGB w sprawach politycznych. Dlatego od pierwszego dnia swoich rządów Jaruzelski musiał zaakceptować istniejący stan rzeczy i stale pamiętać, że ponad nim działa groźna siła. Nie tylko Jaruzelski, ale całe dowództwo LWP o tym wie. I wszyscy podejmują decyzje, wypowiadają swoje poglądy i działają w cieniu tego strachu, który kładzie się nad Polską i nad LWP, strachu może nawet większego niż w ponurych latach stalinowskiego zamordyzmu.

Michał CHĘCIŃSKI

Powyższy tekst jest fragmentem książki, która ma się ukazać w języku angielskim. Autor dziękuje IJA (Institute of Jewish Affairs) za zgodę na opublikowanie tekstu w *Zeszytach Historycznych*. Copyright należy do autora.

Michał CHĘCIŃSKI — ur. 1924 w Łodzi. 1940-1944 łódzkie getto, jeden z organizatorów ruchu oporu. Wrzesień 1944 - styczeń 1945 Oświęcim-

Gliwice, ucieczka z obozu. Od marca 1945 do grudnia 1946 Armia Czerwona — jako ochotnik walczył na froncie. Grudzień 1946 - październik 1947 powrót do Łodzi, robotnik metalowiec. 1947-1967 oficer ŁWP; 1947-1959 oficer Informacji ŁWP; marzec 1953 - marzec 1959 Starszy Wykładowca Oficerskiej Szkoły Informacji (WSW); 1959-1967 adiunkt i Starszy Wykładowca Zakładu Ekonomiki Wojennej i Wydziału Wojskowo-Ekonomicznego Wojskowej Akademii Politycznej ŁWP. Po dyscyplinarnym zwolnieniu z ŁWP adiunkt Spółdzielczego Instytutu Badawczego w latach 1967-1969. W 1969 r. emigracja do Izraela. 1970-1977 naukowy pracownik Uniwersytetu Jerozolimskiego, a następnie jednego z Instytutów badawczych.

1956 — magisterium Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Warszawskiego, 1963 — Doktorat z ekonomii w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie. Opublikował 5 książek i ponad 80 artykułów, głównie z dziedziny ekonomiki wojennej. Jedna z książek nagrodzona w 1965 roku Nagrodą Ministra Obrony Narodowej PRL i Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.

Prof. J. K. ZAWODNY

NOTHING BUT HONOUR

Story of the Uprising of Warsaw 1944

Historia 63 dni Powstania Warszawskiego w 1944 roku, w którym zginęło przeszło 200.000 mieszkańców walcząc z niemiecką armią. Książka opisuje powstanie na ulicach Warszawy oraz prowadzi Czytelnika do Londynu, Moskwy, Waszyngtonu wyjaśniając dyplomatyczne manewry zakończone biernością sowieckiej armii (która stała w odległości 2-ch mil, kiedy Niemcy przeszli do burzenia Warszawy). Roosevelt, Churchill i Stalin byli wmieszani w tę tragedię.

Str. 340.

\$ 12,95 (£ 6.95).

Wyd. Hoover Institution Press, Stanford, CALIF. USA
& MacMillan (London).

Anna M. CIENCIAŁA

„WIELKA BRYTANIA GOTOWA BYŁA BIĆ SIĘ ZA POLSKI GDANSK”?

Uwagi na marginesie książki Simona Newmana, *March 1939: The British Guarantee to Poland. A Study in the Continuity of British Foreign Policy*. Oxford, 1976.

Brytyjska gwarancja dla Polski z 31 marca 1939 roku od dawna już zasługiwała na szersze opracowanie. Na Zachodzie tylko T. D. Williams poświęcił jej dwa znaczniejsze artykuły opublikowane w 1956 roku¹; poza tym poświęcono jej mniej lub więcej uwagi w pracach szerszej odnoszących się do okresu poprzedzającego wybuch wojny: w pracy niniejszej, w *Poland and the Western Powers 1938-1939* (1968), oraz w pracy Sidney Astera, 1939. *The Coming of the War* (1972)¹.

W stosunkowo licznych opracowaniach polityki ugody ujmowano gwarancję bardzo fragmentarycznie, jako jedno z ogniw w długim łańcuchu przyczyn prowadzących do wojny². Z wiel-

1. T. Desmond Williams, *Negotiations leading to the Anglo-Polish Agreement of 31 March 1939*, Irish Historical Studies, t. X, nr. 37, 39, Dublin, 1956; Anna Cienciała, *Poland and the Western Powers 1938-1939. A Study in the Interdependence of Eastern and Western Europe*, Londyn, Toronto, 1968; Sidney Aster, 1939. *The Making of the Second World War*, Nowy Jork, 1973.

2. Np. A. J. P. Taylor, *The Origins of the Second World War*, Londyn, 1961. Z najnowszych prac na szczególną uwagę zasługują: Keith Middlemas, *Diplomacy of Illusion. The British Government and Germany, 1937-1939*, Londyn, 1972; Correlli Barnett, *The Collapse of British Power*, Londyn, 1972; Neville Thompson, *The Anti-Appeasers. Conservative Opposition to Appeasement in the 1930's*, Oxford, 1971; Maurice Cowling, *The Impact of Hitler. British Politics and British Policy, 1933-1940*, Cambridge, 1975. W literaturze polskiej, oprócz artykułów K. Laptera, *Angielskie gwarancje dla Polski w roku 1939*, Sprawy Międzynarodowe, Warszawa, 1959, nr 6 (autor popiera interpretację sowiecką, że głównym celem gwarancji było sprowokowanie Hitlera do wojny z Polską, a zatem z ZSSR), oraz J. Stefanowicza, *Gwarancje brytyjskie dla Polski w świetle narad gabi-*

kim zadowoleniem odnotowaliśmy więc ukazanie się w 1976 roku obszernej, liczącej 253 strony, pracy Simona Newmana całkowicie poświęconej gwarancji — *March 1939: The British Guarantee to Poland*.

Spodziewaliśmy się że młodemu amerykańskiemu historykowi zawdzięczać będziemy pracę pionierską, wyczerpującą i przede wszystkim obiektywną, a jego znakomitemu wydawcy wypełnienie istotnej luki w powojennej historiografii. Właśnie dlatego zawód nasz jest tym dotkliwszy: książka postulatu obiektywności zupełnie nie spełnia, a wydana w języku angielskim staje się tym szkodliwsza, że jej tezy trafiają na grunt już i poprzednio dość dobrze uprawiony.

W istniejącej literaturze gwarancja interpretowana jest przeciwnie. Widzi się ją albo jako punkt zwrotny w polityce brytyjskiej, oznaczający koniec ugody i początek oporu; albo jako zakamuflowaną kontynuację ugody³. Newman interpretacje te całkowicie odrzuca, zastępuje je własną, tyleż śmiałą, co pozbawioną podstaw. Przytaczamy tu jego zasadnicze tezy.

Gwarancja nie była ani zwrotem w polityce brytyjskiej, ani kontynuacją ugody — była po prostu błędem, ryzykowną prowadzą wojny. Nie mogła być zwrotem i początkiem oporu, ponieważ w ogóle nie było brytyjskiej polityki ugody. Głównym celem brytyjskiej polityki było utrzymanie równowagi sił poprzez zachowanie istniejącego *status quo* w Europie. Z żelazną konsekwencją stano na straży tego celu, i nigdy nie zamierzano pozostawić Niemcom wolnej ręki w Europie Wschodniej. Monachium nie dowodzi, że było inaczej. Monachium jest tylko chwilowym odstępstwem od zasady, i jako wyjątek podkreśla regułę. Monachium podyktowała Wielkiej Brytanii własna słabość militarna, lecz już wkrótce, po zajęciu Pragi 15 marca 1939 roku, powrócono na poprzednie pozycje utrzymania *status quo*, wznowiono twardy kurs wobec Niemiec. Brytyjczycy mieli szansę uniknięcia błędu gwarancji i ryzyka wojny, lecz niestety błędnie odczytali cele niemieckie, uznając zajęcie Pragi za oczywisty przejaw niemieckiego dążenia do dominacji nad światem.

Newman jest przekonany, że dominacja nad światem nie mogła być celem polityki niemieckiej, ponieważ Niemcy nie po-

netu brytyjskiego, *Wojskowy Przegląd Historyczny*, 1971, nr 1, znajdujemy krótkie omówienia u Henryka Batowskiego, *Europa zmierza do przepaści*, Poznań, 1971, oraz u Tadeusza Piszczkowskiego, *Anglia a Polska 1914-1939*, Londyn, 1975.

3. Taylor uważa gwarancję za (słuszną) kontynuację polityki ugody dążącą do rewizji granic w Europie Wschodniej (patrz przyp. 2 j.w.). Stanowisko to podziela Correlli Barnett (*ibid.*). Natomiast S. Aster zwalcza tezę jakoby polityka brytyjska zmierzała do ugody (przyp. 1).

siadały potencjału pozwalającego im cel ten zrealizować; cel nie-realny nie jest w ogóle żadnym celem. Rzeczywiste cele Niemiec były ograniczone, sprowadzały się do „umiarkowanej ekspansji” w rejonie Wschodniej Europy. Realizacja tych celów ograniczonych nie zagrażała automatycznie bezpieczeństwu Wielkiej Brytanii. Brytyjska zgoda na realizację celów niemieckich w tym rejonie pozwoliłaby spełnić marzenie Hitlera o wieczystym sojuszu Niemiec z Albionem. Tymczasem, Brytyjczycy, błędnie analizując cele niemieckie w marcu 1939 roku, poddali się atmosferze paniki i hysterii moralnej. Doprowadziło to do udzielenia Polsce gwarancji z założeniem, że nie chodzi tylko o środek odstraszenia Hitlera od wojny. Przeciwnie. W obawie przed możliwością dojścia do układu polsko-niemieckiego, z którego wynikałaby neutralność Polski wobec konfliktu między Wielką Brytanią, Francją i Niemcami, Brytyjczycy za wszelką cenę dążyli do utrzymania impasu w stosunkach polsko-niemieckich w Gdańsku, byli więc gotowi bić się o Gdańsk.

Newman zakłada, że bez posiadania gwarancji brytyjskiej Polska mogła była nie odważyć się na stawianie Niemcom oporu, a tym samym — mogło być nie dojść do wybuchu drugiej wojny światowej. Wniosek końcowy Newmana: Wielka Brytania również ponosi winę za wybuch wojny.

Przed wszystkim zarzucić można Newmanowi bezpodstawność twierdzenia, że głównym celem polityki brytyjskiej pozostawało utrzymanie równowagi sił przez zachowanie *status quo* w Europie, łącznie z Europą Wschodnią. Tezy tej nie można udowodnić. Przeciwnie, łatwo ją podważyć. Istnieje dość dowodów świadczących, że już od momentu podpisania Traktatu Wersalskiego w 1919 roku politycy brytyjscy uważali go za krzywdzący dla Niemiec, przyjmując że musi być z czasem zrewidowany. Poważnie liczyli się z gwałtownymi niemieckimi protestami przeciwko granicy z Polską. Rozumieli nieuchronność połączenia Austrii z Niemcami, rewizji granicy czechosłowacko-niemieckiej, rewizji granic węgierskich⁴.

Autor zna oświadczenie Halifaxa z listopada 1937 roku; wie że Hitler otrzymał zapewnienie, iż Wielka Brytania nie będzie obstawała przy utrzymaniu *status quo* w Europie Wschodniej, że gotowa jest przyjąć pokojowe modyfikacje obejmujące Austrię,

4. Patrz Anna M. Cienciała: *Polityka brytyjska wobec odrodzenia Polski, 1914-1918*, „Zeszyty Historyczne” nr 16, Paryż, 1969; *Problem niemiecki w świetle polityki mocarstw zachodnich wobec Wolnego Miasta Gdańska w latach 1919-1939*, *Studia Historica Slavo-Germanica*, t. 1. Poznań, 1973; *German Propaganda for the Revision of the Polish-German Frontier in Danzig and the Corridor; its Effects on British Opinion and the British Policy-Making Elite in the Years 1919-1939*, Antemurale, Rzym, 1976.

Sudety, Gdańsk i Kłajpedę (str. 29-30). Jest mu też znana późniejsza wypowiedź Halifaxa, z listopada 1938 roku. Powinna była go zastanowić, gdyż Halifax wyraża się zupełnie jasno; twierdzi, że zawsze przewidywał naturalność niemieckiej dominacji we Wschodniej Europie, gdy tylko Niemcy odzyskają siłę (str. 43-44).

Jakkolwiek Newman przytacza te wypowiedzi, nie liczy się z ich wymową, sprzeczną z jego tezami. Nie rezygnuje więc z twierdzenia, że jednak Niemcom w Europie Wschodniej wolnej ręki nie chciano pozostawić. I, aby tego dowieść, wysuwa argument żenująco słaby — niezrealizowany projekt brytyjskiej pomocy gospodarczej dla państw bałkańskich, zagrożonych naciskiem niemieckiej ekspansji gospodarczej (rozdział 3). Sam fakt wysunięcia projektu (w lecie 1939 roku) wydaje mu się dostatecznym dowodem na poparcie tej tezy.

Nie jest wykluczone, że Newmanowi może po prostu brakować znajomości szerszego tła polityki brytyjskiej w Europie; albo też można podejrzewać, że świadomie nagina fakty na użytek swych tez. W każdym razie, Newman nie dostrzega rzeczy następujących:

1. faktu, że Wielka Brytania nigdy nie traktowała równorzędnie Europy Wschodniej i Zachodniej;
2. faktu, że Wielka Brytania zawsze rozróżniała między ustępstwami narzuconymi siłą i ustępstwami wynegocjowanymi, które gotowa była przyjąć.

Wydaje się, że Newman nie rozumie, albo też z powodów znanych tylko sobie nie chce rozumieć, że trwały pokój w Europie był zasadniczym celem brytyjskim. Szczere pragnienie pokoju w Europie pozostaje w bezpośrednim związku z żywotnymi interesami Wielkiej Brytanii; nie było ideą abstrakcyjną; pokój w Europie oznaczał swobodę koncentrowania się na własnych sprawach związanych z utrzymaniem imperium. Zmiana *status quo* nie oznaczała dla Brytyjczyków wyrzeczeń, tym łatwiej więc była do przyjęcia. Interesy brytyjskie wymagały tylko bezpieczeństwa Francji, Belgii i Holandii, ze względu na bezpieczeństwo własnego terytorium; oraz swobody i bezpieczeństwa komunikacji przez Morze Śródziemne, ze względu na interesy na Dalekim Wschodzie. Cała Europa Wschodnia, a więc i Polska, do strefy żywotnych interesów brytyjskich nie należała; interesy małych, słabych państw tego obszaru mogły być poświęcone zasadzie naczelnej i chciano, aby nigdy nie zyskały one rangi wyższej od sporów lokalnych. Najdobitniej stanowisko to potwierdza Austen Chamberlain w oświadczeniu z 1925 roku, że korytarz polski nie

jest wart kości jednego brytyjskiego grenadiera⁵. Jeżeli więc do czasu Monachium Wielka Brytania nie inicjowała zmiany wschodnich granic europejskich, to działo się to nie z obawy przed zachwianiem równowagi sił, lecz z dogodności pozostawania w roli mocarstwa wpływowego, ale nie zaangażowanego bezpośrednio w konflikty w rejonie obcym własnym interesom.

Jakiego rozwiązania życzone sobie najbardziej w W. Brytanii? Ogólnie biorąc, chciano polepszenia atmosfery i takiego rozwoju dobrosąsiedzkich stosunków z państwami ościennymi, aby pozwoliły samym Niemcom wynegocjować ustępstwa całkowicie ich zadowalające. Temu rozwiązaniu sprzyjać miały zarówno brytyjskie wysiłki na forum Ligi Narodów, jak też inicjatywy dyplomatyczne skierowane do Polski i Czechosłowacji w 1938-39 r. Z tych założeń wypływała również brytyjska niechęć do francuskich sojuszków w Europie Wschodniej, dla których Francja bezskutecznie zabiegała o brytyjskie gwarancje.

Nieporozumieniem jest więc, że Wielka Brytania nie chciała zmiany *status quo*. Należy powiedzieć, że nie chciała tylko pewnej formy jego zmiany. Nie chciała zmiany granic w Europie Wschodniej aktem międzynarodowym, który oznaczałby konieczność gwarantowania nowych granic, a tym samym wymagałby bezpośredniego brytyjskiego zaangażowania. Czekano na moment, gdy sytuacja dojrzeje na tyle, aby rokowania dwustronne państw zainteresowanych mogły przynieść oczekiwane rezultaty, które dopiero potem miałyby uzyskać międzynarodową aprobatę⁶.

Monachium — dla Newmana chwalebny, ale jedyny przykład brytyjskiego odstąpienia od zasady równowagi sił i *status quo* — jest w istocie odstąpieniem innego rodzaju. Jest przykładem odstąpienia od zasady nieprzyjmowania przez Wielką Brytanię żadnych wiążących ją zobowiązań, które w jakikolwiek sposób mogłyby ją bezpośrednio wciągnąć w konflikt wojenny w strefie położonej poza granicami jej żywotnych interesów. W Monachium w zasadzie Wielka Brytania zobowiązanie takie podejmuje, tj. udziela gwarancji nienaruszalności granic okrojonej już Czechosłowacji. Jest to odstąpienie ostrożne — łącznej gwarancji brytyjsko-francuskiej, i dodatkowo obwarowane warunkiem gwarancji Niemiec i Włoch, nie mniej jednak odstąpienie faktyczne.

5. List Austena Chamberlaina do Lorda Crewe, ambasadora brytyjskiego w Paryżu z dn. 16. II. 1925, cyt. Sir Charles E. Petrie, *The Life and Letters of the Right Hon. Sir Austen Chamberlain*, t. II, str. 259, Londyn, 1940.

6. Hugh Dalton, prawa ręka laburzystowskiego Ministra Spraw Zagranicznych Arthura Hendersona, zanotował 19. I. 1931, że wszystkie brytyjskie stronnictwa polityczne odnosiły się bardzo niechętnie wobec propozycji zagwarantowania wschodniego Łokarna, lub nawet umownej rewizji granicy polsko-niemieckiej, Londyn, Public Record Office, akta Ministerstwa Spraw Zagranicznych, F.O. 371/15221, C173/173/18, str. 67.

Neville Chamberlain, inicjator monachijskiej gwarancji dla Czechosłowacji, już wkrótce mógł osobiście żałować wysunięcia projektu: agresja, zajęcie Pragi, naraziło go na przykrość usprawiedliwiania niedotrzymanych gwarancji względami formalnymi — brakiem gwarancji Niemiec i Włoch, oraz realistycznymi — rozpadem naturalnym Czechosłowacji, oderwaniem się od niej Słowacji⁷.

Newman ma rację, gdy wskazuje na militarną słabość Wielkiej Brytanii jako na fakt oczywisty; wiemy, że nie była wystarczająco przygotowana do udziału w wojnie. Rzecz jednak w tym, że nic nie dowodzi jakoby poczucie własnego zagrożenia i słabości militarnej było czynnikiem decydującym dla Chamberlaina. Wystarczy obejrzyć stare kroniki filmowe, zobaczyć Chamberlaina powracającego z Monachium w roli zwiastuna dobrej nadziei, męża opatrnościowego przynoszącego Europie gałązkę oliwną pokoju. Chamberlain nie traktował Monachium jako brytyjskiej słabości, widział je jako celowy, pierwszy krok w kierunku zagwarantowania pokoju⁸.

Bardzo wątpliwe są też tezy Newmana, dotyczące gwarancji brytyjskiej dla Polski. Jak już wiemy z ogólnego ich omówienia, Newman dowodzi że gwarancja została Polsce zaoferowana, aby stworzyć impas w stosunkach polsko-niemieckich, aby nie dopuścić do przyjęcia przez Hitlera polskich dezyderatów w Gdańsku, a tym samym zapobiec ewentualnej neutralności Polski w przypadku wojennego konfliktu na Zachodzie. Podejrzliwość urzędników *Foreign Office* w tym względzie daje się rzeczywiście stwierdzić, ale nie można na tej podstawie obronić tezy. Nie można też dowieść (czego przecież autor się podejmuje), że Wielka Brytania miała rzeczywisty zamiar bić się za Gdańsk, a w każdym razie ryzyko takie udzieleniem gwarancji musiała zakładać. Jednocześnie Newman przytacza warunki, którymi gwarancję obwarowano, i nie zmienia to jego wniosków.

Rada Ministrów z 31 marca 1939 roku przedkłada Polsce ofertę gwarancji w następującym sformułowaniu: 1. Polska stawia opór w razie zagrożenia jej niepodległości; 2. Polska nie pozwoli sobie na prowokacyjne postępowanie, lub na głupi upór ani generalnie, ani w szczegółach w sprawie Gdańska (str. 202). — Treść i forma oferty nie wymagają komentarza, ale też nie wskazują na wolę pogrzebania kości jednego choćby brytyjskiego grenadiera w Gdańsku.

Jest już dziś wystarczająco wyjaśnione, że decyzja udzielenia

7. *Hansard* (sprawozdania stenograficzne posiedzeń Izby Gmin), 15. III. 1939, ser. III, t. 345, kol. 438-40.

8. Patrz, Cowling, *Impact of Hitler*, str. 205.

Polsce gwarancji nie wynikała ani z niepokoju Wielkiej Brytanii, że Hitler zaatakuje jej granice⁹, ani też w wyniku listu Jana Ciechanowskiego do Harveya¹⁰. Zasadnicza decyzja została podjęta 26 marca i była wymuszona reakcją brytyjskiej opinii publicznej brakiem reakcji rządu na wkroczenie Hitlera do Pragi. Chamberlain, zagrożony gwałtowną krytyką przyjaciół i przeciwników, musiał działać, musiał zasłonić się przed atakami odwagą kroków politycznych. Gwarancja miała więc, w swoim tle, najistotniejsze przyczyny w sytuacji wewnętrznej.

Newman przytacza wypowiedź H. Nicolsona z 17 marca (str. 103) (uznał on, że Chamberlainowi grozi dymisja, jeżeli natychmiast nie zmieni kursu), ale nie przywiązuje do niej należytej wagi. Sądzymy, że należało to zrobić, bo wypowiedź Nicolsona potwierdza inne źródło: oświadczenie Orme Sargenta wobec amb. Raczyńskiego. Sargent, mówiąc Raczyńskiemu że rząd oczekuje rychłej i pozytywnej odpowiedzi Polski na przedłożoną jej ofertę gwarancji, wskazał jednocześnie na pilność sprawy wobec mnożących się ataków na osobę Chamberlaina, któremu zarzuca się brak kontrakcji na posunięcia niemieckie¹¹.

Newman z dokumentów polskich nie korzysta, widocznie na przeszkodzie stoją tu względy językowe, ale mógł — zubożony o dostęp do źródeł polskich — lepiej wykorzystać źródła i opracowania angielskie. Nie brak już dzisiaj prac, które przekonująco ukazują wpływ krytycznej opinii publicznej na poczynania rządu w marcu 1939 roku¹².

Skoro wiemy pod wpływem jakich czynników doszło do wystąpienia wobec Polski z ofertą gwarancji, możemy zająć się sprawdzeniem podstaw twierdzenia Newmana co do znaczenia, jakie sami Brytyjczycy przypisywali temu dokumentowi.

9. Jak podaje Aster, wiadomość Ian Colvina, berlińskiego korespondenta *News Chronicle*, o mającym nastąpić ataku Hitlera na Polskę, została zdementowana przez wywiad brytyjski. Wiedziała o tym Rada Ministrów, gdy wyraziła zgodę na wniosek Chamberlaina o udzielenie gwarancji Polsce, Aster, 1939, str. 196. Inna sprawa, że wiadomość Colvina, podana Chamberlainowi 29 marca wieczorem, mogła skryształizować decyzję Premiera.

10. Ciechanowski proponował natychmiastową gwarancję francusko-brytyjską dla Polski w razie agresji niemieckiej. Newman list ten cytuje na str. 180-181, z komentarzem że mógł on wywrzeć wpływ decydujący. Nie cytuje jednak uwagi skreślonej przez Harveya: „Kurs proponowany przez niego jest właściwie ten sam, jakismy już przyjęli”. Harvey był sekretarzem osobistym Halifaxa. Jego diariusz dość wiernie odzwierciedla nastroje panujące w otoczeniu ministra i w *Foreign Office*, patrz, *The Diplomatic Diaries of Oliver Harvey, 1937-1940*, Londyn, 1970.

11. List amb. Edwarda Raczyńskiego do Ministra Spraw Zagranicznych, 30 marca 1939 roku, Akta Ambasady R.P. w Londynie, ER/MR nr 49/WB/47, Instytut Polski i Muzeum Gen. W. Sikorskiego w Londynie.

12. Szczególnie wyraźnie wskazuje na to Neville Thompson w swej pracy *The Anti-Appeasers* (przyp. 2, j.w.).

W przekonaniu Newmana Brytyjczycy zdawali sobie sprawę, że gwarancja sprowokuje Hitlera do wojny. Jest więc dla niego logiczne, że musieli chcieć wojny, byli w każdym razie gotowi przyjąć jej ryzyko.

Teza Newmana, jeżeli nawet nie pozbawiona jest logiki, pozbawiona jest podstaw w dokumentach brytyjskich. Brytyjczycy nadawali gwarancji różne znaczenia, lecz nie to jakie sugeruje Newman. Powołajmy świadków. Alexander Cadogan, szef *Foreign Office*, podaje że gwarancją spodziewano się wywołać obawę Hitlera przed niebezpieczeństwem prowadzenia wojny na dwa fronty; ta obawa miała go powstrzymać przed dalszą agresją¹³. Cowling wskazuje na przekonanie Chamberlaina, iż gwarancja nie wyklucza możliwości pokojowej modyfikacji granicy polsko-niemieckiej¹⁴. Sidney Aster uważa, że udzielając gwarancji chciano doprowadzić do przyśpieszenia polsko-niemieckich negocjacji, które mogłyby się odbyć „na równej stopie i bez użycia groźby siły”¹⁵.

Możemy uznać, że rozumowaniom tym brak poczucia rzeczywistości, specjalnie rozumowaniu Astera, nie możemy jednak zaprzeczyć, że właśnie takie znaczenie nadawano gwarancji.

Powszechnie przyjął się pogląd, że polityka brytyjska, szczególnie w okresie od marca do września 1939 roku, uwikłana była w sprzeczności, bo z jednej strony straszono Hitlera wojną na dwa fronty, a z drugiej zapewniano go, że nie ma takiego problemu, który nie nadawałby się do negocjacji. Można się z tym poglądem zgodzić, ale można też dowiedzieć, że straszono Hitlera „na niby”, gdy naprawdę dążono wyłącznie do negocjacji. Świadczy o tym stała presja wywierana na Polskę, aby nie podejmowała w Gdańsku bez konsultacji z Wielką Brytanią żadnej akcji, która mogłaby utrudnić polsko-niemieckie negocjacje. Dokumenty brytyjskie dowodzą, że zawsze bardzo dokładnie oddzielano sprawę Gdańska i korytarza od sprawy niepodległości Polski. Jeszcze 27 sierpnia Chamberlain uważał, że Polska może się zgodzić na oddanie Niemcom Gdańska i na niemiecki korytarz przez Pomorze, jeżeli zmieniony *status quo* otrzyma międzynarodową gwarancję a przywileje Polski w Gdańsku zostaną

13. Notatka dyrektora *Foreign Office*, Alexandra Cadogana, z maja 1939 roku, cyt. David Dilks, *The Diaries of Sir Alexander Cadogan, 1938-1945*, Londyn, 1971, str. 166.

14. Cowling, *Impact of Hitler*, str. 298.

15. Aster, 1939, str. 359-60. Należy zauważyć, że to był właśnie punkt widzenia brytyjskiego ambasadora w Berlinie, Neville Hendersona. Henderson, który był znanym germanofilem, do końca uważał że Polska powinna przyjąć roszczenia Hitlera do Gdańska i Pomorza — oczywiście, drogą „pokojowych negocjacji na równej stopie”.

zachowane¹⁶. Wyciągnięto tu z lamusa stary projekt *Foreign Office* z lutego 1933 roku, rozbudowano go tylko o zapewnienia międzynarodowej gwarancji i oczekiwano, że będzie on możliwy dla Polski do przyjęcia.

Przeciwno tezie Newmana o gotowości brytyjskiej do wojny o Gdańsk przemawia rzeczywistość polskiego września, kiedy nie chciano bić się nawet o totalnie zagrożoną Polskę. W pełnym toku wojny polsko-niemieckiej, 2 września wieczorem, Chamberlain z Halifaxem gotowi byli przystąpić do negocjacji z Hitlerem. Tego dnia, przed obu izbami parlamentu, bez uzgodnienia stanowiska z własną radą ministrów, zaprezentowali niesłychane oświadczenie: jeśli Niemcy wyrażą gotowość do natychmiastowego wycofania swych wojsk z Polski, to rząd brytyjski będzie mógł uznać sytuację za tę samą co poprzednio, a tym samym droga do rozmów między rządami Polski i Niemiec na temat spraw spornych stanie otworem. Jeszcze wówczas Chamberlain nie tracił nadziei, że będzie można odwrócić bieg wydarzeń i zapewniał parlament, iż (za zgodą i poparciem rządów brytyjskiego i francuskiego) Mussolini podejmuje inicjatywę przekonania Hitlera o celowości konferencji międzynarodowej dla rozstrzygnięcia konfliktu polsko-niemieckiego¹⁷. Chamberlain spodziewał się, że parlament przyjmie do wiadomości kroki rządu i uzna czas pozostawiony Hitlerowi na udzielenie odpowiedzi w sprawie konferencji. Gwałtownej reakcji Izby Gmin, a tym bardziej rewolty we własnym gabinecie, najwidoczniej nie oczekiwał¹⁸.

Wydarzenia z 2 września jaskrawo podkreślają, że Chamberlain z Halifaxem nigdy w istocie nie wiązali konieczności wojny z gwarancją jakiej udzielono Polsce, chcieli nią jedynie zamantefestować godność mocarstwa i opanować agresję Hitlera. Prze-

16. Projekt Chamberlaina, przedstawiony na zebraniu Rady Ministrów, 27. VIII. 1939, cyt. Aster, 1939, str. 340-42.

17. *Hansard*, 2 września 1939, ser. 5, t. 351, kol. 280-286, cyt. Nicholas Bethell, *The War Hitler Won. The Fall of Poland, September 1939*, Nowy Jork, 1972, str. 50. Jest to bodajże jedyna praca w języku angielskim, która podaje ten właśnie fragment mowy Chamberlaina. Halifax wygłosił identyczną mowę w Izbie Lordów, ale nie cytuje tej wypowiedzi w swych pamiętnikach, opuszczając dyskretnie cały passus dotyczący propozycji Mussoliniego oraz gotowości rządu brytyjskiego do poparcia negocjacji polsko-niemieckich po wycofaniu się wojsk niemieckich z Polski, patrz Lord Halifax, *Fullness of Days*, Nowy Jork, 1957, str. 215.

18. Chamberlain i Halifax wypowiedzieli się za zwłoką w wystosowaniu ultimatum do Niemiec do 3 września, a nie jak to uzgodniła Rada Ministrów, do północy 2 września. Aster uważa, że postąpili zgodnie z mandatem Rady Ministrów, aby najpierw uzgodnić datę z rządem francuskim, który jednak prosił o zwłokę. O tym, że Rada Ministrów nie pojmowała w ten sposób swego mandatu, świadczy rewolta w jej łonie i nacisk na Chamberlaina aby wystosował ultimatum, patrz Aster, 1939, str. 378-87.

konanie Newmana, że Wielka Brytania świadomie prowokowała Hitlera do wojny nie wytrzymuje próby.

Newman jest amerykańskim historykiem najmłodszego pokolenia, absolwentem słynnej wylęgarni przyszłych amerykańskich dyplomatów — szkoły studiów międzynarodowych na uniwersytecie Johns Hopkinsa w Waszyngtonie. Omawiana tu książka, oparta na rozprawie doktorskiej, jest jego pierwszą naukową publikacją. Wszystko to sprawia, że jesteśmy szczególnie zaskoczeni skrajnością jego tez — fałszywych, lecz wskazujących na dobrze ugruntowane przekonania. Zadajemy sobie pytanie, gdzie i od kogo mógł je nabyć?

Sam Newman ułatwia nam odpowiedź. Wskazuje przede wszystkim na Roberta Skidelsky'ego, oraz podkreśla że na jego tezy wpłynęły prace L. Hoggana, P. H. Nicholla i E. H. Carra. Wszyscy tu wymienieni zasługują na odrębną uwagę, w tym miejscu warto jedynie zatrzymać się nad tym, co jest im wspólne: generalnie krytyczny stosunek do polityki brytyjskiej, uznanie gwarancji dla Polski za błąd koronny tej polityki, przekonanie o ograniczonych celach niemieckich w Europie, wreszcie pewność, że gwarancja sprowokowała Hitlera do wojny z Polską; czyli Wielka Brytania nie może uchylić się od winy i odpowiedzialności za wybuch drugiej wojny światowej.

Newman najpełniej przejął poglądy Skidelsky'ego. W istocie praca Newmana rozwija jedynie tezy artykułu Skidelsky'ego o wymownym tytule: *Idąc do wojny z Niemcami*¹⁹.

Co do wpływu prac L. Hoggana i P. H. Nicholla na tezy Newmana, to obaj historycy anglosascy, których książki wydano tylko w Niemczech²⁰, upewnili Newmana, że cele niemieckie

19. Robert Skidelsky, *Going to War with Germany. Between Revisionism and Orthodoxy*, Encounter, t. XXIX, nr 1, Londyn, lipiec 1972, str. 56-65. Skidelsky, urodzony w 1939 roku w Charbinie, wychował się w Anglii i ukończył studia w Oxfordzie. W latach siedemdziesiątych wykładał gościnnie w szkole studiów międzynarodowych na uniwersytecie Johns Hopkins, gdzie poznał Newmana. Skidelsky opublikował trzy książki, m.in. biografię znanego faszysty brytyjskiego Oswalda Mosleya. Obecnie Skidelsky jest dyrektorem wydziału Historii i Filozofii na Politechnice w Północnym Londynie (Nort London Politechnic). Według Skidelsky'ego cele niemieckie były ograniczone do Europy Wschodniej, zaś ich realizacja nie groziła bezpieczeństwu Wielkiej Brytanii. Niemcy nie dysponowały potencjałem aby zapewnić sobie dominację nad światem, przeto takiego celu mieć nie mogli.

20. Patrz David L. Hoggan, *Der Erzwungene Krieg. Die Ursachen und Urheber des 2 Weltkriegs*, Tübingen, 1963. Obie prace wyszły pod auspicjami Institut für deutsche Nachkriegsgeschichte, Tübingen. Obaj autorzy powtarzają tezę wygłoszoną we wrześniu 1939 roku przez Hitlera, tj. że wojna jest wynikiem brytyjskiej polityki utrzymania równowagi sił w Europie oraz okrażenia Niemiec, cyt. Allan Bullock, *Hitler. A Study in Tyranny*, 2-gie wydanie, Nowy Jork, 1962, str. 550-51. Peter H. Nicoll, *Englands*

ograniczały się wyłącznie do roszczeń w Wschodniej Europie i gdyby nie gwarancja, którą Hitler czuł się sprowokowany i która uniemożliwiła mu porozumienie z Polską, do wojny na pewno by nie doszło; winy Wielkiej Brytanii i Niemiec są sobie co najmniej równe. Newman wspomina, że prace Hoggana i Nicholla cieszą się uznaniem skrajnej prawicy niemieckiej, ale to nie powinno nikogo zrażać; życzyłby sobie, żeby ich argumenty były powszechniej znane i doceniane (str. 3, przyp. 1).

Apologeta brytyjskiej ugody E. H. Carr wzbudził uznanie Newmana uzasadnieniem podstaw niemieckiego rewizjonizmu we Wschodniej Europie, i upewnił go w przekonaniu, że gwarancja była wielkim brytyjskim błędem. Newman zgadza się całkowicie z Carrem, że „groźba użycia siły dla zachowania *status quo* może być moralnie bardziej karygodna od samego użycia siły”²¹ (str. 221). Newman, przytaczając tę wypowiedź Carra, wydaje się uznawać, że Wielka Brytania była nie tylko winna, ale nawet bardziej winna niż Niemcy.

Rewizjonizm historyczny nie jest zjawiskiem złym lub nie-naturalnym. Nowe interpretacje we wszystkich dziedzinach historii, również w dziedzinie historii najnowszej, są pożądane i wzbogacają nasze poznanie dziejów. Młode pokolenie historyków ma przed sobą drogę otwartą. Nie można jednak przyjąć interpretacji opartych na faktach celowo zniekształconych, przystosowanych do stronnictw, z góry przyjętych tez. Rezygnacja z szacunku dla faktu staje się niestety praktyką coraz częściej spotykaną. Zdarzają się też podejścia tak nonsensowne jak np. twierdzenie Irvina, który dowodzi że Hitler nie sygnował żadnego dokumentu skazującego Żydów na zagładę, wobec czego przyjmuje „z szacunku dla źródeł”, że Hitler o zagładzie Żydów niczego nie wiedział²². Różne są sposoby pisania historii i niestety praca Newmana także o nich świadczy.

Opublikowanie książki Newmana przez prestiżowe wydawnictwo uniwersytetu oxfordzkiego może budzić ubolewanie, bo fałszywie oświetlone dzieje czynią więcej szkody, niż pozostawienie ich w zapomnieniu. Możemy sądzić, że recenzji wydawniczych podjęły się osoby nie znające wystarczająco zagadnienia, lub stronnice. O to zresztą nie trudno; gwarancja ma wielu

Krieg gegen Deutschland. Die Ursachen, Methoden und Folgen des Zweiten Weltkriegs, Tübingen, 1963.

21. Cytat z książki E. H. Carra'a, *The Twenty Years' Crisis*, której pierwsze wydanie ukazało się w 1939 roku. Neville Thompson określa ją jako „najlepszą współczesną analizę a zarazem obronę intelektualną polityki ugody”, *Anti-Appeasers*, str. 30.

22. David Irvine, *Hitler's War*, Londyn, 1977.

przeciwników, krytykowana jest jako krok niepotrzebny, nierozważny²³.

Z wielką trudnością toruje sobie drogę pogląd że Niemcy, zaspokojone w swoich żądaniach ustępstwami mocarstw zachodnich, wzmocnione maksymalnie kosztem Europy Wschodniej, były dla Zachodu niebezpieczne. Gdyby gwarancji Polsce nie udzielono, wojna byłaby i tak nieunikniona, a jej wynik być może groźniejszy; trwałe panowanie Niemiec w podbitej Europie stałoby się zapewne rzeczywistością naszego życia²⁴.

Anna M. CIENCIAŁA

23. T. Desmond Williams przypisał decyzję udzielenia gwarancji Polsce naciskowi prasy brytyjskiej na rząd (patrz przyp. 1). A.J.P. Taylor mówi o „podziemnej eksplozji opinii publicznej” *Origins*, str. 204. Aster wskazuje prawidłowo na kolejność czynników, nie przypisuje jednak wielkiej wagi opinii publicznej, natomiast krytykuje wybór Polski jako partnera zamiast ZSSR, Aster, 1939, *passim*. Ostatnio młody historyk angielski określił gwarancję jako „na przedce wymyślony absurd, zrozumiały tylko w warunkach nagłej desperacji i dążenia do stworzenia pozoru zdecydowanej postawy”, patrz Robert Rhodes James, *The British Revolution, 1880-1939*, Nowy Jork, 1977, str. 608. Niestety, w tych interpretacjach brak zarówno zrozumienia celów brytyjskich mężów stanu jak i polityki polskiej. Najsolidniejsza jest jeszcze praca Astera.

24. Wyjątek stanowi opinia doradcy historycznego *Foreign Office*, James Headlam-Morleya, który już w lutym 1925 roku, a więc za „dobrych czasów” Niemiec weimarskich, ostrzegał: „Jeśli nastąpi zjednoczenie Austrii i Niemiec, a potem rozbiór Polski i Czechosłowacji, to Europa popadnie w chaos. Będzie to katastrofa, ponieważ Niemcy będą wówczas mogły w każdej chwili przerzucić swe siły znad Wisły nad Ren. Gdyby Wielka Brytania nie spróbowała się temu sprzeciwić zawczasu, to będzie do tego zmuszona później, ale jej interwencja nastąpi prawdopodobnie za późno”. Patrz memoriał Headlam-Morleya pt. *The History of British Foreign Policy and the Geneva Protocol*, z dn. 12. II. 1925, F.O. 371/11964, W1252/9/98, cyt. częściowo w James Headlam-Morley, *Studies in Diplomatic History*, Londyn, 1929, str. 182, 184. Headlam-Morley protestował wówczas przeciw ogólnie przyjętej opinii w *Foreign Office*, że po zabezpieczeniu granic Francji i Belgii z Niemcami, będzie można przystąpić do pokojowej rewizji granicy polsko-niemieckiej oraz innych granic w Europie Wschodniej. Popierał udział Wielkiej Brytanii w protokole genewskim, który miał zagwarantować powojenne granice w Europie. Chociaż w latach trzydziestych nieliczni urzędnicy *Foreign Office*, a szczególnie Sir Robert Vansittart, szef w latach 1932-38, obawiali się Niemiec i oponowali przeciw rewizji granic w Europie Wschodniej, stanowili zawsze znikomą mniejszość. Można odnotować, że pierwszy historyk zachodni który zwrócił uwagę na ostrzeżenie Headlam-Morleya — był Niemcem. Był to zmarły niedawno profesor uniwersytetu Yale, Hajo Holborn, patrz jego książka, *The Political Collapse of Europe*, Nowy Jork, 1951, str. 128-129. Krótki życiorys Headlam-Morleya zawarty jest w przedmowie do jego bardzo ciekawego diariusza z konferencji pokojowej z 1919 roku. Brał on wówczas czynny udział w opracowaniu artykułów traktatu wersalskiego dotyczących Gdańska oraz plebiscytu na Górnym Śląsku, patrz, James Headlam-Morley, *A Memoir of the Paris Peace Conference 1919*, pod redakcją Agnes Headlam-Morley, Russell Bryant, Anny M. Cienciały, Londyn, 1972.

Z. S. SIEMASZKO

17 WRZESIEŃ I JEGO KONSEKWENCJE

(NA TLE WSPOMNIEŃ PROF. SWIANIEWICZA)

Wśród wspomnień, które ukazały się ostatnio w druku, jedno zasługuje na szczególną uwagę. Są to wspomnienia prof. Stanisława Swianiewicza pt. „W cieniu Katynia”, wydane przez Instytut Literacki w Paryżu. Zostały one wyróżnione zarówno przez londyńskie *Wiadomości*, jak i przez Związek Pisarzy. Szczególną ich cechą jest to, że autor nie akceptuje bezkrytycznie utartych poglądów i opinii, a myśli na własne konto i na własną odpowiedzialność. Stale sprawdza swe poglądy i jest przygotowany modyfikować swe zdanie na skutek nowych docierających do niego wiadomości. Jest to podejście dość rzadko spotykane, gdyż w większości wypadków autorzy wspomnień — szczególnie Polacy — ściśle przestrzegają zasady wierności takim, czy innym ugrupowaniom i koncentrują się bardziej na tym, żeby wiernie powtórzyć poglądy grupy, do której siebie zaliczają, niż na tym, żeby samemu osobiście skonfrontować słuszność tych poglądów z otaczającą rzeczywistością.

Inność Swianiewicza polega również na tym, że jest on w pełni świadomy przeszłości Wielkiego Xięstwa Litewskiego i różnorodnych elementów będących integralną częścią jego dawnych ziem. Właśnie ta świadomość przyczyniła się do tego, że Swianiewicz był przed wojną z jednej strony zwolennikiem współpracy polsko-litewsko-białoruskiej, a z drugiej uważał, że trzeba dążyć do rozładowania narastających konfliktów polsko-niemieckich.

Nie należy dziwić się, iż przy tego rodzaju postawie autora wspomnienia jego są pracą złożoną i wielowarstwową, opartą na różnorodnych elementach. Dlatego też ocena tej książki — szczególnie z punktu widzenia jej wartości historycznej — nie jest rzeczą prostą.

Wspomnienia te należy w pierwszym rzędzie czytać z punktu widzenia konfrontacji pomiędzy dwoma systemami. Systemem komunistycznym, opartym na kulturze moskiewskiej, i systemem „kapitalistycznym”, opartym na kulturze zachodnioeuropejskiej. W tych dwóch odmiennych światach, które spotkały się na wschodnich terenach Polski 17 września 1939, pojęcia dotyczące podstawowych elementów — Bóg, człowiek, materia — i współzależności między nimi, były inne. Różnice te zauważyli zwykli, prości Rosjanie, którzy w czasie drugiej wojny światowej często powtarzali zdanie: *Wsie Polaki eto pany*. Ta prymitywna, wydawałoby się, opinia wyrażała głębszy sens rozróżnienia pomiędzy, z jednej strony, człowiekiem w systemie komunistycznym, który nie posiada absolutnej wartości i może być oceniany jedynie z punktu widzenia swej przydatności dla społeczeństwa, z tym, że oceny tej dokonuje partia, a z drugiej strony, człowiekiem w systemie zachodnioeuropejskim, który bez względu na swój status społeczny, zdaje sobie sprawę ze swej absolutnej wartości, niezależnej od jakichkolwiek innych czynników i dlatego traktuje sam siebie z szacunkiem, jak „pan” i jak „pan” oczekuje szacunku od innych. Na tym tle we wspomnieniach Swianiewicza przewija się szereg starć pomiędzy uwięzionymi Polakami, przedstawicielami kultury zachodniej, którzy oczekują traktowania siebie z jakimś przynajmniej minimalnym szacunkiem, i ludźmi sowieckimi, spełniającymi władzę w systemie komunistycznym, dla których pojedynczy człowiek i jego losy, to czynnik niewiele znaczący.

Wspomnienia te należy również czytać z punktu widzenia współzawodnictwa pomiędzy Polakami i Rosjanami o dominację w Europie Środkowo-Wschodniej. Współzawodnictwo to miało już dość długą historię, obejmującą między innymi okres polskiej przewagi w XVI-tym i XVII-tym wieku, a potem okres rosyjskiej supremacji w czasach zaboru. Jednak Rosja carska nie zdołała w ciągu tych 125 lat wyeliminować polskich zamysłów i ambicji, co znalazło swój wyraz w zahamowaniu przez Polaków sowieckiej (tym razem) ekspansji na zachód w 1920 roku. Fakt ten zapadł głęboko w mentalność zarówno sowiecką, jak i rosyjską.

W okresie 20-lecia zainteresowania Polaków zaczęły coraz bardziej zwracać się w kierunku państwa jednonarodowego, czyli w kierunku spraw zachodnich. Wschód przestawał już Polaków frapować, zaistniała więc dążność odgradzenia się od Związku Sowieckiego jakby murem chińskim. Tego rodzaju postawa doprowadziła do zaistnienia u Polaków w czasie drugiej wojny światowej wielu złudzeń w stosunku do Związku Sowieckiego,

złudzeń, które nie spełniły się, a jednocześnie znacznie powiększyły polskie straty.

Z dniem 17 września 1939 rozpoczął się okres ostatecznej i radykalnej likwidacji przez czynniki sowieckie istniejących jeszcze resztek aspiracji polskich na wschodzie z jednoczesnym zamiarem wytrzebienia na tych terenach polskości. Książka Swianiewicza dotyczy w pierwszym rzędzie tego zagadnienia

Za młodu został autor wychowany na pograniczu dwóch kultur, kultury rosyjskiej i polskiej. A potem, jako profesor ekonomii politycznej na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie i jednocześnie jako kierownik studiów ekonomicznych w Instytucie Europy Wschodniej w Wilnie, studiował sprawy sowieckie, a w szczególności sprawy ekonomiczne Związku Sowieckiego i w tej dziedzinie był jednym z najlepszych znawców w przedwojennej Polsce. Wreszcie, w latach 1939-42, sam osobiście doświadczył metod stosowanych przez Sowietów.

Zachodzi pytanie, jak autor te sprawy przedstawia? Swianiewicz widzi zróżnicowanie w traktowaniu polskich więźniów przez władze sowieckie. Jedni spośród nich zostają skazani na natychmiastową, a inni na powolną śmierć. Jedni poddawani są drakońskim metodom śledczym, niekiedy w celu uzyskania wiadomości, a inni traktowani są całkiem znośnie. Wreszcie niektórzy, specjalnie wyselekcjonowani, żyją w warunkach przyzwoitych i są wyraźnie faworyzowani przez władze sowieckie. Tego rodzaju gnębienie opornych, a jednocześnie otaczanie opieką tych, którzy mieli chociażby cień skłonności podporządkowania się dominacji sowieckiej, świadczy o tym, że nie chodziło tu o likwidację problemu polskiego, a o jego opanowanie, opanowanie całkowite — polityczne, ekonomiczne, społeczne i może nade wszystko kulturalne.

Poza tym zasadniczym znaczeniem historycznym wspomnień Swianiewicza, dotyczącym ostatecznej likwidacji polskich ambicji na wschodzie należy poruszyć niektóre przynajmniej bardziej szczegółowe sprawy, do których książka ta wnosi nowe elementy, a wśród nich w pierwszym rzędzie konfrontację pomiędzy Czerwoną Armią a Polskim Wojskiem we wrześniu 1939.

Pomimo zawarcia umowy Ribbentrop-Mołotow, polskie władze państwowe, jak również w większości wypadków polskie społeczeństwo, darzyły w dalszym ciągu Sowietów zaufaniem, opierając się o obowiązujący pakt nieagresji między Polską i ZSSR. Według uprzednich planów wycofano na zachód do walki z Niemcami oddziały wojskowe normalnie stacjonowane na terenach wschodnich, włączając w to oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP), co przyczyniło się do osłabienia obsady na wschod-

niej granicy. Jednocześnie ani władze państwowe, ani samorządowe nie wydały żadnych dyrektyw, wskazujących jak należy postępować w wypadku ewentualnego wkroczenia wojsk sowieckich. Dlatego reakcje ze strony polskiej na przekroczenie granicy przez Czerwoną Armię na całym froncie były nieskoordynowane i różnorodne. Jednak jak dotychczas nie ma, niestety, na ten temat ogólnego opracowania i znane są jedynie poszczególne, oderwane wypadki.

Już od dłuższego czasu dochodziły słuchy, że w niektórych polskich ośrodkach oczekiwano, iż wkroczenie armii sowieckiej ma sens przyjazny. Podobno jedyna, poza Warszawą, działająca radiostacja wileńska nadała przed południem 17 września 1939 wiadomość, że armia sowiecka idzie na pomoc. Kto autoryzował nadanie tego rodzaju wiadomości, nie zostało dotychczas ustalone.

Wiadomo od dawna, że gen. Olszyna-Wilczyński wyjechał osobiście z Grodna na spotkanie oddziałów sowieckich, oczekując od nich pomocy w walce z Niemcami i... został na miejscu zastrzelony przez pierwszego napotkanego dowódcę sowieckiego.

Wiadomo również od dawna, że obrona Lwowa pod dowództwem gen. Langnera zawarła formalną umowę kapitulacyjną z gen. Timoszenką. A w wydany ostatnio opracowaniu „Straty spośród kawalerzystów i pancerniaków z rąk sowieckich w drugiej wojnie światowej”, Zygmunt Godyń podaje, iż w podobny sposób kapitulowała również nad rzeką San grupa „Chełm” pod dowództwem płk. dypl. Płonki. Według tych umów szeregowi i podoficerowie mieli być natychmiast zwolnieni do domów, a oficerowie mieli być zarejestrowani i albo częściowo (według jednej relacji), albo całkowicie (według innej) zwolnieni, mając prawo — jak stwierdza jeden ze świadków — do wolnego wyjazdu za granicę (Godyń, str. 29 i 30). Tymczasem przemożna większość oficerów z obu tych zgrupowań została wywieziona albo do Kozielska i zginęła w Katyniu, albo do Starobielska i zginęła prawdopodobnie w miejscowości Diergaczi koło Charkowa.

Bronisław Młynarski pisał w swoich wspomnieniach (*W niewoli sowieckiej*) o odprawie w Dubnie 17 września 1939, w czasie której płk Skorobohaty-Jakubowski (późniejszy delegat rządu na kraj), w obecności gen. Billewicza (który potem był więziony w Starobielsku i zginął), przemawiał do oficerów powołując się na bliżej nieokreślony rozkaz niewalczenia z bolszewikami.

Jan Zalewski, ówczesny podoficer służby sanitarnej, który od 15 września przebywał wraz z kadrą 9-go Szpitala Okręgowego w Tarnopolu, pisze w swoich wspomnieniach, że wiadomości

były sprzeczne. Jedni mówili, iż bolszewicy idą z pomocą, a inni, iż atakują polskie oddziały. Opisuje on jak z rana 18 września sowieckie czołgi wjechały bez żadnych incydentów do Tarnopola, w którym było wielu polskich żołnierzy. Jednak tegoż dnia wywiązała się strzelanina nie wiadomo przez kogo rozpoczęta. Potem oficerów odłączono i odprowadzono pod silną eskortą, natomiast podoficerów i szeregowych rozbrojono i puszczono do domów jeszcze tego samego dnia. Autor wraz z innymi żołnierzami przedostał się pieszo do Krzemieńca, gdzie 21 września ulokował się w pociągu, który miał iść do Kowla. Tymczasem w nocy z 21 na 22 września pociąg ten ruszył w przeciwną stronę i następnego dnia żołnierze jadący tym pociągiem znaleźli się w obozie jeńców w Szepietówce. Od tego momentu żadnych żołnierzy z tej grupy nie zwolniono.

W jednym z ostatnich numerów *Ułana Karpackiego* płk Draczyński opublikował list gen. Władysława Bobińskiego (major z 1939 roku), w którym pisze on, iż w nocy z 16 na 17 września dowodzący w Łucku gen. Skuratowicz wydał mu telefonicznie rozkaz: „Natychmiast udać się na spotkanie wkraczających kolumn, dotrzeć do dowódcy co najmniej dywizji, uzyskać oświadczenie, lub pismo wyjaśniające cel — czy z nami przeciw Niemcom, czy przeciw nam?”.

Mjr Bobiński, wraz z kapitanem, dowódcą strażnicy KOP-u, niedaleko majątku Borsuki, gdzie Bobiński (z nogą w gipsie) przebywał, udali się w kierunku Sławuty. Zdołali dotrzeć do dowódcy odcinka sowieckiej straży granicznej w stopniu pułkownika, który oświadczył, że „wojska sowieckie idą wyzwolić ludność ukraińską”. Pomimo trudności obaj oficerowie uzyskali zezwolenie na powrót z odpowiedzią do swego dowództwa. Około godz. 11-tej rano 17 września mjr Bobiński telefonował do gen. Skuratowicza, który nakazał mu cofać się wraz z żołnierzami na Krzemieniec. Tegoż dnia około godz. 19-tej mjr Bobiński meldował się u gen. Skuratowicza, który nakazał mu: „rozpuścić oddziały, zdemobilizować rezerwistów, broń zniszczyć, oficerów do Białokrynicy, gdzie będą internowani. Sam, po wykonaniu rozkazu, dołączyć do obozu internowanych”. Dalej Bobiński pisze tak: „Na moją prośbę generał zwolnił mnie z ostatniego rozkazu jak mówił 'na własne ryzyko'. Próbowałem go przekonać, aby nie szedł do niewoli, ale niestety, bez skutku”. Gen. Skuratowicz zginął później razem z innymi więźniami Starobielska, natomiast mjr Bobiński wydostał się przez Brzeżany na Węgry i organizował pułk ułanów w Brygadzie Karpackiej.

Swianiewicz opisuje jeszcze jeden wypadek oddania się w ręce sowieckie. Są to sceny szczególnie przygnębiające, gdyż dotyczą

resztek 19-tej dywizji piechoty, dawnej i 1 dywizji litewsko-białoruskiej, resztek pułków strzelców wileńskich, kowieńskich i mińskich, na których sztandarze widniały napisy białoruskie, czyli tych oddziałów które, bardziej niż inne, reprezentowały pozostałości polskich aspiracji na wschodzie. W scenach tych brali udział dwaj dowódcy — gen. Wołkowicki (jedyne generał z Kozielska, który nie został rozstrzelany) i płk dypl. Nowosielski (zastrzelony w Katyniu) — których autor przedstawia jako „rycerzy bez skazy”. W scenach tych brał również udział sam autor, jako nie tyle formalny, co faktyczny doradca tych dowódców. A jak wiadomo, autor był znawcą spraw sowieckich i zwolennikiem współpracy polsko-litewsko-białoruskiej. Te dramatyczne sceny przedstawia on następująco. Rano 26 września —

„Pułkownik stał przy trakcie prowadzącym przez las do Krasnobrodu i — jak zawsze — wyglądał zamyślony. „Gdzie Pan był, poruczniku?” — zapytał mnie, gdy zauważył moje przybycie. — „Spałem w taborach” — odpowiedziałem z uśmiechem, w którym jednocześnie była zawarta prośba o pobłażliwość.

Staliśmy w milczeniu. Po chwili pułkownik głosem cichym, patrząc gdzieś w stronę, zapytał: „Co by Pan teraz zrobił, poruczniku, gdyby był pan na moim miejscu?”.

Spojrzałem na pułkownika: „Czy Pan widzi jakieś szanse przebicia się na Węgry z bronią w ręku?” — zapytałem ze swej strony.

Pułkownik zrobił gest zaprzeczający.

„W takim razie, Panie Pułkowniku, zwołałbym odprawę wszystkich oficerów, przedstawiłbym im sytuację i rozkazałbym zniszczyć broń, aby nie dostała się w ręce nieprzyjacielskie, a ludzi małymi grupami po kilka lub najwyżej kilkanaście osób skierowałbym na Węgry...”.

Pułkownik zachnął się. „Rozwiązywać zorganizowany, zdolny do walki oddział? — wykluczone!” — odpowiedział w sposób, który przecinał możliwość jakiegś dalszej dyskusji na ten temat.

Staliśmy nadal w milczeniu. Po chwili poczułem, że zaczynam cały się ożywiać, jak to bywa, gdy jakaś myśl nowa zaczyna kiełkować — „Panie Pułkowniku — powiedziałem — myślę, że właściwie czas skończyć tę strzelaninę z Niemcami. Walki, które my toczyliśmy, nie są walkami o zwycięstwo, lecz o honor, o zmanifestowanie woli Narodu Polskiego bronięcia resztek dawnej Rzeczypospolitej. Manifestowaliśmy dostatecznie tę naszą wolę w stosunku do bolszewików. Wydaje mi się, że musimy wydać walkę nadchodzącym oddziałom sowieckim — i może w ten sposób zakończyć naszą rolę”.

Czułem, że myśl moja podobała się pułkownikowi. Spojrzał on na mnie z zadumą. „Tak — powiedział — ale...” i zaciął się.

Zrozumiałem w lot o co mu chodzi. „Wiem — powiedziałem — Pan Pułkownik myśli o rzekomym rozkazie Naczelnego Wodza, aby nie strzelać do bolszewików. Nie wierzę w autentyczność tego rozkazu; czy można sobie wyobrazić, aby Rydz-Śmigły, który swego czasu nie chciał wykonać rozkazu Marszałka Piłsudskiego, aby wycofać się z Kijowa — teraz podobne rozkazy podpisywał?” (str. 69 i 70).

Dalej w sprawie tego rozkazu pisze autor tak:

„Gdyby w obliczu wojsk sowieckich, obsadzających nasze województwa wschodnie, taki rozkaz został wydany, równałby się on zrzeczeniu się przez

Polskę Ziem Wschodnich. Nie wierzyłem, aby marszałek Rydz-Śmigły taki rozkaz mógł wydać, lecz o tym rozkazie mówiono w sztabach i szeptano w szeregach — i pod wpływem tych pogłosek chwiała się pewność siebie nawet u tych, którzy uważali to za rzecz zupełnie nieprawdopodobną” (str. 70).

Następnego dnia, 27 września, w rozmowie z por. Swianiewiczem, gen. Wołkowicki stwierdził:

„— Proszę pana, przeszedłem już raz całą Rosję do Władywostoka, aby w rezultacie dostać się do wojska polskiego we Francji. Przejdziemy i teraz na Węgry” (str. 79).

Natomiast nastawienie niektórych przynajmniej podoficerów wyglądało inaczej:

„Tego samego dnia zgłosiło się do mnie kilku podoficerów 85-go pułku strzelców, którzy razem ze mną opuścili Nową Wilejkę, byli ze mną pod Piotrkowem, a potem również razem ze mną przyszli pod dowództwo płka Nowosielskiego. Podoficerowie ci zakomunikowali mi, że już od kilku dni mają przygotowany wóz z prowiantem na trzy tygodnie, dobrymi końmi, wygodnymi siedzeniami itp. i że na tym wozie jest zarezerwowane miejsce dla mnie. Zdaniem ich, na tej drodze, po której idziemy, nie ma już walki w perspektywie, a jedynie niewola. Lepiej więc, póki czas, wracać do ośrodka pułku, do naszych rodzin, — a tam dopiero rozejrzymy się i zobaczymy co robić dalej. Zacząłem im mówić o szansach osiągnięcia granicy węgierskiej i wejścia w kontakt z naszymi sojusznikami na Zachodzie oraz dalszego udziału w walce już w ramach armii alianckich. Odpowiedzieli, że masa żołnierska nie rozumie koncepcji węgierskiej; jest to koncepcja oficerska. Żołnierze obawiają się, że Węgrzy zasada nas do obozów. Sytuacja oficera w obozie bywa często znośna, lecz sytuacja szeregowego jest bardzo ciężka” (str. 75).

Wreszcie dostanie się w ręce sowieckie w dniu 29 września, o ile można wywnioskować z tekstu (podobnie do innych pamiętnikarzy, prof. Swianiewicz zbyt rzadko podaje daty związane z opisywanymi wypadkami), przedstawia autor następująco:

„Nad ranem w niedużej wiosce, położonej wśród lasów, stanęliśmy na wypoczynek. Dowódcy batalionów, jak zwykle wystawili ubezpieczenia z karabinami maszynowymi. Gen. Wołkowicki po pewnych wahaniach, rozkazał zdjąć te ubezpieczenia, a kuchnie i wozy poukrywać wśród krzaków, znajdujących się w pobliżu. Nasza szansa polegała nie na tym, że przebijemy się siłą, lecz na tym, że, idąc bocznymi drogami, możemy nie zwrócić na siebie uwagi.

Mniej więcej po półtorej godziny zostaliśmy ogarnięci przez oddziały sowieckiej kawalerii, które załazy wieś. Adiutant pułku por. Siedlicki, który spał obok mnie na wiązce słomy rzuconej na podłogę, nie zdążył nawet włożyć munduru. Tak go bez munduru, a tylko w krótkim kubraku do konnej jazdy, włożonym na koszulę, przywieziono później do Kozielska” (str. 82).

Ta tragiczna scena poddania się w ręce sowieckie z dopilno-

waniem, aby nie padł żaden strzał i bez prób uniknięcia sowieckiej niewoli, jest wyrazem głębokiego kryzysu, jaki przeżywało wielu Polaków osaczonych z obu stron, przez Niemców i przez Rosjan.

Przygotowując te wspomnienia do druku, redakcja Instytutu Literackiego w Paryżu zainteresowała się szczególnie sprawą zakazu Rydza-Śmigłego podejmowania walki z armią sowiecką. W wyniku poszukiwań, dzięki uprzejmości wdowy po gen. Jakliczu, udało się uzyskać „Rozkaz Naczelnego Wodza do wojsk po przejściu granicy”, w którym znajdują się takie zdania:

„Wszystkie nasze wojska zdolne do walki były związane działaniem przeciw Niemcom. Uważałem, że w tej sytuacji obowiązkiem moim jest uniknąć bezcelowego przelewu krwi w walce z bolszewikami i ratować to, co się da uratować. Strzały oddane przez K.O.P. do bolszewików przekraczających granicę stwierdziły, że nie oddajemy naszego terytorium dobrowolnie. A ponieważ w pierwszym dniu bolszewicy do naszych oddziałów nie strzelali, ani też ich nie rozbrajali więc sądziłem, że możliwym będzie przez pewien czas wycofać dość dużo wojska na terytorium Węgier i Rumunii” (*Zeszyty Historyczne*, Nr 37, str. 224-225).

Stwierdzenie Naczelnego Wodza, iż „w pierwszym dniu bolszewicy do naszych oddziałów nie strzelali, ani też ich nie rozbrajali” wzbudza zastrzeżenia. Nie wiemy jakie dyrektywy dostała Armia Czerwona wkraczając do Polski 17 września 1939, ale można domyślać się, iż władzom sowieckim zależało na tym, żeby szybko i bez walki zająć polskie tereny nie opanowane jeszcze przez Niemców. Dlatego możliwe, że przynajmniej „w pierwszym dniu” bolszewicy pierwsi nie strzelali, ale przy najmniejszej prowokacji otwierali ogień. Natomiast Naczelnny Wódz nie ma chyba racji, gdy pisze, iż „w pierwszym dniu” bolszewicy oddziałów polskich nie rozbrajali. Takie wypadki nie są znane i trudno sobie wyobrazić, żeby idące na zachód oddziały Czerwonej Armii pozostawiały z tyłu za sobą uzbrojone oddziały polskie, których nie mogły darzyć zaufaniem. Zresztą trudno dziwić się temu, że Naczelnny Wódz nie był najlepiej poinformowany, gdyż 17 września nie posiadał już w swej dyspozycji żadnych niemal wojskowych środków łączności i mógł komunikować się z terenem jedynie za pomocą publicznej sieci telefonów, nieprzygotowanej do potrzeb Sztabu N.W. Za pomocą tej sieci mógł Nacz. Wódz uzyskać pewne wiadomości, ale mogły one być raczej przypadkowe. Pisząc o konfrontacji pomiędzy Wojskiem Polskim i Armią Czerwoną we wrześniu 1939 gubimy się w domysłach, bo brak jest źródłowego opracowania na temat tej konfrontacji. Trzeba jednak zwrócić uwagę na to, że ówczes-

ny attaché wojskowy w Kownie płk dypl. Mitkiewicz pod datą 18 września zapisał:

„Ciekawe, że w Wilnie wydany został rozkaz, podobno przysłany przez marszałka Śmigłego, niestawiania oporu wojskom sowieckim, gdyż z Rosją Sowiecką stanu wojny nie ma. Oddziały polskie z Wilna mają wycofać się do Litwy bez żadnych walk i tam złożyć broń” (*Wspomnienia kowieńskie*, str. 256).

Również 25 września, po rozmowie z gen. Przeździeckim, który był dowódcą grupy kawalerii uformowanej w Wołkowysku, płk Mitkiewicz odnotował:

„Ze słów generała Przeździeckiego wynikało, że nasze wojska cofały się przed wojskami sowieckimi, mając wyraźny rozkaz generała Olszyny-Wilczyńskiego (był d-cą OK III, obejmującego zarówno Grodno, jak i Wilno, jak również grupę gen. Przeździeckiego — Z.S.S.) niestawiania oporu, jednak jednostka czołgów sowieckich z piechotą natarła na nasze oddziały i stąd wynikły poważne walki” (str. 267).

Chociaż z przytoczonego powyżej rozkazu Naczelnego Wodza, wydanego już w Rumunii, nie wynika czy Rydz-Śmigły wydał 17 września zakaz strzelania do bolszewików, czy też nie, jednak przytoczone relacje wskazują, że tego rodzaju dyrektywy musiały dotrzeć do szeregu ośrodków na wschodnich terenach, z Grodnem i Wilnem łącznie. Dyrektywy tego rodzaju mogły być powtórzone przez radiostację wileńską. Należy również pamiętać, iż rozprzestrzenianie tego rodzaju wiadomości leżało jak najbardziej w interesie sowieckim i chociaż nie ma na to niezawodnych dowodów, propaganda sowiecka, a szczególnie sowieckie radiostacje, które były bardzo dobrze słyszalne na polskich wschodnich terenach, mogły nadawać wiadomości, iż Rydz-Śmigły nakazał niestrzelanie do oddziałów sowieckich.

Materiały tu zgromadzone nie wyczerpują zagadnienia i nie naświetlają w pełni całej sprawy, ale sugerują, że w niektórych ośrodkach polskich, nie wyłączając środowiska Nacz. Wodza, występował kryzys niezrozumienia historycznego i politycznego znaczenia marszu armii sowieckiej na zachód, oraz kryzys niezrozumienia intencji władz sowieckich we wrześniu 1939.

Wspomnienia prof. Swianiewicza można również czytać z punktu widzenia losów obywateli polskich w latach 1939-42 na terenie ZSSR. Celowo użyłem tu zwrotu „obywateli polskich”, gdyż należy podkreślić, iż znajdowało się tam wielu ludzi, którzy po polsku w domu nie mówili, czyli w formalnym, nacjonalistycznym pojęciu nie byli Polakami, pomimo że za takich uważali się, szczególnie jeżeli byli katolikami. Chociaż to szersze pojęcie Polaka, związane nie tyle z językiem, co z przynależnością kultu-

ralną i lojalnością, obejmowało również niektórych prawosławnych. Trzeba pamiętać, że na cmentarzach 2-go Korpusu, który wywodził się w pierwszym rzędzie ze środowiska wywiezionych do ZSSR, a w szczególności na cmentarzu Monte Cassino, ilość krzyży prawosławnych wynosi bez mała pięć procent całości.

Niestety nie posiadamy monografii obejmującej całość dziejów Polaków (w tym szerszym znaczeniu) w Sowietach w okresie drugiej wojny światowej, jak również po jej zakończeniu. Dlatego każde wspomnienia dotyczące tych przeżyć są pożądane i dobrze dzieje się, że ukazują się takie wspomnienia jak Urszuli Muskus pt. *Długi most*, dotyczące tych, którzy w ZSSR pozostali po wyjeździe armii gen. Andersa, lub takie jak Edwarda Bucy *Vorkuta* wydane po angielsku, a dotyczące żołnierzy AK wywiezionych do ZSSR po 1944 roku. Oba te zagadnienia są bardzo mało znane.

Okres 1939-42, o którym pisze Swianiewicz, znany jest nieco lepiej, ale i tutaj też są poważne luki. Na przykład, ukazały się w druku wspomnienia wywiezionych na stepy Kazachstanu, ale nie przypominam sobie, żeby natrafił na wspomnienia osadników wojskowych, czy też leśniczych i gajowych wywiezionych do lasów Syberii i Archangielska. A zresztą pożądane są bardziej opracowania całościowe, które na Zachodzie nie ukazały się, a w kraju sprawy te należą do tematów zakazanych. Losy podoficerów i szeregowych, wziętych przez Sowiety do niewoli we wrześniu 1939 są bardzo słabo udokumentowane. Wiadomo, że niektórzy spośród nich budowali drogi na Ukrainie, a inni pracowali w kopalniach na południu lub w lasach na północy, ale ilu ich było i ilu zginęło pozostaje tajemnicą. Bardzo również mało znane są losy powołanych do Czerwonej Armii.

Odnosi się wrażenie, że zainteresowania polskie skupiają się w pierwszym rzędzie i bez mała wyłącznie na Katyniu. Niewątpliwie jest to sprawa bardzo ważna, ale to nie znaczy, że losy innych grup można pomijać. Sprawa katyńska jest względnie prosta, są trupy, są dokumenty, są źródłowe relacje i opracowania niemieckie, rosyjskie, polskie, angielskie, wśród których należy zwrócić szczególną uwagę na pracę prof. Zawodnego pt. *Death in the Forest*, na której w pierwszym rzędzie była oparta kilka lat temu audycja w telewizji brytyjskiej. Natomiast już obozy Starobielska i Ostaszkowa — które prawdopodobnie zostały zlikwidowane w podobny sposób jak Kozielsk w miejscowościach Diergaczi pod Charkowem i Bołogoję między Kalininem i Nowgorodem — nie są tak łatwo uchwytne jak Katyń, bo trupy nie zostały odnalezione. Wzbudzają one mniejsze zainteresowanie, pozostając nieco w zapomnieniu.

Poświęcono im o wiele mniej wysiłku i pracy niż ofiarom Katynia. A coś dopiero takie sprawy jak ci, którzy poginęli w więzieniach, w łagrach, w pociągach i na stacjach (jeszcze jako jeńcy, lub już jako zwolnieni poszukujący bardziej znośnych warunków), w lasach, w kopalniach, na stepach, nad rzekami Syr Daria i Amu Daria czekając na wojsko i opiekę polskich władz, lub w więzieniach i na drogach Kresów Wschodnich w czerwcu 1941. Co o nich wiadomo? Bardzo niewiele i nikt właściwie tymi sprawami poważnie nie zajmuje się.

Tutaj przytoczę jedną z tych spraw, a mianowicie zmarłych (według „Wykazu poległych i zmarłych”) w Wojsku Polskim w ZSSR, włączając bazę ewakuacyjną w Iranie, gdzie śmiertelność była w pierwszym rzędzie spowodowana pobytem w ZSSR.

	<i>Ilości zmarłych</i>	
	<i>w ZSSR</i>	<i>w bazie w Iranie</i>
Armia	2.891	722
Pomocnicza Służba Kobiet	41	12
Junacy	168	37
Junaczki	121	17
R a z e m :	3.221	788

Straty te obejmują tych, którzy już przeszli przez komisję poborową, zostali przyjęci, zarejestrowani i ubrani w większości wypadków w angielskie mundury. Natomiast nie obejmują tych, którzy zmarli jadąc do wojska, czekając na tworzenie wojska na południu, będąc w stacjach zbornych w poszczególnych ośrodkach, lub stojąc w kolejce przed komisją poborową.

Straty te pokrywają najwyżej okres 11 miesięcy, czyli przeciętnie umierało około 364 osoby co miesiąc. Na każdych stu przyjętych do wojska około pięciu umierało zanim zdołano ich wywieźć z ZSSR i odkarmić. Straty te miały miejsce kiedy nie było ani akcji frontowej, ani intensywnego szkolenia na większą skalę, ani też wypadków samochodowych, gdyż armia ta nie posiadała pojazdów mechanicznych. Dla porównania można przytoczyć, iż w okresie 1942-46, co obejmowało szkolenie, działania we Włoszech i wypadki samochodowe, 2-gi Korpus stracił 4.872 ludzi, czyli przeciętnie około 100 ludzi miesięcznie.

Ale wróćmy do wspomnień prof. Swianiewicza, które odnoszą się do stosunkowo najlepiej opracowanej sprawy Katynia. Jednak książka ta wnosi w tę sprawę nowe elementy, gdyż autor jest świadkiem bardzo szczególnym. Jest on jedynym człowie-

kiem, który został zawieszony aż na stację Gniezdowo i pozostał przy życiu. (Wątpliwe, żeby autor relacji pt. *Night never ending* był rzeczywiście rzekomo uratowanym z Katynia rtm. Eugeniuszem Komorowskim). Z tej stacji, na miejsce kaźni w lasu katyńskim odległym o kilka kilometrów, przewożono jeńców autobusem więziennym. Autor widział przez szczelinę wagonu jak raz za razem, w równych odstępach czasu, przeładowywano grupy oficerów do tego krążącego tam i z powrotem autobusu*.

Na stacji Gniezdowo, 30 kwietnia 1940 roku status por. Swianiewicza uległ zmianie. Przestał on być jeńcem wojennym, a stał się więźniem i został poddany śledztwu, jako podejrzany o to, że przed wybuchem wojny, będąc w Niemczech, prowadził działalność szpiegowską na korzyść Polski. Śledztwo i pobyt w łagrach trwały dwa lata, do kwietnia 1942. Relacja z tego okresu jest podobna do innych relacji, ale dzięki osobistym walorom autora jest ona głębsza i bardziej wnikliwa.

Pomimo intensywnych interwencji ze strony władz polskich, które zdawały już sobie sprawę ze szczególnej sytuacji w jakiej znalazł się w Sowietach prof. Swianiewicz, został on zwolniony z łagru dopiero w kwietniu 1942 roku, czyli dziewięć miesięcy po „amnestii”. Po zwolnieniu Swianiewicz pracował w polskiej ambasadzie w Kujbyszewie i wyjechał z ZSSR razem z prof. Kotem. Nie obeszło się bez incydentu. Władze sowieckie zwlekały z wydaniem wizy do ostatniej chwili, tak iż Swianiewicz z walizką w ręku wbiegł na mostek i wskoczył na statek (na którym odjeżdżał Kot ze swą żoną) przez lukę powstałą na skutek odbijania statku, prosto w ramiona Ksawerego Pruszyńskiego.

Wreszcie na zakończenie należy zwrócić uwagę na niezmiernie ważne opinie autora o stosunku polskiej inteligencji do Rosji Sowieckiej:

„Gdy oficerowie odpowiadali politrukowi, że chcieliby widzieć Rosję jako sprzymierzeńca Polski w walce z Niemcami, mówili to niewątpliwie jak najbardziej szczerze. Postawa ich wobec Rosji składała się z zawilego kompleksu urazów i dobrej woli. Wszystkie obserwacje, które poczyniłem w Putiwlu (a potem również w Kozielewsku) potwierdziły to wrażenie, które zawsze miałem w okresie pomiędzy wojnami, że polska inteligencja, będąc

* Należy przypomnieć, że zarówno Katyń jak i Gniezdowo przed rewolucją 1917 roku należały do Polaków. Lasek katyński wchodził w skład majątku Borek, którego właścicielami byli Ledniccy, natomiast Gniezdowo było częścią majątku Niwiszcz, który był najpierw w ręku Targońskich, a potem przeszedł „po kądzieli” w ręce Kozłińskich. Ostatni spadkobierca Niwiszcz adwokat Władysław Kozłiński mieszkał między wojnami w Wilnie i tam zmarł na skutek ran odniesionych w kampanii wrześniowej, pozostawiając po sobie syna Jerzego, który zmarł w kraju w latach 60-tych. Nie miał on męskiego potomka. O Borku i Niwiszczach pisze Wacław Lednicki w swych pamiętnikach.

w masie swojej żywiołowo antyniemiecką, jest jednocześnie potencjalnie prorosyjską.

Otóż tego rodzaju kompleksów nie zauważyłem w postawie szeregowych. Była ona całkowicie jasna i prosta. Była to postawa absolutnej obcości w stosunku do wszystkiego co widzieli w Związku Sowieckim i co słyszeli od politruków. Z humorem opowiadali o różnych propozycjach dobrowolnego pozostania w Związku Sowieckim, które poszczególnym z nich były niejednokrotnie czynione. Ta masa była przesiąknięta jakimś instynktem, który ją obwarowywał murem psychicznym bardzo trudnym do przebicia dla sowieckiej propagandy. Zauważyłem również inną rzecz ciekawą: stosunek do Niemców był oczywiście przesiąknięty świadomością, że to jest wróg, który na nas napadł, lecz w nienawiści w stosunku do tego wroga było jakoś więcej umiarkowania, niż w postawie, która przeważała wśród inteligencji. I wówczas zaczęło formować się we mnie pewne uzupełnienie mego dawnego wrażenia o potencjalnej prorosyjskości inteligencji polskiej. Zaczęło to przybierać postać tezy, że jeżeli kiedykolwiek Rosja psychicznie podbije Polskę, uczyni to poprzez polskich intelektualistów, a nie zaś przez zdobywanie sympatii polskich mas ludowych. Wiadomości, które obecnie dochodzą z kraju, zdają się w pewnym stopniu potwierdzać tę tezę" (str. 93).

Te wnikliwie uwagi są w dalszym ciągu aktualne, gdyż obecnie, tak samo jak i dotąd, emocjonalna antyniemieckość idzie w parze z pozytywnym nastawieniem do Rosji.

Z. S. SIEMASZKO

- Dane dotyczące prac wymienionych w tym omówieniu są następujące:
Buca Edward, *Vorkuta*, Constable, London, 1976.
Draczyński Kazimierz, *Wspomnienie o gen. Bobińskim*, „Ułan karpacki” nr 83, Londyn, 1976.
Godyń Zygmunt, *Straty spośród kawalerzystów i pancerniaków z rąk sowieckich w drugiej wojnie światowej*, wydawnictwo „Przeglądu Kawalerii i Broni Pancerniej” Nr 6, Londyn, 1976.
Komorowski Eugeniusz Andrei with Joseph L. Gilmore, *Night never ending*, Abelard, London, 1974.
Lednicki Waław, *Pamiętniki*, tom I, Świdorski, Londyn, 1963.
Mitkiewicz Leon, *Wspomnienia kowieńskie*, „Veritas”, Londyn, 1968.
Młynarski Bronisław, *W niewoli sowieckiej*, Gryf Publications Ltd., Londyn, 1974.
Muskus Urszula, *Długi most*, Figaro Press Ltd., Londyn, 1975.
Swianiewicz Stanisław, *W cieniu Katynia*, Instytut Literacki, Paryż, 1976.
Wykaz poległych i zmarłych żołnierzy PSZ na obczyźnie w latach 1939-1946, Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, Londyn, 1952.
Zalewski Jan, *Wspomnienia z niewoli sowieckiej*, maszynopis.

P.S. Byłbym wdzięczny za dalsze informacje dotyczące wypadków bezpośrednio związanych z wkroczeniem Czerwonej Armii 17 września 1939, a w szczególności taktyki sowieckiej i ustosunkowania się polskich oddziałów jak i władz samorządowych. Informacje te można przysyłać albo do Redakcji *Zeszytów Historycznych*, albo też bezpośrednio do mnie: — 64 Twyford Ave., London W3 9QB.

Z. S. S.

Władysław W. KULSKI

POLSKIE MIĘDZYNARODOWE ORIENTACJE OD CZASU ROZBIORÓW

Po rozbiorach Polski tylko orientacja zachodnia była do pomyślenia dla polskich patriotów. Konwencja, zawarta 26 stycznia 1797 roku przez trzy mocarstwa rozbiorowe, zamykała drogę dla orientacji na którekolwiek państwo rozbiorowe. Konwencja ta, podpisana przez Rosję, Austrię i Prusy, stwierdzała, że „dokonano podziału zupełnego, ostatecznego i nieodwołalnego”, i że „zachodzi konieczność zniesienia wszystkiego, co by przypominało istnienie Królestwa Polskiego wobec unicestwienia tego politycznego ciała”. Trzeba dodać, że większość polskich magnatów i bogatej szlachty pogodziła się z faktem zniknięcia państwa polskiego i starała się urządzić jak najwygodniej pod obcymi rządami. Nawet późniejszy bohater narodowy, książę Józef Poniątkowski, bawił się beztrząsowo w Warszawie, rządzonej przez Prusaków.

Patriotyczna mniejszość szukała nadziei w orientacji zachodniej. Wszakże Francuska Konwencja Narodowa proklamowała w 1792 roku, że Rewolucyjna Francja, walcząc podówczas z Austrią i Prusami, niesie wolność narodom. Jednakże Kościuszko na próżno starał się zainteresować przywódców Rewolucji sprawą polską. Ci przywódcy, często ze sobą skłóceni, byli zgodni co do jednego, mianowicie, że Republika Francuska nie może przysparzać sobie kłopotów przez mieszanie się w sprawy polskie. Te sprawy tak absorbowały mocarstwa rozbiorowe w 1793-1795, że Rosja jeszcze nie wystąpiła przeciw Francji, a Prusy tylko słabo wspomagały Austrię. Jeden z historyków francuskich, Arthur Chuquet, słusznie zauważył w swej historii wojen rewolucyjnych, że: „sprawa polska ocaliła armie francuskie od pewnej katastrofy”. Nie było to po raz ostatni, że Polska miała odwracać niebezpieczeństwo od Zachodu własnym kosztem.

Nadzieje polskie zabłyśły jaśniej dopiero, kiedy Jan Henryk Dąbrowski utworzył Legiony u boku Bonapartego, wówczas głównodowodzącego armią we Włoszech. Nadzieje te wyraziły się w pieśni legionowej: „Jeszcze Polska nie umarła” (później zmieniono te ostatnie słowa na „nie zginęła”). Pieśń ta łączyła polskie nadzieje z Bonapartym, a więc z Francją. Ponadto pieśń ta rozerwała więź między pojęciem państwa i pojęciem narodu. „*Finis Poloniae*”, niesłusznie przypisywane Kościuszcze, oznaczało koniec państwa polskiego, a pieśń legionowa odpowiadała na to hasłem dalszego istnienia narodu. Odtąd Polacy już nigdy nie będą utożsamiać narodu z państwem.

Orientacja francuska niezmiennie wzmocniła się przez stworzenie przez Napoleona Księstwa Warszawskiego. Jak sama nazwa tego Księstwa wskazywała, Napoleon ostrożnie angażował się w sprawę polską, nie chcąc zrażać sobie cesarza Aleksandra I-go. Dopiero w 1812 podjął hasło wskrzeszenia państwa polskiego, ale wtedy szedł na wojnę z Aleksandrem. Orientacja francuska zginęła w 1813 roku wraz z jej symbolem, księciem Józefem Poniatowskim.

Jej miejsce zajęła orientacja rosyjska, reprezentowana przez księcia Adama Czartoryskiego, przyjaciela Aleksandra z lat młodości. Czartoryski miał nadzieję, że Aleksander odbuduje państwo polskie pod swoim berłem. Pytanie tylko zostawało, jakie terytorium miało obejmować takie Królestwo polskie, mianowicie, czy objęłoby tzw. ziemie zabrane, tj. dawne polskie prowincje, anektowane przez Rosję w latach 1772-95. Aleksander wahał się, ale rosyjska opinia publiczna stanowczo sprzeciwiała się oddaniu tych ziem Polakom.

Był to spór rosyjsko-polski, który zaciążył na wzajemnych stosunkach do naszych czasów. Polacy nie tracili z oczu mapy dawnej Rzeczypospolitej. To była Polska, o którą walczyli powstańcy z 1830-31 roku i z 1863-64 roku. To był obraz Polski, który Józef Piłsudski miał przed oczyma w czasie wojny w 1919-1920 latach z rosyjskimi bolszewikami. Ale w jego umyśle ta dawna Rzeczpospolita miała znaleźć spadkobierczynię w wielkiej, pod egidą polską, federacji narodów bałtyckich, Białorusinów i Ukraińców. Pokój Ryski rozstrzygnął w 1921 roku tę sprawę kompromisem, mianowicie tylko mniejsza część „ziem zabranych” przypadła Polsce. Wreszcie Stalin przeciął ten węzeł gordyjski całkowicie na rzecz Rosji. Całe „ziemie zabrane” pozostały przy Rosji. Dzisiejsza granica polsko-sowiecka pokrywa się mniej więcej z zachodnią granicą zaboru rosyjskiego z 1795 roku. Natomiast dał kompensatę za ziemie zabrane w postaci wschodnich

provincji niemieckich aż do linii Odry - Nysy. Mówiąc językiem obecnego rządu polskiego, Polska Jagiellonów została zastąpiona przez Polskę Piastów.

Na Kongresie Wiedeńskim (1814-15) Aleksander zażądał oddania mu całego Księstwa Warszawskiego, na co Prusy zgadzały się pod warunkiem oddania im Saksonii w zamian za ich dawny zabór w Polsce. Jednak Aleksander napotkał na stanowczy opór dwu sprzymierzonych z Rosją państw, Anglii i Austrii, które obawiały się takiego rozciągnięcia wpływów rosyjskich w głąb Europy Środkowej. Reprezentant francuski, Talleyrand, przyłączył się do bloku anglo-austriackiego, stawiając Francję w obozie wrogim Polakom. Aleksander musiał w końcu ustąpić i zadowolić się podziałem Księstwa między Austrią (Galicja), Prusami (Poznańskie) i Rosją, która otrzymała większą część dawnego Księstwa pod nazwą Królestwa Polskiego, połączonego unią personalną z Rosją, ale mającego własną liberalną konstytucję, własny rząd i własną armię. Nawiasem mówiąc, Talleyrand tak zawzięcie bronił Saksonii, że zgodził się na odszkodowanie Prus prowincjami nadreńskimi. Odtąd wojska pruskie stały na granicy Francji. W roku 1870 przekroczyły tę granicę i po zwycięstwie anektowały Alzację i Lotaryngię. Była w tym retrospektywnie wina Talleyranda, który był zręcznym dyplomatą, ale kiepskim mężem stanu.

Ze stworzeniem Królestwa Polskiego pod berłem Romanowych wysunęła się na czoło orientacja rosyjska, której starsze pokolenie pozostało wierne nawet na początku powstania w 1830 roku. Na przykład dyktator Chłopicki nie chciał rozpocząć zaczepnych kroków wojennych, lękając się, że dojdzie do porozumienia z Mikołajem I-szym. Powstanie było dziełem młodych, którzy byli doprowadzeni do rozpaczliwych wybryków W. Księcia Konstantego, dowódcy wojsk polskich, i gwałceniem konstytucji przez Mikołaja. Powstanie listopadowe odnowiło orientację zachodnią. Trzeba pamiętać, że powstanie to wybuchło, między innymi, dlatego, że Mikołaj zamierzał użyć wojsk rosyjskich i polskich dla stłumienia ruchów liberalnych na Zachodzie. W lipcu 1830 roku wybuchła rewolucja we Francji, która zmiotła z tronu starszą linię Burbonów i wprowadziła na tron liberalną młodszą gałąź Burbonów w postaci Ludwika Filipa Orleańskiego. W tymże czasie miało miejsce powstanie belgijskie przeciw Holandii (Kongres Wiedeński oddał Belgię Królowi Holenderskiemu). Powstanie listopadowe zmusiło Mikołaja do skoncentrowania swego wysiłku na walce z Polakami. Musiał poniechać swych zamiarów interweniowania na Zachodzie. Tak to Polacy

uratowali pośrednio niepodległość Belgii i przyczynili się do ocalenia tronu Ludwika Filipa.

Jednak Ludwik Filip nie zamierzał pomagać Polakom, walczącym w 1830-31 latach. Wolał nie zrażać sobie Mikołaja. Również Napoleon III-ci pozostał bierny w czasie powstania w 1863-1864.

Rosja była dla Wielkiej Emigracji głównym wrogiem Polski. Jednakże Margrabia Wielopolski starał się w początkowych latach 60-tych skorzystać z nastrojów liberalnych Aleksandra II-go i uzyskać znaczne ustępstwa dla Królestwa, dążąc w swych zamysłach do przywrócenia stanu rzeczy sprzed powstania listopadowego. Był jednak odosobniony w społeczeństwie polskim. Powstanie styczniowe kładzie kres jego polityce i jego orientacji rosyjskiej.

Od tego powstania do Pierwszej Wojny Światowej carat prowadzi politykę rusyfikacyjną, trochę złagodzoną po Rewolucji 1905 roku. Jednakże orientacja rosyjska odradza się z Romanem Dmowskim, który widzi głównego wroga w Niemczech z powodu zaciętej anty-polskiej polityki Bismarcka i jego następców, włącznie z Cesarzem Wilhelmem II-gim. Dmowski myśli o autonomii Królestwa, a z chwilą wybuchu wojny Niemiec i Austrii przeciw Rosji pragnie zwycięstwa rosyjskiego i połączenia trzech zaborów pod berłem rosyjskiej dynastii. Nie porzuca tej orientacji mimo braku zrozumienia w Petersburgu. Rewolucja bolszewicka zmusza Dmowskiego do porzucenia orientacji rosyjskiej i zwrócenia swych nadziei ku Anglii i Francji.

Dmowskiemu przeciwstawiał się Józef Piłsudski, który uważał Rosję za głównego wroga. Wyłania się wtedy orientacja austriacka z uwagi na duże swobody, z których korzystała Galicja od ostatnich dziesięcioleci XIX-go wieku. Myślą przewodnią jest połączenie Galicji i Królestwa, jako trzeciej równorzędnej części Monarchii Austro-Węgierskiej. Jednakże o wiele silniejsze od Austrii państwo centralne — Niemcy — ma inne zamiary. Planują okrojenie terytorialne Królestwa na korzyść Niemiec i utworzenia z jego reszty państewka satelickiego z jednym z Hohenzollernów na tronie. Społeczeństwo polskie ostatecznie odwraca się od orientacji na Wiedeń po zawarciu przez Niemcy i Austrię z Rosją Sowiecką pokoju brzeskiego w 1918 roku, który oddaje satelickiej Ukrainie, zbudowanej przez Niemcy jako oddzielne państwo, Chełmszczyznę, tj. narusza całość Królestwa.

Teraz wszyscy Polacy patrzą na Zachód, licząc na klęskę Niemiec na froncie zachodnim zwłaszcza odkąd Stany Zjedno-

czone wchodzi do wojny. Ta klęska, rozpadnięcie się Austro-Węgier i reżym bolszewicki w Rosji, nienawidzony na Zachodzie, stwarzają niezwykle korzystne warunki dla odbudowania niepodległej Polski. Po Traktacie Wersalskim z 1920 roku i Pokoju Ryskim z 1921 roku Polska prawie odzyskuje swe zachodnie granice sprzed rozbiorów, a na wschodzie część „ziem zabranych”.

Druga Rzeczpospolita znalazła się między dwoma wrogimi sąsiadami, Rzeszą Weimarską i Rosją Sowiecką, które współpracują w polityce antypolskiej. Pozostaje tylko orientacja francuska, której wyrazem jest sojusz z Francją. Jednakże od 1925 roku polityka francuska szuka *modus vivendi* z Niemcami — w razie konieczności kosztem Polski, tj. utraty przez Polskę Gdańska i Pomorza.

Po odrzuceniu w stosunkach z Niemcami, tj. od zawarcia Deklaracji o Nie-Agresji z 1934 roku, następuje konflikt — od jesieni 1938 roku — kiedy Hitler żąda inkorporacji Gdańska i strefy ekstra-terytorialnej poprzez Pomorze. Wobec grożącego zbrojnego starcia Warszawa rozszerza swą orientację zachodnią przez dodanie Anglii do Francji. To stało się możliwe, ponieważ Londyn zaczyna obawiać się ambicji Hitlera i podejrzewa go o zamiar rozciągnięcia niemieckiej hegemonii nad całym kontynentem europejskim. Anglia najpierw udziela Polsce jednostronnej gwarancji niepodległości, a 25 sierpnia 1939 roku podpisuje formalny traktat przymierza, który autor tego artykułu negocjował w Londynie od połowy sierpnia. Druga Wojna Światowa zastaje Polskę, związaną orientacją zachodnią na Anglię i Francję.

Orientacja na Rosję była niemożliwa z powodu układów, zawartych przez Niemcy i Rosję 23 sierpnia 1939 roku. W tych traktatach Rosja zobowiązała się do neutralności w razie napadu Niemiec na Polskę (jawny traktat) i ponadto z góry umówiła się co do rozbioru Polski między obu kontrahentów (tajne porozumienie). Ten rozbiór następuje we wrześniu tegoż roku.

Londyn nie porzuca jednak nadziei na to, że w końcu Niemcy napadną na Rosję. Stąd pierwsze wzmianki w Parlamencie już w październiku o Linii Curzona z 1920 roku, która biegła nieco na zachód od granicy sowieckiej po rozbiórze Polski. Od chwili zaczęcia się wojny niemiecko-rosyjskiej w czerwcu 1941 roku rząd angielski zaczyna wywierać presję na polski rząd emigracyjny w Londynie w kierunku przyjęcia Linii Curzona, jak polskiej granicy wschodniej. Na Konferencji w Jącie w lutym 1945 roku Anglia i Stany Zjednoczone przyznają Rosji prawo do Wschodniej Polski po Linii Curzona. Nikła nadzieja na to, że mocarstwa zachodnie przynajmniej obronią niepodległość Polski znika w lecie 1945, kiedy zostaje utworzony pod egidą Ameryki,

Anglii i Rosji tzw. rząd jednności narodowej, który jest *de facto* kontrolowany przez polskich komunistów. Ci oczywiście trzymają się orientacji rosyjskiej.

Ojcowie duchowi tych komunistów, tzw. Socjal-Demokracja Królestwa i Litwy orientowali się — jak Dmowski — na Rosję, ale z tą wielką różnicą, że odrzucali myśl o niezależności Królestwa, które chcieli utrzymać wewnątrz niepodzielnej, choć socjalistycznej Rosji. To stanowisko Socjal-Demokracji, kierowanej w znacznej mierze przez osoby pochodzenia nie-polskiego, sprawia teraz niemało kłopotu dzisiejszym komunistom, którzy przyznają, że ich duchowi ojcowie popełnili błąd, odrzucając myśl o niezależności Polski.

Dzisiejsze państwo polskie prowadzi oczywiście politykę pro-rosyjską.

Emigracja polityczna trzyma się orientacji zachodniej, w szczególności amerykańskiej, choć równowaga nuklearna i milcząca zgoda Stanów na istnienie sowieckiej strefy wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej nie roszczą wielkich nadziei tej orientacji.

Teoretycznie pozostaje jeszcze orientacja niemiecka, o której przypomina osamotniony pod tym względem jeden z pisarzy emigracyjnych. Tu wiele rzeczy stoi na przeszkodzie. Przede wszystkim bolesne wspomnienia: przymierze w czasie Sejmu Czteroletniego z Prusami, które wkrótce potem zdradziły i przystąpiły do rozbiorów Polski do spółki z Rosją i Austrią; pogwałcenie przez niemiecką napaść we wrześniu 1939 roku Deklaracji o nieagresji z 1934 roku, która obowiązywać miała do roku 1944; wreszcie zbrodnia okupacji niemieckiej, która kosztowała życie sześciu milionów obywateli polskich, w tym trzech milionów rodowitych Polaków, zniszczenie Warszawy i ogromne straty kulturalne i materialne. Poza tym prawdziwe pogodzenie się z narodem niemieckim wymagałoby zrzeczenia się ziem, leżących między Odrą i Nysą a dawną granicą z 1939 roku. Trzeba pamiętać, że Niemiecka Republika Federalna uznała granicę na Odrze i Nysie w traktatach, podpisanych w 1970 roku z Rosją i Polską, ale tylko na czas istnienia tej Republiki. Strona niemiecka wyraźnie zastrzegła dla przyszłych zjednoczonych Niemiec prawo otwarcia na nowo sprawy granic polsko-niemieckich. Tymczasem zarówno Kraj, jak emigracja stoją na stanowisku nienaruszalności obecnej polskiej granicy zachodniej.

Orientacja niemiecka nie ma nadto większego sensu realnego, gdyż Niemcy są podzielone, a polityka wojskowa i zagraniczna FRN jest zależna od Stanów Zjednoczonych, które nie mają zamiaru prowadzić wojny nuklearnej z Rosją o zjednoczenie Niemiec, czy o wschodnie granice takich Niemiec.

Historia różnych polskich orientacji międzynarodowych udowadnia, że wybór jednej z nich zależał nie tylko od decyzji polskich, ale w większej mierze od zmieniających się sytuacji międzynarodowych, tj. od polityki Rosji, Niemiec, Austro-Węgier, i państw zachodnich.

Władysław W. KULSKI

WACŁAW JĘDRZEJEWICZ

„KRONIKA ŻYCIA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO“

1867 - 1935

Praca ta obejmuje dwa tomy. Tom I-szy już się ukazał i jest w sprzedaży. Obejmuje on okres lat 1867-1920, zawiera 544 strony, szereg fotografii, dwie tablice genealogiczne i mapę Polski.

Do nabycia w:

INSTYTUCIE JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO w Nowym Jorku:
381 PARK AVE., SOUTH, NEW YORK, N.Y. 10016.

Cena tomu I-go \$ 15,00, dla członków Instytutu \$ 12.50.

Obie ceny wraz z przesyłką.

Tom II-gi ukaże się w najbliższym czasie.

WSPOMNIENIA

Jan NOWAK

ROZMOWY Z GENERAŁEM SOSNKOWSKIM*

W dniu 23 sierpnia 1943 roku na odprawie u Komendanta Głównego AK gen. Bora-Komorowskiego, któremu towarzyszyli gen. T. Pełczyński i płk J. Rzepecki otrzymałem polecenie dotarcia do Londynu, gdzie miałem złożyć gen. Sosnkowskiemu meldunek złożony z 4-ch punktów: 1) Pomimo ciężkiego ciosu, jakim było aresztowanie gen. Grota-Roweckiego — ciągłość AK jest niezachwiana, toczy się walka bieżąca i prowadzone są przygotowania do powstania powszechnego; 2) Wobec zarysowującej się możliwości, że wojska sowieckie znajdują się na ziemiach Rzeczypospolitej przed upadkiem Niemiec, dowódca AK prosi o jak najszybsze instrukcje ramowe, jak ma się zachować AK w razie powolnego wycofywania się Niemców z ziem polskich. Sam przystępuje do opracowania ze swym sztabem kilku alternatyw i wariantów, które przewidują m.in. wzmożenie dywersji na tyłach cofającego się nieprzyjaciela; 3) W związku z szerzącym się bandytyzmem elementów wykolejonych przez represje okupanta Dowódca AK przygotowuje rozkaz likwidowania przez oddziały AK bandytyzmu i występowania w obronie ludności; 4) Wobec załamania się prób podporządkowania oddziałów NSZ wojskowemu kierownictwu dowódcy AK czuje się on zmuszony do wydania rozkazu rozwiązującego wojskowe formacje NSZ i zagrożenia oficerom sankcjami dyscyplinarnymi, jeśli nie zastosują się do tego rozkazu.

W dn. 11 grudnia 1943 dotarłem do Londynu i na krótko przed Bożym Narodzeniem zostałem przyjęty przez Naczelnego Wodza.

I

Jednego z następnych dni zabrał mnie płk Protasewicz do „Rubensa” by przedstawić Szefowi Sztabu gen. Stanisławowi Kopańskiemu i poprosić o jak najszybsze przyjęcie mnie przez Naczelnego Wodza. Zgodnie z otrzymaną w Warszawie instrukcją powtórzyć miałem czteropunktowy meldunek gen. „Bora” oświadczyć Sosnkowskiemu.

* Fragmenty z książki *Kurier z Warszawy*, która ma ukazać się niebawem w Londynie, nakładem Wyd. „Odnova”.

Punktualnie o wyznaczonej godzinie z gen. Kopańskim i płk. Protasewiczem zgłosiliśmy się w adiutanturze gen. Sosnkowskiego. Poproszono nas, abyśmy usiedli i poczekali. Generał rozmawiał telefonicznie ze Szkocją.

— Jest pan pierwszym wysłannikiem Kraju, który zamelduje się gen. Sosnkowskiemu jako Naczelnemu Wodzowi — szepnął mi do ucha gen. Kopański. — Ostatni przed panem emisariusz wojskowy dotarł do Londynu blisko rok temu.

Jaki szmat historii reprezentuje sobą ten Generał — pomyślałem — przed którym za chwilę stanę. Szef Sztabu Piłsudskiego w Pierwszej Brygadzie, jego towarzysz i współwzięcie w Magdeburgu, świetny organizator wojska w 1920 roku i zasłużony minister Spraw Wojskowych w pierwszych latach niepodległości. Jedną z najwybitniejszych postaci Polski współczesnej, otoczona nie byle jaką legendą. Gdyby mi tak jeszcze rok temu ktoś powiedział w Warszawie, że będę rozmawiał z Naczelnym Wodzem w jego gabinecie w sercu Londynu, o kilkadziesiąt metrów od królewskiego pałacu Buckingham, powiedziałbym, że wariat. Czułem się w tym momencie głęboko przejęty wagą swojej misji. Byłem wprawdzie tylko nikomu nieznanym podporucznikiem, miałem dwadzieścia dziewięć lat, a więc wobec generała broni i Naczelnego Wodza kimś bardzo małym. Ale występowałem w roli emisariusza Polski Podziemnej i Komendanta Armii Krajowej, który dał mi mandat przedstawienia oceny położenia i nastrojów w kraju, odpowiadania na ważne pytania i stawiania samemu pytań. Tymczasem kwadranse mijały jeden za drugim. Kopański, spokojny i opanowany gentleman, począł okazywać lekkie zniecierpliwienie. Adiutant, mjr Miszke, wyraźnie zakłopotany, tłumaczył i zapewniał, że za chwilę pan generał skończy rozmowę.

— Musi to być ważna sprawa — pomyślałem — skoro Szefowi Sztabu, Szefowi Oddziału VI i wysłannikowi Kraju każe Sosnkowski czekać tak długo.

Minęły już trzy kwadranse, gdy nagle drzwi od pokoju generała otworzyły się, wyskoczył z nich jakiś oficer i krzyknął w stronę Miszkego:

— Więc pan Generał zdecydował w końcu, aby ściągnąć ze Szkocji orkiestrę.

Ośłupiałem. Po dziś dzień nie wiem, czy chodziło o sprowadzenie orkiestry na pogrzeb, czy na inną jakąś ceremonię. Przejęty ważnością chwili i własną misją, byłem zaskoczony samym faktem, że decyzja w sprawie orkiestry zajęła Naczelnemu Wodzowi aż tyle czasu.

Po chwili znaleźliśmy się w gabinecie Naczelnego Wodza. Zanim zdążyłem stanąć w przypisowej pozycji na baczność i zameldować swoje przybycie, Generał wyszedł zza biurka, wyciągnął do mnie obie ręce, objął i bez słowa bardzo serdecznie przycisnął do siebie. Gest był tak niewymuszony i spontaniczny, że ujęty tym przywitaniem od razu zapomniałem o doznany przed chwilą szoku. Twarz Sosnkowskiego była mi dobrze znana z przedwojennych zdjęć prasowych. W bezpośrednim zetknięciu sama jego powierzchowność robiła duże wrażenie. Było w tej ogromnej postaci coś wielkopańskiego, w przeciwieństwie do „Bora”, którego drobna, niepozorna sylwetka tak dziwnie była nieproporcjonalna do legendy otaczającej stanowisko dowódcy wielkiej organizacji obejmującej prawie cały naród. Sosnkowski robił z miejsca wrażenie wodza. Miał w sobie powagę i autorytet, które szły w parze z ujmującym sposobem bycia.

Po pierwszej wymianie pytań i odpowiedzi, które dotyczyły mojej wyprawy z Warszawy do Londynu, zacząłem recytować cztery punkty, podyktowane przez triumwirat: „Bór” — „Grzegorz” — „Prezes”.

Generał słuchał uważnie, potakiwał od czasu do czasu głową, nie przerywając dopóki nie doszedłem do punktu, w którym była mowa o zamiarach wzmożenia dywersji na tyłach cofających się wojsk niemieckich, w razie gdyby doszło do uporządkowanego odwrotu Niemców przez ziemie polskie przed napierającymi wojskami sowieckimi.

— Tego nie rozumiem — przerwał Generał. — Jeżeli Rosjanie wtargną do Polski jako nowy zaborca i okupant — a wszystko wskazuje na to, że tak będzie — jaki sens może mieć wzmożenie walki z Niemcami? Ściągnięcie tylko na ludność i wojsko jeszcze większych represji i ofiar. Miałoby to swoje uzasadnienie w wypadku, gdyby Rosjanie przestali kwestionować nasze granice, nawiązali z powrotem stosunki z naszym rządem i zaniechali ataków propagandowych. Z uwagi na to, co nas czeka, nakazem chwili staje się unikanie ofiar i ograniczenie walki z Niemcami do aktów koniecznej samoobrony. Jeśli Rosjanie wkroczą do Polski, Armia Krajowa powinna pozostać w konspiracji, albo należałoby wycofywać oddziały na zachód lub południe Polski.

Byłem zupełnie nieprzygotowany do polemiki. Zadanie polegało tylko na wiernym powtórzeniu myśli i słów dowódcy AK. Reakcja Naczelnego Wodza wydała mi się jednak tak dalece oderwana od realiów sytuacji w Kraju, że nie mogłem powstrzymać się od odpowiedzi.

— Myślę, panie Generale, że nazwa Armia Krajowa jest źródłem nieporozumienia. To nie jest przecież żadna armia regularna, skoszarowana i ujeta w karby pełnej wojskowej dyscypliny. Żołnierzom AK nie można wydać komendy: stój, w tył zwrot! Oddziałów AK nie da się dowolnie przesuwac z jednego krańca kraju na drugi. To jest organizacja *par excellence* rewolucyjna albo powstańcza. Żołnierze AK poza nieliczną kadrą zawodowych oficerów, są cywilami, którzy żyją w swoich miastach, wioskach, domach rodzinnych. Są związani ze swoim terenem, pracą zawodową, ulegają nastrojom i presjom środowiska. Dowództwo może tą rewolucyjną masą kierować, może powstrzymywać spontaniczne odruchy i nadawać wystąpieniom formy, które pozwolą na wybór miejsca i chwili zorganizowanej akcji zbrojnej, ale tylko pod warunkiem, że rozkazy będą w jakimś stopniu współgrały z nastrojami Kraju, a w każdym razie nie będą z nimi sprzeczne. Nie wiem — ciągnąłem — czy pan generał zdaje sobie sprawę z żądzy walki i odwetu na Niemcach, którą budzi sam okupant swym okrucieństwem i prześladowaniami. W Kraju wzbiera rewolucyjna fala przeciwko rządowi okupanta, która wybuchnie, gdy tylko pojawią się pierwsze oznaki słabości Niemców. Równocześnie ludność jest pod ostrzałem propagandy z Moskwy oskarżającej dowództwo AK o powstrzymywanie jej od walki z Niemcami, stanie z bronią u nogi. Instrukcje idące w tym właśnie kierunku, potwierdzające oskarżenia sowieckiej propagandy, byłyby nieobliczalne w skutkach. W chwili odwrotu Niemców, takie rozkazy nie znalazłyby pewno posłuchu.

Wyczułem, że ten mój długi, polemiczny wywód nie obniżył cieplej temperatury spotkania. Przeciwnie, wydawało mi się, że zajęcie samodzielnego stanowiska wywarło dobre wrażenie.

Sosnkowski przerwał mi po raz drugi, gdy doszedłem do punktu czwartego mówiącego o trudnościach z NSZ. Generał nie zgadzał się ze stanowiskiem dowódcy AK.

— W chwili, kiedy Kraj stoi wobec groźby komunizmu nie można wyrzucać za burtę elementów, które są może niesforne, ale zdecydowanie antykomunistyczne i ideowe.

Odpowiedziałem, że o ile dobrze zrozumiałem dowódcę AK nie ma on wcale zamiaru eliminować NSZ ze wspólnego frontu walki z okupantem. Chce tylko aby zachowując swoje oblicze polityczne, oddziały NSZ podporządkowały wspólnemu dowódcy swoje oddziały wojskowe na tych samych zasadach, co inne ugrupowania polityczne. Dalej nie chciałem się w ten temat zagłębiać jako że sprawy dobrze nie znałem.

Sosnkowski raz jeszcze podjął polemikę ze stanowiskiem Komendy AK nawiązując do jakiejś nie znanej mi depeszy, w

której Bór domagał się od rządu sformułowania programu daleko idących reform społecznych, jako środka politycznej walki z podziemiem komunistycznym.

— Ponieważ nie jestem bokserem — tłumaczył Generał — nie idę na ring i nie będę się mierzył z zawodowym pięściarzem, bo z góry wiadomo, że mnie pobije. Tak samo jest z tym programem radykalnych reform społecznych. Nie ma sensu licytować się z komunistami, bo w tej dziedzinie i tak was przelicytują. Społeczeństwo trzeba przyciągać i jednoczyć hasłami walki o niepodległość, a nie demagogią.

Rozmowa przeciągnęła się jeszcze długo. Jako najpilniejsze zadanie Generał zlecił opracowanie szczegółowego raportu o działalności partyzantów sowieckich i oddziałów komunistycznych, ich stosunku do AK, do ludności i do Niemców. Było to konieczne w związku z nieustanną kampanią sowiecką oskarżającą AK, że nie walczy z Niemcami, lecz z partyzantami sowieckimi i polskimi komunistami.

Na zakończenie Generał zapytał: — Co pan porucznik robi w czasie świąt? Czy ma pan w Londynie rodzinę?

Odpowiedziałem, że nie mam żadnych planów.

— W takim razie w imieniu nas obojga zapraszam pana do nas na Swiss Cottage, na wigilię. Porozmawiamy tam ze sobą dłużej, w cztery oczy.

II

Na wigilię do państwa Sosnkowskich jechałem już nieźle zorientowany, że Londyn i Warszawa to dwa odległe i zupełnie inne światy. Na tę ważną wizytę po raz pierwszy włożyłem mundur z wypustkami macierzystej broni, artylerii konnej. Buty i pas wypucowałem, jakbym szykował się do przeglądu w Szkole Podchorążych we Włodzimierzu Wołyńskim.

Tymczasem Generał, jakby chciał podkreślić nieoficjalny rodzinny charakter wigilijnej wieczerzy, wystąpił bez pasa, w niewyprasowanym mundurze...

Po wigilii w małym, rodzinnym gronie, Generał zaprowadził mnie do swego pokoju, usadowił na kanapie, sam chodził po pokoju paląc jednego papierosa za drugim i dolewając sobie dosyć często whisky. Zaczął od pytania, czy zdaję sobie sprawę z ogromnej roli, jaką mam do odegrania w najbliższych tygodniach? Łączność z krajem jest bardzo ograniczona. Radiowcy w Polsce walczą widocznie z coraz większymi trudnościami. Dłuższe depesze są odbierane albo nadawane z dużymi przerwami,

po kilka zdań dziennie. W skrótach telegraficznych nie można wyjaśnić skomplikowanych problemów. Wysłannicy do Londynu mają zadania czysto techniczne lub organizacyjne. Ostatnim emisariuszem używanym do rozmów politycznych był Jan Karski. Nowoprzybyły, którego można pokazać Anglikom i Amerykanom, jest z początku gwiazdą skupiającą na sobie powszechną uwagę, ale w miarę upływu czasu blask jej blednie. Emisariusz słuchany jest uważnie, a nawet może mieć duży wpływ, dopóki jest nowością. Później zainteresowanie słabnie.

— Ma pan przed sobą kilka tygodni — mówił Generał — może miesiąc, który musi pan dobrze wykorzystać. Chcę pana zorientować w sytuacji, aby pan wiedział, czy się kierować. Na wstępie Sosnkowski powiedział, że w ostatnich dniach odbyły się dwie bardzo ważne rozmowy Mikołajczyka z Edenem — pierwsze po konferencji w Teheranie. Obecni przy nich byli Raczynski i Romer. Niestety Generał zna przebieg rozmowy z drugiej ręki, wie jednak, że w Teheranie Stalin domagał się uznania linii Curzona jako granicy wschodniej i ofiarowywał kompensaty na zachodzie kosztem Niemiec, oskarżał Armię Krajową o kolaborację z Niemcami i mordowanie partyzantów sowieckich, jak również domagał się usunięcia jego, Sosnkowskiego, jako wroga Związku Sowieckiego.

— To był dopiero wstęp — mówił Generał. — Dalsze rozmowy zaczną się, gdy wyzdrowieje Churchill.

Naczelnny Wódz zapatrywał się na wyniki tych przyszłych spotkań bardzo pesymistycznie. Uważał, że Mikołajczyk nie jest żadnym partnerem dla ludzi tego kalibru, co Churchill i Eden. Przypuszczał, że on i nasi dyplomaci ulegną naciskom i pójdą na wszystkie ustępstwa, jakich zażądają Anglicy. Może ich powstrzymać tylko postawa wojska, polskiej opinii publicznej i kraju.

Równie negatywnie oceniał Sosnkowski Anglosasów. Wypierają się oni podziału Europy na strefy wpływów, ale wszystko przemawia za tym, że taki nie pisany podział istnieje. Najlepszy dowód to wstrzymanie na jesieni rzutów broni i amunicji dla Armii Krajowej. Oczywiście Anglicy zasłaniają się zawsze przeszkodami natury technicznej, ale wiadomo że kierują się racjami politycznymi. Brytyjczykom, zdaniem Generała, w gruncie rzeczy wcale nie zależy na Armii Krajowej. Chodzi im tylko o to, jak się wycofać z zobowiązań wobec Polski nie tracąc twarzy. Chcą po prostu, aby z tych sojuszniczych zobowiązań zwolnili ich sami Polacy.

Słuchając tych wywodów zadawałem sobie pytanie, czy aby Sosnkowski nie posuwa się zbyt daleko w swej nieufności wobec sojuszników. Lecz Generał nie był gołosłowny. Powołał się na

przykład jugosłowiański. Już w maju Brytyjczycy uznali partyzantów komunistycznych Tity, który jest starym agentem Kominternu na usługach Moskwy. Oddziały komunistyczne otrzymują teraz pomoc angielską na wielką skalę. W wypadku Tity nie ma jakoś większych trudności technicznych, które przeszkadzają lotom nad Polskę. Za to pomoc dla Michajłowicza została od kilku miesięcy wstrzymana. Generał rozmawiał niedawno na ten temat z pewnym wysokim oficerem brytyjskim zwracając mu uwagę, że w ten sposób Anglia pcha Jugosławię w objęcia komunizmu i Rosji. Usłyszał w odpowiedzi, że względy natury wojсковej mają w czasie wojny pierwszeństwo nad politycznymi. Trzeba wprawdzie pobić Niemców. Tito walczy z Niemcami, zadaje im dotkliwe straty więc dostaje broń i amunicję. Michajłowicz natomiast, według twierdzeń owego Anglika, ogranicza się do samoobrony, są nawet wiadomości że kolaboruje z nieprzyjacielem przeciwko komunistom, więc po co go uzbrajać.

Z tego, co dotychczas usłyszałem od Generała, ta ostatnia informacja wydała mi się najbardziej niezrozumiałą. Jaki sens miałoby z angielskiego punktu widzenia ułatwianie Sowietom rozciągnięcia ich wpływów nad Adriatyk i zapewnienie sobie wyjścia na Morze Śródziemne. Może — zapytałem — wojskowe wsparcie dla Tity łączy się z planem desantu w Jugosławii i ofensywy na Bałkany po zajęciu Włoch?

Lecz Sosnkowski zaprzeczył. Plany uderzenia na Bałkany, jeśli w ogóle były, zostały już dawno zarzucone pod naciskiem Stalina, któremu pokrzyżowałyby zamiary opanowania całej Europy Wschodniej. Generał powołał się na niedawną rozmowę z de Gaulle'em, którego spotkał w czasie podróży na Bliski Wschód. Zapadły już ostateczne decyzje utworzenia drugiego frontu w Europie Zachodniej. Oferty kapitulacji ze strony Węgier i Rumunii, w pierwszym wypadku przekazywane także i polskimi drogami — zostały przez Anglosasów odrzucone. Choć pod względem ukształtowania terenu Bałkany są niełatwe, w sensie politycznym mogły być wpaść Anglosasom w ręce, jak dojrzałe jabłko. Inaczej wyglądałaby sytuacja Polski, gdyby dywizje anglosaskie znalazły się na południowym stoku Karpat. Ale to się nie stanie.

Zapytałem, czy wobec tego widzi on w ogóle jakąś nadzieję dla Polski. Sosnkowski nie miał żadnych złudzeń, co do planów sowieckich. Jeżeli Stalinowi uda się zająć Polskę, czeka ją wcielenie do Związku Sowieckiego jako siedemnastej republiki. Oczywiście po zwykłych plebiscytach. Jednakże do chwili okupowania całego kraju przez bolszewików, wiele może się zdarzyć. Nie można wykluczyć wcześniejszego załamania się Niemiec,

choć nic na razie na to nie wskazuje. Moment obecny jest z punktu widzenia polskiego najgorszy. Prawie cały ciężar wojny spoczywa na Rosji. Anglosasi musieli być w Teheranie w bardzo słabej pozycji negocjacyjnej, niczego domagać się nie mogli, co najwyżej prosić. Poza tym boją się zawarcia przez Stalina odrębnego pokoju i powtórzenia się historii z sierpnia 1939 roku.

— Nie wykluczam zresztą — mówił Generał — że po dojściu do linii Bugu, Stalin może wstrzymać ofensywę albo nawet zaproponować zawieszenie broni, żeby umożliwić Hitlerowi skierowanie głównych sił przeciwko Anglosasom. W każdym wypadku układ sił może się zmienić. Wojna wyczerpuje siły Rosji i Niemiec natomiast potencjał wojskowy Anglosasów rośnie w szybkim tempie. Alians z Sowietami nie utrzyma się długo. Pod koniec wojny nie będzie już obawy przed odrębnym pokojem, a może dojść do kłótni o podział łupów: może nawet do starcia zbrojnego, gdyby Rosjanie próbowali zagarnąć dla siebie całe Niemcy.

Na razie — zdaniem Generała — nie wolno iść na żadne ustępstwa, które niczego nie uratują. Sytuacja może się zmienić, lecz koncesje przyjęte w najgorszym momencie pozostaną i pociągną za sobą skutki nieodwracalne. Jeżeli Anglicy poprą sowieckie roszczenia terytorialne, jedyną odpowiedzią jest twarde — nie!

— Stalin domaga się mojego ustąpienia — mówił Sosnkowski. Gdyby ofiarował w zamian poszanowanie granic i suwerenność, usunąłbym się jeszcze dziś. Ale wiadomo, że on wtedy zażąda ustąpienia pięciu innych. Ustępstwa prowadzą w linii prostej do utraty nie tylko połowy kraju, ale i niepodległości.

W tym miejscu Generał zaczął mówić o nagonce na jego osobę. Wydobył z szuflady biurka cały ogromny stos wycinków — same ataki na Sosnkowskiego. Osobno poukładane były nasłuchy Moskwy, napaści prasy sowieckiej, komunikaty TASS'a, itd. Każdy wycinek naklejony był starannie na osobny arkusz. Drugi stos składał się z ataków prasy angielskiej: *Daily Worker*, *Observer*, *New Statesman and Nation*, *Times*, a na samym wierzchu niesamowity artykuł socjalistycznej *Tribune* podpisany jakimś polskim pseudonimem. Generał odczytywał długie wyjątki, każdy gorszy od następnego. Twierdził, że co najmniej połowa ataków w prasie angielskiej inspirowana jest przez Polaków, głównie przez prof. Kota i sztab jego zauszników. W ten sposób wciąga się obcych do wewnętrznych rozgrywek politycznych. Zaślepienie niektórych ludzi idzie tak daleko, że gotowi są wspierać nagonkę sowiecką byle tylko pozbyć się jego — Sosnkowskiego.

Słuchając Generała, po jakimś czasie zacząłem odnosić wrażenie, że jego osoba stanowi centralny punkt sprawy polskiej. W duchu przyznawałem mu rację. Jeżeli pozwoli się Stalinowi dyktować, kto z naczelnych władz polskich ma odejść, a kto ma pozostać, jaki rząd jest a jaki nie jest „przyjazny” dla Rosji, będzie oznaczać to koniec niepodległości. Żebyż tylko o atakach na Sosnkowskiego przez swoich i obcych nie rozwodził się tak szeroko sam Sosnkowski.

Było już dobrze po północy, pokój pełen dymu, a ja starając się dotrzymać towarzystwa Generałowi wypilem za dużo whisky. Usiłowałem jednak słuchać z napiętą uwagą, by nie uronić z tych wywodów ani słowa. W końcu poczułem, że ogarnia mnie zmęczenie i przy całym olbrzymim szacunku dla rozmówcy rosnące zniecierpliwienie. Był w tym monologu jakiś nieznośny egocentryzm, który raził mnie na tle świeżych jeszcze w pamięci przeżyć kraju.

W pewnym momencie zaczęło mi się wydawać, że ja to już wszystko na pewno kiedyś widziałem: i ten pokój w kłębach dymu i tego starszego dostojnego pana w generalskim mundurze bez pasa, w pantoflach, w niewyprasowanych spodniach, ćmiącego papierosa za papierosem i charakterystycznym ruchem podnoszącego górną wargę pokrytą krótkim, siwym wąsem. Czyżbym pod wpływem zmęczenia uległ przywidzeniom? Nagle przeszło mi przez głowę błyskawiczne skojarzenie. Tak jest! Ktoś mi to opowiadał, albo gdzieś o tym czytałem. O tym, jak w pierwszych miesiącach, czy latach po odzyskaniu niepodległości, Naczelnik Państwa zapraszał do Belwederu pewnego polityka, sadzał go na kanapie a sam monologował, chodząc tam i z powrotem po pokoju w mundurze bez pasa, w nieuprasowanych spodniach, w pantoflach, paląc papierosy jeden za drugim i charakterystycznym dla niego ruchem podnosząc w górę wąsiska. Sosnkowski bezwiednie imituje swego Komendanta.

Generał zakończył rozmowę o drugiej po północy. Kolejki podziemne już dawno nie chodziły. Odwieziony zostałem ze Swiss Cottage do domu w pobliżu Belgrave Square samochodem Naczelnego Wodza.

III

Wkrótce po odszyfrowaniu depeszy w sprawie „Burzy” zaproszony zostałem na lunch do „Rubensa”. Generał Sosnkowski nie potrafił wytłumaczyć sobie jednego: zamiaru ujawnienia się wobec Rosjan. Dla Naczelnego Wodza było jasne, że NKWD do-

wódców wyaresztuje i prawdopodobnie zgładzi, a żołnierzy wcieli siłą do Armii Berlinga. Opornym — kula w łeb. Czym więc mógł kierować się sztab AK wydając podobny rozkaz?

— Był pan niedawno w kraju, może pomoże mi pan zrozumieć jaki to wszystko ma sens?

Odpowiedziałem, że mnie osobiście decyzja ujawnienia wydaje się logiczna i celowa. W Podziemiu działa już sowiecka ekspozytura w postaci PPR. Po wkroczeniu Rosjan na pewno znajdzie się pewna ilość oportunistów w szeregach AK i w stronnictwach, być może nawet na szczeblach kierowniczych, którzy przejdą na stronę komunistów. NKWD nie będzie miało trudności z rozszyfrowaniem Podziemia. Utrzymanie ludzi w konspiracji wobec infiltracji rodzimego elementu prosowieckiego, okaże się na długą metę niewykonalne. Nie mając nic do stracenia kierownictwo woli się ujawnić, bezpośrednio po zakończeniu czynnej walki z Niemcami, gdyż w tym wypadku będzie przynajmniej bronił się przez opinię państw zachodnich. Jeśli zaś zostanie wytropione i wyciągnięte z ukrycia, będzie sądzone za konspirację przeciwko okupacyjnym władzom sowieckim albo za kolaborację z Niemcami. Plany walki z okupantem niemieckim zakończone ujawnieniem, jeśli nie uniemożliwią Stalinowi eksterminacji najlepszego elementu, to w każdym razie mogą mu to utrudnić.

Można sobie pozwolić na bezkarne wytracenie przywódców Podziemia, póki są anonimami nikomu nie znanymi. Nikt nie będzie o tym wiedział. Natomiast zlikwidowanie Delegata Rządu czy Dowódcy AK po ujawnieniu ich nazwisk, stopni, ich roli w walce z Niemcami musiałoby wywołać dla Sowietów niepożądane reperkusje. Wreszcie jeśli ujawnianie nie ocali naszych ludzi, to przynajmniej oddadzą Sprawie polskiej ostatnią usługę, przyczyniając się w jakimś stopniu do zdemaskowania sowieckich metod i celów.

Wywody te nie przekonały Naczelnego Wodza.

— Jeżeli rzeczywiście zamiary ujawnienia podyktowane są takimi przesłankami — odpowiedział Generał — to decyzja jest wprawdzie bohaterska, ale prowadzi do zbiorowego samobójstwa. W takim razie moim obowiązkiem jest powrócić do kraju, by znaleźć się przy ginących żołnierzach Armii Krajowej i podzielić ich losy.

Tego rodzaju piękny i odważny gest — pomyślałem — skomplikowałby jeszcze bardziej i tak już niełatwą sytuację dowództwa AK. Głośno tego nie powiedziałem, zwróciłem jednak uwagę Generałowi, że jego sylwetka jest dobrze znana szerokiemu ogółowi i że ukrycie go przed gestapo nastęczałoby poważne trud-

ności. W Warszawie byłby więźniem, nie mogąc wychylić twarzy na ulicę. Lecz Sosnkowski roześmiał się lekceważąco.

— Niech pan nie opowiada takich bajek, panie poruczniku, ja też wiem coś nie coś o konspiracji. Konspirowałem, kiedy pana jeszcze nie było na świecie — nawet w projekcie. W razie potrzeby twarz mogę zmienić tak, że i pan mnie nie pozna. Był przecież w Warszawie ktoś bardziej znany ode mnie, każde dziecko pamiętało jego rysy i jakoś gestapo go nie znalazło.

Nie mogłem ani rusz domyślić się, kogo Sosnkowski miał na myśli. Dopiero po wojnie odgadłem, że chodziło pewno o Rydza-Śmigłego.

Generał mógł oczywiście, jako Naczelny Wódz zmodyfikować rozkaz „Burzy”, ale tego nie zrobił. O zamiarze powrotu do Polski często mówił, ale z czasem go poniechał. Być może spotkał się ze sprzeciwem Prezydenta i Rządu.

IV

Tematem, który wypływał często w rozmowach z generałem Sosnkowskim i Mikołajczykiem, był pomysł wysłania do Polski brytyjskiej misji wojskowej.

Nie umiem niestety odtworzyć z pamięci, kiedy to było — w końcu stycznia czy w lutym 1944 roku. Zostałem zaproszony do klubu „Wellington” przez oficera SOE Andrzeja Kowerskiego występującego pod przybranym nazwiskiem: Kennedy*. Znałem go dobrze ze słyszenia już przed wojną. W czasie okupacji pracował w organizacji „Muszkietery”, dostał się potem na Węgry, stamtąd przy pomocy O'Malleya, ówczesnego posła w Budapeszcie, do Londynu, gdzie wypożyczony został do SOE. Występował w angielskim mundurze w stopniu kapitana.

Kowerski zapytał mnie, co myślę o projekcie wysłania do Polski brytyjskiej misji wojskowej, na wzór podobnej misji działającej w Jugosławii. Odpowiedziałem bez wahania, że misja powinna być bezwarunkowo wysłana, i to jak najszybciej. Schowanie jej przed Niemcami nie będzie przedstawiało trudności. Obecność Anglików na miejscu jest podwójnie potrzebna. Po pierwsze ich świadectwo o rozmiarach Armii Krajowej, zasięgu i skuteczności działania, postawie ludności, niemieckim terrorze itd. wypadnie dobrze z polskiego punktu widzenia i rozwieje wątpliwości panujące w rządzie brytyjskim. Bezpośredni kontakt

* O spotkaniu tym wspomina angielska autorka Madeleine Masson w książce *Christina*, poświęconej Krystynie Skarbek (H. Hamilton, London, 1975).

Anglików z dowództwem AK i Delegaturą Rządu pozwoli stronie polskiej lepiej zorientować się w stosunku Brytyjczyków do Polski. I to chyba jest najważniejsze.

Kowerski zwierzył się, że myśli dokładnie tak samo i że tego samego zdania są jego przełożeni w SOE, którzy już od pewnego czasu próbują projekt ten lansować, lecz natrafiają na sprzeciwy w łonie rządu angielskiego. Podobno — powiedział Kowerski — gen. Sosnkowski wysuwa także jakieś zastrzeżenia.

Opozycję czynników brytyjskich łatwo można było zrozumieć. Po prostu bali się narazić Rosjanom. Jeszcze jeden dowód, że Polska została włączona do sowieckiej strefy wpływów. Ale skąd biorą się opory Sosnkowskiego?

Zapytałem o to Generała przy okazji rozmowy z nim gdzieś w drugiej połowie lutego.

— A skąd pan wie — odpowiedział Sosnkowski, że brytyjscy obserwatorzy będą raportowali to, co zobaczą na miejscu, a nie to, co im z Londynu każą przekazywać? Przykład Jugosławii powinien być dla nas przestrogą. Ja osobiście nie wierzę w żadną współpracę Michajłowicza z Niemcami.

Przez Generała przemawiały wciąż podejrzenia, że Anglicy szukają odpowiedniej formuły, by wycofać się z twarzą ze swoich polskich zobowiązań. Jeśli tak rzeczywiście było, to obecność misji brytyjskiej w Polsce nie mogłaby ani pomóc ani zaszkodzić. Aby umyć ręce, Anglicy nie potrzebowali wysyłać obserwatorów na miejsce.

Sosnkowski miał jednak inne argumenty, które swoim zwyczajem wysunął w formie pytania.

— Czy pan nie sądzi — zapytał — że obecność angielskiej reprezentacji w Polsce zachęci Anglików do porozumiewania się z władzami podziemnymi ponad głowami rządu i Naczelnego Wodza? Gra jest niebezpieczna.

— Jestem zupełnie pewny — odpowiedziałem — całkowitej lojalności Dowódcy AK i Delegata Rządu.

— Ja też — zakończył rozmowę Sosnkowski. — Ale w każdym środowisku znajdzie pan na niższych szczeblach elementy nielojalne, które pchane ambicją zaczną kombinować z Anglikami na własną rękę.

Wyszedłem z gabinetu Naczelnego Wodza zmartwiony i nie przekonany. Obecność na miejscu Anglosasów, zwłaszcza w momencie zajmowania kraju przez Rosjan, wydawała się postulatem bardzo ważnym.

Okazało się później, że martwiłem się niepotrzebnie. Anglosasi długo zwlekali zanim udzielili jednobrzmiącej odpowiedzi

odmownej Mikołajczykowi, który wystosował do obu rządów noty domagające się wysłania misji. Gen. Sosnkowski zmienił zdanie i sam zaczął energicznie domagać się tego samego już bez stawiania żadnych warunków.

V

W samolocie panowało milczenie chociaż nikt nie wyłączał Sosnkowskiego nie spał. Unosiło się nad tą podróżą wspomnienie innego lotu, który rok temu, także w lipcu zakończył się śmiercią Naczelnego Wodza i Premiera w Gibraltarze. Przypominały o tym niezwykle środki ostrożności podjęte przez Anglików. Z lotniska wojskowego pod Londynem Dakota „Balmoral Castle” wystartowała wkrótce po godz. 4-tej po południu, lecz w dwie godziny później wylądowała niespodzianie gdzieś w Kornwalii. Zdaje się, że prócz Sosnkowskiego i płk. Demela nikt o tym przystanku nie został uprzedzony. Pod Londynem i tu w St. Mawgan samolot otoczyli uzbrojeni wartownicy. Pilotem samolotu Sikorskiego był Czech — kpt. Prchala. Tym razem wybór obu pilotów oraz nawigatora musiał osobiście aprobować Sosnkowski. Owym pierwszym pilotem był sympatyczny młody Polus w stopniu porucznika. Wyglądał na dwadzieścia kilka lat, ale sądząc z baretek odznaczeń polskich i brytyjskich musiał mieć duże doświadczenie.

Naczelnemu Wodzowi towarzyszyła świta złożona z sześciu osób (płk Demel, płk Sulisławski, płk Brzezia, amb. Lipski w skromnym stopniu porucznika, ppłk Kijak, adiutant mjr Miszke i ja). Adiutant dźwigał ciężką walizkę z orderami z firmy Spink w Londynie. Generał miał osobiście dekorować oficerów i żołnierzy, którzy wyróżnili się w kampanii włoskiej.

Było już po północy, kiedy wystartowaliśmy w dalszą drogę do Gibraltaru. Sosnkowski zajął miejsce w pierwszym rzędzie po prawej stronie przy oknie. Ktoś szepnął mi na ucho, że w tym samym miejscu siedział zwykle Sikorski. Mimo woli nasuwały się analogie. Sikorskiemu także towarzyszył kurier z kraju zmierzający w odwrotnym kierunku. Z Warszawy do Londynu.

Zbliżała się siódma rano, gdy samolot zatoczył olbrzymie koło nad Gibraltarem. Skała wciniała się prostopadle w morze jak wyciągnięte ludzkie ramię o napiętych, potężnych bicepsach. U podnóża tej potężnej zasłony widać było port wojenny wypełniony okrętami wyglądającymi z góry jak dziecinne zabawki. Od małych, podłużnych jak cygaro łodzi podwodnych, do wielkich

krażowników, na których piętrzyły się pancerne wieżycy uzbrojone w długie lufy dział.

Ładujemy szczęśliwie. Przez otwierane z hałasem drzwi wdziera się jak z rozgrzanego pieca fala upalnego powietrza. Generałowi melduje się polski oficer łącznikowy w Gibraltarze. Zawiadamia, że gubernatora Mac Farlane nie ma w twierdzy, jest chory. Sosnkowski spochmurniał. Wszystkim przeszła przez głowę ta sama myśl. Choroba gospodarza mogła mieć charakter dyplomatyczny. Rotmistrz Rozwadowski zaprezentował stojącego obok młodziutkiego angielskiego oficera o wyglądzie wprost chłopięcym. Nie miał chyba więcej niż osiemnaście lat, lecz na naramiennikach mundurowej koszuli z krótkimi rękawami nosił trzy gwiazdki. Zasalutował sprężysto i w imieniu matki zaprosił Generała ze świtą do pałacu gubernatorskiego na śniadanie. Młodociany syn gubernatora pełnił w twierdzy funkcję *public relation officer*.

Proponuje nam zwiedzenie fortecy przed lunchem. Kilku z nas skwapliwie przyjmuje zaproszenie, inni wolą drzemkę w chłodnych komnatach pałacu. Na zewnątrz praży słońce, upał jest nie do zniesienia.

Po zwiedzeniu twierdzy idziemy na lunch. Wnętrze gubernatorskiego apartamentu w starym pałacu urządzone było po królewsku. Pani domu, dystygowana *lady*, robiła, co mogła, by okazać polskiemu gościowi należne honory, lecz czuła się wyraźnie skrępowana i przez cały czas śniadania panowała atmosfera zażenowania. Przy kawie siedzący obok mnie polski oficer zrobił po cichu uwagę, że Anglicy w Gibraltarze drżą ze strachu, by gen. Sosnkowskiemu nie przytrafiło się coś złego i odetchną z ulgą, gdy szczęśliwie odleci. I znów prześladuje duch Sikorskiego. Mój sąsiad wspomina, że Sikorski w wigilię śmierci podejmowany był lunchem czy kolacją w tej samej sali i że zajmował to samo miejsce przy stole, przy którym siedzi teraz Naczelny Wódz — po prawej ręce pani domu.

Po południu wystartowaliśmy przy pięknej pogodzie do Algieru. Leciliśmy nad północnym brzegiem Afryki. Na południe od zielonej wstążki ciągnącej się wzdłuż morza widać było aż po horyzont pustynię. Jeszcze, gdy czekaliśmy na odlot na lotnisku w Anglii, Wódz Naczelny zapowiedział, że mam z nim lecieć pod Ankonę, do 2-go Korpusu. — Chcę — powiedział Generał — żeby był pan łącznikiem między dwoma członami Polski Walczącej i mógł w kraju zdać relację z nastrojów i działań 2-go Korpusu.

Przyjąłem ten rozkaz z mieszanymi uczuciami. Oczywiście ucieszyłem się na myśl zetknięcia się w pierwszej linii frontu

z naszymi wojskami, otoczonymi w kraju świeżą legendą i chwałą zwycięstwa pod Monte Cassino, lecz przeraziła mnie możliwość spóźnienia się na bazę pod Brindisi. W „Szóstce” dowiedziałem się, że gotowość do operacji „Whitehorn” zostanie zarządzona już dzisiaj. Lecz Generał z miejsca uspokoił moje obawy. Mając własny samolot może mnie odstawić do bazy w ciągu godziny. Odpowiednie zlecenia zostaną wydane komendantowi „Jutrzenki”. Sosnkowski dodał, że odprawi mnie osobiście, gdy będzie miał po drodze parę godzin czasu.

Sposobna okazja nadarzyła się, trzynastego lipca w czasie postoju w Algierze. Zostaliśmy ulokowani we wspaniałej willi jakiegoś francuskiego milionera, która w czasie inwazji Sprzymierzonych na Sycylię służyła za kwaterę Eisenhowerowi. Rozmowa toczyła się w uroczej altance pięknego, wschodniego ogrodu. Wszystko dookoła nas tonęło w kwiatach.

Generał powiedział, że w pierwszych dniach tego miesiąca miał z Mikołajczykiem spotkanie, które zorganizował gen. Kukiel. Opowiadał mi już o tym Kukiel, niezmiernie dumny, że udało mu się doprowadzić do bezpośredniej rozmowy dwóch adwersarzy. Przeważnie widywali się tylko na zebraniach Rady Ministrów, w dość licznym gronie i prowadzili na odległość pojedynki na noty i pisma.

Sosnkowski wyciągnął z kieszeni dwie depesze do „Lawiny”. Pierwszą, dość krótką, ale bardzo ważną, wysłał tydzień temu po rozmowie z Mikołajczykiem. W drugiej, dużo dłuższej, wysłanej w dniu odlotu z Londynu, przeprowadzał *tour d'horizon*. Generał wiedział z doświadczenia, że te obszerne depesze odbierane przez krajowe radiostacje kawałkami, po kilka zdań, idą długo. Czasem miesiąc, czasem dwa. Liczył się z tym, że dotrą do Warszawy wyprzedzając tę drugą depeszę co najmniej o kilka tygodni.

Zaczął od odczytania pierwszej. Była zredagowana w sposób typowy raczej dla szefa sztabu, aniżeli Naczelnego Wodza. Generał przedstawiał kilka wariantów. Wypowiadał się przeciwko powszechnemu powstaniu na terenie całego kraju, które w obecnych warunkach polityczno-wojskowych nie miałoby sensu, ale nie wykluczał, że sytuacja może ulec zmianie. Należy więc — nakazywał — zachować na wszelki wypadek gotowość do powstania powszechnego, a na razie kontynuować „Burzę” w ramach własnych instrukcji dowództwa AK z listopada ubiegłego roku. W depeszy wypowiadał się przeciwko nadawaniu „Burzy” nazwy „działań powstańczych”. Kukiel mówił mi w Londynie zupełnie co innego. Według niego Sosnkowski odrzucił termin „powstanie”, skłaniał się natomiast do użycia terminu „działania pow-

stańcze”, zamiast kryptonimu „Burza”. Najważniejsze w depeszy było zdanie przewidujące jeszcze trzeci wariant: możliwość zajęcia przez AK, na krótko, wielkiego miasta lub jakiegoś skrawka kraju przed wtargnięciem Rosjan. Jeśli układ okoliczności na to pozwoli należy z takiej okazji skorzystać. Generał zalecał to z naciskiem. Chodzi o to, aby świat wiedział, że pomiędzy armiami sowieckimi i niemieckimi walczy na swojej ziemi suwerenny naród polski. Ten trzeci wariant pasował jak ulał do sytuacji, jaką w dwa tygodnie później zastałem w Warszawie w ostatnich dniach lipca.

Z kolei Generał przeszedł do spraw międzynarodowych i polskiej sytuacji wewnętrznej, posługując się tekstem późniejszej depeszy, wysłanej w dniu odlotu.

W myśli porównywałem nieustannie poglądy Naczelnego Wodza z tym, co cztery dni przedtem usłyszałem od Premiera. Mikołajczyk uważał, że można równocześnie prowadzić na zewnątrz politykę sojuszu z Rosją a od wewnątrz „nie dać się skomunizować”. Sosnkowski z góry tę możliwość wykluczał. Powtarzał to, co już od niego usłyszałem pół roku temu. Przewidywał powtórzenie przez Rosjan polityki z lat pierwszej okupacji (1939-1941) a więc masowe deportacje ludności, fałszywe referendum, wcielenie Polski w niedalekiej przyszłości do ZSSR i eksterminację narodu według wzoru ukraińskiego. Premier — odrzucał stanowczo możliwość trzeciej wojny światowej. Sosnkowski, zapytany, na czym oprzeć nadzieje na przyszłość, zapowiadał wciąż nadejście lepszej koniunktury międzynarodowej. W stabilizację powojennych stosunków w świecie nie wierzył. Wyraźnie tego nie powiedział, lecz z całego rozumowania wynikało, że liczył na wybuch wojny z Rosją, choć jak we wszystkich swoich prognozach, nie był tego zupełnie pewny*. Z uwagi na postawę sojuszników zachodnich Naczelnny Wódz i Premier, nie wierzyli w możliwość uratowania niepodległości. Jednakże Mikołajczyk, choć mówił tylko o poparciu społeczeństwa, w sposób oczywisty liczył także na pomoc Aliantów w osiągnięciu kompromisu, który pozwoliłby uratować substancję biologiczną narodu i częściowo przynajmniej zachować wolność wewnętrzną. Sosnkowski natomiast miał na myśli masowy *exodus* najbardziej zagrożonego wartościowego elementu na zachód. Było jasne, że powrót tych ludzi stanie się możliwy tylko w szeregach wojska wkraczającego do Polski w chwili pobicia Rosji. Generał był zdecydowanym przeciwnikiem jakichkolwiek ustępstw. Z na-

* W jednej z poprzednich rozmów Sosnkowski przepowiadał, że trzecia wojna światowa wybuchnie w ciągu pięciu lat.

szych praw — mówił — nie wolno niczego uronić. Trzeba zachować na przyszłość wszystkie moralne i formalne prawa Polski, jako skrzywdzonego sojusznika.

Na najbliższą przyszłość Generał był skrajnym pesymistą. Obawiał się, że jeśli dojdzie do skutku podróż Mikołajczyka do Moskwy, skończy się ona kapitulacją wobec Stalina. Skutki będą nieobliczalne, wojsko tego nie wytrzyma. Dojdzie do buntu. Żołnierz będzie wołał pójść za druty, aniżeli pogodzić się z jeszcze jednym rozbiorem i niewolą.

— A więc znowu Szczypiorno — pomyślałem sobie w duchu.

Z kolei Generał przeszedł do omawiania swoich trudności. Usłyszałem jeszcze raz to wszystko, czego wysłuchałem w wieczór wigilijny u państwa Sosnkowskich. Z tą różnicą, że teraz czytał obszernie wyjątki wprost z depeszy mającej przedstawić czynnikom kierowniczym w Polsce całokształt sytuacji. Jej centralnym punktem była osoba Sosnkowskiego. Wszystko znowu obracało się wokół tej osi. Była ona kamieniem probierczym postępowania Anglosasów wobec Polski. Ataki na Naczelnego Wodza, żądanie jego ustąpienia były zamachem na niepodległość Polski. Sosnkowski niedwuznacznie oskarżał Mikołajczyka o inspirowanie ataków przeciw niemu w prasie brytyjskiej.

Stawiając się w położenie adresatów w kraju przypuszczałem, że ta ocena będzie przez nich źle przyjęta. Patrzyli oni na wydarzenia z innej perspektywy. Zbliżała się burza w najbardziej dosłownym znaczeniu i lada tydzień mogli się znaleźć w samym oku cyklonu. Musieli chyba liczyć się z tym, że oni sami zostaną zmieceni z powierzchni. Sprawy personalne w tym układzie schodziły na plan bardzo daleki. Sosnkowski wysuwał je na czoło. W ocenie Sosnkowskiego za dużo było o samym Sosnkowskim.

Oczywiście słuchałem wszystkiego uważnie nie zdradzając własnych myśli. Miałem wszystkie powody, by odnosić się do Generała z wdzięcznością. Z jego rąk dostałem *Virtuti Militari* i awans na porucznika. Był serdeczny jak ojciec i nigdy nie usiłował uczynić ze mnie narzędzia swojej gry, bo sam zresztą żadnej gry nie prowadził. A jednak nie mogłem oprzeć się wewnętrznemu przekonaniu, że za tą wspianą fasadą i wielkim rozumem nie było siły i zdecydowania, o jakie wołała chwila historycznego kryzysu. „Szef” — żarliwy patriota, prawy i rozumny człowiek — nie dorównywał charakterem i wolą swemu wielkiemu Komendantowi.

Rozmowa z Generałem trwała blisko cztery godziny. Na koniec zeszła na temat stosunku Anglików do Armii Krajowej. Wówczas dopiero z ust samego Naczelnego Wodza dowiedziałem się, że samolot, którym mam lecieć do kraju, zabierze z Polski

części jeszcze jednej nowej broni Hitlera. W „Szóstce” sprawy wywiadu otoczone były tajemnicą, do której nie miałem dostępu.

W dniu następnym wylecieliśmy do Włoch a po południu znaleźliśmy się we wspinałym pałacu burbońskim w Casercie, pod Neapolem. Zupełnie nieoczekiwanie wezwał mnie do siebie płk Demel i oznajmił, że Naczelny Wódz zmienił zdanie i zdecydował, że będzie lepiej jeśli z Neapolu polecę wprost do bazy, zamiast z nim razem do 2-go Korpusu. Pułkownik nie podał motywów Generała, a ja nie zadawałem pytań. Chciałem tylko odmeldować się osobiście, pożegnać z Naczelnym Wodzem i podziękować mu, że zabrał mnie ze sobą. Demel oświadczył, że gen. Sosnkowski odpoczywa, nie należy go budzić. Odjechałem więc do Neapolu przed wieczorem w towarzystwie ppłk. Kijaka bez pożegnania, dziwiąc się w duchu, co się stało.



W polskiej bazie pod Brindisi zameldowałem się rano 17 lipca 1944. W ciągu następnego tygodnia sytuacja, jaka istniała w chwili rozmowy z gen. Sosnkowskim uległa radykalnej zmianie. Doszło do nieudanego zamachu na Hitlera. Rosjanie przekroczyli linię Bugu i utworzyli w Chełmie marionetkowy Komitet Wyzwolenia Narodowego. Ofensywa sowiecka na północy i południu czyniła z każdym dniem nowe postępy i front zbliżał się coraz bardziej ku Warszawie. W dn. 24 lipca zażądałem od dowódcy bazy płk. Hańczy wysłania do Sosnkowskiego pod Ankonę depeszy z zapytaniem czy ma dla mnie jakiegokolwiek nowe instrukcje do przekazania dowódcy AK. Hańcza odmówił tłumacząc, że gdyby Naczelny Wódz miał mi coś nowego do zakomunikowania, przysłałby po mnie swój samolot lub oficera do zleceń z listem. W nocy z 25 na 26 lipca przerzucony zostałem do kraju. Na skutek intrygi gen. Tatara, który opóźnił wysłanie depeszy zawiadamiającej o odlocie emisariusza — do gen. Bora i jego sztabu dotarłem dopiero w godzinach rannych 29 lipca.

VI

W mieszkaniu na Śliskiej 6 zasiadam przy okrągłym stole. Mam po lewej stronie „Bora”, obok niego siedzi „Grzegorz”, dalej „Prezes” i jeszcze jakiś nieznany oficer. Po prawej ręce mam płk. Bokszczanina — „Sęka”, dalej siedzi mjr Karasiówna, znana pod pseudonimem „Haka”. Moje przybycie przerywa jakąś ważną naradę. Mam w głowie starannie ułożoną dyspozycję i bardzo dużo do powiedzenia. Nie wiem, jak długo pozwolą mi mówić, każda minuta jest droga, nie wolno rzucić ani jednego niepotrzebnego słowa.

Już po kilku wstępnych zdaniach „Bór” przerywa pytaniem: — Czy przywozi pan jakieś instrukcje albo rozkazy od Naczelnego Wodza?

Przystępuję do streszczenia czterech wariantów przedstawionych przez Sosnkowskiego w altance w Algierze. „Bór” przerywa znowu lekceważącym machnięciem ręki.

— Panie, my to wszystko znamy już z depesz. Kiedy rozmawiał pan ostatni raz z Generałem?

— Dwa tygodnie temu, trzynastego lipca w Algierze.

— Jak to, przecież przed chwilą mówił pan, że leciał pan z Sosnkowskim do Włoch.

— Tak, ale czternastego lipca Generał kazał mi zameldować się w bazie w Brindisi, a sam poleciał dalej do 2-go Korpusu. Od tego czasu nie miałem z Naczelnym Wodzem żadnego kontaktu.

„Bór” wymienia szybkie, znaczące spojrzenie z „Grzegorzem” i każe mówić dalej.

VII

Gdy generał Sosnkowski przybył w latach pięćdziesiątych z Kanady do Londynu w zamiarze zjednoczenia emigracji przyjechałem specjalnie z Monachium, by usłyszeć wprost od niego odpowiedź na pytanie nurtujące mnie od czasu, gdy rozstałem się z nim we Włoszech w lipcu 1944 roku.

Generał przyjął mnie w mieszkaniu jednego ze swych dawnych adiutantów na Maida Vale. Rozmawialiśmy w cztery oczy. Zapytałem go wprost, dlaczego wysyłał depesze z Włoch okólną drogą przez Londyn, zamiast, mając mnie pod boki, przekazać swoje rozkazy czy instrukcje ustne albo szyfrowanym listem wprost do Warszawy? Dlaczego kazał mi 14 lipca odjechać do bazy w Brindisi i nie wezwał do siebie przed odlotem? Przecież depesze wysyłane przez Londyn do Warszawy szły tak długo, że w końcu żadna z nich nie dotarła przed Powstaniem? Dlaczego nie korzystał z radiostacji na bazie „Jutrzenka”, która znajdowała się na miejscu?*

Sosnkowski spochmurniał i odpowiedział z hamowanym gniewem:

* Według gen. Kopańskiego wymiana depesz szyfrowanych między Naczelnym Wodzem pod Ankoną a Londynem trwała 3 dni, między Londynem a Warszawą sześć. W rezultacie ostatnia depesza jaką Bór otrzymał od Sosnkowskiego przed 1 sierpnia — pochodziła z 7 lipca (S. Kopański *Wspomnienia wojenne*, „Veritas”, Londyn, 1972).

— Ja nie należę do tych, którzy by rozkazy o tak wielkiej wadze wysyłali przez „umyślnego” za plecami Prezydenta i rządu. Mogłem kierować je tylko za ich wiedzą, a więc tylko przez Londyn.

Przez szacunek dla Generała nie zadałem pytania, które samo się narzucało: dlaczego wobec tego w najbardziej przełomowym momencie wojny, kiedy decydowały się losy Warszawy, Armii Krajowej i Narodu wyjechał z Londynu, zszedł z mostku kapitańskiego i porzucił koło sterowe. Dlaczego nie posłuchał, kiedy Prezydent dwukrotnie wzywał go do powrotu?

Rozstając się z Generałem, którego nigdy już później nie spotkałem, pomyślałem jednak, że ta jego odpowiedź w gruncie rzeczy pasuje do jego legalistycznej natury. Przecież już w 1926 roku miotany koniecznością wyboru między wiernością swemu Komendantowi a przysięgą żołnierską na wierność Prezydentowi, palnął sobie kulę w serce na szczęście chybiając.

Przy innej okazji powtórzyłem tę rozmowę gen. Andersowi, który z miejsca rozwiązał moje przypuszczenia.

— Sosnkowski nie był z panem szczery — powiedział gen. Anders. Przyjechał do Włoch z konkretnym planem. Był pewny, że Mikołajczyk pojedzie do Moskwy, skapitułuje tam przed Stalinem, odda mu Lwów, Wilno i wpuści komunistów do rządu. Chciał na to odpowiedzieć buntem żołnierzy 2-go Korpusu. Ja na to nie poszedłem. Powiedziałem moim oficerom, że do żadnej awantury nie dopuszczę. Po pierwsze to byłby rokosz nie tyle przeciwko Mikołajczykowi, ile przeciw Prezydentowi; a po drugie przekreśliłoby to raz na zawsze możliwości współpracy z Aliantami na wypadek wojny z Rosją. Jak pan widzi Sosnkowski nie czuł się wtedy związany legalizmem. Wyobrażał sobie że 2-gi Korpus, po wypowiedzeniu posłuszeństwa rządowi będzie mógł dalej walczyć z Niemcami u boku Sprzymierzonych, chyba w charakterze jakiejś legii cudzoziemskiej. Ja uważałem, że zostaniemy rozbrojeni i internowani. Anglicy nie mieliby innego wyboru.

W dziesięć lat później pełne potwierdzenie słów gen. Andersa znalazłem w relacji najbardziej zaufanego powiernika i doradcy gen. Sosnkowskiego — kpt. Witolda Babińskiego (*Przyczynki historyczne*, Londyn, 1967, str. 380-381). Dowiedziałem się z niej, że Sosnkowski nie tylko szykował się do wypowiedzenia wraz z wojskiem posłuszeństwa rządowi, ale opracowywał już nawet odezwę do żołnierzy.

Po tym wyjaśnieniu pozostała już tylko hipoteza, że generał Sosnkowski nie skorzystał z tego najszybszego i najkrótszego

sposobu przekazania rozkazów dowódcy AK, jaką był odlot do Warszawy emisariusza, ponieważ jego depesze wysyłane długą, okólną drogą przeznaczone były dla historii, a nie dla adresatów w Kraju.

Jan NOWAK

Tadeusz KATELBACH

BEZDROŻA (2)

12 kwietnia 1944, środa, 1sza w nocy

W Londynie zupełna wiosna. Na komisji niemieckiej znowu przemawiał pułkownik Kijak — pocieszyciel.

Kwiecień, piątek, 12.30 w nocy

Wieczorem byli Kotiużyńscy. Ściągnęli do Londynu z Palestyny. Długo słuchaliśmy opowieści o nieznanym kraju.

Po południu spotkałem się u Ritza z pułkownikiem Janem Kowalewskim. Wygląda doskonale. Wrócił po kilkuletnim pobycie w Lizbonie. W porównaniu z nami robi wrażenie psychicznie wypoczętego. Lubię z nim gadać. Jest bardzo inteligentny, czytany i bardzo pracowity. Sądy ma bystre, czasem zaskakujące, błyskotliwe. Ciekawie mówi o drugim froncie. Pragnie, aby się wreszcie zaczął, ale ma obawy, czy się operacja uda. Niemcy nie są jeszcze zupełnie rozłożone. Podobno Himmler chce je teraz wyciągać z matni i szuka porozumienia z Moskwą. Sytuacja Polski jest ciężka. Polska musi się dogadać... Pytam z kim, czy z Rosją? Kowalewski w odpowiedzi rozkłada znacząco ręce.

Cieszę się, że przyjechał.

Kwiecień, niedziela, 3-cia po południu

Dżdżysty, wstrętny dzień. Tarnopol wzięty. Biedny Siekanowicz!

Kwiecień, poniedziałek, o północy

Od rana piękna pogoda, ale przez cały dzień byłem wściekły. W „Cambridge Theatre”, przy wypełnionej sali, odbyło się przedstawienie „Drugiej Wyspy”. Byli rządowi „honorations” w komplecie, z wyjątkiem Prezydenta. Prawie gala.

Jedlicki latał podniecony i zachwycony. Było go pełno w całym teatrze. Ja, przeciwnie, kryłem się po kątach. Gdy się sztuczdy skończyło, odetchnęłem. Usłyszałem „rzęsiste” oklaski, czym prędzej cofałem się w stronę garderoby, gdy nagle zdybał mnie Jedlicki. Niemal przemocą wciągnął na scenę. Złożyłem widowni niski ukłon i w kilku susach znalazłem się w garderobie.

Wracaliśmy całą gromadą do domu. Pani Eddy, Staś Westfal i Mackiewicz przekonywali mnie, że sztuka wypadła wcale dobrze. Mimo to byłem niepokieszony. Jedyna pociecha, że dochód z przedstawienia pójdzie na aktorów w Polsce.

Kwiecień, środa, 1-sza w nocy

Był krótki nalot.

Dziś i wczoraj — nastrój podniecenia. Niektórzy przepowiadają inwazję już na jutro, bo to urodziny Hitlera. Inni na 23 kwietnia, bo to świętego Jerzego, patrona Jego Królewskiej Mości.

Nie wiem jak będzie z tymi prorocztwami, ale jedno jest pewne: żołnierze amerykańscy zniknęli z ulic Londynu. Przez miasto ciągną wciąż ciężarówki pełne wojska. Rzecznik rządu brytyjskiego zapowiedział, że ograniczenia w obrocie pocztowym potrwają krótko, tylko w „pierwszej fazie inwazji”.

Wystarczy to by się bawić w domysły. A może Brytyjczycy blufują? Może jedynie robią wielki szum, by wiązać 50 czy 60 dywizji niemieckich w Europie? Pytań takich jest więcej. Ludziska bawią się nawet w zakłady.

Kwiecień, piątek, 11.30 w nocy

Recenzent *Dziennika Polskiego* (Marek Święcicki) zjechał bezlitośnie „Drugą Wyspę”. Nie mam mu tego za złe. Wyobrażam sobie jak to Jedlicki przeżywa! Dziwię się, że jeszcze nie dzwonił.

Ale to nie ważne. Ważne, że dniem i nocą szumią nad

naszymi głowami lecące na kontynent samoloty. Niebo dudni. W tej chwili również.

Kwiecień, niedziela, 3-cia po południu

Na świecie ciepło i słonecznie. Inwazji jak nie ma tak nie ma. Ale się zbliża. Wczoraj rozmawiałem z młodym marynarzem ze „Ślązaka”. Nie wątpi, że inwazja będzie i to niedługo. Zbyt wiele widział przygotowań inwazyjnych. Otrzymał urlop tylko na 4 dni.

Wierzę marynarzowi, a nie rozpolitykowanemu spadochroniarzowi ze Stronnictwa Narodowego, który twierdzi, że inwazji nie będzie. Po co inwazja? — dowodzi. Co za sens pomagać Rosji, gdy Niemcy usiłują powstrzymać napór sowiecki na Europę? Najpierw Niemcy muszą rozbić sowieciarzy, a potem trzeba będzie „wykończyć” Niemców. Jeszcze w roku ubiegłym można było może tak rozumować. Dziś — nie ma po temu żadnych podstaw.

Największą sensacją w naszym świątku politycznym jest przybycie samolotem do Londynu, kilku „ważnych osobistości” z Kraju. Powiedział mi o tym Bronisław Hełczyński. Wymienił tylko jedno nazwisko — Zygmunta Berezowskiego ze Stronnictwa Narodowego. Mackiewicz z którym podzieliłem się tą wiadomością zachmurzył się. Ma złe przeczucia. Osobiście nie mam żadnych. Jestem po prostu ciekaw, jak wypadnie konfrontacja przedstawicieli krajowego podziemia z rządem i politykami emigracyjnymi, którzy nas zapewniali, że nieomylnie reprezentują opinię Kraju.

Kwiecień, poniedziałek, po północy

Nastrój przedinwazyjny. Plotka goni plotkę. Göring w Madrycie. Czy w przededniu inwazji szuka pośrednictwa Franka?

Churchill miał rozmawiać z Mikołajczykiem. Podobno towarzyszyli mu delegaci przybyli z Kraju.

Kwiecień, wtorek, 2-ga w nocy

Był znowu krótki alarm.

W związku z przybyciem Berezowskiego w szeregach Stronnictwa Narodowego zapanowała konsternacja. Dlaczego? Nie rozumiem.

Kwiecień, czwartek, po północy

Wczorajszej nocy dwukrotnie zrywały nas alarmy: jeden o 2-giej, drugi o 5-tej nad ranem.

Niedawno wyszedł Kowalewski. Gadaliśmy długo. Wnioski raczej smętne. Rosja wie o co walczy. Niemcy — również. A świat zachodni?

Wokół „piątki”, która przyleciała z Polski, pełno domysłów. Chciałbym bardzo pomówić z którymś z delegatów. W cztery oczy. Szczerze, bez świadków. Berezowskiego nie znam. Pewno nie znam także pozostałych.

30 kwietnia, niedziela, 4-ta po południu

Słoneczny, ciepły dzień. Nie potrafimy cieszyć się wiosną. Niczym. Nadstawiamy tylko ucha, czy nie zaczęła się inwazja i liczymy odległość dzielącą wojska sowieckie od Warszawy. O konsekwencjach politycznych tego co się na frontach dzieje wolimy nie myśleć.

Dzień wczorajszy przeszedł pod znakiem zapowiedzi, że inwazja zacznie się „lada godzina”. Rozeszła się nagle plotka, że Dania będzie przyczółkiem wypadowym na Kontynent.

Sprawa składu delegacji z Kraju powoli się wyjaśnia. Wśród trzech wojskowych znajduje się m.in. generał Tatar (nie znam go) i jakiś porucznik.

Z Berezowskim rozmawiało już wiele moich znajomych: Mackiewicz, Mękowski i endecy: Rojek i Siekanowicz nie mówiąc oczywiście o Bieleckim. Ktoś opowiadał, jak to Berezowski narzeka na kuchnię angielską i na kuchnię polską w Anglii, a chwali befsztyki jakie spożywał w Kraju. Po wizycie u Churchilla używa przy każdej okazji zwrotu „powiedziałem Churchillowi”. Podobno bardzo zarozumiały facet. Relacje Berezowskiego o Kraju nie wnoszą nic nowego. Z tego co mówi o stosunkach politycznych na emigracji, można wnioskować, że będzie usiłował robić klajster między Stronnictwem Narodowym i rządem Mikołajczyka.

2 maja, środa, 1-sza w nocy

Bez entuzjazmu pojechałem z Zinką i Janką na akademię 3-majową do Westminster Central Hall. Przemawiał w imieniu rządu brytyjskiego Bevin. Był Prezydent, Mikołajczyk, Sosnkowski. Wynudziłem się.

Wieczorem zaszedłem do Mackiewicza. Po rozmowie z Bieleckim uważa, że konflikt między Bieleckim i Berezowskim zostanie załatwiony. M. Seyda i W. Komarnicki ustąpią z rządu, a na ich miejsce wejdzie Berezowski i jakiś drugi autentyczny przedstawiciel Stronnictwa Narodowego. Może również poszerzą skład Rady Narodowej. Mackiewicz sądzi, że „delegaci” przywieźli zgodę Kraju na pozbawienie Sosnkowskiego godności następcy Prezydenta. Jestem tym przygnębiony.

Potwierdza się wiadomość, którą usłyszałem wczoraj, że dr. J. Retingera (zaufanego Mikołajczyka i Anglików) zrzucano do Polski. W jakim celu? Co znaczy ta wyprawa? A może chodzi o to, aby się na miejscu przekonał o sile naszego podziemia? Facet nie pierwszej młodości. Wyczyn świadczy w każdym razie o jego odwadze. Wycieczka do Polski wzbogaca jeszcze jednym awanturniczym rozdziałem burzliwy życiorys człowieka, który już nie z jednego pieca chleb jadał. Miłował go Sikorski.

6 maja, sobota, 10 wieczorem

Byłem na nabożeństwie za Korzeniewskich i Stanisława Bukowieckiego. Wśród obecnych spotkałem m.in. kolegę — senatora Godlewskiego, przemiłego gadułę kresowego. Nie lubi Prezydenta. Twierdzi, że Raczkiewicz „uzgadnia” teraz wszystko z Mikołajczykiem i że się już zgodził na spławienie Sosnkowskiego. Mówi, że Kot zabiega o Berezowskiego, czarując go teką ministra spraw zagranicznych. Piłsudczyków będą po staremu wykańczali.

Nie dziwią mnie te wiadomości. Ostatnią szansę zrobienia porządku w grajdółku rządowym miał Raczkiewicz w roku ubiegłym po tragicznej śmierci Sikorskiego. Nie skorzystał z niej. Musi teraz robić kompromisy. Idzie na nie bez trudu, bo taką ma naturę. Obawiam się, że kiedy otworzy się wreszcie możliwość zupełnej reorganizacji ośrodka rządowego, będzie za późno.

8 maja, poniedziałek, po 1-szej w nocy

Amerykański mąż stanu Harriman zwierzał się komuś z Polaków, że Stalin jest „bardzo mile” dla Polaków usposobiony i że szczerze pragnie odrodzenia niepodległego państwa polskiego. Ma już rzekomo przygotowany rząd polski i to nie komunistyczny! Ale z rządem polskim w Londynie nie chce gadać.

Wszystko się zgadza. Moskwa chce załatwiać sprawę polską

we „własnym zakresie”. Jak tak dalej pójdzie przestanie o niej rozmawiać z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi.

10 maja, środa, o północy

Cztery lata temu zaczęła się inwazja niemiecka na Belgię, Holandię i Francję. Wracają obrazy Francji, zbudzonej nagle z błęgiego snu w jaki zapadła po pierwszej wojnie. Potem koszmarna ucieczka do bombardowanego Bordeaux, Biarritz i przez Hiszpanię — do Portugalii. Cztery lata szarpaniny, przerywanej od czasu do czasu optymistycznymi wzlotami. Jak się okazało — nieuzasadnionymi.

12 maja, piątek, 2-ga w nocy

Od rana upał jak w lipcu. Pierwszy raz nie poszedłem na nabożeństwo za Marszałka Piłsudskiego. Nie chciałem oglądać dobrze znanych twarzy i słuchać tych samych biadań.

Południowy *Evening Standard* przyniósł wiadomości o „Allies attack in Italy”. 5-ta i 8-ma armie brytyjskie przeszły do ofensywy. Oznacza to, że w rozpoczętej — jak się zdaje — operacji na wielką skalę, biorą udział jednostki polskie pod wodzą gen. W. Andersa. Wyobrażam sobie, jak się będą biły! Dla kogo? Polsce nic to nie pomoże.

Ofensywa na froncie włoskim jest chyba fragmentem wielkiej akcji inwazyjnej na kontynent. Tak mi się wydaje, choć Mackiewicz i wielu innych Polaków, dalej w inwazję nie wierzy. Przed paru godzinami mówiliśmy o tym. Mackiewicz widząc, że mnie nie przekona, rozgadał się o sprawach wewnętrznych. Orientuje się w nich teraz lepiej ode mnie. Kręci się bez ustanku. Wiecznie się z kimś spotyka. Ja, przeciwnie, raczej unikam ludzi. Nie umiem przejmować się tematyką emigracyjną.

Mackiewicz twierdzi, że nie będzie żadnej reorganizacji rządu. Wywiady prasowe Stańczyka w Stanach Zjednoczonych, awanturnicza podróż Retingera (jest już w Warszawie), spławianie Sosnkowskiego — wszystko to zmierza do umocnienia pozycji Mikołajczyka. Przestał się liczyć z postulatami Berezowskiego w sprawie reorganizacji. Berezowski przegrał. Kiedy się zorientował z kim ma do czynienia powinien był walić pięścią w stół, a nie układać się. Teraz na taką postawę za późno.

Mackiewicz sapał z oburzenia. Ledwo wyszedł, zadzwonił Tadeusz Tomaszewski, Prezes Najwyższej Izby Kontroli Państwa.

Tak samo klnie Berezowskiego. Potem opowiadał o sekundantach, których komuś wysłał inny socjalista promikołajczykowski autoramentu — minister Grosfeld i o tym, że Wacio Zbyszewski z inspiracji mjr. J. Jawicza (adiutanta Sosnkowskiego) napisał list w sprawie Sosnkowskiego do londyńskiego *Observera*.

Idę spać. Na dziś dosyć tych wewnętrznych historii.

16 maja, wtorek, 12.30 w nocy

Zrobiło się zimno. Być może, że ta nagła zmiana pogody ostudziła we mnie gorączkę oczekiwania na inwazję. A może „Słoń” (jak nazywamy między sobą Mackiewicza) ma rację? Może cały ten szum wokół inwazji skończy się ofensywą we Włoszech?

W naszym świecie dominują iście polskie sensacje. Wybuchła „bomba”, którą spreparował p. Modelski (nie generał Izidor Modelski, zausznik Sikorskiego i Mikołajczyka). Modelski pełnił jakąś odpowiedzialną funkcję w naszym ministerstwie spraw wewnętrznych. Otóż ten właśnie Modelski wystosował list do ministra spraw wewnętrznych Banaczyka pełen bardzo kompromitujących go zarzutów. Tak przynajmniej mówią ci, którzy już zdążyli przeczytać elaborat Modelskiego. Równocześnie polski Londyn obieżyła plotka, że na tle zasadniczych różnic politycznych ustąpią z gabinetu Kukiel i Kot. Inna znowu głosi, że misja Berezowskiego rzeczywiście skończyła się zupełnym fiaskiem, wobec czego między Berezowskim i Bieleckim nastąpiła zgoda.

Do ostatniej pogłoski dorzucił parę interesujących szczegółów Witek Czerwiński. Rozmawiał z członkiem „delegacji” przybyłej z Polski, dawnym swoim znajomym Stanisławem Stanisławskim (pseudonim), kijowskim zetowcem. Stanisławski nie tai, że Berezowski rozegrał wszystko fatalnie i że o swoich poczynaniach nie informował reszty krajowych delegatów. Stanisławski chce jeszcze próbować na własną rękę. Jest przygnębiony obliczem rządu.

18 maja, czwartek, około 1-szej w nocy

Wojska polskie po ciężkich walkach zdobyły klasztor na Monte Cassino. Radio brytyjskie odmienia słowo: *Poles*. W prasie pełno informacji o zdobyciu klasztoru. Między innymi

o jakimś romantycznym oficerze polskim, wchodzącym na zdobyte wzgórze z książką i różami w ręku...

Radowałoby się serce, radowałaby dusza, gdybym wiedział dla kogo i po co krwawi się dalej żołnierz polski. Nie wiem. Pewno w imię patetycznego hasła: wytrwania do końca przy boku sprzymierzonych. Honor, honor! Wiecznie to samo.

A temu nowemu czynowi oręża polskiego okupionemu pewno wielkimi ofiarami towarzyszą małe gierki szefa rządu, który myśli tylko o tym jakby nabić w butelkę przedstawicieli zmagającego się z okupantem niemieckim, bohaterskiego podziemia. Czini tak, by w oczach Brytyjczyków umocnić swą pozycję — niezastąpionego. Jest im na pewno potrzebny i wygodny. Będzie tańczył jak zagrają. A Anglicy pragną teraz tylko jednego: aby Polacy nie psuli im sielanki z Moskwą.

To przecie takie jasne! Ale nie dla wszystkich. Spotkałem dziś ministra „prac kongresowych” Mariana Seydę. Z całą powagą przekonywał mnie, że wśród Brytyjczyków rosną antysowieckie nastroje i że go to nawet... niepokoi! Nie oponowałem. Pomyślałem sobie: Biedna Ojczyzno moja, która masz takich ministrów!

20 maja, sobota, 4-ta po południu

Prasa angielska nadal pełna hymnów na cześć bohaterstwa żołnierza polskiego. Ale z powodzi tych hymnów warto przytoczyć tylko jedno jedyne uczciwe zdanie. Znalazłem je w socjalistycznym *Daily Herald*. „*Indeed, it seems incredible that the Poles under such conditions were ever able to force the Germans back*”. Rzeczywiście to nie do wiary, aby w sytuacji w jakiej znajduje się Polska, jej żołnierze bili Niemców, walcząc na obcej ziemi, na froncie politycznie dla Polaków najzupełniej obojętnym. Nie do wiary, że żołnierz ten walczy w czasie gdy jego Naczelnemu Wodzowi Rada Narodowa z inspiracji Mikołajczyka i kompanii odmawia zaufania, a poczytny tygodnik londyński *Observer* (z tej samej inspiracji) zapowiada dalsze ataki na Sosnkowskiego.

O tym wszystkim Kraj nie ma pojęcia. Nabrzmiały żądzą porachunku z bestialskim wrogiem, nie dostrzega nawet tragizmu bezcelowej walki żołnierza polskiego na obcych frontach. Przeciwnie. Wieści o zwycięstwie na Monte Cassino podniecą w Polsce żądę porachunku, ba, chęć dorównania bohaterom spod Monte Cassino, gdy się tylko po temu nadarzy okazja.

Wciąż o tym myślę. Uczciwe zdanie przeczytane w dzienniku angielskim znowu narzuca takie refleksje.

23 maja, wtorek, 6 po południu

Wróciłem przed chwilą z zebrania, organizowanego od czasu do czasu przez nasze Ministerstwo Informacji i Dokumentacji dla Polaków biegle władających językiem angielskim. Wygłaszają „w terenie”, czyli wśród Anglików, pogadanki informacyjne o Polsce.

Głównym referentem był Jerzy Lerski. Rozwodził się, między innymi, długo o tym, jakim bezapelacyjnym autorytetem cieszy się w Kraju rząd polski i jego premier Stanisław Mikołajczyk. Zaatakował z furją Mackiewicza za jego krytykę rządu Mikołajczyka. Zaperzony, mówił głosem podniesionym, że Mackiewiczowi należałoby dać „po portkach” za te ataki, godne pismaka, a nie publicysty. Oświadczył wreszcie, że ludzie typu Mackiewicza będą mieli raz na zawsze zamknięty powrót do Polski. Oczywiście — jak się łatwo domyśleć — rządzonej przez Mikołajczyka.

Z niesmakiem słuchałem młodego oratora, ferującego z tupe-tem wyroki nie tylko z wysokości pięknego wyczynu kurierskiego. Głosi je mając pewność, że stoi za nim rząd, którego tak zaciekle broni.

24 maja, środa, wieczorem

Powódz wydarzeń. Mowa Churchilla. „Anzio-Break”. 3.000 samolotów alianckich nad Rzeszą i okupowanymi przez Niemców krajami. Poleciały bomby na Berlin, Paryż, Wiedeń. Nawet Goebbels — jak pisze prasa angielska — miał powiedzieć, że wojna wchodzi w decydującą fazę.

Na mapę frontu sowiecko-niemieckiego wolę nie spoglądać.

26 maja, piątek, o północy

Wróciliśmy przed chwilą od Mackiewicza i pani Eddy. Pocho- dziliśmy trochę wokół bloku naszych domów. Skusiła nas do spaceru ciepła, księżycowa noc.

Polacy zdobyli Piedimonte. Droga do Rzymu otwarta. Jesteśmy dumni z tych nowych sukcesów oręża polskiego. Już się tych uczuć nie wyzbędzie moje pokolenie, które od dzieciństwa pieściło w sobie wizję żołnierza niepodległej Polski. Ale w obecnej sytuacji — przynajmniej ja — nie potrafię zbyt długo pod- dawać się nastrojom radości i dumy.

27 maja, sobota, 6-ta po południu

Ludzie podnieceni upałem i — wiadomościami. Rozchwytuja dzienniki. Klęska Niemców we Włoszech! W czasie Zielonych Świąt spodziewają się upadku Rzymu. Od samego rana niebo trzęsie się od samolotów alianckich. „Moskitują” — jak mówimy między sobą.

Znowu spotkałem Cata. Widujemy się teraz codziennie. Wymieniamy poglądy na temat wydarzeń międzynarodowych i wewnętrznych. Jest zdania, że Mikołajczyk próbuje dalej kusić Berzowskiego teką ministerialną, aby wyłączyć z gry prezesa Stronnictwa Narodowego — Bieleckiego. Rzec rozbija się o endeka wiernego Mikołajczykowi — Seydę, który ani myśli ustępować z rządu. Z drugiej strony podobno PPS opiera się wejściu do gabinetu prawdziwych endeków na miejsce oportunistów typu Seydy. Prezydent skapitulował w sprawie Sosnkowskiego. Godność Następcy ma objąć jakaś osobistość krajowa. Mówi się o Pużaku z PPS-u. Co myśli Sosnkowski? Mackiewicz twierdzi, że się podda. Sosnkowski jest legalistą. Prezydent zdecydował — klamka zapadła.

28 maja, niedziela, wieczorem

Korzystając z pięknej pogody spędziliśmy niemal cały pierwszy dzień Zielonych Świąt na Hampstead Hith. To niedaleko od nas. Trzecia stacja kolejki podziemnej. Od stacji spacer pod górę, skąd prowadzi szeroka droga do pięknych, rozległych parków. Można położyć się w wysokiej trawie i nikogo wokół nie widzieć. Prócz naszej trójki byli: Staś Westfal, J. Szembek, J. Dziewulska, W. Zagórowski, S. Kwiatkowski i S. Mackiewicz. Unikaliśmy rozmów politycznych. Było wyjątkowo przyjemnie.

29 maja, poniedziałek, po północy

Trwający od kilku dni upał przerwała — na krótko — burza. Nasze mieszkanie na czwartym piętrze, pod dachem, jest jednak tak nagrzane, że dalej nie ma czym oddychać.

Słuchaliśmy koncertu transmitowanego przez rozgłośnie niemieckie. Jakiś doskonały baryton i jeszcze lepsza koloratura. Przez chwilę zapomniało się o nienawiści. Czy przyjdzie kiedyś czas, że narody przestaną się nienawidzić? Może. Ale jeszcze

do tego bardzo, bardzo daleko, przynajmniej w Europie. A przecież stary kontynent, jak tylekroć, powinien służyć przykładem.

30 maja, wtorek, wieczorem

Nie chodzę na żadne konwentykle i zebrania. Nie szukam nikogo. Nadstawiam tylko ucha. Słucham i — gdy ochota przyjdzie — to i owo notuję. Witek rozmawiał znowu ze Stanisławskim. Stanisławski oblicza, że na różnych wysokich stanowiskach krajowego podziemia znajduje się 14-tu zetowców różnej maści, w tym pełnomocnik rządu — Jankowski. Kogo ma na myśli? Jankowski — to żadna niespodzianka. Jako student spotykałem go jeszcze na zebraniach warszawskiego ZET-u. Był wtedy NPR-owcem.

Witek zapytał Stanisławskiego w czyich rękach spoczęłyby rządy w Kraju, gdyby ich nie narzuciła Moskwa. Odpowiedział bez wahania, że na pewno nie w rękach zespołu politycznego importowanego z Londynu. Raczkiewicz ma w Kraju dużą pozycję — mówił — ale zawdzięcza ją urzędowi jaki piastuje. Do najbardziej niepopularnych ministrów zalicza Kota, Banaczyka i Grosfelda. Wielu ma jeszcze złudzenia co do Mikołajczyka. To skutek jego depesz z Londynu. Pozycja premiera również się do tego przyczyniła. A jakie zadania miała delegacja z Kraju? Dwa. Chodziło o zgranie czynników politycznych na emigracji i o zreorganizowanie służby informacyjnej dla Kraju. Dotychczasowe informacje były nierzetelne. Berzowski spaskudził wszystko. Zamiast żądać, dał się wciągnąć w „pertraktacje”. Sybaryta. Lubi się otaczać sztabem sekretarzy. Nie umiał zdobyć się na wysiłek, by *przeforsować* postulaty Kraju. W jakich okolicznościach delegacja opuszczała Polskę? Odlot odbywał się błyskawicznie. Mieli 8 minut czasu. Witek zapytał także Stanisławskiego, czy wszyscy piłsudczycy, którzy przed wrześniem rządili Polską, są w Kraju niepopularni? Stanisławski odpowiedział przecząco. Najniepopularniejszą postacią jest ostatni minister wojny, gen. T. Kasprzycki. Nic się nie dziwię.

Notuję skrótami przebieg rozmowy. Witek na pewno powtórzył ją bardzo dokładnie. Zawiera, przynajmniej dla mnie, wiele interesujących szczegółów. Witek określa Stanisławskiego jako człowieka inteligentnego, dobrej woli, ale miękkiego.

4 czerwca, niedziela, 1-sza po południu

Od kilku dni niczego nie zapisywałem. Noce były spokojne.

Odsypiałem zaległości. Nie działa się zresztą nic sensacyjnego.

Rzym może paść lada chwila. Akcja wojsk alianckich, którą kieruje marszałek Alexander, rozwija się pomyślnie. Zbliża się inwazja. Już nikt w to nie wątpi. Wielu wydaje się, że pierwsze uderzenie pójdzie na południe Francji.

5 czerwca, poniedziałek, 1-sza w nocy

Wczoraj wojska alianckie zajęły Rzym. Anglików rozpiera duma. „Pierwsza stolica europejska padła” — piszą. Wiele komentarzy w tym stylu. Ale na londyńskiej ulicy wcale się tego nie czuje.

Mikołajczyk wyleciał do Stanów Zjednoczonych.

Jeśli — jak mówią — inwazja może zacząć się w każdej chwili, należy przypuszczać, że w operacji wezmą znowu udział jednostki naszego wojska, stacjonowane na wyspie. Dalszy, bezcelowy upust krwi. Czy będziemy składali tę daninę nawet wtedy, gdy wojska sowieckie zajmą Warszawę? Czy zgodzi się na to Sosnkowski?

6 czerwca, wtorek, o północy

Nasze radio nie funkcjonuje. Ale Witek przyleciał rano, by się podzielić wiadomością o rozpoczętej inwazji.

Dzień wstał piękny, jak wtedy 10 maja 1940 roku w Paryżu, gdy zaczynała się inwazja uzbrojonych po zęby Niemców na moralnie zupełnie rozbrojoną zachodnią część kontynentu. Nie wiem czemu ten maj sprzed 4 lat dziś wspominam. Przecież sytuacja jest najzupełniej odwrócona. Nastrój ulic londyńskich, nie wyłączając tak ruchliwych punktów jak Piccadilly Circus, Leicester Square czy Oxford Street, nie przypomina niczym ówczesnej panikarskiej atmosfery Paryża. Chyba tylko długie ogonki do sprzedawców gazet.

Chodziłem nieco po centrum miasta. Spotkałem kilku znajomych Polaków. Wszyscy witają się z twarzami, na których bez trudu czytam dwa sprzeczne uczucia: radość i przygnębienie. Żal mi ich, no i siebie.

Wieczorem co chwila ktoś do nas dzwonił. Drzwi się nie zamykały. Około 8-mej wieczór dwa nasze pokoje wypełniła „po brzegi” gromada znajomych z Eton Hall i z dwóch sąsiednich budynków — Eton Place i Eton Rise.

Instynktownie odpędzaliśmy od siebie czarne myśli. A że

prasa angielska nadal nie szczędzi pochwał walczącym na froncie Polakom, więc głównie o tym mówiliśmy. Papiery polskie znowu poszły w górę na londyńskiej giełdzie politycznej. Przyjemnie więc było pocieszać się, że może po udanym uderzeniu inwazyjnym Anglicy nabiorą większej pewności i przestaną się tak liczyć z sowietami. Przyjemnie było również zauważyć, że ofensywa na froncie wschodnim przynajmniej na razie utknęła.

Odurzyłem się tą atmosferą. Zapomniałem nawet o bzdurnych pretensjach, że omal nie splamiłem imienia piłsudczyka! Na razie w ogóle nie mogłem zrozumieć o co chodzi. Okazało się, że popełniłem zaiste wielką „zbrodnię”! Oto po zaproszeniu Prezydenta na przedstawienie „Drugiej Wyspy” wpadliśmy z Jedlickim dosłownie na minutę do Mikołajczyka, aby i jego zaprosić, bo przecież premier. Rzeczywiście zwariowali. Wszystko to funta kłaków nie warte.

7 czerwca, po południu

Rano dowiedziałem się o śmierci Józefa Becka. Zmarł w Rumunii. Plan ucieczki pokrzyżowała intryga donosicieli Kota. Mimo błędów jakie na pewno popełniał, nie zasłużył na to, by mu Polacy zagrodzili drogę do wolności.

Poznałem Becka bliżej dopiero w latach 1933-37, gdy Piłsudski zgodził się wbrew niemu na mój wyjazd do Kowna w charakterze korespondenta *Gazety Polskiej*. Dlaczego „wbrew niemu”? Bo jako typowy pułkownik nie znosił zetowców i naprawiaczy. Nawet wtedy gdy zorientował się, że dobrze pracuję i że umiałem sobie ułożyć stosunki z litewskim ministrem spraw zagranicznych S. Łozarajtsem, nie umiał się powstrzymać od złośliwości. Kiedyś zapytał mnie: „Czy przypadkiem Łozarajtis nie jest również ex-zetowcem?”. Odpowiedziałem: „Nie, zetowcem na pewno nie był. Ale jako uczeń w Rosji, podobno należał do 'Petu', naszej szkolnej konspiracji”.

Beck był bezsprzecznie człowiekiem bardzo zdolnym. Pod tym względem wybór Piłsudskiego był trafny. Natomiast Piłsudski nie zdawał sobie sprawy z jego wielkich ambicji. Zawazyły one na wielu posunięciach politycznych Becka.

8 czerwca, czwartek, wieczorem

Everything is going excellently — zapewnia swych rodaków marszałek Montgomery. Byliśmy rano na Hampstead Hith.

Gadaliśmy tylko o inwazji. Wierzę, wbrew krakaniom Mackiewicz, że wszystko się powiedzie.

9 czerwca, piątek, wieczorem

Mój optymizm potwierdzają tytuły dzienników: *Progress everywhere*. Albo *6 miles wedge from Bayeux*, lub *Cherbourg treat*.

10 czerwca, sobota, 10-ta wieczorem

Signy falls, Caen our firm, Official front — solid for 40 miles. Czytamy od deski do deski depesze i komunikaty wojenne. Słuchamy wciąż radia.

Przez kilka godzin była u nas Florence Elliot. Zawarły z Janką polityczne zawieszenie broni. Ale Janka jest zacięta. Po wyjściu Florence powiedziała, że nie zapomni jej tych gratulacji z powodu „uwalniania” Polski przez wojska sowieckie.

11 czerwca, niedziela, 11-ta w nocy

Gazety nadal optymistyczne. Odezwał się front wschodni komunikatem o pierwszych zwycięstwach rosyjskich nad Finami. Dzielny naród. Karzelek skazany na sąsiedztwo brutalnego olbrzyma.

12 czerwca, poniedziałek, 2-ga w nocy

Ledwo zasnąłem, zbudził mnie około 4-tej nad ranem alarm lotniczy. Potem był jeszcze drugi.

Z frontu inwazyjnego tylko takie wiadomości: *Carentan falls, St.-Lo reached, Big treat to Cherbourg area*. Idą naprzód. Już w kinach pokazują pierwsze fragmenty walk inwazyjnych. Impo-
nujący wysiłek. Widok Churchilla obserwującego z brzegów Anglii przebieg operacji wywołuje burze oklasków.

13 czerwca, wtorek, wieczorem

Monty keeps 15 nazi divisions guesssing. We progress stea-

dily. Pełno domysłów wokół — jak się tu pisze — *Rommel mystery*.

14 czerwca, środa, wieczorem

A jednak Niemcy walczą jeszcze zawzięcie. Mówi o tym wiadomość zaopatrzona w wymowny tytuł *Bitterest fighting*. Treść nie mniej wymowna. *Bitterest armoured fighting since Allies landed in France raged yesterday at point south of Caen-St.-Lo line, which troops call „Birdcage Ridge” — says British United Press war correspondent. Enemy are groggy, almost stupefied, but fighting desperately.*

15 czerwca, czwartek, 6.30 po południu

Wczoraj po raz pierwszy od dnia inwazji zaczęliśmy się obawiać czy operacja „drugiego frontu” nie utknie na jakimś martwym punkcie. Ale odetchnęliśmy z ulgą. *US troops begin drive across peninsula.*

Widuję często Kowalewskiego. Zdaje się, że Kot darzy go zaufaniem. W związku z inwazją planuje jakąś akcję polityczną, którą nazywa „kontynentalną”. Ma o niej szczegółowo opowiedzieć.

16 czerwca, piątek, po 9-tej wieczorem

Przed chwilą skończył się krótki alarm. Ale to nie ważne. Wczoraj działy się przedziwne rzeczy.

Zaczęło się przed północą. Byliśmy u naszych sąsiadek: profesorowej Ujejskiej i jej córki Dygasowej. Są to chyba jedyne osoby, zajmujące jak my mieszkanie „pod dachem” (4 piętro), którego nigdy w czasie nalotów nie opuszczają. Otóż zaraz po syrenach alarmowych rozległy się niesamowite huki i wstrząsy. Pożegnaliśmy Ujejskie i zeszliśmy we troje na korytarz drugiego piętra. Staliśmy tu z innymi Polakami do 2-giej w nocy. Odwołania alarmu nie było. Wróciliśmy więc do mieszkania. Z odłali dochodziły echa nieustannego barażu artylerii przeciwlotniczej, walącej z różnych punktów wielomilionowego miasta. Położyliśmy się w ubraniach. Drżąc czekaliśmy do 9-tej rano na odwołanie. Zagadkę tej nocy wyjaśniła prasa poranna. W tytułach donosiła: *Pilotless plans raid Britain*. Wczorajsza noc, którą

cały Londyn spędził bezsenność, zmroziła optymistyczną atmosferę inwazyjną. Czy to tylko nowy bluff niemiecki — pytają się ludzie — czy też Hitler rzucił na szalę zmiennych losów wojny zapowiadaną od dawna nową broń niszczycielską? Nikt nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Natomiast na froncie inwazyjnym wszystko rozwija się pomyślnie. *All enemy attempts to take initiative frustrated.*

Spać się chce. Trzeba się położyć. Nie wiadomo przecież co przyniesie noc. Mikołajczyk wrócił z Ameryki.

17 czerwca, sobota, w południe

Minionej nocy mieliśmy dwa „normalne” alarmy. Można było się trochę przespać.

1-sza w nocy

Znowu alarm. Nie wiem już który z rzędu. Gdy po południu byliśmy w kinie były trzy, potem chyba dwa.

Gdy się ściemniło, stojąc przy oknach obserwowaliśmy na południowej ścianie horyzontu ciągnące bez przerwy jeden za drugim świetlne pukciki. Były to owe *Pilotless plans*, o których wczoraj pisała prasa.

Wobec nieustannych alarmów ludzie nie wiedzą co robić. Fataliści (należałbym do nich, gdybym mógł) kładą się jakby nigdy nic i śpią. Część usiłuje spać, ale budzi się przy łada szmerku. Inni w ogóle nie śpią a nie mogą się zdobyć na spędzanie całych nocy w kolejkach podziemnych. Żona nie wytrzymuje alarmów. Muszę coś zrobić, bo się nerwowo wykończy.

Mackiewicz chodzi przybity. Powtarza w kółko: „Jeszcze nie wiadomo co z tej pańskiej inwazji wyjdzie”. Mikołajczyka nazywa teraz agentem brytyjskim. Podobno pan Banaczyk poszedł na zieloną trawkę.

18 czerwca, niedziela, 6-ta rano

Przed chwilą odsunąłem sztory. Na świecie jasno. Z naszego czwartaka widać dachy okolicznych domów pokryte wilgocią porannej mgły. Z pobliskiego parku dolatuje świergot ptaków. Na ulicach pierwsi przechodnie. Przeważnie kobiety z tobołkami

i dzieci. Opuuszczają legowiska w kolejce podziemnej. Wracają do swych mieszkań.

Kiedy piszę, alarm trwa. Zaczął się, jak przedwczoraj po 11-tej w nocy i wciąż nie ma odwołania. Te nieodwoływane alarmy męczą ludzi. Gdy nad Londynem krążyły samoloty kierowane przez pilotów, alarmy trwały godzinę, dwie, często krócej. Teraz inaczej. Bezpośrednio po syrenach zapada paruminutowa cisza. Potem rozlegają się zrazu oddalone, później coraz głośniejsze huki artylerii przeciwlotniczej. Od czasu do czasu słysząc szum pojedynczego myśliwca. Wreszcie pęka gdzieś bezduszny robot powietrzny i znowu zapada dłuższa lub krótsza cisza.

W tej chwili jest właśnie taka przerwa. Może się jednak położyć? Ale czy warto? I tak ludziska biją się z myślami. Ostatecznie — jak żona — nie zmrużają oka. Podobna sytuacja jest u Siekanowiczów. I u nich nikt nie śpi.

19 czerwca, poniedziałek, 7-ma wieczorem

Od 1-szej w nocy, chwalić Boga, było spokojnie. Zinka z Janą spały na ziemi w przedpokoju. Aby dalej od okna. Inni sąsiedzi z 4-go piętra (z wyjątkiem Ujejskich) powędrowali na parter. Jak się zacznie „ożywienie” w powietrzu, może trzeba będzie pójść za ich przykładem. Straszne jest takie wypuszczone ze swego gniazda metalowe bydło. Jak się przemknie przez baraż nadbrzeżnej artylerii, nic go już z drogi nie zawróci. Wyprowadza to ludzi z równowagi. Nasze ministerstwo mieści się w tzw. Strattonie, wielopiętrowym niezwykle solidnym budynku. Podczas dawniejszych, „normalnych” nalotów wszyscy pracowali nie zwracając na nie najmniejszej uwagi. Dziś mieliśmy dwa alarmy. Niedaleko rozległy się potężne huki. Ludzie nie mogli usiedzieć na miejscach. Wstali od biur, spacerowali po pokojach lub wychodzili na korytarze. Bomby spadły w okolicach Oxford Street.

Popołudniowa prasa zapewnia, że niebezpieczeństwo zostanie wkrótce opanowane. Tak twierdzi RAF i AA (dowództwo artylerii przeciwlotniczej). Mam do tych zapewnień zaufanie. Jestem przekonany, że bądź zlikwidują wyrzutnie niemieckie na kontynencie, bądź znajdą już sposoby precyzyjnego zestrzeliwania latających potworów.

Allies pour into gap. 40.000 Germans caught in peninsula trap. Tak brzmią wiadomości z inwazyjnego frontu. Mackiewicz nie ma racji. Inwazja aliancka zakończy się zwycięsko, chyba, że

pociski bezpilotowe — to dopiero początek i że zjawia się w powietrzu jeszcze inne.

22 czerwca, czwartek, 6-ta po południu

Po zimnej nocy zrobiło się ciepło. Nad naszymi głowami szumią samoloty. Ale to „nasze”. A w ogóle *all clear* czyli wróg po niebie nie lata. Od godziny.

Między 3-cią i 5-tą po południu na Queens Gate, gdzie w trzypiętrowym domu urzęduje nasze M.S.Z. odbywało się posiedzenie międzyministerialnej komisji niemieckiej. Dom słabej konstrukcji. Można rzec wiatrem podszyty i od podmuchu bomby poszedłby jak domek z kart.

Płk Kijak robił właśnie wykład o latających bombach, gdy rozległy się syreny. Zaraz potem usłyszeliśmy — jak się nam wydawało — tuż, tuż nad domem „poszum” dwóch bomb. Wkrótce rozległy się huki. Dom zatrzęsł się w słabych posadach. Kijak przez cały czas spokojnie kontynuował wykład. Jak się okazało, bomby spadły o paręset metrów od M.S.Z.-u.

Choć na razie *all clear*, ciekaw jestem jaki będzie wieczór i jak przejdzie noc. Wczorajsza była podła. A mieliśmy nadzieję, że Anglicy już wykryli niemieckie wyrzutnie schowane w okolicach Pas-de-Calais czy gdzie indziej. Zaczęło się o północy i trwało do rana. Wędrowaliśmy. Najpierw z czwartego piętra na trzecie do Czerwińskich, potem na drugie do Siekanowiczów.

Zmęczenie na wszystkich twarzach. Londyńskie „podziemie” zatłoczone teraz nawet w dzień. Za to nad ziemią, na ulicach, zrobiło się bardzo przestronnie. „Tiuby” (czyli stacje kolejek podziemnych) mają teraz nawet w dzień stałych bywalców, w nocy — stałych lokatorów. Przypominają mi widok jedynego domu noclegowego jaki kiedyś przypadkowo, bezpośrednio po pierwszej wojnie, widziałem w Wiedniu. Lokatorzy londyńskich „tiubów” (wśród których krążą kobiety w białych kitlach roznoszące nieodzowne *cup of tee*), zachowują się wzorowo. Panuje spokój, choć pełno w kolejkach kobiet, starców i dzieci. A tuż koło śpiących na peronach, przebiegają nieustannie pociągi do których wsiadają i z których wysiadają tłumy podróżnych. Wszystko odbywa się bez wrzasków i krzyków. Nie po raz pierwszy podziwiam niewymuszoną dyscyplinę Anglików.

Komunikaty wojenne — dalej optymistyczne. Wczoraj informowały że *Cherbourg — five miles to go*, dziś zapowiadają zajęcie tego portu. Gdyby nie wiadomość o upadku Wyborga (biedna Finlandia), czytałoby się dzisiejsze gazety bez przykrości.

23 czerwca, piątek, w południe

Ubiegłą noc spędziliśmy w Eton Rise u Mackiewicza. Czynił honory domu we wzorzystym szlafroku bliżej nieokreślonych kolorów. Alarm trwał od 2-giej do 5-tej rano. Zdawało się, że serie wybuchów były nawet częstsze niż poprzednich nocy. Gdymjechał rano do ministerstwa znowu był alarm.

Wczoraj spotkaliśmy się „oko w oko” z latającą bombą. Dzień imienin Janki był piękny. Zdecydowaliśmy się pójść na spacer do pobliskiego parczku z panią Eddy. Byliśmy zachwyceni, że jest cicho i że można w spokoju rozkoszować się słonecznym popołudniem. Chodziliśmy najpierw wokół wzgórza na którym stoi wielkie działo artylerii przeciwlotniczej. Potem rozłożyliśmy się w bujnej trawie i patrząc w błękit nieba gwarzyliśmy beztrosko. Nagle zawył syreny. Ne zdążyliśmy się ocknąć z sielankowego nastroju, gdy usłyszeliśmy daleki wybuch. Nie przeszła minuta, a na horyzoncie zobaczyliśmy olbrzymie jakby pękate cygaro, srebrzące się w słońcu. Zdawało się, że sunie wprost na nas.

Żona zamarła ze strachu, nakrywając sobą Jankę. Obojętna na bomby Eddy, objęła sobą żonę. Leżałem obok obserwując bombę. Kiedy znalazła się nad naszymi głowami, zmieniła kierunek i zniknęła za drzewami. W parę minut rozległ się huk. Musiała rozerwać się gdzieś daleko, gdyż nie odczuliśmy nawet jej podmuchu. Spotkanie „oko w oko” skończyło się szczęśliwie.

Wobec tego, że coraz więcej ludzi opuszcza Londyn (niektórzy rodacy nocują w Reading lub Oxfordzie a rano przyjeżdżają do pracy), myślę o wysłaniu mych dam na wieś. Utwierdził mnie w tym widok kilkopiętrowego domu w okolicach Hyde Park Corner. Gruzy. Zygmunt Grażyński obiecuje znaleźć locum w pobliżu stacji lotniczej, do której jest przydzielony.

Spadł z głowy niepokój. Będę się przynajmniej wysypiał.

1.30 w nocy

Znowu śpimy u Mackiewicza, jeśli można to nazwać spaniem. Od wieczora było kilka alarmów.

Za dużo o nich piszę. Zaniedbuję inne tematy. Ulegam domowej atmosferze. Żona żyje w ciągłym napięciu nerwowym. Zmieni się to jak wyjedzie na wieś z Janeczką.

Wieczorem byliśmy parę godzin u Czerwińskich. Trochę wieści z „frontu wewnętrznego”. Stronnictwo Narodowe nie straciło ponoć nadziei, że uda się doprowadzić do reorganizacji

ządu Mikołajczyka. Nie podzielam ich, zwłaszcza po „sukcesie” Mikołajczyka w Stanach Zjednoczonych. Mówi się, że otrzymał 200 milionów dolarów na robotę podziemną w Kraju. Niepokoi nas zachowanie się Sosnkowskiego. Nie pojmujemy jak się godzi na to co z nim Koty i Mikołajczyki wyrabiają!

24 czerwca, sobota, 10-ta wieczorem

Anglicy twierdzą, że zlikwidowali 9 niemieckich gniazd bombowych. Wczorajsza „przerwa” w alarmach zdaje się to potwierdzać.

Rano dowiedzieliśmy się że „wybombowali” połagowskich Tyszkiewiczów. Mieszkają na południu Londynu. Szczęśliwi, cali i zdrowi. Taki sam los spotkał wielu Polaków. Trudno się dziwić, że opuszczają Londyn.

W naszych trzech blokach robi się pusto. Jak tak dłużej potrwa, zostaną chyba sami Polacy.

Na froncie białoruskim sowieciarze rozpoczęli ofensywę.

26 czerwca, wtorek, 6.30 po południu

Po południu mieliśmy alarm przy akompaniamencie burzy z piorunami. Ubiegła noc była koszmarna. Nad ranem, w odległości kilkuset metrów od naszego domu, padły bomby. Eton Hall trząsł się jak galareta. Ludzi ogarnął strach, że lada chwila i nam się dostanie. Piekielna broń to V 1.

28 czerwca, środa, 11-ta rano

Noc była nieco spokojniejsza od poprzedniej. Teraz znowu alarm. Przed kilku godzinami spadła w pobliżu bomba.

Z frontu zachodniego wiadomości pomyślne. Na froncie wschodnim wojska sowieckie prą naprzód.

Zrobiłem sobie odpis oświadczenia prezesa Krajowej Rady Jedności Narodowej Pużaka. Odmawia przyjęcia godności następcy Prezydenta. Oświadczenie charakteryzuje autora oraz maluje obraz stosunków politycznych w Kraju. Pużak pisze:

Panie Prezydencie.

Potwierdzając moją odmowę przyjęcia zaszczytnego mandatu Prezydenta Rzpl., na okres wojny o czym już depeszował Pełnomocnik na Kraj, pragnę

w krótkości przytoczyć ważniejsze powody, które skłaniają mnie do takiego kroku.

1. Mój nieprzerwany, od momentu naszej katastrofy wrześniowej udział w pracach nad mobilizacją wszystkich sił Narodu w oporze wobec okupantów i wobec wrogów, dezorganizujących ten opór i wolę wytrwania a także w przygotowaniach zbrojnych do przyszłego wystąpienia, zobowiązuje mnie do pozostania na powierzonych mi przez P.P.S., a przede wszystkim przez zaufanie stronnictw politycznych czwórporozumienia posterunkach.

2. Osiągnięte wyniki w zakresie jednoczenia się działań politycznych, rządowych i wojskowych w Kraju, że wskażę na porozumienie i wspólną deklarację ideowo-programową 4-ch stronnictw na ich coraz pełniejszą współpracę z instytucjami Delegatury i z Kom. Armii Krajowej, a wreszcie na utworzenie Rady Jedności Narodowej — wymagają dalszego, nieustannego wysiłku nad ostatecznym wykończeniem podjętego dzieła. Sprawa zaś ostatecznego uzupełnienia Rady J.N. oraz definitywne przyjęcie lub wyrzucenie poza obręb Armii Krajowej dotąd niepodporządkowanych pewnych grup wojskowych, politycznie frondujących, jest zbyt ważna, bym się miał od jej rozwiązania uchylać.

3. Brak niezbędnego, zwłaszcza w tym przełomowym naszych dziejów okresie, mojego przygotowania do zajęcia tak odpowiedzialnego stanowiska w Państwie, dalej nieznanomość stosunków emigracyjnych wywierających przemożny wpływ na całokształt spraw publicznych i wreszcie niekończące się próby unormowania kompetencji władz rządowych i wojskowych, zacydowały również o moim postanowieniu odmownym. Nie taję że specjalnie sprawa wojska, w naszym położeniu wojennym i międzynarodowym, bodaj najważniejsza, niestety dotąd choćby kompromisowo nierozstrzygnięta, zaważyła również na mojej rezygnacji. I wreszcie ostatni szczegół natury raczej formalno-taktycznej. Moje naznaczenie nastąpiło, jak gdyby z pominięciem jeszcze Krajowej Reprezentacji Politycznej, według którego Prezydent wyznaczał spośród terna kandydatów wysuniętych każdorazowo przez Radę Narodową. Zaznaczam, że nikt z czynników 4-porozumienia nie podniósł kwestii wspomnianego wniosku w związku ze sposobem mojej nominacji. Solidaryzując się ze wspomnianym wnioskiem jako jedynym wyjściem z danej sytuacji z tym większym zadowoleniem przyjąłem oświadczenie Pana Prezydenta, że w wypadku mojej odmowy, oczekuje terna ze strony tym razem R.J.N. — czyli Kraju.

W przekonaniu, że R.J.N. spełni swój wobec Pana Prezydenta obowiązek, składam serdeczne Panu Prezydentowi i członkom Rządu i przedstawicielom stronnictw podziękowanie za zaszczytne wyróżnienie mojej osoby oraz proszę o wybaczenie mojego zrzeczenia się wskutek czego sprawa następcy Prezydenta przewleka się, mam nadzieję, że nie na długo.

Z wysokim poważaniem,

Przew. R.J.N.

Warszawa, 20 czerwca 1944 roku.

29 czerwca, czwartek, 11.30 wieczorem, Newark

Siedzę w pokoju hotelowym, w Newarku. Odwiozłem dziś żonę i Jankę na wieś. Zwie się Upton. Odległa od Newarku o kilka mil.

W chwili gdy piszę słychać nieustannie szumy samolotów

nad głową. To nocne loty ćwiczebne pilotów brytyjskich. Nie brak tu i polskich lotników. W Newarku i okolicy pełno lotnisk. Na jednym z nich pracuje Zygmunt Grażyński.

Wyjazd z Londynu był koszmarem. Przybyliśmy bardzo wcześnie na dworzec Kings Cross, aby dostać miejsce w pociągu. Tłumy zalegały stację. Znaleźliśmy wreszcie miejsce w natłoczonym wagonie, pełnym kobiet i dzieci.

Liczyłem minuty kiedy pociąg ruszy. Pewno robili to samo wszyscy. Dworce londyńskie są ulubionym celem nalotów niemieckich. Nagle rozległy się syreny alarmowe. Ludzie zapuszczali pośpiesznie firanki w oknach wagonu, aby uchronić się od pokaleczeń w wypadku gdyby bomba spadła blisko. W parę minut po syrenach usłyszeliśmy charakterystyczny szum zbliżającego się robota. Słychać było przyspieszone oddechy. Gdy się szum oddalił w różnych punktach wagonu powtarzano z ulgą słowo: *Passed* — „Minął”.

Pociąg ruszył. Nikt jednak nie odsuwał firanek i ludzie mówili jeszcze półszepem. Dopiero po półgodzinie jazdy, gdyśmy już wielki Londyn mieli za sobą, wybuchły pogodne i wesołe głosy. Dużo nawet było śmiechu.

Po Londynie zaciszna wieś wydaje się rajem. Wczoraj po południu zrobiło się ładnie. O zachodzie słońca odbyliśmy długi spacer. Podziwialiśmy beztrósko uśmiechniętych wyspanych tubylców. I pomyśleć, że ten „raj” znajduje się o 3 godziny jazdy koleją od Londynu!

30 czerwca, piątek, 6-ta po południu, Upton

W piękny poranek czerwcowy pojechałem rowerem z Newarku do Upton. Zinka już po jednej normalnie przespanej nocy czuje się znacznie lepiej. Janka pogodniejsza niż zwykle. Obie opowiadały o mieszkańcach domu — siedzibie właścicieli farmy.

Właściciele — para sympatycznych staruszków. Pomaga im najmłodsza córka, kilkunastoletnia panna. Jest gruba, rumiana, z lekka zezowata. Na krótkim nosie — duże okulary. Dziewczyna uważa wszystkich Polaków za postacie romantyczne...

Po obiedzie rozłożyliśmy się na trawce. Obok domu rzeczka. Dalej łąka, na której pasie się stado krów. Od czasu do czasu któraś zaryczy. Krowy angielskie, podobnie jak Anglicy, są spokojne i opanowane, więc ryczą bez porównania rzadziej od naszych. Konie prawie nie rżą. Psy prawie nie szczekają. A obok angielskiego byka człek przechodzi bez obawy, że go znienacka dźgnie rogiem.

Co za sielskie tematy! Wyznaję, że bez entuzjazmu wracać będę do Londynu. Posiedziałbym tu z przyjemnością kilka tygodni.

1 lipca, sobota, 10.30 wieczorem, Newark

Niestety, kończy się kilkudniowa sielanka. Jutro skoro świt trzeba wracać do Londynu. Nocuję w hoteliku w Newarku.

Wieczorem wróciliśmy z Zygmuntem Grażyńskim z kina na farmę. Pożegnałem się z moimi damami. Żona była tak zdenerwowana jak bym jechał na front, z którego nie wiadomo czy wrócę. Znalazłszy się w Newarku poszedłem zaraz na dworzec, aby się dowiedzieć o rozkład rannych pociągów. Akurat nadszedł pociąg z Londynu. Wysypało się z niego mrowie ludzi o wymęczonych twarzach.

Dzisiejszy *Nottingham Evening News* pisze: *Robot raids continue nights and days*. Niewesoła perspektywa. Churchill ma przemawiać w parlamencie w sprawie latających bomb. Anglicy nie ukrywają, że jest to wielki problem, zwłaszcza gdy chodzi o Londyn i południe Anglii. A tu w Newarku czy pobliskim Southwell, nie mówiąc już o wsiach, spokój jakby na świecie wojny nie było.

Z frontu zachodniego wiadomości, że walka o Caen jeszcze trwa. Czytam również: *Soviet drive on Warsaw railway...*

4 lipca, wtorek, 1-sza w nocy

Jestem sam w mieszkaniu londyńskim. Do wczoraj miałem „wybombowanego” współlokatora w osobie gen. Zahorskiego. Nic a nic nie przejmuje się bombami. W czasie alarmów spał jak suseł w drugim pokoju na kanapce, tuż pod otwartym oknem.

Zdażyłem się już przyzwyczaić do atmosfery Londynu. Najnieprzyjemniejszy był powrót ze wsi. Na razie cały wagon rozbrzmiewał z ożywionymi rozmowami. W miarę zbliżania się do Londynu rozmowy milkły. Jakbyśmy wjeżdżali w paszczę czyhającego potwora.

Na Kings Cross wszedłem do kolejki podziemnej. Uderzył mnie zaraz dobrze znany widok nocujących ludzi. Ale stacja przy Kings Cross — to nie płytka jak na Chalk Farm. Kings Cross — to głęboka stacja o kilku kondygnacjach. Nie wiem ilu ludzi może pomieścić. W każdym razie tłumy, jakich przedtem nie widziałem.

Ledwo znalazłem się w naszym domu, zaczęła się zwykła zabawa. Alarm, a potem odgłosy wybuchów. W gronie ostatnich mohikanów budynku znalazłem się na parterze w hallu. Spałem pierwszej nocy tylko dwie godziny. Ale już wczoraj na dziś, mimo syren i detonacji, chrapałem doskonale. Za chwilę również idę spać.

Co słyszać? Dalsze sukcesy sowieckie. Moskale już są w Witebsku, Mińsku i Połocku. Stalin miał wyrazić łaskawą zgodę na przyjazd premiera Mikołajczyka do Moskwy. Drzę na myśl co z tego wyjdzie. Z jednej strony przebiegły, chytry jak lis, zwycięski dyktator, z drugiej durnowaty Mikołajczyk, nie znający zupełnie Rosjan i Rosji.

5 lipca, środa, po 1-szej w nocy

Wieczór spędziłem u Kotiuzińskich. Mieszkają w południowej części Londynu. Wysoko. Z balkonu widać świetnie chmurę balonów przeciwlotniczych na angielskim brzegu. Można też obserwować kłęby dymów wybuchających w różnych punktach wielkiego miasta. Janka Kotiuzińska przepędzała nas z balkonu.

6 lipca, czwartek, około 11-tej w nocy

Duszno w mieszkaniu po upalnym dniu. Radio gra Hendla. Przed godziną oglądałem z Ireną Baranowską skutki 4-ch bomb, które spadły w pobliżu Eton Hall. O jakieś 400 metrów. zupełnie wymarła długa ulica małych domów robotniczych. Większość ich jednak stoi. Tylko okiennice wszędzie powyrywane. Pełno szkła. Nieprzyjemny widok. Ale Churchill odgraża się w parlamencie, że Wielka Brytania da sobie radę z V 1.

7 lipca, piątek, 11-ta w nocy

Spotkałem w podziemnej dwóch rodaków. Wystraszeni. Nie mam im tego za złe. Ale nie lubię takich spotkań. Strach jest zaraźliwy. Po powrocie do mieszkania złapałem się na tym, że — jak się obrazowo mówi — mam uszy na ulicy. Trwało to krótko. Znowu mam uszy w mieszkaniu. Czytam jakąś kryminalną powieść angielską. Nie chcę myśleć o polityce i o froncie wschodnim. Rokossowski wali naprzód. Baranowicze, Kowel, Wilno...

9 lipca, niedziela, 6-ta po południu

Miałem pecha. Poszedłem na tzw. *News'y* do kina. Program aktualności filmowych. Trwa tylko godzinę. Kino zatłoczone. Zapomniałem. Przecież siedzę pod ziemią.

Przy kasie spotkałem rodaka, o którym mówi się, że jest wybitnym przedstawicielem „podziemia londyńskiego”. Nie ma ono — rzecz prosta — nic wspólnego z innym tutejszym „podziemiem” niezadowolonych z rządu ofiar, które jeszcze w roku ubiegłym spędzało sen z oczu gen. Sikorskiemu i jego otoczeniu. To już przeszłość. Może coś z tego pozostało, ale nic o tym nie wiem. Felka Lechnickiego nie widziałem od miesięcy. Lata.

Ale wróćmy do rodaka. Jestem przekonany, że wysiaduje na kilku programach, a potem zbrojny w strategiczny plan połączeń podziemnych, kombinuje, aby jak najmniej wychodzić na ulicę.

Przed chwilą radio doniosło, że wojska sowieckie zajęły Lidę. W Wilnie trwają walki uliczne. Caen zdobyli alianci.

1-sza w nocy

Po wysłuchaniu ostatnich wiadomości radiowych nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Poszedłem do pp. Arczyńskich. Mieszkają w sąsiednim budynku. Pani pięknie gra na fortepianie. Jest osobą bardzo nerwową, ale zupełnie nie reaguje na alarmy i bomby. Grała dwie bite godziny. Głównie Chopina.

Przed chwilą wróciłem odświeżony muzyką. Kładę się zaraz spać.

10 lipca, poniedziałek, 7.30 wieczorem

Miałem długą rozmowę z moim szefem — ministrem, profesorem Kotem. Gdy mnie wezwał przypuszczałem, że chodzi o sprawy polsko-niemieckie. Nic podobnego! Kot prosił, abym mu wyjaśnił okoliczności w jakich doszło do buntu „Zetu” przeciwko Lidze Narodowej, opanowanej przez Narodową Demokrację. Pewno kwadrans — wyjaśniałem. Pan profesor słuchał z uwagą, po czym (niepytany przeze mnie) zaczął opowiadać dzieje „Filarecji” (do której należał) w b. zaborze austriackim. Pierwszy raz wydał mi się człowiekiem sympatycznym. W dodatku zaczął się dopytywać o Bolka Srockiego, jednego z najwybitniejszych Zetowców mego pokolenia. A potem, również ku

memu zdziwieniu, niezwykle serdecznie o drugiego „zetowca” Władka Kamińskiego, senatora, który zginął pod Monte Cassino. Kot spotkał go w Rosji czy na Bliskim Wschodzie. Dziwny człowiek ten Kot. Dlaczego chciał właśnie ze mną mówić o tych sprawach?

11 lipca, poniedziałek, 7.30 wieczorem

Wczorajsza noc — pierwsza od 26 dni — przeszła bez nalo-tów. Za to w ciągu dnia alarmy w permanencji.

14 lipca, czwartek, 10-ta wieczorem

Jutro wyjeżdżam na urlop. Całe dwa tygodnie! Pierwszy urlop od chwili gdy znalazłem się w Anglii. Przyda się ten wypoczynek na resztę roku. Nie wiadomo co przyniesie.

1-sza w nocy

Przed godziną radio doniosło o zdobyciu Wilna. Wojska sowieckie znajdują się tylko o 35 mil od Prus Wschodnich. Goebbels woła rozpaczliwie w swym organie *Der Reich*: „Walc-zie jak fanatycy!”. Radiostacje niemieckie nie ukrywają, że „sytuacja jest poważna”. Grożą *Furror teutonicus*. Czyżby Niemcy uważali, że już przegrali? W takim razie V-1 — to ich ostatni wysiłek. Tak się wydaje. Nigdy zresztą nie miałem uczucia by ta „nowa broń” mogła przechylić szalę zwycięstwa na rzecz Trzeciej Rzeszy. Byłoby inaczej, gdyby mogli jej użyć w pierw-szych miesiącach wojny!

Kończę. Trzeba się jeszcze spakować. A potem — spać. V-1 można się nie interesować. Inwazja? Wynik pewny. Chodzi już tylko o to, kiedy Europa Zachodnia zostanie oczyszczona z Niemców i kiedy skapitulują.

21 lipca, po 11-tej w nocy, Upton

Już od tygodnia jestem z Zinką i Janeczką w Upton, na zapadłej wsi angielskiej. Jest Eddy. Jest Stanisław Mackiewicz, którego żona bardzo lubi bo — powiada — ma wdzięk kresowy.

Przyjechał tu obławowany tomami powieści Dostojewskiego. Pisze o nim książkę.

Ferma na której mieszkamy odległa jest od wsi noszącej nazwę Upton chyba o milę. Do Newarku jest z górą 5 mil, do Southwell — przeszło dwie. Autobusy do obu miasteczek chodzą co godzina.

Ale nie tylko to, że ferma leży z dala od samej wsi i najbliższych miasteczek, czyni z niej zapadłą dziurę. W solidnym, jednopiętrowym porządnie umeblowanym domu, nie ma elektryczności. Wieczory trzeba spędzać przy lampie naftowej lub przy świecach. W dodatku radio naszych gospodarzy z niezbadanych przyczyn działa tylko raz na dzień, o 10-tej rano. Potem przez całą dobę nie wiemy co się na świecie dzieje. Na szczęście z rannymi gazetami nie ma kłopotu.

Kilka dni spędzonych z dala od Londynu zrobiło swoje. Jestem wyspany, wypoczęty, psychicznie odświeżony. Chwilami mam uczucie że jest mi zupełnie obojętne, co się dzieje za opłotkami fermy. Choć słucham rano wiadomości radiowych i przerzucam gazety, nie chce mi się jeszcze myśleć o polityce i o wojnie. A przecież wojska sowieckie prą niepowstrzymanie naprzód, zajęły Lublin i zbliżają się do Warszawy. Churchill z Normandii zapowiada rychły koniec wojny. Mikołajczyk nie zdradza najmniejszych chęci reorganizacji rządu, za to zabiega usilnie, by go raczył przyjąć batiuszka Stalin.

Wiejskie powietrze wpłynęło również uspakajająco na wciąż podekscytowanego i — mimo tuszy — nie mogącego usiedzieć na miejscu Mackiewicza. Wprawdzie od czasu do czasu wyrывa się to autobusem to piechotą do pobliskich miasteczek, ale na ogół wyleguje się z resztą towarzystwa na wystrzyżonym trawniku koło domu. Dzięki temu udało mi się zrobić nawet wcale udany szkiełką ołówkiem jego głowy pochylonej nad książką.

Leżąc na trawie gawędzimy po trochu o wszystkim. Najczęściej o literaturze rosyjskiej, o wspólnych znajomych, a dla odmiany o Angliach. Niestety, na punkcie Anglików pan Stanisław ma lekkie kuku na muniu. Nie sprzecam się, bo i po co? Nie sprzecam się na wsi w ogóle. Nie chcę sobie niczym zakłócać krótkich wakacji.

W dzień czytam piękną powieść Żyda-Werfla „Das Lied von Bernadette”. Na sen (przeważnie po 10-tej jestem w łóżku)! połykam *thriller* pod fascynującym tytułem „I was a spy”. W programie mam jeszcze powieść popularnej pisarki angielskiej Daphne du Maurier — „Jamaica Inn”. Bardzo stosowna lektura wakacyjna. Cóż poza tym? Łazimy trochę po okolicy. Czasem gramy z Eddy w rummy.

Słońca lipcowego nie ma za wiele, ale dotychczas nie było dwu kropli deszczu. Jeszcze jeden powód do zadowolenia. Wokół panuje błoga cisza. Tuż koło domu szemrze przytulnie mała rzeczulka. Zaraz za nią ciągną się rozległe zielone łąki. Pasą się na nich tegie, wypiełgnowane krowy.

Nasi gospodarze — to poczciwi ludzie. Z powodu zwycięstw sowieckich składają nam wciąż życzenia szybkiego i szczęśliwego powrotu do... „wolnej ojczyzny”. Nie usiłujemy im niczego tłumaczyć, bo i tak nie rozumieją.

Prócz nas spędza lato na fermie starsza dama — Angielka o francuskim nazwisku de Clermont. Trochę dziwadło. Ona rozumie, że z tym naszym powrotem do kraju sprawa wcale nie jest tak prosta. Jest konserwatystką. Odpowiednie towarzystwo dla Mackiewicza. Ale cóż, kiedy on po angielsku gadać nie potrafi.

Tylko lotniska rozsiane po całej okolicy przypominają nam wojnę. Samoloty alianckie szumią nad głowami w dzień i w nocy. Albo odbywają loty ćwiczebne, albo ciągną na Niemcy. Na jednym z lotnisk działa w charakterze instruktora nasz dobry znajomy, przemiły chłopak por. Zbyszek Bobiński. Za swe wyczyny bojowe zdobył bodaj wszystkie najwyższe odznaczenia polskie, francuskie i brytyjskie. Gdy go fantazja poniesie przylatuje do Upton i tuż nad domem wykonuje ku uciesze Janki — skomplikowane ewolucje. Współczesny polski rycerzyk. Nie na rumaku a w samolocie.

O żadnych nalotach niemieckich, oczywiście, nie ma tu mowy. Nigdy Upton nie nawiedzały. Mieszkańcy wioski nie mają również pojęcia o tym, co to V 1. Wiedzą tyle co z gazet, jakby Londyn leżał Bóg wie gdzie. Do stolicy nikt nie jeździ.

Jak dalece otepiąłem przez te dni na wydarzenia polityczne dowodzi dzień wczorajszy. Wpadł tu do nas z Londynu Staś Głuski. Kocha zwiedzać, więc wyciągnął naszą trójkę do pobliskiego Lincoln na obejrzenie starej pięknej katedry. Wracając do autobusu zauważyliśmy, że przechodnie rozchwytyują gazety. Donosiły o zamachu jakiegoś pułkownika armii niemieckiej na Hitlera. Tak się w tym Uptonie ze wszystkiego wyłączyłem, że — wstyd przyznać — nie doczytałem gazety do końca. Może zresztą dlatego, że jakoś nie wierzę, by Niemcy umieli pozbyć się *Führera*.

Ale beztroski nastrój niestety mija. Już zaczynam liczyć dni. Pozostało ich niewiele. Trzeba będzie wkrótce wracać do Londynu.

25 lipca, wtorek, 11-ta w nocy

Dziś po raz pierwszy trochę pokapało. Rano gospodarz powitał nas znowu słowami: „Dobre wiadomości”. Wyczytał w *News Chronicle*, że Stalin ofiaruje Polakom Prusy Wschodnie i że już mamy w Polsce — rząd! Przeczytałem depesze. Jednego z ministrów znałem kiedyś osobiście — Wincentego Rzymowskiego. Innych ze słyszenia, również nie z najlepszej strony, jak Rolę-Żymierskiego czy Wandę Wasilewską. Wiem co zaczął Drobnier, Sommerstein i wileński komunista Jędrychowski. Pierwsze słysząc o bracie Wincentego Witosa — Andrzeju. A już zupełną zagadką jest dla mnie osoba „premiera” Osóbki-Morawskiego.

Oczywiście pogadaliśmy sobie zaraz z Mackiewiczem o tym „Komitecie Wyzwolenia”, jakim nas Moskwa obdarza. Jednego z sowieckich nominatów — Jędrychowskiego, pan Stanisław zna bardzo dobrze. Z powodu Jędrychowskiego rozgadał się o całej grupie komunistów wileńskich, z których część hołubił na swym redaktorskim łonie w przedwojennym wileńskim *Słowie*. Twierdzi, że będą „siłą napędową” Komitetu Wyzwolenia. Są dynamiczni, inteligentni, żądni władzy.

Zgodziliśmy się, że Moskwa stwarza w sprawie polskiej w dalszym ciągu fakty dokonane, nie licząc się z zachodnimi aliancami. Trudno się nawet dziwić, że w tej sytuacji Churchill napędza Mikołajczyka, by leciał do Stalina.

Jak zwykle gubimy się w domysłach. Przypuszczam, że również rząd wie niewiele. Mikołajczyk nie informuje go o tym co robi. Ciekawe czy na przykład ministrowie orientują się po co udał się właśnie teraz do Warszawy zaufany Mikołajczyka, a jeszcze bardziej zaufany Anglików, dr J. Retinger. A może go zrzucano w Polsce, by w roli pośrednika dogadywał się z Osóbką? Wszystko jest możliwe. A co znaczą doniesienia, że Armia Krapowa wspólnie z wojskami sowieckimi walczyła o Wilno? Przecież przedwczesne ujawnianie się oddziałów A.K. byłoby szaleństwem.

Z drugiej strony — jakby nigdy nic nasz rząd legalny funkcjonuje nadal. Naczelnny wódz gen. K. Sosnkowski dekoruje krzyżami „Virtuti Militari” dowódców brytyjskich: Alexandra i Lees’a. Stwarza to złudzenie, że — mimo sowieckich faktów dokonanych — nic się nie zmieniło. Wojska Polskie na froncie zachodnim jak walczyły tak walczą.

Jak długo jeszcze? Bez chwili wahania odpowiadamy — tak długo jak będą potrzebne dowództwu sprzymierzonych. Gdy nie będą potrzebne, zapadnie decyzja w sprawie losów naszego rządu. Pozbędą się go. Będą chcieli uwolnić się od legalizmu na który

się wciąż powołujemy. Wszystko ze względu na Moskwę. Chyba, chyba, że zanim zarządzą demobilizację armii polskiej, sama się zbuntuje i rzuci broń. W głowie nam się nie mieści, by Sosnkowski, który jest teraz we Włoszech w Drugim Korpusie, nie myślał o tym.

26 lipca, środa, o północy

Ciepła księżycowa noc. Przez otwarte okna dolatuje nieustanny szum startujących lub lądujących samolotów. Najbliższe lotnisko znajduje się w odległości zaledwie dwóch mil.

Rano przeczytałem socjalistyczny *Daily Herald*, liberalny *News Chronicle* i konserwatywny *Daily Mail*. Choć odmiennej maści społeczno-politycznej wszystkie zgodnym chórem narzekają na... brak jedności wśród Polaków. Skąd u licha bierze się ta nieoczekiwana troska? Okazuje się, że nasz rząd ośmielił się nazwać Komitet Osóbki — uzurpatorem. Według Brytyjczyków Mikołajczyk powinien jak najszybciej pocałować w dupę Osóbkę — i sprawa załatwiona. Nie chcą mieć z nami kłopotu i basta. Zdaniem Mackiewicza rząd (ignorując Komitet Wyzwolenia) powinien stanąć na głowie, by gadać bezpośrednio z Moskwą. Pomysł uważam za poroniony, bo — niezależnie od wielu zastrzeżeń jakie we mnie budzi — spóźniony. Ale pytam podnieconego Cata: Kto ma gadać? Mikołajczyk, który wyrывa się do Moskwy? A może Grabski? Niech mi pan wymieni jednego który umiałby mówić ze Stalinem! Mackiewicz robi zakłopotaną minę, wzrusza ramionami i — milczy.

27 lipca, czwartek, po 10-tej wieczorem

Po południu wybraliśmy się całym towarzystwem na spacer do sąsiedniej wioski, Rollestone. Uroczą, schludną. Tonie w kwiatkach. Przez krótką chwilę poczułem się znowu jak w Lincoln, w roli beztroskiego turysty, który co chwila zatrzymuje się przed jakimś domkiem na widok dostrzeżonego szczegółu architektonicznego. Ale gdy zagapiłem się przed jednym z nich, stanęły mi nagle w oczach wsie polskie przez które znowu przelewa się wojna. Dlaczego omija Rollestone? Wróciłem ze spaceru w mi-norowym nastroju.

Wieczorem zgadało się z Mackiewiczem o delegacji rządowej, która wybiera się do Moskwy. Zdaje się, że nie będzie w niej ani jednego socjalisty. Nie dałbym trzech groszy, że Moskwa

wyprosiła sobie ich obecność. Może wreszcie nasi socjaliści — oczywiście nie myślę o Stańczyku — zrozumieją, że nie ma dla nich miejsca w rządzie na którego czele stoi człowiek, który gotów jest iść z Sowietami na kompromisy, grożące naszej niepodległości.

30 lipca, niedziela, po 11-tej w nocy

Jesteśmy dziś bez gazet. Wiem tyle ile zdołałem usłyszeć przez rozklekotane, przeraźliwie skrzeczące radio. Zdaje się, że Mikołajczyk wsiadł w Teheranie na samolot sowiecki i pomknął do Moskwy. Ale — co najważniejsze — usłyszałem także, iż artyleria sowiecka już ostrzeliwuje Warszawę. W głowie nam się kręci, gdy myślimy, że Warszawa może się stać terenem starcia dwóch armii nieprzyjacielskich.

Jutro koniec wakacji. Żona z Janką jeszcze tu jakiś czas pozostaną. Na wiadomość o Warszawie dłużej bym tu nie wytrzymał. Chcę być jak najprędzej w Londynie. Mackiewicz już czmychnął. Boże! Wojska sowieckie znowu w Warszawie. Po ilu latach? Również dwadzieścia dziewięć. Staje mi żywo w pamięci 5 sierpnia 1915 roku, gdy po wycofaniu się Moskali, miasto było przez kilka godzin wolne, zanim nie zajęły go wojska drugiego — niemieckiego okupanta.

WARSZAWA WALCZY I GINIE

31 lipca, poniedziałek, 2-ga w nocy

Jestem w Londynie. Nic się nie przejmuję alarmami. Alarm mam w duszy. Dziś lub jutro padnie Warszawa. Co będzie? Co będzie z Polską? Co z nami? Żadnych dróg wyjścia z tego piekła nie widzę.

1 sierpnia, wtorek, o północy

Jestem sam w rozgrzanym słońcem mieszkaniu, na czwartym piętrze pod dachem. Nie chce mi się spać. Chodziłem po pokoju paląc papierosa. Czasem głośno powtarzałem pytania, które

wszyscy teraz powtarzamy. Co będzie? Czy podróż Mikołajczyka do Moskwy może przynieść zmianę na lepsze? lub: Co będę robił z sobą? Czy pojedę do Polski okupowanej przez wojska sowieckie?, czy też zdecyduję się na nie wiadomo jak długą dalszą tułaczkę emigracyjną? Jest tych pytań więcej.

Po podróży Mikołajczyka nie obiecuję sobie niczego dobrego. Wystarczy zrekapitulować okoliczności, które ją poprzedziły. Wszystko przemawia za tym, że rzeczy były z góry ukartowane między Mikołajczykiem, Anglikami i sowieciarzami. Mikołajczyk chciał pojechać, pchał się do tego wyjazdu i — pojechał. Zarozumiały, jak jego poprzednik, uwierzył, że „odegra historyczną rolę”, bo przechytrzy Stalina. Tak samo wydawało się Sikorskiemu.

Odradzano Mikołajczykowi wyjazd. Jeszcze z Kairu wzywały go do powrotu depesze Prezydenta i Rządu. Ale nieczuły na żadne perswazje — pojechał. A może ubzdurał sobie w głowie, że wprost z Moskwy poniesie go samolot jako premiera legalnego rządu polskiego do Warszawy „uwolnionej” przez wojska sowieckie?

Nastroje większości społeczeństwa i chyba całego wojska oddaje ulotka, którą mi przysłano. Mocna, bezkompromisowa. Oto jej treść:

Żołnierze! Polacy!

Armie sowieckie zajęły Lwów, Wilno, Lublin, Białystok i zbliżają się do bram Warszawy. W Chełmie z łaski Stalina usadowił się Sowiet polski, złożony z 15 zdrajców. Godzą się oni na rozbiór Polski, zrzekając się na rzecz Rosji naszych Ziem Wschodnich. Wyruszają na podbój Polski z hasłami stopniowego Jej skomunizowania i zamienienia na kraj nędzarzy. Za tę cenę nowy okupant dał im prawo rządzenia Polską. Na czele oddziałów polskich w Rosji postawiono międzynarodowego aferzystę, skazanego przez sąd polski na 5 lat więzienia i degradację.

Oddziały naszej Armii Krajowej na Wołyniu, Wileńszczyźnie i we Lwowie stoczyły z oddziałami niemieckimi regularne bitwy, pomagając bezpośrednio armii sowieckiej. Tymi bojami i przelaną krwią zadokumentowały nasze niezwykłe prawa do Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej. Lecz bezpośrednio po tym 27 polskich oficerów zostało powieszonych na Wołyniu jak zwykli bandyci. Po zajęciu Wilna wszyscy oficerowie dwóch polskich dywizji zostali wywiezieni do Rosji, a oddziały rozbrojone i rozpędzone. Jedynym ich przewinieniem było to, że nie chcieli się wyrzec posłuszeństwa prawowitemu rządowi polskiemu. Tak wygląda realnie wspólnota walki polsko-rosyjskiej przeciwko hitlerowskiemu Niemcom.

W takiej sytuacji premier polski *Mikołajczyk wyleciał do Moskwy.*

Pytamy: po co?

Czy po to aby wysłuchać dyktatu Stalina?

Czy potrafi przelicytować w ugodzie z Rosją zdraziecki Sowiet w Chełmie?

Mimo ogromu krzywd doznanych od Rosji, chcemy z nią żyć w zgodzie

i pokoju. Lecz nie zapłacimy za pokój tej ceny, jakiej Moskwa żąda od nas bezskutecznie od trzech lat.

Ktokolwiek z Polaków zrezygnuje cokolwiek i kiedykolwiek z praw suwerennych Polski, z Jej praw do niepodległego bytu, na głowy ich padnie przekleństwo krwi żołnierskiej. Tej krwi, która wsiąkała w bojowiska wrzesniowe, w ulice Warszawy, w skały Narwiku i piaski Tobruku, która dymi jeszcze świeżymi oparami na pobojowiskach Cassina i Ankony. Na głowy zdrajców sprawy polskiej kimkolwiek oni będą padnie przekleństwo matek, i siostr lotników, marynarzy i żołnierzy Polski, walczącej w podziemiach i na polach bitew. Towarzyszyć im będzie po wieczne czasy przekleństwo następnych pokoleń.

Nasza żołnierska droga jest prosta.

Będziemy wiernie wykonywali rozkazy naszego legalnego rządu dopóki będzie on wiernie strzegł sprawy polskiej, dopóki będzie nas prowadził do Polski całej, Wielkiej, Wolnej i Niepodległej.

Lecz walki zbrojnej o taką Polskę *nie porzucimy nigdy*. Podjęliśmy ją 5 lat temu sami, nie wspomagani przez nikogo. I będziemy ją prowadzili sami, chociażby cały świat nas opuścił. Będziemy wtedy walczyli z pogardą w sercu dla możnych tego świata, gdyby zdradzili sztandar wolności, dzierzony przez Polskę.

Niech świat wie, że bez Polski Wielkiej i Niepodległej nie będzie pokoju w Europie, nie będzie go w całym świecie. Żagiew walki zbrojnej o Niepodległość i Wielkość Polski rozniesiemy po całym świecie i przekażemy jej dziedzictwo następnym pokoleniom.

Tak nam Boże dopomóż!

Żołnierze Polski Walczącej.

Chyba jedynym Polakiem wśród mych bliskich znajomych, który nie oburza się na Mikołajczyka jest Mackiewicz. „Słoń” jest nawet zadowolony, że znalazł się Polak, który, choćby z pobudek ambicjonalnych, zdecydował się wreszcie — jak mówi — „na konsekwentną robotę”. Cat często gada od rzeczy. Przeczy temu co dotychczas mówił i pisał. Odnoszę wrażenie, że teraz po prostu bawi go sensacyjna strona medalu podróży Mikołajczyka...

Ta — według Mackiewicza — „konsekwentna robota” sprzeczna jest z wolą Kraju. Kraj mówi wyraźnie rządowi: „Wy tam w Londynie walczyć o zasady. Układy z sowieciarzami pozostawcie nam!”.

Z Polski przylecieli: J. Retinger, i Tomasz Arciszewski z PPS. Arciszewski przewidziany jest na następcę Prezydenta Raczkiewicza. Los Sosnkowskiego przesądzony. Stanowisko Naczelnego Wodza ma po nim objąć podobno generał Stanisław Tabor-Tatar, którego przysłał Kraj razem z Berezowskim, ze Stronnictwa Narodowego. Różnie o tym generale mówią. W każdym razie nie cieszy się dobrą opinią. Przebakują nawet, że jest wyraźnie prosowiecki. Nie rozumiem dlaczego właśnie taki typ znalazł się w „delegacji” przybyłej z Polski.

Koła zbliżone do premiera puszczaają znowu wersje, że Mikołajczyk chce reorganizować rząd. Weszliby do niego „niektórzy endecy, ludowcy, Żydzi i — komuniści. O socjalistach się nie mówi. Na żądanie Moskwy. Plan „wyobcowania” socjalistów wpłynął na zmianę postawy Kwapińskiego. Już od dłuższego czasu kontruje Mikołajczykowi.

Znowu kręci się w głowie od tych plotek.

3 sierpnia, czwartek, 5-ta po południu

Od wtorku Warszawa walczy z Niemcami! Co wpłynęło na tę decyzję? Narzuca się tylko jeden motyw polityczny. Konieczność zajęcia stolicy przez legalne władze i Armię Krajową przed wkroczeniem wojsk sowieckich do Warszawy. Ale kto wydał tę decyzję? Rozkaz Bora brzmi:

R o z k a z.

Żołnierze Stolicy!

Wydałem dziś upragniony przez Was rozkaz do jawnej walki z odwiecznym wrogiem Polski, najeźdźcą niemieckim. Po pięciu blisko latach nieprzerwanej i twardej walki prowadzonej w podziemiach konspiracji stajecie dziś otwarcie z bronią w rękę, by Ojczyźnie przywrócić Wolność i wymierzyć zbrodniarzom niemieckim przykładną karę za terror i zbrodnie dokonane na ziemiach Polski.

Dowódca Armii Krajowej
(—) BÓR.

1. 8. 1944.

Od chwili gdy nadeszła do Londynu wiadomość o wybuchu powstania niczego w tej sprawie nie można się dowiedzieć. Nie pozostaje więc nic innego, jak bawić się znowu w domysły. Dobrze to, lecz nie wtedy, gdy leje się krew na ulicach Warszawy. Można oszaleć.

Wczoraj byłem u Tadeuszów Zamoyskich. Poszedłem chętnie, bo wiedziałem, że będzie u nich ów Stanisław Stanisławski (Ostaszewski) członek pięcioosobowej delegacji z kraju. Tadzio zna go dobrze, jeszcze z czasów warszawskich. Gadaliśmy z tym sympatycznym panem tylko o powstaniu. Myślałem, że dowiem się w jakich okolicznościach zapadła decyzja podjęcia, jak się nam wszystkim wydaje — beznadziejnej walki. Stanisławski kręci się w najwyższych sferach rządowych. Okazało się, że ten delegat gubi się jak my w domysłach. Nie wie nawet czy sprawa była uzgodniona z Prezydentem i Sosnkowskim. Nie wie, kto

ponosi odpowiedzialność za tę — nie znajduję innych słów — tragiczną decyzję. Czy jest ona wspólnym aktem władz krajowych i rządu? Stawiając to pytanie czuję — że jest niewłaściwe. U licha, przecież inaczej być nie mogło! Chyba, chyba, że nasze czynniki miarodajne dostały kręcka...

5 sierpnia, sobota, 4-ta po południu

Skwarny dzień. Siedzę w mieszkaniu z głową nabitą myślami o Warszawie. Mechanicznie notuję, że ofensywa aliancka w Normandii i Bretanii rozwija się pomyślnie, że we Włoszech sprzymierzeni są już na przedmieściach Florencji, że *fly bombs* przestały Londynowi dokuczać i że nic Niemcom nie pomogą, że Moskwa politycznie gra najchytrzej...

Chyba wyjdę za chwilę i powłóczę się w pobliskim parku. A może pójść do kina? Bo jak się mówi z Rodakami, nie można opędzić się od natrętnych pytań. Ludzie łakną pomocy w myśleniu. Niestety, ja sam jej też łaknę.

6 sierpnia, niedziela, około 1-szej w nocy

Rocznica wymarszu pierwszej kadrowej Piłsudskiego z Olean-drów, Boże! Cóż za odległe dzieje! Ileż w tym czasie przewaliło się przez nasze zmęczone głowy. Od zrywu szaleńców w sierpniu 1914 roku do zrywu równo trzydzieści lat potem — ludności Warszawy, pragnącej przywrócić miastu pozycję wolnej stolicy niepodległego państwa. Trzydzieści lat wzlotów, i upadków, triumfów i klęsk, radości i tragedii, a przy tym niewzruszonej wiary, że zawsze i wbrew wszystkiemu — „z trudu naszego i znoju Polska powstanie by żyć”...

Im dłużej zastanawiam się nad pytaniem, co robić, tym — zdaje się — bliższy jestem odpowiedzi. Nie wpłynie na nią fakt, że Warszawa walczy samotnie i że jej bohaterski wysiłek powiększy bogate dzieje męczeństwa narodu...

Co robić? Należy otrząsnąć się z koszmarnych przeczuć. Trzeba się z tym pogodzić — że radosny dzień 11-go listopada 1918 roku, które przeżywało moje pokolenie, nie był datą zamykającą okres walki narodu o niepodległość i że niestety, zaczyna się nowy, nieznaný jej rozdział. Jakimi drogami toczyć się będzie ta walka? Na razie ich nie widzę i nie chcę widzieć.

7 sierpnia, poniedziałek, 5.30 po południu

Dzienniki donoszą, że wojska sprzymierzonych pchają się na Paryż. Piszą o — *civil war in Florence*. O Warszawie ani słowa. Wymowne jest to milczenie prasy angielskiej.

8 sierpnia, wtorek, 7-ma po południu

Warszawa walczy dalej i woła rozpaczliwie o pomoc. A jednocześnie z Moskwy nadchodzą wiadomości o wielogodzinnych konwersacjach pana Mikołajczyka. Z kim? Z Komitetem Wyzwolenia. Znaczy to, że w czasie gdy Warszawa walczy o wolność narodu, Mikołajczyk uznaje agenturę sowiecką, przy której pomocy Moskwa chce Polakom nałożyć kajdany. Ciekaw jestem co na to powie Mackiewicz, który tak pochwalał „konsekwencję” Mikołajczyka. Ten człowiek — to ponura postać naszych dziejów współczesnych. Wyobrażam sobie jak wiadomość o tych konwersacjach — jeśli do nich dojdzie — przyjmą dowódcy powstania.

A w Londynie? Tomasz Arciszewski został następcą Prezydenta. Sosnkowskiego nie ma. Jak się zdaje, przebywa już od kilku dni na Bliskim Wschodzie. Gdzie był, gdy ważyła się decyzja w sprawie powstania?

Niemcy zupełnie zwariowali. Dobijani ze wszech stron, rzucają na wyspę nową broń. Po V-1 przysłała kolej na V-2.

9 sierpnia, środa, wieczorem

Zaszedłem dziś do kancelarii Prezydenta w pewnej sprawie natury archiwalnej. Pokazano mi dwa dokumenty. Zrobiłem sobie odpisy. Oba z 7 sierpnia. Wklejam je na wieczną rzecz pamiątkę. Jeden krótki, formalny. Drugi również formalny, ale ciekawszy, gdyż zawiera motywy spławienia Sosnkowskiego ze stanowiska następcy Prezydenta. *Dokument pierwszy:*

**ZARZĄDZENIE PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ
O WYZNACZENIU NASTĘPCY PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ**

Na podstawie art. 24 ust. 1 Ustawy Konstytucyjnej wyznaczam pana Tomasza Arciszewskiego na następcę Prezydenta Rzeczypospolitej na wypadek opróżnienia się urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej przed zawarciem pokoju.

Z chwilą ogłoszenia niniejszego zarządzenia — zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 16 października 1939 roku o wyznaczeniu następcy Prezydenta Rzeczypospolitej, traci moc obowiązującą.

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ
(—) **WŁ. RACZKIEWICZ**

Dokument drugi:

K O M U N I K A T
KANCELARII CYWILNEJ PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

W związku ze zmianą na stanowisku następcy Prezydenta Rzeczypospolitej na okres wojny nowomianowany następca Prezydenta Rzeczypospolitej p. Tomasz Arciszewski stwierdził, iż w razie objęcia urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej stosować się będzie do oświadczenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 30. XI. 1939 roku w sprawie wykonywania specjalnych konstytucyjnych uprawnień Prezydenta Rzeczypospolitej.

Do Naczelnego Wodza, gen. Sosnkowskiego przesłał Pan Prezydent list treści następującej:

Panie Generale,

Po objęciu przez Pana Generała stanowiska Naczelnego Wodza omawiałem z Panem wielokrotnie sprawy rozdziału godności następcy Prezydenta Rzeczypospolitej na okres wojny i stanowiska Naczelnego Wodza, którą to sprawę poruszyły czynniki polityczne Kraju, wychodząc z założenia zasadniczego, że następca Prezydenta nie powinien zajmować stanowiska ani w rządzie ani w wojsku.

W rozmowach ze mną w tej sprawie stwierdzał Pan Generał niejednokrotnie swoje stanowisko, iż godność następcy Prezydenta piastowanej przez siebie uważa za pozostającą całkowicie w mojej dyspozycji, zależnie od mojej oceny sytuacji politycznej i jej potrzeb. Powziąwszy w tej sprawie decyzję, zwróciłem się do Rady Jedności Narodowej w Kraju o wysunięcie kandydatów na tę godność spośród szczególnie zasłużonych w Kraju osobistości.

Spomiędzy wysuniętych przez Radę Jedności Narodowej kandydatów wybrałem prezesa Tomasza Arciszewskiego. Pan Arciszewski wyraził mi swą zgodę, wobec czego podpisałem dziś zarządzenie o zmianie mego zarządzenia z dn. 16 października 1939 roku, powierzając godność następcy Prezydenta Rzeczypospolitej na okres wojny panu Arciszewskiemu.

Komunikując o tym Panu Generałowi, czuję się w obowiązku specjalnie podziękować Panu za Jego tak przyjazną współpracę ze mną przez cały czas bez mała pięciu ciężkich lat wojennych, podczas których piastował Pan godność następcy Prezydenta Rzeczypospolitej na okres wojny.

Zechce Pan Generał przyjąć wyrazy mej szczerzej przyjaźni,

(—) *Wł. Raczkiewicz.*

Oto finał „przyjaznej współpracy”. Bardzo typowe dla Raczkiewicza, no i typowe dla karnej postawy legalisty Sosnkowskiego.

10 sierpnia, czwartek, 6-ta po południu

Wciąż upały. Potęgują zamęt w polskich głowach.

Wczoraj nadeszły sprzeczne wiadomości o rozmowach Mikołajczyka tymczasem nie z polską agenturą, lecz z jej mocodawcą czyli Kremlem. Jedne głoszą, że osiągnął wiele, inne — że nic.

Mało się tymi plotkami przejmuję. Nadśłuchuję tylko ech

dochodzących z Warszawy. Od wczoraj mówi się, że wysłano drogą lotniczą pomoc dla powstańców. Jaką? Czy wystarczającą i na jak długo?

Ludzie oddani Sosnkowskiemu zaczynają szemrać. Dlaczego — pytają — nie ma go w tej chwili w walczącej Warszawie? Tam w Kraju jest miejsce Naczelnego Wodza, a nie na Bliskim Wschodzie czy we Włoszech? Anders da sobie radę bez Niego. Sosnkowski zna świetnie Zachód. Bez złudzeń ocenia naszych sprzymierzeńców. Jakże bezcenna byłaby dziś jego rada. Słucham tych narzekania z przykrością. Trudno mi być obrońcą Sosnkowskiego. Nie wiem co myśli i co w sobie dziś waży. Tym trudniej, że w tym „głosie ludu” jest może źdźbło prawdy. Bodaj najprzykrejsze jest to, że wśród narzekających są młodzi wojskowi z zeszłorocznego „podziemia londyńskiego”, którzy — jak Sęp-Szarzyński i inni — buntowali się przeciwko polityce Sikorskiego i gotowi byli bez wahania wykonać każdy rozkaz Sosnkowskiego.

Gdy o tym piszę odczuwam dziś bardziej niż w roku ubiegłym brak Felka Lechnickiego. Chciał „do końca” wylatać swą kolejkę. 1 lipca zestrzelony został we Francji. Wspaniały typ młodego Polaka! Inteligentny, utalentowany, dynamiczny. I on wierzył w Sosnkowskiego. Powiedziała by mi teraz szczerze co myśli. Wyobrażam sobie jak by ocenił „samodzielną misję” (tak się to teraz nazywa) Mikołajczyka w Moskwie...

Musi być coś bardzo nie w porządku z tą „misją”. Spotkałem przelotnie inż. A. Piotrowskiego, mówił że Prezydent ma również dosyć tego misjonarza. Uważa, że w ogóle nie jest zdolny do jako tako inteligentnej oceny rzeczy, które się wokół nas dzieją. Żałuję, że Raczkiewicz tak późno doszedł do tego wniosku. A zdawało się, że już dawno nie miał złudzeń co do intelektualnych walorów naszego premiera.

11 sierpnia, piątek, 7-ma wieczorem

Wojska polskie we Francji znajdują się pod Falaise. Na piekielnie ciężkim odcinku frontu.

Brat był dziś u Raczkiewicza. To co mu Prezydent mówił o Mikołajczyku potwierdzają wczorajsze relacje Piotrowskiego. Rozmowa była szczerą. Prezydent nie szczędził krytycznych uwag o Mikołajczyku i całym rządzie. Zawiódł go zupełnie p. T. Romer, minister spraw zagranicznych.

Mackiewicz unika rozmowy o podróży Mikołajczyka. Za to krzacz, że żadna pomoc brytyjska dla Warszawy nie poszła.

15 sierpnia, wtorek, 1-sza w nocy

Znowu rocznica! Zwycięstwo nad wojskami bolszewickimi w 1920 roku u bram Warszawy. W niespełna ćwierć wieku potem wojska sowieckie stoją znowu na przedpolu Warszawy, walczącej z niemieckim okupantem. 9 sierpnia na konferencji prasowej w Moskwie premier Mikołajczyk oświadcza, że wojska sowieckie „oswobadzają ziemie polskie”, a tym samym chcą „oswobodzić” Warszawę. W sierpniu 1920 roku premierem rządu polskiego był Wincenty Witos. Gdyby żył i usłyszał oświadczenie obecnego premiera rządu, przekląłby takiego „ludowca”. Osobiście mało znałem Witosą. Zetknąłem się z nim tylko dwa razy w życiu. Ale że tak by postąpił — nie mam wątpliwości. To był rasowy chłop polski.

Przed dwiema godzinami wróciłem z Upton. Znowu oderwałem się na trzy dni od Londynu i przewietrzyłem zmęczoną myślami mózgownicę. Ledwie wszedłem do mieszkania, zaczęła się seria telefonów z wiadomościami. Ostatni od Mackiewicza.

Przed paru dniami przyleciał z Moskwy Mikołajczyk. Mackiewicz wnioskuję z tego co słyszał, że ustąpił na całej linii. W jakich sprawach? Nie trudno się jest domyśleć!

Raczkiewicz podobno zadowolony, że Mikołajczyk niczego w Moskwie nie podpisał. Trochę mnie to śmieszy. Bo może go Stalin wcale nie prosił o podpis? Bo i po co? Stalin miał mówiąc po warszawsku — „odstawiać” wielkoduszno. Podobno najuprzejmiej prosił pana Mikołajczyka, by łaskawie „pogodził się” z Komitetem Wyzwolenia Polski, który sobie bardzo upodobał. Uprzejmy Mikołajczyk nie był w stanie odmówić tej drobnej prośbie Stalina.

Jeśli tak jest, Mikołajczyk ani przez godzinę nie może być premierem rządu. Uznał bowiem Komitet Wyzwolenia — o co Sowietom chodziło — za co najmniej równoznaczną z legalnym rządem reprezentację Narodu polskiego. Ułatwił Sowietom grę, której celem jest jak najprędze wyeliminowanie legalnego rządu i zastąpienia go rządem narzuconym przez Moskwę. Komitet Wyzwolenia — to pierwszy etap na tej drodze. Ile jeszcze podobnych dróg Moskwa wymyśli?

16 sierpnia, środa, o północy

Sowieciarze naciskają, abyśmy dokonali wyboru między Wasilewską, Osóbką, Berlingiem i jak się tam oni wszyscy nazywają, czyli między komunizmem i tym wszystkim czym dotąd żyliśmy,

co było własne, nie narzucone, polskie. Anglicy i Amerykanie naciskają również, gdyż pogodzili się z faktem, że nic nie może się dziać w Europie bez zgody Moskwy. Taka jest sytuacja i nie warto jest łamać sobie głowy innymi analizami.

O północy słuchaliśmy razem z Witkiem Czerwińskim ostatnich wiadomości radiowych. Niemcy pod Ossowcem odepchnęli Rosjan, likwidując ponoć cały sowiecki korpus pancerny. Podejrzane są te niepowodzenia sowieckie właśnie u bram walczącej z Niemcami Warszawy.

17 sierpnia, czwartek, 1-sza w nocy

Nie chcę się położyć zanim nie zanotuję — choć bardzo chaotycznie — różnych ciekawych wiadomości, którymi się ze mną podzielił — mniejsza kto.

Mikołajczyk depeszował z Moskwy, że Stalin 10 sierpnia obiecał zrzuty na Warszawę. Sosnkowski żąda interwencji socjalistów u wicepremiera labourzysty Attlee. Naczelny Wódz zwrócił się do Eisenhowera o zgodę na pomoc dla walczącej Warszawy. Bez tego żadne jednostki wojskowe nie mogą być użyte z zachodnioeuropejskiego frontu. Zastępujący nieobecnego Mikołajczyka wicepremier Kwapiński napisał list do Churchilla z prośbą o pomoc i parokrotnie rozmawiał z Attleem. Czyniąc zadość żądaniom Kraju Naczelny Wódz zwrócił się do marszałka Brooka o wysłanie do Warszawy polskiej Brygady Spadochronowej. Rada Ministrów już wysłała czy wysyła z inicjatywy Sosnkowskiego depeszę do Warszawy w której jednak opuszcza takie zdanie przez niego proponowane: „W tych okolicznościach, chyląc czoła wobec wyników waszych dotychczasowych walk, oświadczamy, że każda wasza decyzja z najgłębszym szacunkiem przez nas przyjęta i uznana będzie”. Sosnkowski wyraźnie chciał upoważnić Bora do kapitulacji lub — przebicia się poza Warszawę, ale Rada Ministrów wypowiedziała się za kontynuowaniem powstania. Raczkiewicz wysłał depeszę do Churchilla z prośbą o realizację obiecaną pomocy dla Warszawy w formie natychmiastowych masowych zrzutów. Brytyjczycy odmówili użycia Brygady Spadochronowej. Brytyjski Komitet Szefów Sztabów uchwalił wysłanie depesz do Włoch, do gen. Wilsona i marszałka Slessora, podkreślających znaczenie pomocy dla Warszawy. Marszałek Slessor zostanie powiadomiony o decyzji polskiego Naczelnego Wodza, żeby lotnicy polscy dokonywali lotów nad miastem bez względu na ryzyko. Ten sam Komitet Brytyjski ma się zwrócić do analogicznego Komitetu Amerykańskiego z prośbą o podjęcie

operacji z baz włoskich lub sowieckich. Misja brytyjska w Moskwie ma interweniować o szybką pomoc sowiecką dla Warszawy. Bodaj 13 sierpnia Kwapiński depeszował do prezesa Rady Jedności i do PPS w Kraju: „Prezydent śle dziś depeszę do Roosevelta. Amerykanie twierdzą, że bez zgody Rosji nic nie mogą zrobić. Starania trwają”. 14-go rano wrócił do Londynu Mikołajczyk.

W mieszkaniu diabelnie duszno. BBC powtarza wciąż jedno słowo: *Victory*. Padają nazwy: Orléan, Chartres, Dreux. Ludność Paryża słyszy już alianckie działa artyleryjskie. Francuzi wyszli z podziemia i walczą z Niemcami.

Mój Boże! Co te ich całe podziemie warte w porównaniu z naszym! Pewno by go w ogóle nie było, gdyby nie zrzucone brytyjskie i nie bliskość Anglii.

Sosnkowski jest od kilku dni w Londynie. Szykuje się na niego — jak mówią — generalny atak wszystkich: Rządu, Brytyjczyków i sowieciarzy.

22 sierpnia, wtorek, 11.30 w nocy

Chwała Bogu, że skończyły się upały. Od soboty porządnie się ochłodziło. Ale nie skończyły się latające nad nami żelazne michałki. A myślałem, że trzeszczące królestwo Adolfa nie będzie już zdolne do takich wyczynów. Tymczasem, psie krwie, nie dają spokoju. We dnie i w nocy. Gdy byłem na kolacji u pań Ujejskich słyszeliśmy dwa razy przelatujące bomby jakby tuż nad głowami. I teraz alarm trwa. Z oddali dochodzą nieustannie odgłosy wybuchów.

Ale nic to nas nie obchodzi. Myśl o Warszawie, o bliskich, o losie kochanego miasta, przesłania wszystko. Nie wzrusza nas wyzwolenie Paryża. Nie interesuje nawet akcja wojska polskiego we Francji czy wyczyny 2-go Korpusu. W każdym razie taki jest mój stosunek do rzeczy. Boleję, że Polacy walczą we Francji i we Włoszech, bo uważam tę walkę za bezcelowy przelew krwi. Wybuch powstania można przynajmniej tłumaczyć nieświadomością tego co się dzieje na świecie i narastającą żądzą odwetu za niemieckie zbrodnie.

Przeraża liczba zburzonych domów w Warszawie, całych ulic, muzeów, kościołów. A rozpacz ogarnia, gdy myślimy o ludziach, o młodych, ofiarnych chłopakach i dziewczętach, których znowu kosi śmierć. I, co najgorsze, że to jeszcze nie koniec. Nic na to nie wskazuje, by zamierzali się poddać. Na co liczą? Na starania rządu? My tu w Londynie już wiemy, że znikąd pomoc

nie nadejdzie. Ani od zachodnich sprzymierzeńców ani od sowie-
ciarzy.

Od miesięcy nie usiłuję docierać do tzw. sfer miarodajnych. Wiem tyle, co mi inni powiedzą. A inni twierdzą, że w łonie rządu toczą się teraz zacięte boje w sprawie stosunku do Sowietów. Socjaliści są w opozycji do Mikołajczyka. Kieruje nią Tomasz Arciszewski. Sekundują mu: Adam Ciołkosz i Adam Pragier.

Dziś rozmawiałem z pewnym inteligentnym Anglikiem. Dowodził że ze względu na bezpośrednie sąsiedztwo z Rosją, nic Polsce nie pozostaje jak poddanie się „woli politycznej” wschodniego sąsiada. Sam nie tai obaw, że komunizm może zalać całą Europę.

Ta rada inteligentnego i życzliwego Anglika jest bardzo znamienna dla nastrojów panujących wśród naszych gospodarzy.

Same tytuły gazet malują obraz sytuacji na froncie zachodnim. „300.000 nazis wiped out in Normandy. Fly-bombs depots 20-30 miles off. Patton opens new drive along Seine. Riviera — Germans are now in 'full retreat'. Pétain has been arrested, Maquis capture Lyon”.

W komunikatach pełno o Polakach walczących we Francji i we Włoszech a obok tragiczne tytuły: „Kobiety Warszawy apelują do Papieża”!

Cóż za kontrast tego rozpaczliwego apelu z wiwatami rozbrzmiewającymi w knajpach paryskich czy londyńskich w Soho na cześć zbliżającego się wyzwolenia Francji! Wyzwolenia dokonanego rękami Amerykanów i Brytyjczyków. A w tym samym czasie ginie Warszawa, stolica najwierniejszego z wiernych sprzymierzeńców Zachodu. Samotna, opuszczona, zdradzona. Wciąż cisną się słowa goryczy i przekleństw. A jednak zgniły Zachód!

23 sierpnia, środa, po 5-tej rano

Obudził mnie alarm. Latające michałki przefrunęły nad nami. Wstałem i piszę przy otwartym oknie.

Myślę o tym, co opowiadał wczoraj Czerwiński. Mikołajczyk rozmawiał z Komitetem Zagranicznym PPS. Towarzyszyli mu koledzy partyjni: Kot, Kulerski, Banaczyk, Wilk i bodaj Zaremba. W imieniu PPS zabierali głos: Arciszewski i podobno znakomicie Ciołkosz i Pragier. Po dyskusji rozsierdzony Mikołajczyk oświadczył że między dotychczasowymi partnerami koalicji rządowej powstały zasadnicze różnice poglądów na politykę zagraniczną. Zapowiedział, że wyciągnie z tego konsekwencje.

Przebieg tej dramatycznej rozmowy ujawnił zamiar udania się

do Warszawy (oczywiście po upadku powstania) p.p. ministrów: Mikołajczyka, Kota, Seydy, Popiela. I tego obrzydliwca — Stańczyka z PPS-u.

Również z innych relacji wynika, że tym razem PPS nie ustąpi. U socjalistów zwyciężyły elementy niepodległościowe z Arciszewskim na czele. Wszystko zapowiada kryzys rządowy. Szkoda, szkoda, że tak późno.

Jeszcze parę wiadomości potwierdzających najczarniejsze przewidywania o losach Powstania. Stalin odmówił kategorycznie pomocy walczącym powstańcom. Z innych względów (technicznych) Wielka Brytania i Stany Zjednoczone. Gdy chciano wysłać do Warszawy część naszej Brygady Spadochronowej, zakontrolował również ponoć sam pan premier Mikołajczyk.

Po zajęciu Lublina „współdziałanie” sowiecko-polskie trwało krótko. Rosjanie zaaresztowali sztab i 2 tysiące żołnierzy AK. Wszystkich miano osadzić w Majdanku pod zarzutem... współpracy z Niemcami! Zaczyna się...

7-ma po południu

Oddziały francuskiego ruchu podziemnego „wyzwoliły” Paryż. Prasa angielska odmienia do znudzenia słowo: *Maquis*. Co za szczęściarze ci Francuzi! A nasi w Warszawie walczą dalej już na gruzach miasta. Zamiast na jego wyzwolenie czekają na wyrok za co? Za poświęcenie i ofiary ponoszone od lat w służbie dla kraju. Chciałoby się wyjść na ulicę, wrzeszczeć i pluć w twarz wszystkim. Bezsilna szarpanina i nic więcej.

24 sierpnia, czwartek, 1-sza w nocy

Rumunia już odpadła od niemieckiej „osi”. Kto po niej: Bułgaria czy Węgry? Zbliżył się szybko do końca.

29 sierpnia, wtorek, po północy

Wypadłem znowu na trzy dni do Upton. Wczoraj wróciłem do Londynu. Pogoda była cudowna.

Spotkałem w Upton Zbyszka Bobińskiego. Przylatywał znowu nad dom w którym mieszkamy. Wykonywał przy tym tak karkołomne ewolucje, że strach oblatywał wszystkich, nie wyłączając starsuszków, właścicieli farmy.

30 sierpnia, środa, 8-ma wieczorem

Nareszcie! Po miesiącu walk, Niemcy uznali Armię Krajową za Kombatantów wojennych. Sądzą, że może ten gest przyspieszy kapitulację powstania?

31 sierpnia, czwartek, o północy

Uwolniony Paryż szaleje; my zgrzytamy zębami.

Pan Premier dziś urządził konferencję prasową. Jeszcze jedno *testimonium paupertatis* jakie sobie wystawił. Czuć było, że ma gębę związaną. Zresztą nie mówił, ale głądził. Zdobył się na jakiś banalnie patetyczny zwrot o Armii Krajowej.

Wyszedłem przygnębiony. Wracaliśmy do domu z Mackiewiczem. Jak się z wileńska mówi „pluwał się” na *exposé* Premiera. Już go teraz nie broni. Odgrąza się, że w następnej broszurze rozprawi się z Mikołajczykiem. „Katastrofalna postać w dziejach Polski” — powtarza. Myślę, że taki będzie tytuł jego wrześniowej broszury.

1 września, piątek, 9-ta rano

Znowu rocznica. Pięć lat temu w Warszawie! Nie chce się już niczego wspominać i niczego porównywać. Ograniczam się do jednego. Dzień jest tak samo piękny i słoneczny, jak wtedy w Warszawie, w 1939 roku.

Wojska sowieckie w Radzyminie... Churchill wygłosił przemówienie do narodu polskiego.

1-sza w nocy

Verdun wzięte przez wojska alianckie. W prasie dalej dużo o Polsce i Warszawie. Psu na budę.

2 września, sobota, 5-ta po południu

Trzy ostatnie noce przeszły spokojnie. Wobec postępów ofensywy alianckiej na północy Francji, optymiści przepowiadają koniec latających robotów.

Żyjemy raczej dniem dzisiejszym, bojąc się spojrzeć w nieznane jutro. Przed nami bezdroża — same bezdroża. I — jak w roku ubiegłym — tylko czepiamy się każdej pomyślniejszej wiadomości, wmawiając w siebie, że konieczność rozstania z naszym „wczoraj” bynajmniej nie jest jeszcze taka pewna. Budujemy nowe zamki na lodzie. Dochodzimy wtedy — zdawałoby się — do nieomylnego wniosku, że dynamizm młodej i potężnej demokracji amerykańskiej, musi się prędzej czy później zetrzeć z dynamizmem sowieckim. Skłonni jesteśmy przy tym poddawać się złudzeniu, że to będzie prędzej a nie później.

Stasia Paprockiego wylano z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Kot jeszcze teraz robi czystki!

3 września, niedziela, po północy

Dziś wieczorem czytał u nas Mackiewicz parę rozdziałów swej książki o Dostojewskim. Zakochany w tym pisarzu. Słuchałem z zainteresowaniem barwnej narracji. Kompozycyjnie jednak — jak to zwykle u niecierpliwego i wiecznie spieszącego się Mackiewicza — mankamenty. Pewno też znajdują się nieścisłości. Ale rzecz napisana z talentem.

Przynajmniej raz nie gadaliśmy o sytuacji. Słuchając Mackiewicza utwierdziłem się raz jeszcze w przekonaniu, że uważa się za idealne skrzyżowanie litewskiego szlachcica z rosyjskim Dostojewskim i z francuskim Daudetem.

Jest sprawa, o której trzeba będzie sobie pogawędzić. 1 września, wydał Sosnkowski jako Wódz Naczelny rozkaz do wojska. Czyżby Rząd go aprobował? Nie rozumiem, że nasza urzędówka rozkaz wydrukowała. Jest już za późno na analizę tego dokumentu.

4 września, poniedziałek o północy

W Warszawie wciąż walczą. Alianci już i z Brukseli wykuryli Niemców. „Ewakuują się z Holandii”. Znowu ogarnia nas gorycz.

W gmachu Strattonu w którym mieści się część urzędów polskich (m.in. nasze Ministerstwo Informacji i Dokumentacji) pracowały również urzędy holenderskie. W dawnym hallu hotelowym pierwszą osobą jaką spotykaliśmy rano był starszy wiekiem, umundurowany policjant holenderski. Teraz rozradowani Holendrzy pakują manatki. Lada tydzień wrócą do swego kraju.

Chodzą rozpromienieni. Tak samo 20 tysięcy Belgów szykuje się do wyjazdu. A my?

Finlandia, nasz sprzymierzeniec w nieszczęściu, już nie walczy. Kolej teraz na Rumunów, Bułgarów, Jugosłowian, Czechów, Słowaków. I oni mają się poddać rozkazom Moskwy. Wyobrażam sobie z jakim napięciem światlejsze umysły w tych krajach obserwują stosunek Kremla do zagadnienia polskiego. Dla wszystkich narodów Europy Środkowo-Wschodniej — Polska to *test case*, sprawdzian tego, co z nimi będzie.

5 września, wtorek, 1-sza w nocy

Dzień pełen wrażeń.

Obiad z Marcelim Karczewskim. Karczewski jest nadal w bliskich stosunkach z Mikołajczykiem. Wierzy w jego dobre intencje. Ja też wierzę, ale mało mnie intencje obchodzą. „Dobrymi chęciami piekło brukowane”. Nie polemizowałem. Karczewski zna moją opinię o talentach politycznych premiera. Największą sensację jaką usłyszałem od Karczewskiego była zapowiedź podania się całego rządu do dymisji. Ma to być demonstracja polityczna wobec sprzymierzeńców za ich stosunek do Powstania Warszawskiego. Nie bardzo rozumiem skąd się wziął ten pomysł ale cieszy mnie ewentualność ustąpienia z widowni obecnego zespołu rządowego. Mam nadzieję, że następny będzie lepszy.

A teraz kilka słów o rozkazie Sosnkowskiego do wojska w rocznicę wybuchu wojny polsko-niemieckiej. Napisany pięknie. Wypowiada to, co od dawna czujemy:

„Pięć lat minęło od dnia, gdy Polska wysłuchawszy zachęty rządu brytyjskiego i otrzymawszy jego gwarancje, stanęła do samotnej walki z potęgą niemiecką... „Od miesięcy bojownicy Armii Krajowej po społu z ludem Warszawy krwawią się samotnie na barykadach ulicznych w nieubłaganych zapasach z olbrzymią przewagą przeciwnika. Samotność kampanii wrześniowej i samotność obecnej bitwy o Warszawę są to dwie rzeczy zgoła odmienne. Lud Warszawy pozostawiony sam sobie i opuszczony na froncie wspólnego boju z Niemcami — oto tragiczna i potworna zagadka, której my Polacy odcyfrować nie umiemy na tle technicznej potęgi Sprzymierzonych u progu szóstego roku wojny”.

Albo taki ustęp:

„Jeśli by ludność stolicy z braku pomocy zginąć musiała pod gruzami swych domów, jeśli by przez bierność, obojętność czy zimne wyrachowanie wydana została na rzeź masową — wówczas sumienie świata obciążone będzie grąchem krzywdy straszliwej i w dziejach niebywalej. Są wyrzuty sumienia, które zabijają”.

Powtarzam: Sosnkowski powiedział głośno to, co wszyscy czujemy, co czują żołnierze polscy walczący na różnych frontach świata u boku zachodnich sprzymierzonych. Czy gdy usłyszą własne myśli wypowiedziane głośno przez Wodza Naczelnego, nie zwątpią ostatecznie w celowość składanej przez nich ofiary? Czy przed rzuceniem broni zdołają powstrzymać ich słowa Sosnkowskiego, że wierzy jeszcze w obietnice i przyrzeczenia Sprzymierzonych i „wiera ta nie będzie odebrana Polskim Siłom Zbrojnym i to właśnie w przededniu zwycięstwa i triumfu wspólnej sprawy?...”.

Komunikat brytyjskiej agencji Reutera o rozkazie Sosnkowskiego zapowiada wyraźnie usunięcie go ze stanowiska, które pełnił przeszło od roku. Prawda w oczy kole. A nasi gospodarze nie lubią, gdy się ją wypowiada bez osłonek, jak to uczynił Sosnkowski.

Sosnkowski na pewno zdawał sobie sprawę z konsekwencji. Wiedział, że po wydaniu rozkazu nie może ani dnia dłużej być Wodzem Naczelnym. Już wieczorem telefonował Kowalewski, że Sosnkowski wręczył Prezydentowi prośbę o dymisję. Nie rozumiem tylko, dlaczego dopiero teraz wydał taki rozkaz? Czy nie powinien był zrobić tego wcześniej? Czy nie powinien zaryzykować wraz z całym wojskiem wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi, który pod naciskiem mocarstw zachodnich ustępuje na całej linii Moskwie? Czy odchodząc w takiej chwili nie ułatwia Mikołajczykowi jego niepoczytalnych gier? A może widząc swą bezsilność, zrezygnował po prostu z walki i odchodząc chciał przynajmniej pozostawić po sobie piękny dokument. Powstrzymuję się na razie od wielkich sądów. Wierzę, że Sosnkowski postąpił tak, jak mu nakazywało sumienie.

6 września, środa, 10-ta wieczorem

Ustąpienie Sosnkowskiego to główny temat rozmów. Jedni zapamiętali bronią rozkazu, inni uważają, że był niepotrzebny. Dymisja jeszcze nie jest przyjęta, choć — jak słyszę — Mikołajczyk lata do Prezydenta i wciąż się jej domaga. Śpieszy się, by utracić Sosnkowskiego póki jest szefem rządu. Nie wiadomo jak długo nim będzie. PPS coraz wyraźniej dąży do wywołania kryzysu gabinetowego.

7 września, czwartek, 1-sza w nocy

Ambasador brytyjski przy naszym rządzie, O'Mally, miał

oświadczyć Prezydentowi, że jeśli nie przyjmie prośby Sosnkowskiego o dymisję, natychmiast ustąpi ze swego stanowiska. Krążąca wczoraj plotka jakoby Sosnkowski odleciał na front do jednego z oddziałów wojska okazała się tylko plotką. Najwidoczniej Raczkiewicz jeszcze się waha w sprawie Sosnkowskiego. Byle by się nie wahał z udzieleniem dymisji Mikołajczykowi, gdy socjaliści, jak zapowiadają, opuszczą koalicję rządową.

8 września, piątek, 7.30 wieczorem

Wszystko gada o kryzysie rządowym i o tym, że Anglicy coraz natarczywiej domagają się głowy Sosnkowskiego. Grożą, że jeśli nie odejdzie, nie uznają żadnego rządu, który powstałby po upadku rządu Mikołajczyka. Obawiam się, że Raczkiewicz „dla miłego spokoju” spławi Sosnkowskiego, a Mikołajczyk z całym rządem pozostanie. Jak słyszę brytyjska Labour Party wpływa ostudniająco na swych polskich towarzyszy. Tomasz Arciszewski (a w Kraju Pużak) zdecydowany jest rozstać się z Mikołajczykiem.

Warszawa płonie. Ludzie giną jak muchy w beznadziejnej walce. Lud Warszawy — używając słów Sosnkowskiego — będzie do końca pozostawiony samemu sobie.

Tu zaś, zapowiadają od 17 września ograniczenie *black-out'u* (zaciemnienia miasta), co przecież stanowi niejako optyczną zapowiedź zbliżającego się końca. Anglicy chodzą uśmiechnięci i liczą dni, kiedy Londyn znowu wróci do normalnego wyglądu. Nie zazdrościmy im. Może ze wszystkich narodów zachodniego świata radujących się ze zbliżającego się finału, Anglicy (a zwłaszcza londyńczycy) na tą radość najbardziej zasłużyli. Najwięcej przeszli. Zdobyli się na olbrzymi wysiłek, a nie wiedzą jeszcze jak na tej wojnie wyjdą. Nie dziwię się, że jak najprędzej pragnęliby o niej zapomnieć.

13 września, środa, o północy

Nie wiem od czego zacząć po paru dniach przerwy. Chyba od tego, że dogorywająca bestia niemiecka straszy nowym rodzajem śmiercionośnej broni. Wciąż wysyła na Anglię V-2. Podobno już 5 tego typu nowych pocisków padło na Londyn. Nie słysząc ich. Nie ma alarmów. Po prostu nagle spadają i — po wszystkim. Przywożem moje panie z Upton. Od wczoraj rodzina w komplecie.

Kryzys rządowy — to dalej codzienny temat rozmów. Tyle

wiem, co usłyszę. Za kulisy naszej góry z uporem nie zaglądam. Nie wiem przeto, ile jest ostatecznie prawdy w tym, że socjaliści „nie popuszczą” i że spławienie Sosnkowskiego z Naczelnego Dowództwa wcale nie jest takie pewne.

O Warszawie myślę z rozpaczą. Błagam Boga, by zgasił wreszcie ten tlejący wśród ruin miasta płomień bezprzykładnego bohaterstwa. Kontynuacja walki o Warszawę nic Polsce nie przyniesie. Nie wpłynie w każdym razie na tworzoną sowieckimi rękami w niedalekiej odległości od Warszawy, nową rzeczywistość polityczną.

9 września radiostacja sowiecka przemawiająca po polsku (radiostacja Kościuszki!) doniosła, że niejaki Bolesław Bierut (znam nazwiska różnych komunistów polskich, ale o takim nigdy nie słyszałem!) w powołaniu się na Konstytucję polską z 1921 roku, wstępuje w uprawnienia marszałka sejmu i uszczęśliwia Kraj swą osobą w roli tymczasowego Prezydenta. Kto mu dał ten tytuł? Faktyczny, oczywiście, Moskwa, a formalny także się znalazł. Towarzysz Bierut jest prezesem jakiejś fikcyjnej „Rady Krajowej”. Premierem (także czasowym), będzie również nieznanym żołnierz komunizmu polskiego Osóbka-Morawski, podobno ex-socjalista. Znanych w Polsce nielicznych komunistów Moskwa widać woli nie pchać na czołowe stanowiska. Może nie ma do nich zaufania? Jedną ekipę polskich czcicieli Marksa Stalin wykończył bez reszty.

A rzeczywistość polityczna na emigracji? Rząd Mikołajczyka trzęsie się jak galareta. W każdej chwili może się rozpaść. Socjaliści od miesięcy grożą Mikołajczykowi, że wyjdą z rządu. Stronnictwo Narodowe w Kraju domaga się, aby ministrowie — Seyda i Komarnicki opuścili koalicję rządową. Znając obu, nie wierzę by się na to zdobyli. Ale, bo ja wiem...

Pytanie najważniejsze: czy jest jakiś sens przedłużania beznadziejnej walki o Warszawę? Od pierwszej chwili nie miała sensu. Wyobrażam sobie jak teraz, gdy klęska powstania nie ulega wątpliwości, wszyscy odpowiedzialni za jego wybuch myją przezornie ręce.

16 września, sobota, 9.30 wieczorem

Wczorajszej nocy, po 15 dniach spokoju, był znowu alarm. Dwa oddalone huki wybuchów V-2 nie zrobiły na nikim wrażenia.

Co chwila rozchodzą się w środowisku polskich nowe plotki. Dziś mówiono na przykład, że Rosja nie ma żadnych zaborczych apetytów wobec Polski. Wprawdzie chce nas okroić na wscho-

dzie, ale „wielkodusznie” poszerzyć na zachodzie. Chce rzekomo jak najszybciej wycofać swe wojska z Polski. Nie chce okupować Niemiec. W ogóle nie pcha się do Europy, aby sobie łap nie poparzyć.

18 września, poniedziałek, 10-ta wieczorem

Wczoraj zdawało się, że po wzięciu Pragi, Warszawa w ciągu godzin wpadnie w ręce sowieckie. Tymczasem sowieciarze — jak widać — wcale się nie śpieszą. Obserwują z drugiego brzegu Wisły powstanie i agonię dawnej Warszawy. W stosunkach polsko-sowieckich nic się nie zmieniło. Gdyby było inaczej, gdyby ten cały Mikołajczyk rzeczywiście cokolwiek zdziałał w sprawie powstania, wojska sowieckie nie siedziałyby z założonymi rękami na drugim brzegu Wisły przyglądając się płonącemu miastu. A może to także gra, zmierzająca do tego, byśmy padli na kolana przed Stalinem, skamłąc o łaskę pomocy dla stolicy i podpisując oburącz podyktowane warunki?

Nie mogę już o tym myśleć. Wielu ludzi wybiera się do zajmowanych przez wojska sprzymierzone części Niemiec. Chodzi o zajęcie się Polakami zsyłanymi w czasie wojny do Trzeciej Rzeszy na roboty przymusowe, a przede wszystkim — więźniami niemieckich obozów koncentracyjnych. Sprawa ważna. Obliczają, że chodzi o 2 miliony ludzi. Dr Jan Kaczmarek były sekretarz generalny Związku Polaków w Niemczech, otrzymał stopień pułkownika czasu wojny i rusza w teren. W Londynie uruchamia Biuro Oficerów Łącznikowych. Czy nie pożegnać się z Londynem i włączyć do tej konkretnej i pożytecznej roboty? W poniedziałek pogadam o tym z Kaczmarkiem.

Americans — głoszą komunikaty — *reach outskirts of Aachen*”. Przypominam sobie, to stare, piękne miasto, które oglądałem kiedyś w przelocie. Ale nie będę bolał jeśli nic z niego nie zostanie.

18 września, poniedziałek, 10-ta wieczorem

Od wczoraj zmniejszono zaciemnienie Londynu. Ale wieczorem wciąż diabelnie ciemno. Kłamię, że nie wzięłem latarki idąc do Kowalewskiego.

Wracając od niego myślałem o dwóch rozmowach. Jedną miałem z Jankiem, teraz z pułkownikiem Kaczmarkiem. Opo-
wiadał szeroko o zadaniach jakie ma realizować w zakresie opieki

nad masami Polaków w Niemczech. Bardzo ciekawe. Z mniejszym natomiast zainteresowaniem słuchałem jego opinii o naszych stosunkach wewnętrznych. Zwłaszcza jego zachwyty nad Mikołajczykiem. Nazywa go „mężem opatrnościowym”. Nie polemizowałem bo wiem, że nic się na tym nie zna.

Rozmowa z płk. Kowalewskim była jak zwykle interesująca. Gadaliśmy o dwóch ewentualnościach z jakimi należy się liczyć. Jedna: Sowietarze okupują na trwałe całą Polskę, druga: — okupacja sowiecka będzie miała charakter przejściowy. Wszystko przemawia raczej za drugą ewentualnością. Jeśli okupacja będzie przejściowa, otworzą się przed polityką polską dwie alternatywy: bądź czekać na konflikt wojenny Zachodu z Rosją, bądź też pogodzić się z „Komitetem” lubelskim. Ponieważ na tę drugą alternatywę nie pójdziemy, musimy na emigracji rozwinąć działalność polityczną obliczoną na okres najbliższych dziesięciu, dwudziestu, a może więcej lat. Trzy główne klawisze polskiej klawiatury — to w dalszym ciągu Rosja, Niemcy i Europa Środkowo-Wschodnia.

O tych różnych perspektywach pomówimy w najbliższym czasie. W jedną nie wierzymy — w wojnę Zachodu z Rosją. Zachód nie jest do niej przygotowany ani psychicznie, ani politycznie.

19 września, wtorek, 7-ma wieczorem

Największą sensacją w polskim świecie, jest przyjazd do Londynu gen. Władysława Andersa. Mówi się, że gotów jest objąć buławę Naczelnego Wodza po Sosnkowskim.

24 września, niedziela, 11-ta rano

Przesilenie na polskich szczytach wchodzi w stadium rozstrzygające. „Dobrze poinformowani” twierdzą, że Eden dwukrotnie interweniował u Prezydenta w sprawie Sosnkowskiego. Domagał się bezceremonialnie jego wylania. W piątek Rada Ministrów miała jednogłośnie powziąć uchwałę idącą po linii żądań brytyjskich. Raczkiewicz odpowiedział rzekomo Edenowi, że nie może uczynić zadość jego żądaniu, gdyż połowa członków rządu znajduje się już *in statu dimissionis*. Jeśli tak brzmiała odpowiedź Raczkiewicza, nazwałbym ją naiwnie wykrętną.

Osobiście nie mam nadziei, aby zbliżające się przesilenie przekształciło do gruntu oblicze nowego rządu, które od paź-

dziennika 1939 roku w zasadzie nie uległo żadnym zmianom. Mikołajczyk - Kot jest kontynuatorem linii Sikorski - Kot. Tę „linię” cechował zupełny brak konstruktywnej i śmiałej myśli politycznej oraz chorobliwy kompleks urazów wobec wszystkiego, co się w Polsce działo przed wojną. Aby tę linię ratować wykombinują jakiś rząd urzędniczy. Będzie to wyjście „kompromisowe”, które rozgrzeszy zmęczonego i chorego Raczkiewicza. Natomiast nie wierzę by długo wytrzymał naciski obcych i swoich w sprawie Sosnkowskiego. Wśród swoich (oczywiście swoich w zespole rządowym) podobno tylko jeden Arciszewski jest przeciw spławieniu Sosnkowskiego. Reszta socjalistów wyowiada się za spławieniem.

A wojsko? Gdyby Sosnkowski miał w wojsku tzw. „swoich ludzi”, pytanie miałoby sens. Ale zapaleni wielbiciele Sosnkowskiego, którzy w zeszłym roku tak odważnie domagali się jego powrotu, ostygli. Sosnkowski, zgodnie ze swą naturą, nie zrobił nic, aby ich skupić przy sobie. Bardzo to dla niego typowe. Podobno nie lubi ekip. To może szlachetne, ale bardzo naiwne. Bez ekip, nic się nie robi. Sam autorytet nazwiska nie wystarcza. Piłsudski również nie dałby rady, gdyby nie miał oddanych zwolenników, których trzymał przy sobie, nad którymi górował i czuwał.

A generał Anders? Nie znam go osobiście. Mówią, że to człowiek ambitny, doskonały żołnierz i że korpus, którym dowodzi tworzy rodzaj stronnictwa politycznego im. Andersa! Wróży mu to możliwość łatwego objęcia naczelnego dowództwa. Nikt się za Sosnkowskim nie ujmie. Gen. Maczek miał powiedzieć, że jest mu najzupełniej obojętne, czy Sosnkowski zostanie czy odejdzie.

Mikołajczyk najchętniej pozbyłby się Sosnkowskiego i przy okazji skasowałby stanowisko Naczelnego Wodza. Stawia na Moskwę i pragnąłby z nią (mając oczywiście błogosławieństwo zachodnich sprzymierzeńców) urządzać Polskę w Kraju a nie tu na emigracji. Są tacy, którzy nazywają go zdrajcą. Dla mnie jest przede wszystkim politycznym głupcem. Sądzę, że nawet wierzy po swojemu w to co robi. Ale w polityce samą wiarą nikt daleko nie ujechał.

A cóż na to Sosnkowski? Nie wiem.

Wkrótce zdecyduje się czy wyjadę do Niemiec.

O północy

Wróciliśmy przed chwilą od Mackiewicza. Czytał 4-ty rozdział książki o Dostojewskim.

Opowiadał potem o swej wizycie (w delegacji Związku Ziemi Wschodnich) u Andersa. Anders, zdaniem Mackiewicza, robi — „wcale dobre wrażenie”. Ma sympatię do Sosnkowskiego, lecz nie tai, że utrzymanie go na stanowisku Naczelnego Wodza będzie bardzo trudne. Powstanie Warszawskie ocenia krytycznie. Wierzy w wybuch zbrojnego konfliktu między Zachodem i Związkiem Sowieckim. Z Moskwą można rozmawiać. Z „Komitetem” Bieruta nigdy. Anders przyznał, że proponowano mu objęcie Naczelnego Dowództwa. Oto w skrócie relacja pana Stanisława.

Nie wiadomo, gdzie się podział mój szef — minister Kot. Ponoć nie ma go na Wyspie. Ktoś złośliwie powiedział, że zapewne pojechał do Lublina na zjazd... Stronnictwa Ludowego.

30 września, sobota, o północy

Wdał się dziś ze mną w rozmowę B. Singer. Umysł talmudyczny. Między innymi zrobił mi długi wykład o tym, że Stronnictwo Narodowe zawraca z drogi wskazywanej przez Dmowskiego, zwolennika oparcia Polski o Rosję. Oddaje ten atut w inne ręce.

Singer przypuszcza, że pierwsze trzy czy cztery lata będą dla Polski bardzo ciężkie. Potem jakoś się wszystko „ułoży”. Osobiście nie wybiera się do Polski, ale inni zrobią dobrze, jeśli pojadą. Mikołajczyk także. Jeśli będzie mądry — mówił — może odegrać dużą rolę. Gdym go zapytał co przez to rozumie, nie bardzo wiedział co odpowiedzieć. Pewno wątpi w mądrość Mikołajczyka.

Ten Singer to skomplikowana postać. Żyd z wyraźnymi sympatiami dla komunizmu. Swoiście przywiązany do Polski. Syn zginął w kampanii libijskiej. Zna Rosję. Dlaczego sam nie jedzie do Polski? Sądzę, że obawia się antysemityzmu, który z Rosji przeniesie się do Polski. Za dużo mówi o rosyjskim antysemityzmie...

Wczoraj Anders miał opuścić Londyn.

29 września, piątek, 6-ta po południu

Czekam na telefon z Upton. Jutro jadę po żonę i Jankę, które tam znowu siedzą. Mój ewentualny wyjazd do Niemiec jakoś się odwleka. Wczoraj — 28 września — Sosnkowski przesłał być Wodzem Naczelnym. Smutne ale prawdziwe. Wykoń-

czyli go ale i on sam im do tego pomógł. Nie swym rozkazem! Rozkaz był oczywiście wodą na młyn Brytyjczyków i posłusznych im Mikołajczyków. Nie umiał stać się żywym wcieleniem pragnień całej emigracji i narodu. A przecież tzw. masy myślą i czują jak on. Rozkaz fakt ten tylko potwierdza. Chcemy, jak Sosnkowski, być gospodarzami własnego domu i żadnych narzucanych rozwiązań nie uznamy.

Stanowisko Sosnkowskiego objął nie Anders (na co podobno bardzo liczył), ale dowódca Armii Krajowej, tragicznego, dogorywającego powstania, generał Tadeusz Bór-Komorowski. Nic o nim nie wiem. Mówią, że dobry kawalerzysta, człowiek raczej skromny i *gentleman* w każdym calu. Piękne to zalety, ale czy takiego wodza naczelnego potrzeba nam w tej chwili? Kiedyż, u diabła, przestaniemy się bawić w symboliczne gesty lub łątać powstałe na szczytach naszej maszyny państwowej dziury ludźmi, których największą zaletą jest to, że nikomu nie wadzą. Powiadał mi ktoś, że to hołd dla walczącej bohatercko Armii Krajowej...

Odszedł Sosnkowski i jak ręką odjął — skończyła się gadanina o przesileniu rządowym. Mikołajczyk z pomocą Kota projektuje różne rozgrywki. Na razie „osadził” socjalistów. Na dzisiejszej odprawie w ministerstwie Kot promieniał.

Optymiści twierdzą, że Mikołajczyk ma w rękach więcej atutów niż się nam wydaje. Ma rzekomo jakieś gwarancje angielskie, amerykańskie, no i sowieckie. Znowu bzdury. Wierzę pesy-mistom. Jeden z nich powiedział dziś, że sens „misji dziejowej” tego „męża stanu” sprowadza się do tego, by „przygotować Polaków na uchodźstwie aby jak najprędzej pogodzili się z życiem pod okupacją sowiecką w kraju”. Zaiste piękną drogę wskazuje nam premier rządu polskiego.

Churchill we wczorajszej mowie zapowiedział, że dopiero gdy się wojna skończy, zacznie współrządzać świat. Przypuszczam, że zajmie to mu sporo czasu, choćby tylko ze względu na jedną okoliczność. Zachód i Związek Sowiecki inaczej wyobrażają sobie przyszłość. Inne są zasady moralne partnerów wojennych, inne zasady społeczno-polityczne, inne systemy gospodarcze. Ja w okresie tego „współrządzania” najchętniej zająłbym się obserwacją pobitych i rządzonych przez zwycięzców — Niemiec. Pasjonuje mnie przyszłość tego narodu, który pozostanie przecież naszym sąsiadem.

2 października, poniedziałek, 9-ta wieczorem

Jadąc do Uptonu przeczytałem wreszcie wrześniewą broszurę

Mackiewicza. Nie nosi — jak przypuszczałem — tytułu „Mikołajczyk — katastrofalna postać w dziejach Polski”. Tytuł brzmi: „Rozkaz”. Ale jeden z podtytułów potwierdza moje przypuszczenia. Choć na Mikołajczyku Mackiewicz nie zostawia suchej nitki, nie mniej z uporem powtarza, że powinien być do Moskwy jechać. Jest nielogiczny. Znając Mikołajczyka musiał przecież z góry wiedzieć, że to kapitulant, który — jak pisze w swej broszurze — będzie „czynnie ułatwiać Sowiетom likwidację niepodległości Polski”. Największy — i słuszny — zarzut Mackiewicza polega na tym, że Mikołajczyk zamiast rozmawiać w Moskwie jedynie z władzami sowieckimi, wdał się w rozmowy z powołanym do życia w lipcu Komitetem Wyzwolenia Polski. Moskwa orzekła, że reprezentuje on „wolę ludu polskiego”. A ponieważ — znowu słusznie — Komitet ten nie jest niczym innym jak instrumentem sowieckim, stworzonym dla przygotowania aneksji Polski rokując z nim, Mikołajczyk działał na szkodę Polski. Sowiетom zależało na tym by premier rządu polskiego uznał w Komitecie wyzwolenia powstałą jakoby samodzielnie reprezentację części narodu polskiego. Mikołajczyk, posłuszny radom brytyjskim zgodził się na to.

Rozkaz Sosnkowskiego nazywa Mackiewicz „wielkim i mądrym pociągnięciem o międzynarodowym znaczeniu”, gdyż — „nadał on polityczny walor bohaterstwu Warszawy. Powiedział: bijemy się, bośmy swego czasu otrzymali od was gwarancje. Wy ich nie dotrzymujecie. Po wielu latach paćkania politycznego, nareszcie zdobył się ktoś na właściwy ton i na powiedzenie prawdy”. Słusznie, słusznie, tylko to „międzynarodowe znaczenie” zakrawa mi na grubą przesadę. Sprzymierzeńcy zachodni zrobili wszystko, aby pozbawić rozkaz właśnie tego znaczenia. A Rząd? Dopuścił się fałszerstwa. W tekście rozkazu rozesłanym do prasy, włożył Sosnkowskiemu w usta cyfrę 10.000 samolotów brytyjskich, — kilkudziesięciu tysięcy samolotów sojusznicych, aby dać podstawy do zarzutu prasy brytyjskiej, że ujawnia cyfry i wymienia je niedokładnie!

W jednym miejscu swej broszury Mackiewicz pisze, że Polska znajduje się w położeniu śmiertelnie rannego człowieka, którego może uratować tylko cud. „Cudem” w danym wypadku byłby rozumny rząd. Nie mamy takiego rządu, mamy rząd szkodliwy. Usunięcie p. Mikołajczyka nie z dnia na dzień, lecz z godziny na godzinę jest konieczne dla ratowania Polski”.

Zapisuję tę sentencję tylko dlatego, że nie wierzę, aby nasze czynniki miarodajne z Prezydentem na czele, mogły się zdobyć na błyskawiczną akcję ratowniczą.

3 października, wtorek, 1-sza w nocy

Gdy nadszedł ten dzień, spodziewany przecież od tylu tygodni, wstrząsnął nami do głębi. Przeżyliśmy wiele tragicznych chwil w czasie tej wojny, lecz chyba wszystkie błedną wobec dzisiejszej. Po 63 dniach bohaterskiej i beznadziejnej walki stolica Polski poddała się dogorywającej Rzeszy Hitlera.

O godz. 11.15 wieczorem słuchaliśmy u nas radia. Byli Czerwińscy, pani Eddy, Mackiewicz. Płakać się chciało. Witek, który często ma doskonałe sformułowania, przerwał podenerwowanym głosem ciszę panującą w pokoju, mówiąc: „Oddajemy krew, lecz nie umiemy jej sprzedawać”.

W czasie tej wojny, popełniliśmy wiele głupstw politycznych. Podobnymi głupcami byli chyba tylko Niemcy.

Po co, po co było to powstanie? Jak do niego doszło? Czy prawdą jest, że dowództwo AK miało pełnomocnictwo od Mikołajczyka?, że było przekonane iż Niemcy opuszczą łada chwila Warszawę, ponieważ wojska sowieckie są na drugim brzegu Wisły? Czy prawdą jest, że takie rozumowanie zaważyło na decyzji? Cóż za tragiczna omyłka! Czy nikomu nie przyszło na myśl, że Moskale palcem nie ruszą i będą się przyglądali jak na ich oczach Niemcy palą Warszawę, by na nich przerzucić odpowiedzialność za dzieło barbarzyńskiego zniszczenia? Czy nikt nie zadał sobie pytanie że z likwidacją stolicy Polski wiąże swe perfidne plany politycznej?

Cóż znaczą wewnętrzne rozgrywki emigracyjne wobec klęski powstania, przypieczętowanej zniszczeniem Warszawy! Przecież to tak, jakby wyrwać zdrowemu człowiekowi serce. A może bije jeszcze wśród zgłiszcz? Lecz kto je będzie ratował?

Któż z opuszczających przed 5 laty najdroższe miasto, mógł przypuszczać, że już go nigdy takim nie zobaczy, jakim od dzieciństwa oglądał? A przecież jest to jeszcze jedna z wielu tragicznych prawd z którą trzeba się pogodzić.

5 października, czwartek, po północy

Dziś nadeszła wiadomość o pożegnalnym rozkazie Bora do swych żołnierzy. Znowu tragiczny, po polsku, piękny rozkaz. Churchill również pośpieszył ze złożeniem hołdu Warszawie. Podobno nawet „zwycięzcy” niemieccy zachowują się szarmancko wobec powstańców.

Mam wszystkiego dosyć. Pojechałbym do Brazylii i zaszyłbym się w interiorze aby o wszystkim zapomnieć. *Licencia*

poetica. Kowalewski mówi, że powinniśmy się pokusić o sformułowanie „katechizmu trzeciego frontu”, czy jakiejś „trzeciej siły”, która określiłaby własne stanowisko, inne od sowieckiego i zachodniego. Ma rację. Zamiast biadać nad zgłiszczami Warszawy, trzeba zacząć myśleć i działać dynamicznie, a gdy zajdzie potrzeba — rewolucyjnie.

6 października, piątek, o północy

Czytamy opisy tragedii Warszawy. Pełno ich w całej prasie angielskiej. Uzupełniają je wiadomości, przenikające polskimi kanałami. Szukamy w nich jakiejś pociechy. Klęska militarna Niemiec — mówimy — niczego jeszcze nie przesądza. Wkraczamy w kłębowski sprzecznych koncepcji politycznych, społecznych, gospodarczych, z którego dopiero z czasem — może po odejściu mego pokolenia — zrodzi się świat naprawdę lepszy, zapewniający Polsce wolność i pokój.

9 października, poniedziałek, w nocy

Od paru dni mamy znowu kilku lub kilkunastominutowe alarmy. Przedtem było około 8-ej wieczorem, teraz między 12-tą a 1-szą w nocy.

Właściwie nie chce mi się robić tych zapisek. Jestem po kapitulacji Warszawy zupełnie oklapnięty.

Churchill z Edenem polecili do Moskwy! Na nowe targi ze Stalinem. Czy mogą nam pomóc? Nie wrócą zniszczonej Warszawy i wolności jaką oddychaliśmy przez dwadzieścia lat we własnym, naprawdę niepodległym państwie.

Ludzie typu Mikołajczyka może wiązać z tą wyprawą jakieś nadzieje. Ale chyba przede wszystkim osobiste.

17 października, wtorek, po 1-szej w nocy

Skapo z wiadomościami o moskiewskich wyczynach Mikołajczyka. Targują się. Jedno wiemy, że na Wschodzie narzuca *Curzon-line* rzekomo z „drobnymi poprawkami na naszą korzyść”. Na Zachodzie mamy otrzymać hojne wyrównanie. Dokładnie nikt nie wie jakie. Przyszły rząd Polski ma się składać w połowie z przedstawicieli „Komitetu”, w połowie z Polaków emigracyjnych, wskazanych przez Mikołajczyka.

Tyle dowiedziałem się w Strattonie. Podobno wiadomości opierają się na depeszach nadeszłych od Mikołajczyka z Moskwy.

Wieczorem zaszedł Witek. Według niego Moskwie chodzi wyłącznie o zgwałcenie Mikołajczyka, by dać formalnie *placet* w imieniu legalnego rządu, na linię Curzona. Reszta — to sprawy drugorzędne. Mikołajczyk na razie się trzyma. Gdyby wytrzymał, odrobiłby swe błędy. Miałby za sobą opinię Kraju i Polaków na uchodźstwie. Czy się na to zdobędzie?

Węgry. Biedny kraj. Zdaje się, że zaczęła się tam regularna wojna domowa. Przynajmniej tego nam los oszczędził.

18 października, środa, 7-ma wieczorem

Kaczmarek rozmawiał z panem ministrem Banaczykiem w sprawie mego wyjazdu do Niemiec. Ekscelencja, oczywiście, nie łaskaw na mnie. Niech go diabli.

22 października, niedziela, 1-sza w nocy

Od kilku dni niczego nie notowałem. Tak się nie chce. Po co w ogóle to robię? Aby kiedyś po latach przeczytać rozmowy z samym sobą? A jeśli je kiedyś wydram? — jak „Kartki z pamiętnika”, czy „U kresu drugiego etapu” — chyba po to tylko, by dać świadectwo prawdzie. Bo chętnych do fałszowania historii będzie wielu.

Coraz trudniej przychodzi zgubionemu w odmęcie wydarzeń to pisanie. Zmuszam się, by zanotować że Mikołajczyk wrócił z Moskwy. Irena Barawska (przyjaźni się z Marcelim Karczewskim, a Karczewski towarzyszył Mikołajczykowi do Moskwy), mówi, że Marceli wrócił w nastroju przygnębionym.

25 października, środa, po 1-szej w nocy

Właściwie wiemy już wszystko o podróży Mikołajczyka. Więc — jak się po warszawsku mówi — „odstawiał” w Moskwie bohatera, Rejtana, starego karmazyna. Ale tylko wobec Churchilla. Natomiast poczuł słabość do „obywatela Bieruta”. Pograżał się z nim w rozmowie w jakiejś „ujutnej” kawiarni moskiewskiej. Nie można mieć żadnych złudzeń. — Przekonany o swej roli ratowniczego Polski, pójdzie na każdy kompromis, podsu-

wany mu przez sowieckich agentów, noszących polskie nazwiska. I on wśród bezdroży znalazł swoją drogę.

Staś Westfal pociesza, że nic z tego nie wyjdzie. Liczy na Anglię. Myli się gruntownie.

26 października, czwartek, o północy

Dziś hrabia Drohojowski (wciąż prawa ręka kmiecia ministra Kota) urządził wewnętrzną konferencję. Granice przyszłej Polski zarysowują się coraz wyraźniej. Na wschodzie linia Curzona, na zachodzie — Odra.

27 października, piątek, 9-ta wieczorem

Mikołajczyk według powszechnej opinii, zaakceptuje żądania Stalina. Podobno Rząd wysłał list do Roosevelta, by ratował Lwów. Pewno i z tego nic nie wyjdzie. Ten prosowiecki multimilioner Harriman milczał w Moskwie gdy mówiono o Lwowie. Grabski miał podobno przekonać Mołotowa, że to miasto powinno znaleźć się w granicach przyszłej Polski. Ale Stalin nie dał się przekonać. Zasłonił się „przyrzeczeniami”, jakie dał Ukraińcom. Na uwagę, że przecież uprawiali podczas wojny politykę proniemiecką, Stalin odpowiedział, iż kazał rozstrzelać za to już 20.000 Ukraińców. Wzruszająco szczerzy zbój.

A problem niemiecki? Żaden kłopot. Podobno w tych dwóch słowach streszcza się stosunek Stalina do przyszlých Niemiec.

Jak traktuje bierutowy Komitet Wyzwolenia? Mam wobec Komitetu — mówi — akurat takie same zobowiązania, jak Wielka Brytania wobec rządu polskiego, ergo — Mikołajczyk musi się porozumieć z Komitetem.

W wypowiedziach Stalina tylko jedna rzecz zastanawia. Podkreśla rzekomo z naciskiem, że nie interesuje go przyszły ustrój Polski i nie zamierza Polsce narzucać ustroju komunistycznego. Czy w tej sprawie jest szczerzy czy też łże? Łże.

Stalin dawał do zrozumienia, że nie może zbyt długo czekać na odpowiedź rządu polskiego, bo nie chce tolerować przedwojennego systemu rządów na wschodnich ziemiach Polski, które Rosja zagarnie.

Jeszcze o Lwowie. Churchill podobno dwa razy chodził do Stalina, by wytargować to miasto dla Polski.

Całe Niemcy będą po wojnie okupowane przez wojska sprzymierzone, w tym oczywiście i sowieckie. Podobno wśród tych,

które zajmą tzw. zonę sowiecką, mają się znaleźć wojska polskie. Jakże? Nasze czy berlingowskie?

Churchill mówił dziś w parlamencie o Polsce. Zaczął tak: „*The most urgent and burning question was of course, that of Poland and here again, I speak words of hope and hope reinforced by confidence*”...

Ile treści zawierają te zdania, które notuję. Niezwykle ważne. Ważą się losy naszego narodu.

30 października, poniedziałek, 7-ma wieczorem

Tak byłem pochłonięty myślą o przyszłości Polski, że zapomniałem o rozgrywce rządu z opozycją, o intrygach Kota i innych przeciwko Prezydentowi i Sosnkowskiemu, o smrodliwych kulisach rządowego grajdołka. I pewno bym tej tematyki nie poruszył dzisiaj, gdyby nie ulotka którą mi ktoś podesłał. Nosi tytuł: „Przeczytaj i oddaj koledze”. Zawiera wcale trafną charakterystykę ośrodka rządowego i jego głównych luminarzy. Kto jest autorem? Może jedna z konspiracji wojskowych? Z chwilą objęcia Naczelnego Dowództwa przez Sosnkowskiego straciły one podstawę istnienia. Ale — jak nie rozpadły się zupełnie, kto wie, może odżywają po spławieniu Sosnkowskiego, w obliczu zapadającego wyroku.

W każdym razie ta ulotka odbita na maszynie jest dokumentem chwili, który warto włączyć do moich zapisek. Oto jej treść:

„Kilka tygodni temu pojawiła się na bruku londyńskim ulotka-paszkwil anonimowy z oszczerstwami na Pana Prezydenta R.P. i Wodza Naczelnego gen. K. Sosnkowskiego. Ulotkę w setkach egzemplarzy, w luksusowych kopertach, rozesłano do wojska tak w Anglii jak w Szkocji, na Środkowy Wschód i do oddziałów walczących — nawet nie pominięto oddziałów walczących byle zatruć atmosferę i serca tych, którzy życie i krew oddają sprawie Polski. Dziwnym czy celowym zbiegiem okoliczności wydawnictwo paszkwilu zrodziło się w momencie ataków rządu p. Mikołajczyka i obcych agentur, domagających się ustąpienia gen. Sosnkowskiego. P. Prezydent zmuszony został do podpisania dymisji Generała, który pierwszy przeciwstawił się zwycięsko Niemcom, który zbudował z niczego ogromną Armię Krajową. Niestety, tzw. polityka 'posłusznego sługi' zwyciężyła. Zdawać by się mogło, że 'wydawcy' i ich wierni a sprzedajni stulzy sowiecie obdarzeni z kasy pałacu Rotszylda i Thorney Court, pogłaskani i pochwaleni, uspokoją się, spoczną na laurach. Niestety, prawdopodobnie zbyt skąpo obdarzeni, zrodzili nowy paszkwil z atakami na Pana Prezydenta, na gen. Sosnkowskiego, z pogroźkami. Zbyt mocno poczuło się chamstwo na swych nogach. I znowu dziwny zbieg okoliczności — paszkwil pojawił się w momencie żądania przez obce mocarstwo ustąpienia Pana Prezydenta. Zaiste jest to więcej niż dziwne. Każdy uczciwy Polak ze wstrętem odrzucił ohydny paszkwil. Świństwo zrodzone w błocie i bagnie zakończyło niesławny żywot

w w.c. Żołnierze oddziałów walczących domagają się oddania autorów pod sąd wojenny. Pokażmy więc kto są ci panowie, kim oni są, komu służą, jak służą, co dostają za 'wierną' służbę, pokażmy ich walki między sobą o łupy, o tzw. dostojęństwa, kto im płaci i z jakich funduszków.

W Thorney Court rządzi pan Banaczyk, do spółki ze swym szwagrem Siudakiem i 'wiernym sługą' majorem W.P. Zaborowskim Władysławem, jako szefem bezpieczeństwa. O Banaczyku społeczeństwo tak cywilne jak wojskowe ma urobioną opinię. Mackiewicz i Nowakowski wystarczająco tego pana naświetlili publicznie. Człowiek taki w normalnych warunkach nie zostawił ani minuty na zajmowanym stanowisku. Tylko cuda partii, jej prezesa i prof. Kota pokrywają wyczyny Banaczyka. Tak została zatuszowana sprawa zakupu mebli do mieszkania prywatnego Banaczyka z funduszków Skarbu Państwa, tak pokrywane są wycieczki p. Ministra do klubów i nocnych lokali z wiernym mu i wiernie sekundującym szoferem, który *nota-bene* kupił dla siebie samochód i ozdobił plakietką 'C.D.'. Wyjazdy p. Ministra jak i szofera na cele i do celów nie mających nic wspólnego z celami wysiłku wojennego odbywają się na benzynie służbowej. Powstaje pytanie, jak dużo zarabia szofer p. Ministra i kapral W.P., który po krótkim urzędowaniu na tak doniosłym stanowisku wożenia i dostarczania rozrywek swemu szefowi, potrafił tyle zaoszczędzić, że aż kupił samochód. Gdzie jest Najwyższa Izba Kontroli, czy tego pp. Tomaszewski i Nagórski nie chcą widzieć, czy też i tutaj dyscyplina partyjna każe p. Nagórskiemu tuszować sprawki kolegi Banaczyka. Ale to nie jest wszystko. Kilka miesięcy temu społeczeństwo poruszone zostało listem otwartym p. Modelskiego b. szefa bezpieczeństwa, który wyraźnie podał z faktami czym to p. Banaczyk się zajmuje — spotkaniami z agentami obcego mocarstwa, dzisiaj już zupełnie wyraźnie dążącego do nowego rozbioru Polski. Czyżby p. Banaczyk 'politycznie' z agentami konferował?

Modelski jako uczciwy Polak, mimo, że o obliczu politycznym zbliżonym do wszechmocnej partii, nie zgodził się być współpracownikiem i agentem Rosji Sowieckiej. Jak podała wówczas prasa angielska powołano komisję do zbadania zarzutów postawionych Banaczykowi, komisję złożoną aż z 3 pp. Ministrów pod przewodnictwem p. V-Premiera i Ministra Sprawiedliwości. Jakież są wyniki tej komisji po upływie aż 6 miesięcy urzędowania? Żadne. Komisja pozostała Komisją papierową. I po Modelskim przyszedł Zaborowski. Podkreślamy major W.P., oficer zawodowy, który uprzednio siedział w Ministerstwie Obrony Narodowej. Zaborowski od pierwszego dnia swego urzędowania marzył o samochodzie! Zobowiązał się wobec Banaczyka, że 'oczyszczy' go z 'zarzutów' Modelskiego, no i przystąpił do pracy. Otoczył się Żydami z hotelu Cumberland, z którymi już uprzednio łączyły go nici zobowiązań finansowych. Sprytni żydkowie nie popuścili tak wspaniałej okazji zrobienia interesu z p. Naczelnikiem. Zaproponowali p. Zaborowskiemu zrobienie egzaminu adwokackiego przy brytyjskiej Izbie Prawa. Tylko zastanawiające jest gdzie i kiedy p. Zaborowski kończył uniwersytet. Wiadomo jest, że z trudem zrobił tzw. 'wojskową maturę' i to po kilku dość trudnych próbach. Wiadome jest że nie tak dawno, dzięki protekcji Min. Skarbu dostał 'pożyczkę' na ukończenie studiów prawnych — tylko nie jest wiadomym, czy i kiedy studia ukończył i czy pożyczkę z funduszków skarbowych zwrócił? Znalazł się przyjaciel Zaborowskiego niejaki Kamerman Emil, rzekomo adwokat i rzekomo bardzo ustosunkowany w świecie prawniczym londyńskim, któremu Zaborowski w momencie szczerości zwierzył się z wielu spraw służbowych bardzo delikatnej natury, któremu powierzył swe losy dostania się do Brytyjskiej Izby Prawa, patentu na adwokata z prawem praktyki na terenie Wielkiej Brytanii. P. Kamerman ma swe wydatki i pieniędzy potrzebuje. P. Naczelnik Zaborowski przychodzi z pomocą. Za dotrzymanie tajemnicy, za obietnki wspaniałego świadectwa adwokata —

Zaborowski polecił Kamermanowi napisanie pracy pt. *Ustrój Policji Angielskiej* — za nikłą sumę £ 200. *Nota-bene* praca taka już jest dwukrotnie opracowana przez Min. Odbudowy Administracji. Zaborowski musiał czymś zapłacić przyjacielowi i £ 200 ze Skarbu Państwa poszło do kieszeni Kamermana oczywiście za zgodą i akceptacją min. Banaczyka. N.I.K. i tym razem nie. Czy i ten wydatek p. Nagórski uznał za celowy i słuszny? Nie sądzimy aby został przypisany do zwrotu. Partia jest wszechmocna. Kolega i towarzyszy Zaborowskiego i swego czasu zaufany Banaczyka p. Frenkiel oburzony postępowaniem swego szefa w oczy jemu i przy świadkach postawił szereg bardzo niemitych zarzutów jak 'kanciarz' i gdzie podział 200 funtów itp., powiadomił ministra Banaczyka a w konsekwencji został usunięty przez Banaczyka z posady i zagrożony, żeby pary z ust nie puścił, bo ramię Banaczyka jest bardzo długie. Banaczyk z Zaborowskim rozpoczęli wydawanie broszur pt. *Biblioteka Polski Podziemnej*. Broszury spreparowano z wycinków prasy podziemnej lecz w ten sposób, by zrobić możliwie największą reklamę swej partii i jej prezesowi, a oszkalować i zołędzić przeciwników politycznych. Na te broszury wydał Banaczyk ze skarbu około £ 1000. Łatwe jest to do stwierdzenia w drukarni, gdzie broszury te były tłóczono. Broszury były wstępem do dalszych wydawnictw już w formie paszkwili z atakami na P. Prezydenta i gen. Sosnkowskiego. Zaiste, że pp. Banaczyk, Zaborowski, Siudak odegrali piękną rolę rozbijając społeczeństwo polskie w momencie kiedy Rosja dąży do rozbioru Polski*.

Nas to nie dziwi. P. Minister R.P. już dawno wszedł w stosunki z obcymi agentami, ale że major W.P. dotychczas nie został przez władze wojskowe pociągnięty do odpowiedzialności przed sądem polowym za pracę na szkodę państwa w czasie wojny — to więcej niż dziwne. Czyżby wpływy prof. Kota sięgały aż sądownictwa wojskowego? Dlaczego karze się nie-mądrego strzelca za byle głupstwo, a oficer sztabowy może bezkarnie lżyć reprezentanta RP w osobie Prezydenta, podważać autorytet Wodza Naczelnego wśród żołnierzy na polu walki, demoralizować wojsko, wciągając je do rozgrywek politycznych? Dlaczego takiego ministra mamy w rządzie? Dlaczego NIK tuszuje grabież mienia publicznego? Czy NIK nie ma prawa kontroli wydatków Banaczyka, jego szwagra Siudaka i Zaborowskiego? Takimi ludźmi Polski nie odbudujemy. Pokazaliśmy prawdziwe oblicze wydawców anonimowych paszkwili na Prezydenta i Wodza Naczelnego. Wojsko wbrew woli, zostało wciągnięte do rozgrywek politycznych, ale wojsko nie pozwoli, żeby agenci obcych mocarstw lżyli najwyższe autorytety RP, chociażby agenci nosili mundury oficerskie i żeby na fotelach ministerialnych zasiadali Banaczykowie — fałszerze depesz krajowych, grabieżcy grosza publicznego. Przenieście się panowie do Wilanowskiego i Puacza o ile i oni Was zechcą, bo i to jest wątpliwe.

Londyn, w październiku niestawnych rządów Mikołajczyka, Kota, Banaczyka, Siudaków, Zaborowskich — 1944”.

31 października, wtorek, 11-ta wieczorem

Zaczął się ruch w naszym Ministerstwie. Drohojowski prosił, abym złożył mu dezyderaty działu niemieckiego. Ująłem je dziś w notatce napisanej od ręki:

1) Ustalenie zachodniej granicy na Odrze spowoduje w tej sprawie zupełną konsolidację opinii niemieckiej, zarówno w Rzeszy jak na emigracji.

Jeśli o emigrację chodzi należy liczyć się z faktem, że nawet komuniści niemieccy nie będą w stanie poddać się tym razem rozkazom Moskwy. Jak wiadomo *Free German Movement* ograniczał, jak dotąd, poparcie tezy moskiewskiej w sprawie granicy zachodniej Polski niemal wyłącznie do Prus Wschodnich. Niemieckie grupy pacyfistyczne na emigracji, zachowujące na ogół przychylnie milczenie w sprawie postulatów polskich, dotyczących Prus Wschodnich i Śląska Opolskiego, zostaną również zmuszone do zajęcia opozycyjnego i krytycznego stanowiska w sprawie nowej granicy Polski. Wpływowe, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych koła katolickiej emigracji niemieckiej, wystąpią przeciwko tej granicy niesłychanie zdecydowanie. Takie samo stanowisko zajmą na ogół Żydzi niemieccy. Natychmiastowa konsolidacja opinii niemieckiej w sprawie granicy Zachodniej Polski stanowić będzie zapowiedź wielkiej akcji rewizjonistycznej, którą podejmą Niemcy przy pierwszej, nadarzającej się im okazji. Czy nastąpi to w pół roku czy w rok po klęsce, nie zmienia to faktu, iż Polska w granicach: Odra - Linia Curzona, będzie przedmiotem koncentrycznego ataku odradzającego się nacjonalizmu niemieckiego.

2) Nowa granica zachodnia Polski spowoduje negatywne stanowisko w tej sprawie olbrzymiej części społeczeństwa amerykańskiego i angielskiego, jak wiadomo, godzącego się z wielkim trudem na odstąpienie Polsce bądź Prus Wschodnich bądź Śląska Opolskiego. Niechętnie Polsce organy zaatakują od razu zachodnią granicę Polski, przychylniejsza prasa najwyżej będzie się starała milczeć, a organy zdecydowanie pro-polskie będą udzielały nam głosu na swych łamach, jednakże w ten sposób, iż opinia będzie wiedziała, że chodzi o głos polski a nie angielski. Bardzo charakterystyczne dla kształtowania się opinii angielskiej w tej sprawie jest wystąpienie biskupa Birminghamu, Dr. Barnes'a, który oświadczył: „*It has been suggested Germany West of the Rhine shall go to France and Germany East of Oder, or East Prussia and part of Pomerania, should go to Poland. That project would mean the suicide of Europe*” (*Evening News*, 30. 10. 1944). Należy więc liczyć się z izolacją Polski w tej sprawie, zarówno na gruncie angielskim jak amerykańskim. W Ameryce Łacińskiej większość opinii będzie również przeciwna ustaleniu zachodniej granicy Polski na Odrze.

3) Należy również liczyć się w przyszłości ze zmianą polityki sowieckiej w stosunku do Niemiec. Zmiana ta nastąpi z chwilą, gdy Moskwa uzna za stosowne skończyć okres polityki silnej i bezwzględnej ręki wobec Niemiec. Nie wiadomo oczywiście kiedy to nastąpi, lecz do zwrotu takiego dojdzie na pewno. Po likwidacji tzw. reżymu nazistowskiego, Rosja szukać będzie porozumienia z narodem niemieckim „oczyszczonym” przez nią z fałszu. Okazać się wówczas może, że jedną z najistotniejszych przeszkód porozumienia jest właśnie granica polsko-niemiecka na Odrze. Moskwa stwierdzi wówczas z łatwością nieudolność administracyjną Polaków na zajętych ziemiach aby w drodze porozumienia niemiecko-rosyjskiego „poprawić” granicę zachodnią Polski ku zadowoleniu narodu niemieckiego.

Licząc z tymi realnymi ewentualnościami grozącymi Polsce, należy ustalić właściwy punkt wyjścia polskiej akcji propagandowej, uzasadniającej i popularyzującej nową granicę zachodnią Polski. Ten punkt wyjścia należy oprzeć na założeniu odpowiadającemu rzeczywistości stanowi rzeczy, z którego wynika, że ustalenie nowej granicy zachodniej Polski jest przede wszystkim wyrazem woli Rosji Sowieckiej, wspartej zgodą Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Odrzucane stale przez stronę Polską *unctum* kompensacyjne między sprawą ustalenia granicy Polski na zachodzie i wschodzie, musi pozostać niewzruszalną zasadą polskiej akcji propagandowo-politycznej.

Z powyższego wynika, że polska akcja propagandowa musi stale operować, unikając — rzecz prosta — wszelkich akcentów anty-sowieckich, zarówno

oficjalnymi oświadczeniami sowieckimi (i alianckimi) w sprawie granicy na Odrze, jako też różnego rodzaju publikacjami sowieckimi, poświęconymi temu tematowi. Argumentacja polska winna skupiać się głównie na dwóch zagadnieniach: Prus Wschodnich i Śląska Opolskiego, tzn. na tych postulatach, które wysunęte zostały przez Polskę w czasie wojny poprzedniej, lecz nie zostały wówczas zrealizowane, między innymi, dzięki umiejętnej kontrakcji niemieckiej. Pozostały one jednak zawsze niezmiennymi postulatami polskiej racji stanu”.

Na notatce Drohojowski napisał „ściśle tajne”, a do punktu drugiego dodał:

„Nie należy także lekceważyć opinii Chin, jako 4-go partnera w grupie wielkich mocarstw. Sympatie dla Niemiec w Chinach nie wygasły. Są one w wojnie z Niemcami bardziej teoretycznie niż my z Japonią”...

Niech i tak będzie — choć jak sądzę — Niemcom ani w głowie teraz liczyć na Pekin.

Odesłał mi Drohojowski notatkę z dopiskiem:

31. 10. 1944.

P. Sen. Katelbach

B. pilne

1) Notatka bardzo słuszna, ale w jakiej formie ją przedstawić dalej, tak aby odniosła szybki skutek?. a) czy w całości? b) czy pierwszą część jako Pana uwagi, a ostatni paragraf, jako mój wniosek?

2) Należy uzupełnić uwagami na temat a) Ameryki Łacińskiej, b) katolików, c) Żydów niemieckich, d) protestantów (vide np. dziś *Daily Express* str. 3, pt. „Bishop foresees another formation of chaos”), e) Chiny.

3) Jakie konkretne wnioski personalno-budżetowe mam uwzględnić w mojej *lettre d'envoi*, o ile Pan się zgadza na moją sugestię?

Drohojowski działał bardzo energicznie. Jeszcze dziś — po porozumieniu się ze mną — wystosował do Pana Ministra Informacji i Dokumentacji „ściśle tajne” pismo i załączył moją notatkę.

„Załączam uwagi polityczne p. Tadeusza Katelbacha, dotyczące charakteru zamierzonej akcji propagandowej w sprawie nowej granicy zachodniej Polski. Uwagi te stanowią interesujący materiał dyskusyjny dla ustalenia ostatecznych założeń naszej szerszej akcji informacyjno-propagandowej w tej sprawie. Z chwilą ustalenia tych założeń należałoby opracować szybko wszystkie elementy akcji: strategiczne, etniczno-historyczne, polityczne (federacja czesko-polska), gospodarcze (zagadnienie basenu śląskiego), morskie i inne. Argumenty sowieckie, przemawiające za granicą zachodnią Polski na Odrze należałoby udostępnić opinii raczej za pośrednictwem autorów cudzoziemskich: angielskich, francuskich, holenderskich lub innych.

Wobec szczupłości personelu referatu niemieckiego tylko część akcji propagandowej mogłaby być przygotowana w jego zakresie. Elementy zasadnicze akcji musiałyby być opracowywane pod kontrolą referatu niemieckiego przez specjalistów, którzy musieliby być honorowani za opracowania. Należałoby wydać szereg krótkich popularyzujących broszur (najlepiej autorów cudzoziemskich) co pociągnęłoby za sobą specjalne koszty. Na razie proponowałbym wystąpienie o natychmiastowy dodatkowy kredyt na wydatki zwią-

zane z tą akcją sumę: £ 2.000, którą Pan Minister dysponowałby na wniosek referatu niemieckiego”.

Zobaczmy co z tej aktywności hrabiego wyjdzie. Ale cieszę się, że może zacznie się wreszcie jakaś konkretna robota.

1 listopada, środa, 11-ta rano

Wszystkich Świętych! Czwierć wieku temu, w 1918 roku, był to dzień radosny! Wtedy, w listopadzie, zjawiła się nam wiosna. A dziś? Człowiek łązi ze spuszczoną głową po londyńskim bruku. Wokół obrzydliwa mgła jesienna.

Wczoraj rozeszły się wiadomości, że Mikołajczyk „usztynił się”. Mają być tego rzekomo trzy przyczyny: *Primo* — zażądał gwarancji, aby w Polsce nie było wojsk sowieckich, *secundo* — obstaje przy Lwowie licząc na Stany Zjednoczone, od których miał otrzymać jakieś „zapewnienia”, *tertio* — szuka dla siebie formuły, zwalającej całą odpowiedzialność za „wyrok” — na Rosję i Aliantów...

2 listopada, czwartek, 7-ma wieczorem

Jedno jest pocieszające. Wojna wprawdzie dobiega końca, ale wyrastają nowe konflikty, jak: Persja czy przede wszystkim Chiny. Coraz bardziej upewniam się w przekonaniu, że rozbić Niemiec niczego ostatecznie nie załatwi. Wojna, która we wrześniu 39 roku rozpoczęła się na granicy polsko-niemieckiej, rozpoczęła całą epokę przemian. Ogarną one wszystkie kontynenty świata.

5 listopada, niedziela, 1-sza po południu

Dzisiejszy *Observer* pisze: *Poles unlikely to accept Moscow plan*. Zdaje się to potwierdzać pogłoski o usztynianiu się pana premiera.

Wczoraj grupa dawnych działaczy „bratniackich” była na tradycyjnej kolacji u Prezydenta. Atrakcją spotkania był przybyły z Francji Leszek Robowski. Raczkiewicz wygląda dobrze. Był, albo udawał że był, w doskonałym humorze. Gdy się mówiło o przyszłości Polski brał lekko — jak doświadczony tenor — górne C. Powtarzał w kółko: „Nie skapitulujemy”. W pewnej chwili, aby niejako nas w tym utwierdzić, wrócił do wspomnień

z czerwca 1940. Po załamaniu się Francji namawiano go, by skapitulował wobec Niemców. Opowiadał jak Mackiewicz wykrzykiwał: „Nie tędy droga”! A on na to odpowiedział Mackiewiczowi, że choćby miał być sam, wszędzie na krążownik brytyjski i sztandar niepodległego Kraju powiezie przez niepewne wody do Anglii. W czasie barwnego opowiadania parę razy powtarzał, że jest „niepoprawnym optymistą”. I teraz także ma nadzieję, że sytuacja się polepszy. Przyjaciół Prezydenta, inż. Piotrowski, pospieszył zaraz z aluzjami do posiedzenia Rady Ministrów, na którym Mikołajczyk „usztyniał się” wobec Moskwy.

Zobaczmy, zobaczmy. Osobiście nie podzielam optymizmu Raczkiewicza.

Wczoraj w południe spotkał mnie niemiecki emigrant polityczny Hans Jaeger. Jestem z nim w „urzędowym” kontakcie. Wiem, że jest nam życzliwy. Uprzedzał, abym unikał wystąpień antysowieckich. Gdy pytałem o co chodzi, powiedział, że mi to kiedyś wyjaśni.

Do tych ostrzeżeń Jaegera nie przywiązuję znaczenia. Może to jednak zapowiedź rzeczy, których się należy spodziewać.

8 listopada, środa, 11-ta wieczorem

B. wiceminister Przemysłu i Handlu, teraz oficer lotnictwa polskiego Wierusz-Kowalski, zameldował się u Prezydenta, z którym wiązały go bardzo zażyłe stosunki osobiste. Po wymianie zdań, Wierusz-Kowalski spoliczkował Prezydenta. Opuszczając gabinet Raczkiewicza, sam oddał się w ręce adiutanta.

Powód rękoczynu? Zgoda Prezydenta na usunięcie Sosnkowskiego ze stanowiska Naczelnego Wodza. Podzielał oburzenie Wierusza-Kowalskiego, ale nie wolno mu było tak reagować. Wyobrażam sobie wściekłość Sosnkowskiego gdy się o tym dowie. On, taki legalista!

Panuje opinia, że Sosnkowski ma wszystkiego dosyć i zamierza wkrótce wyjechać do Stanów Zjednoczonych czy do Kanady. Ale nie wie, czy go tam wpuszczą, bo Anglicy szyją mu buty wszędzie, gdzie się da. Wielu chodzi do Sosnkowskiego prosząc, by pozostał w Londynie. Podobno nie chce o tym słyszeć.

A Mikołajczyk? Pragnie uchodzić za niezłomnego. Rząd z narodem, naród z rządem! Takie ma być teraz jego zawołanie.

9 listopada, czwartek, około 12-tej w nocy

Dziś wieczorem mieliśmy dwa 15-minutowe alarmy. Zdy-

chają, lecz przypominają światu o sobie. Przed chwilą zamknąłem radio. Słuchałem stacji niemieckich. Jeszcze butnie gadają.

Roosevelta wybrano ponownie Prezydentem Stanów Zjednoczonych. Może też usztyni się wobec Rosji, jak nie przymierzając Mikołajczyk?!

Według pogłosek krążących w urzędach polskich nasz premier stawia się Churchillowi. Miał do tego stopnia rozszerzyć premiera brytyjskiego, że Churchill używał takich zwrotów: „Może pan w ogóle do Londynu nie wracać” lub „Niech pan nie myśli, że wasze wojsko jest mi potrzebne”. Mikołajczyk odpowiadał: „Wrócę do Polski, aby walczyć z Niemcami. Natomiast nie pojadę do Lublina aby mnie tam powiesili w obecności ambasadora brytyjskiego”.

Wszystkie te opowiadania wyglądają na propagandową rozbitkę. Legenda o niezłomności Mikołajczyka — również.

11 listopada, sobota, 9-ta wieczorem

Nie poszedłem ani na uroczyste nabożeństwo, ani na obchód rocznicy niepodległości na którym przemawiali: Łukasiewicz, Hełczyński. Jestem zły na siebie. Trzeba było właśnie pójść w tym dziś beznadziejnym dniu 11 listopada 1944 roku. Biję się w piersi powtarzam *mea culpa*, ale nie mogłem się na to zdobyć. Nie chciałem oglądać dobrze mi znanych ludzi, z którymi wiążą się wspomnienia dawnych dobrych czasów, dziś siłających się z trudem na spokój w obliczu nieznanej przyszłości jaka czeka Polskę. Oglądanie ich — przyznaję — jest dla mnie przeżyciem, rozdrapującym rany, jakie codziennie staram się zalepiać.

Dał mi dziś w Ministerstwie Drohojowski odpis listu nadesłanego przez ministra Mariana Seydę w odpowiedzi na uwagi dotyczące zamierzonej przez nasze ministerstwo akcji propagandowej w sprawie granicy zachodniej. Warto jest sobie to pismo Seydy zachować.

Ministerstwo prac Kongresowych
Polish Ministry of Preparatory Work
Concerning the Peace Conference
L. dz. 1909/44.

Mon. inf. L. dz. 17185/44

Londyn, 10 listopada, 1944 r.

Pan Minister Informacji i Dokumentacji
Profesor Stanisław Kot
w m i e j s c u.

W sprawie przesłanych mi do zaopiniowania uwag politycznych dotyczących charakteru zamierzonej akcji propagandowej w sprawie zachodniej granicy Polski, stwierdzić muszę, że wnioski tych uwag są niezgodne z uchwa-

lonym przez rząd programem politycznym w tej mierze. Sprzeciw zniewolony jestem wnieść tym bardziej stanowczy, że wyrażona we wnioskach tendencja wnoszona jest celowo w zespoły urzędnicze odnośnych naszych resortów.

Chodzi faktycznie o zastąpienie programu rządowego, obejmującego oprócz Prus Wschodnich i Śląska Opolskiego również przesunięcie naszej granicy z Rzeszą na zachód — polityką, ograniczającą się w praktyce do żądania Prus Wschodnich i Śląska Opolskiego. Taka Polityka byłaby nie tylko merytorycznie, ale również taktycznie szkodliwa i skończyłaby się nabytkami jeszcze bardziej zredukowanymi. Powoływanie się na postulaty z czasów wojny poprzedniej nie wytrzymuje zgoda krytyki, bo wiadomo, że wówczas trzeba było operować głównie argumentem etnograficznym, który zresztą okazał się za słaby w sprawie nie tylko Prus Wschodnich, ale nawet dzisiejszego Śląska Opolskiego. Obecnie zaś mamy pod tym względem o wiele większą swobodę i wiele większą skalę argumentacji.

O ile — zdaniem moim — niedozwolone jest umywanie rąk w sprawie przesunięcia granicy zachodniej Polski i jak gdyby całkowite zwalanie w tej mierze odpowiedzialności na Związek Sowiecki i sekundującą mu Wielką Brytanię oraz Stany Zjednoczone, o tyle taktycznie nie wskazane wydaje się szczególne propagandowe — że się tak wyrażę — terminologiczne afiszowanie się na rzecz granicy na Odrze, bo — pomijając nawet nieścisłości na południu — tak sformułowana propaganda musiałaby w obecnych warunkach być zrozumiana jako akceptowanie programu rządu sowieckiego: na zachodzie Odra za linię Curzona na wschodzie.

Nie chcąc szkodzić obronie ziem naszych wschodnich, a szczególnie Wilna, Lwowa i zagłębia naftowego, winniśmy — sądzę — operować określeniem bardziej ogólnym, które faktycznie obejmuje także linię Odry, ale formalnie nie operując tym terminem technicznym, zapobiega ujemnej interpretacji naszej polityki na niekorzyść naszej postawy w sprawie ziem wschodnich. W rezultacie wydaje się najlepszą formułą co do granicy naszej zachodniej domaganie się inkorporowania do państwa polskiego Prus Wschodnich, Gdańska, Śląska Opolskiego oraz takiej strefy wschodniej Rzeszy, która dostatecznie zasłoni porty polskie i polski okręg przemysłowy. W szczegółowych rozmowach nie można się — zdaniem moim — Odry wypierać, ale nie należy się angażować w tym kierunku w sposób, który — powtarzam — musiałby być zrozumiany jako akceptowanie programu rządu sowieckiego: Odra za ziemię wschodnie.

Konieczne jest zarazem podkreślenie postulatu, że inkorporowanie odnośnych obszarów do państwa polskiego winno być przesądzone już w akcie rozejmowym. Odkładanie bowiem tego do tzw. konferencji pokojowej względnie do traktatu pokojowego z Niemcami byłoby dla sprawy polskiej niebezpieczne w najwyższej mierze.

Marian Seyda

Co miał na myśli Seyda, pisząc, że „wyrażona we wnioskach tendencja wnoszona jest celowo w zespoły urzędnicze”? Tego zaiste, nie wiem. W ogóle część pierwsza jest mętna. Natomiast zgadzam się z Seydą, że nie należy czynić nic co wyglądałoby na akceptowanie programu sowieckiego: Odra za ziemię wschodnie.

12 listopada, niedziela, 4-ta po południu

Byliśmy wczoraj na „Per Gyncie” z Richardsonem w roli

głównej. Dobrze przedstawienie, ale w Polsce było znacznie, znacznie lepsze. Pamiętam Adwentowicza w roli Per Gynta.

Z dzisiejszej prasy wieje pustka, jeśli pominąć entuzjastyczne przyjęcie zgotowane Churchillowi w Paryżu. Czytając jego opisy, przypomniałem sobie maj i czerwiec 1940 roku we Francji, gdy nie mogliśmy patrzeć na Francuzów za ich kapitulacyjną postawę wobec Niemiec. Cieszę się, że utrwaliłem nasze ówczesne nastroje i że ukazały się w książeczce — „U kresu drugiego etapu”. Dobrze, że nie dałem jej tytułu — „U kresu ostatniego etapu”. Ileż jeszcze przerobimy nieznanym etapów, zanim — jeśli — z wieloletnich może bezdroży, wrócimy do Polski.

A teraz? Francja wchodzi do koncertu wielkich mocarstw. Nazywa się to *Big four*, czyli „Wielka Czwórka”: Stany, Rosja, W. Brytania i Francja. Cieszę się, oczywiście, że windują w górę Francuzów z dołu w który się w czasie wojny stoczyli. Ale tylko rozumowo. Z zazdrości chciałoby się kląć.

23 listopada, czwartek, o północy

Dawno nie pisałem. Miałem więcej roboty w Ministerstwie, a w ogóle nie miałem nastroju.

Drohojowski polecił, bym przygotował odpowiedź Seydzie. Dodał, że z polemiki nie powinno wynikać, że Minister Informacji, czyli Kot ma inne stanowisko w sprawie Odry niż Rząd R.P.

„W związku z nadesłaną opinią Pana Ministra (z dnia 10 listopada 1944 roku), dotyczącą naszych uwag w sprawie propagandowego uzasadniania zachodniej granicy Polski na Odrze, wyjaśniam, że uwagi te traktowaliśmy wyłącznie jako materiał dyskusyjny dla Ministerstw zainteresowanych zarówno polityczną jak propagandową stroną zagadnienia ewentualnej zachodniej granicy Polski.

Uwagi Ministerstwa Informacji i Dokumentacji — zdaniem moim — nie stoją w sprzeczności z uchwalonym przez Rząd programem politycznym, biorąc jedynie pod uwagę aktualne okoliczności polityczne, w których zaistniała możliwość uzyskania przez Polskę zachodniej granicy na Odrze. Okoliczności te różnią się bardzo od sytuacji politycznej, istniejącej w czasie, gdy formułowany był program rządowy w sprawie naszych postulatów granicznych na Zachodzie. O ile mi wiadomo program ten precyzował wyrażenie dwa postulaty terytorialne (Prusy Wschodnie i Śląsk Opolski), otwierając możliwość dalszych żądań terytorialnych w kierunku zachodnim. W uwagach Ministerstwa Informacji i Dokumentacji stwierdza się też wyraźnie, że argumentacja polska w sprawie naszej granicy zachodniej „winna skupiać się głównie na dwóch zagadnieniach — Prus Wschodnich i Śląska Opolskiego”. Ze stwierdzenia tego nie wynika bynajmniej, abyśmy mieli rezygnować z propagandy na rzecz ziem położonych dalej na zachód, chodzi tylko o to, aby nosiła ona inny charakter, zważywszy dzisiejsze warunki polityczne, dzięki którym Polska może uzyskać zachodnią granicę na Odrze.

Stanowisko to odpowiada poglądom pana Premiera Mikołajczyka, który w ostatnim wywiadzie udzielonym tygodnikowi *Picture Post* z dnia 21 października 1944, wyraźnie formułuje postulaty polskie co do Prus Wschodnich i Górnego Śląska, natomiast o dalszych naszych postulatach, mówi w formie ogólnej, unikając precyzji. Jak wynika z tego wywiadu Pan premier, zajmuje odmienne stanowisko od Pana Ministra, w sprawie powoływania się przez stronę polską na postulaty, zgłaszane przez nią w czasie ostatniej wojny. Pan Minister twierdzi, że „powoływanie się na postulaty z czasów wojny poprzedniej nie wytrzymuje zgoda krytyki”, tymczasem wywiad Pana Premiera w części dotyczącej naszych roszczeń terytorialnych w stosunku do Niemiec, rozpoczyna się właśnie od powołania się na poprzednią wojnę. Słowa Premiera:

(Tu ustęp tekstu z wywiadu Mikołajczyka ogłoszonego 21 października w *Picture Post*).

Ze specyficznymi warunkami chwili obecnej liczy się również Pan Minister, który w swojej opinii stwierdza, że „taktycznie nie wskazane wydaje się szczególne propagowanie — że się tak wyrażę — terminologiczne afiszowanie się, na rzecz granicy na Odrze, bo — pomijając nawet niecisłości na południu — tak formułowana propaganda musiałaby w obecnych warunkach być zrozumiana jako akceptowanie programu rządu sowieckiego: tę samą myśl potwierdza inne zdanie odpisu Pana Ministra, gdy Pan Minister pisze: Na zachodzie Odra — za linią Curzona na wschodzie”. „W szczegółowych rozmowach nie można się — zdaniem moim — Odry wypierać, ale nie należy się angażować w tym kierunku w sposób, który — powtarzam — musiałby być rozumiany jako akceptowanie programu rządu sowieckiego: Odra za ziemię wschodnią”.

Przytoczone zdania Pana Ministra pokrywają się całkowicie z zasadniczym punktem wyjścia naszych uwag. Właściwym ich celem było uwypuklenie faktu, że przyznanie Polsce granicy zachodniej na Odrze, spowoduje w bliższej lub dalszej przyszłości, zarówno w samych Niemczech jak w krajach alianckich i w Rosji Sowieckiej, szereg konsekwencji politycznych. Jeżeli w oświetleniu tych konsekwencji uwagi Ministra Informacji i Dokumentacji idą niekiedy daleko, to tylko dlatego, że polityczne resorty rządowe muszą się liczyć ze wszystkimi konsekwencjami, a biorąc je pod uwagę, ustalać z ostrożnością i z największym poczuciem odpowiedzialności, polityczne ramy ewentualnej propagandy w sprawie polskiej granicy na Odrze”.

Te polemiki międzyministerialne robią takie wrażenie, że każdy z ministrów stara się dla siebie na przyszłość stworzyć alibi. Ma ono być niejako świadectwem jego aktywności i dojrzałości politycznej, w chwili gdy ważyły się losy Polski”.

Rząd Tomasza Arciszewskiego

24 listopada, piątek, 7-ma wieczorem

Od kilku dni mamy wiosenną pogodę. Okna otwarte przez cały dzień.

Wiezorami świecą już lampy w Londynie. Alarmy nie robią na nikim wrażenia, choć tu i ówdzie V-2 spada jeszcze na miasto.

Niewiele nowości z tzw. wielkiej polityki. Mam wrażenie, że sprawa polska znalazła się na razie w ślepej ulicy. Nie może to trwać zbyt długo.

około 11-tej wieczorem

Przed dwoma godzinami zadzwonił Mackiewicz. Mikołajczyk ustąpił. Uradowała mnie ta wiadomość, ale zaraz przyszła refleksja, czy może to jeszcze wpłynąć na poprawę naszej sytuacji.

Kto będzie następcą Mikołajczyka — nie wiadomo. Oczywiście jeden z socjalistów: Arciszewski lub Kwapiński.

Na temat okoliczności ustąpienia Mikołajczyka krąży kilka wersji. Notuję wersję Karczewskiego (rozmawiałem z nim telefonicznie), gdyż brzmi najprawdopodobniej.

Do Londynu przybył Harriman. Miał rzekomo przywieźć jakieś propozycje kompromisowe m.in. w sprawie Lwowa. Zebrała się Rada Ministrów. Większość ministrów odrzuciła wniosek Mikołajczyka za przyjęciem „kompromisu”. Mikołajczyk bronił się. Dowodził, że wszedł na znaną wszystkim drogę w przekonaniu, że uratuje co się jeszcze da uratować. Celu swego nie osiągnął. Może, ci którzy walczą o zasady w polityce, będą mieli więcej szczęścia.

Jak tam było, okaże się wkrótce. W każdym razie dochodzi wreszcie do pierwszej, prawdziwej reorganizacji Rządu polskiego. Właściwie pierwszej od października 1939 roku. Główne podpory dawnych rządów odejdą. Odejdzie kilka Kotów, Mikołajczyków, Banaczyków, których w spadku po sobie pozostawił Sikorski.

Jaka szkoda, że właśnie w takiej chwili nie ma w Londynie Sosnkowskiego! Wyjechał.

27 listopada, poniedziałek, 8-ma wieczorem

Całą sobotę i niedzielę przegadaliśmy komentując przesilenie rządowe.

W naszym ministerstwie pracuje b. urzędnik MSZ — Z. Maliszewski, syn wybitnego etnografa. Jest w zażyłych stosunkach z Drohojowskim i ludowcami Mikołajczyka. Przed wojną studiował w Anglii. Nosi się z angielską. Nazywamy go „lordem Maliszem”. Otóż Maliszewski uważa, że cała sprawa zakrawa na manewr Mikołajczyka. Ustąpił w przekonaniu że socjaliści nie będą w stanie utworzyć rządu bez ludowców. Anglicy

mogliby się zgodzić tylko na rodzaj „centrolewu”. Cała reszta (Stronnictwo Narodowe i Piłsudczycy) — to dla nich czarna reakcja i faszyści!

Zbrojny w ten argument Mikołajczyk rozpoczął gierkę, której celem jest pozbycie się z gabinetu wszystkich niewygodnych. Po południu Karczewski powiedział Maliszowi, że Mikołajczyk nie przyjmie już nominacji z rąk obecnego Prezydenta! Komentarze zbyteczne.

Prasa angielska niedwuznacznie wypowiada się za drugim gabinetem Mikołajczyka...

28 listopada, wtorek, o północy

Dziś o 11-tej rano miało się odbyć zaprzysiężenie nowego Rządu z Janem Kwapińskim jako premierem. Parę tek (m.in. informacja i sprawy wewnętrzne) było jeszcze nie obsadzonych. Ale do zaprzysiężenia nie doszło. Natomiast rozeszły się pogłoski o rozmowach Mikołajczyka z Edenem i Churchillem. I znowu zaczęły się gadania o drugim gabinecie Mikołajczyka.

O 3-ej po południu zaprosił mnie na rozmowę Drohojowski. Hrabia był wyraźnie speszony. Powtarzał, że osobiście nie wierzy w powrót Mikołajczyka. Ma pewno jakieś dane i dlatego jest tak zdenerwowany. Rozumiem, że odejście Mikołajczyka (a więc i Kota), oznacza koniec jego kariery w naszym Ministerstwie. Być może, że chciał się ode mnie dowiedzieć co myślę o jego losie i czy nie widzę możliwości uratowania jego pozycji. Znając Drohojowskiego przypuszczam, że gotów byłby za cenę utrzymania się na dotychczasowym stanowisku, zdradzić Kota i złożyć deklarację lojalności nowemu rządowi.

W tej chwili zresztą sprawa jest wyjaśniona. Rząd tworzy Tomasz Arciszewski, a nie Jan Kwapiński. Do gabinetu wejdą z ramienia Stronnictwa Narodowego: profesor Władysław Folkierski i Zygmunt Berezowski, z PPS na pewno Adam Pragier.

29 listopada, środa, o północy

Dziś powstał rząd Arciszewskiego — na przekór gierkom Mikołajczyka, popieranym przez gospodarzy. Jestem zadowolony, że skończyły się wieloletnie rządy kliki i że może nareszcie zaczniemy przemawiać własnym językiem, nie oglądając się na to, czy najpierw otrzymamy placet naszych zachodnich sprzymierzeńców.

5 grudnia, wtorek, 6-ta po południu

Zrobiło się tak ciepło, że Anglicy mówią o *Spring in London*. Udzieliła mi się ta wiosenna aura. Nowy gabinet już urzęduje. Jestem w doskonałym humorze. Moim szefem na miejsce Kota został człowiek inteligentny PPS, Adam Pragier, mason szkockiego obrządku. Rząd Arciszewskiego rodzi się w „szczęśliwym” momencie. Grecją wstrząsa wojna domowa. Nawet Churchill wykrztusił, że widać w tym rączkę komunistów.

Wczoraj poszedłem z „lordem Maliszem” na śniadanie do Dorchesteru. Przy sąsiednim stoliku siedział Sir Stafford Crips, jeden z czołowych labourzystów, zatopiony w rozmowie z dr. J. Retingerem. Gdy się Crips pożegnał podeszliśmy do stolika. Maliszewski zapoznał mnie z Retingerem. Dowiedzieliśmy się od niego, że właśnie klarował Cripsowi, iż rząd Arciszewskiego jest dalszym ciągiem legalnego Rządu polskiego. Crips słuchał wszystkiego z uwagą, po czym roztoczył przed nowym Rządem polskim smętne perspektywy przyszłości.

Dziś miałem referat dla prelegentów pracujących z ramienia naszego Ministerstwa w „terenach”, czyli wśród Brytyjczyków. Drohojowski jest dla mnie żenująco czuły. Przypuszczam, że nie zwątpił jeszcze w możliwość uratowania swego stanowiska i że ma nadzieję, iż mu w tym pomogę.

W czasie zebrania gruchnęła nagle wiadomość, że Wincenty Witos zmierza do Londynu. Jestem przekonany, że Witos dogada się z Arciszewskim znacznie prędzej, niż z ludowcami w rodzaju Kota lub Mikołajczyka.

12 grudnia, wtorek, 7-ma wieczorem

Dni biegną jak strzała. Pracuję z zapałem. Chcę aby rząd Arciszewskiego okrzepł jak najprędzej i trwał, wbrew wszystkim przeciwnikom rodzimym i obcym ze Związkiem Sowieckim na czele.

Wciąż nie wiadomo co jest z Witosem. Ale na pewno zdąży do Londynu. Krąży dziś plotka, że jest już we Włoszech.

Arciszewski, którego dotąd nie znam osobiście — rusza się. Przyjmuje dziennikarzy zagranicznych. Prostota i patriarchalny wygląd, jedną mu sympatię. Niewątpliwie reprezentuje najlepsze wydanie starego bojowca niepodległościowego z 1905 roku.

Z moim szefem Pragierem (którego poznałem w pierwszych dniach wojny, we Lwowie), rozmawiałem dziś po raz pierwszy.

Byłem z lekka rozzarowany. Nieustannie ziewał. Nie zdra-

dził się ani jedną złotą myślą, której niejako wymaga się od szefa. Bąknął tylko coś na temat „wkładu polskiego” w czasie gdy będą się decydowały losy Niemiec. Powiedział, że najważniejsze to pilna obserwacja nastrojów proniemieckich w związku z potęgującą się wśród Anglosasów świadomością niebezpieczeństw grożących Europie ze strony sowieckiej. Prosił, abym się udał na odbywającą się w Londynie Labour Party. Dodał, że „ekstatycznym” relacjom niektórych towarzyszy z PPS o konferencji, zbytniej wiary nie daje. Myślał pewno o pp. Stańczyku i Szapirze.

Stronnictwo Narodowe urządza się w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, które objął Zygmunt Berezowski. Podobno nie mogą się nadziwić rozbudowanemu przez ludowców aparatowi inwigilacji wewnętrznej. Powstał ten aparat za czasów Sikorskiego. Poszerzył go Mikołajczyk. Prowadzili inwigilację pp. Ulman i Zaborowski — ludzie zaufani kliki.

Pierwszy raz byłem na takim zbiegowisku Labour Party. Przewodniczył prof. Lasky. Było bardzo interesujące. Podziwiałem wzorową reżyserię, dyscyplinę, spokojny ton przemówień. Zachowują go nawet wówczas gdy krytykują Churchilla i własne kierownictwo partyjne. Co kraj to obyczaj. Co naród — to temperament. Przydałoby się i nam trochę tej wewnętrznej dyscypliny. Jutro będą mówili o sytuacji w Grecji. Dziś dyskutowali problem niemiecki. Nie kochają Niemców.

Parlament brytyjski ma się zająć naszymi sprawami w nadchodzący piątek. Na razie jakiś impas. Może przełamie go rząd Arciszewskiego, a w nim endecy. Może, powołując się na Dmowskiego pokuszą się o odegranie roli mediatorów. Nie widzę, aby na razie zdradzali jakieś aspiracje w tym kierunku. Nie będę ich do tego namawiał. Ich sprawa.

15 grudnia, piątek, 1-sza w nocy

Wczoraj w Chatham House wystąpił z przemówieniem Mikołajczyk. Wyniosłem wrażenie, że zaaranżowano jego występ, by zamanifestować sympatię dla polityka polskiego, który wiernie służył Wielkiej Brytanii.

Dzisiejszą debatę polską w parlamencie można chyba oceniać pozytywnie. Wydaje się, że rząd Arciszewskiego — jeśli zdobędzie się na grę w wielkim stylu — ma pewne szanse. Inna sprawa, że Churchill mówi teraz dużo o sprawach polskich, by odwrócić uwagę od kłopotów jakie narastają w Grecji. Zresztą Bóg z nim!

Od chwili ustąpienia Mikołajczyka patrzymy z determinacją w przyszłość. Jesteśmy gotowi na wszystko. Nie poddamy się narzuconemu dyktandowi. To wielki kapitał moralny. Brakowało nam w erze poprzednich rządów.

16 grudnia, sobota po północy

Czy rząd Arciszewskiego pokona trudności jakie piętrzą się na drodze którą wybrał? Gdy jeszcze raz zanalizowałem przebieg wczorajszej debaty parlamentarnej, zaczynam w to wątpić. I ten Mikołajczyk *ausgerechnet* teraz w Chatham House!

Wieczór spędziłem u Witków Czerwińskich. Zaproszeni byli na kolację pp. minister Zygmunt Berezowski i mjr T. Szumowski. Przyglądałem się Berezowskiemu. Zrobił na mnie wrażenie nadętego, zarozumiałego, „wielkiego”. Nie lubię tego typu ludzi. Nie powiedział nic, co warto byłoby zanotowania. Stanowczo wolę Bieleckiego i Folkierskiego od Berezowskiego.

18 grudnia, poniedziałek, 8-ma wieczorem

Mieliśmy dziś nieoczekiwaną sensację. Niemcy rozpoczęli kontrofensywę na froncie zachodnim! Szkoda, że nie zdobyli się na nią wcześniej, na froncie wschodnim, zanim wojska sowieckie wkroczyły na ziemie państwa polskiego. Wysilają się dziś na rozprawę z państwami zachodnimi, wpuszczając równocześnie innymi drzwiami do Europy sowiecką zarazę. Zgłupieli do reszty.

20 grudnia, środa, 11-ta w nocy

Cholerna mgła. Klnę, gdy muszę łykać to świństwo. Wczoraj byłem na śniadaniu z Karczewskim. Pan Marceli znowu rozgadywał się o Mikołajczyku. Mówił dużo o jego charakterze. Rozpływał się nad jego lojalnością wobec ludzi z którymi współpracuje. Powiedziałem Karczewskiemu, że może Mikołajczyk ma charakter kryształowy, ale mnie interesowały w tym człowieku zawsze tylko dwie rzeczy: jego głowa i jego charakter polityczny. A — zdaniem moim — ani jednego, ani drugiego nie posiada.

Zaczyna mnie z lekka niepokoić mój nowy szef — minister Adam Pragier. Nie poświęca zbyt wiele czasu ministerstwu. Streszcza się. Wydaje krótkie zlecenia. Od czasu do czasu grozi przeciwnikom Rządu. Pod tym względem poczyną sobie w gębie

dziarsko. Zaczynam go żartobliwie nazywać — „pułkownikiem Pragierem”. Dobrze jest to, że jego prawą ręką jest Juliusz Sakowski. Przynajmniej ma się z kim szczerze gadać.

21 grudnia, czwartek, 6-ta po południu

Chwała Bogu po mgle. Na szczęście w tym roku nie trzyma się długo. Za parę dni Święta. Żona z Janką dbają, aby wszystko odbyło się jako tako normalnie, to znaczy z zachowaniem tradycyjnego rytuału. Pierwszy raz się, aby nie psuć im przedświątecznego nastroju.

Gdyby nie intrygi Mikołajczyka i Kota, można byłoby oddychać spokojniej. Rząd Arciszewskiego daje pewność, że nie pójdzie na żadne kompromisy za cenę utraty niepodległości. Ale wiadomo, że klika, która odeszła, przygotowuje atak, licząc na poparcie gospodarzy i — co tu gadać — Kremla. Nawet Drohojowski nie usiłuje temu przeczyć a jest z kliką w kontakcie. Maliszewski przewiduje, że atak wyjdzie z Lublina, dokąd uda się Mikołajczyk. Kota pozostawi w Londynie, aby tu pilnował jego „linii”.

Brat był wczoraj u Prezydenta. Jest w doskonałej formie. Ma „rząd prezydencki” tj. taki, jakiego pragnął. Rozstał się wreszcie z Mikołajczykiem, którego w głębi duszy nie znosił.

Niemcy pchają się na froncie zachodnim, ale prasa angielska daje do zrozumienia, że kontrofensywa niemiecka zatrzymana.

29 grudnia, piątek, 8-ma wieczorem

Już po Świętach. Tym razem nie życzyliśmy sobie w czasie Wilii aby następne święta obchodzić w wolnym Kraju. U schyłku wojny przestajemy wierzyć w realność takich życzeń. Pewien znajomy major przyznał mi się, że tegoroczne święta męczyły go bardziej niż dawniejsze. „Widocznie — mówił — przyzwyczajam się do emigracji. A może już się psychicznie oddalam od Kraju...”.

Mimo tych smętnych refleksji, dzięki Zince i Jance, panował w domu ruch świąteczny. W pierwsze święto Janka zaręczyła się z porucznikiem Janem Rostworowskim, zdolnym, młodym poetą, którego Grydzewski wciąż drukuje w *Wiadomościach*. Syn Karola Huberta Rostworowskiego. Nie traktuję poważnie tych zaręczyn. Janka jest jeszcze taką smarkulą.

Po kilku dniach mrozu przyszła jednak mgła. Wciska się do mieszkania. Nie lubię tego.

Pojutrze Sylwester. Zacznie się nowy rok, a wojna wciąż trwa. Wprawdzie opanowano sytuację na froncie Zachodnim, lecz ofensywa Rundstaedta bez wątpienia opóźniła koniec wojny.

W roku przyszłym dojdzie jednak do finiszu. Zmarnowane lata. Nie do odrobienia. Ale co o tym myśleć! W tej chwili najważniejszą rzeczą jest utrzymanie rządu Arciszewskiego. Ten rząd to przynajmniej drogowskaz w bezdrożach. Mikołajczyk ruszył już do ataku. Jego organ *Jutro Polski* przemawia bezczelnie. Wielu ludzi bardzo wierzy, że rząd Arciszewskiego dotąd nie mógł nawiązać normalnych stosunków z rządem brytyjskim. Obecny minister spraw zagranicznych Adam Tarnowski nie był dotychczas przyjęty przez ministra spraw zagranicznych Edena.

1 stycznia 1945, poniedziałek, 11-ta rano

Na Sylwestrze było kilka osób. Zgodnym chórem przeklinałimy miniony rok. Część pocieszała się, że przyszedł nie może być gorszy. W tym chórze pocieszenia nie brałem udziału. Dlaczego nie ma być gorszy? Wystarczy sobie przeczytać artykuł Mikołajczyka w drugim numerze *Jutra Polski* i zestawić go z wiadomością o utworzeniu w Lublinie „rządu polskiego”. Wszystko zmierza do tego, aby jak najprędzej zlikwidować Rząd legalny. A jeśli się to stanie, to cóż potem? Wolę o tym nie myśleć.

3 stycznia, środa po północy

Rzecz raczej wyjątkowa w ostatnich czasach. Wczorajem mieliśmy aż dwa alarmy. Przed samą północą gdzieś niedaleko od nas łupnęło V-2. Nad ranem o 9-tej wyrznęła bomba na Kensingtonie.

Drohojowski zabawił mnie w biurze opowiadaniem o wczorajszym konwentyklu odbytym pod przewodnictwem Mikołajczyka. Byli „sami swoi”. Nie było nawet „seydziców”. Na konwentyklu panował nastrój bojowy wobec rządu Arciszewskiego.

Wczoraj zaszedłem do inż. Piotrowskiego, aby zasięgnąć języka, co myśli Prezydent o tymczasowym rządzie w Lublinie. Przyjaciół Raczkiewicz jest do głębi wstrząśnięty tą wiadomością. Nie ukrywał pesymizmu.

Dziś Mikołajczyk rozmawiał z Arciszewskim. Czego chce?

Z jednej strony zrywa mosty z rządem, z drugiej obawia się pewno, jak go potraktuje „Lublin”. Komuniści i jego określają mianem faszysty.

Nic dalej nie wiadomo, czy i kiedy zjawi się w Londynie Witos. Na pewno „osadziłby” pana Mikołajczyka. Wystarczyłoby jedno słowo. Mikołajczyk w porównaniu z Witosem — to zero.

Niektórzy znawcy ludowców twierdzą, że Mikołajczyk czeka na przyjazd do Londynu wybitnego komunisty, wileńskiego Jędrzychowskiego. Ma tu przybyć, aby m.in. zrobić porządek z tutejszymi komunistycznymi „patriotami”, spod znaku mecenasa Stefana Wilanowskiego i Edwarda Puacza. Pyskacz górnośląski Arka Bożek rozpowiada o jeździe Mikołajczyka do Lublina.

4 stycznia, czwartek, 12.30 w nocy

Zmuszam się, aby — choć po krótko — zrekapitulować wypadki dnia. Lord Malisz widział się z Retingerem. Podobno nawet ten szczwany gracz robi wrażenie człowieka, który się zgubił. Węszy na wsze strony. Nie wie jak się ustawić.

Dzwonił inż. Piotrowski. Mówił, że Rząd będzie pukał do wpływowego premiera afrykańskiego Smutsa o poparcie naszego stanowiska...

Po piątej zadzwonił Drohojowski. Uprzedzał, że następny numer *Jutra Polski* będzie „wręcz obrzydliwy”.

Ale nasz szef — „Pułkownik Pragier”, którego złośliwcy nazywają „pułkownikiem blagierem” zachowuje postawę stanowczą i pewną siebie.

Przełamując wewnętrzne opory umówiłem się na rozmowę z dwoma politykami: Tadeuszem Bieleckim i Tadeuszem Tomaszewskim. Chcę się dowiedzieć wreszcie z pierwszej ręki, co myśli o sytuacji Stronnictwo Narodowe i PPS.

5 stycznia, piątek, o północy

W ostatnich czasach było sporo alarmów. Dziś był także o 11-tej w nocy.

Dzień przeszedł bez większych sensacji. Zapowiadany przez hrabiego numer *Jutra Polski* wcale nie jest sensacyjny. Po prostu obrzydlistwo.

Około 5-tej zaszedłem do Pragiera. Zapytałem ile jest prawdy w gawędach o angielskiej cenzurze przewencyjnej pism polskich. Wykręcał się, mówiąc o „pewnych trudnościach”. Jak przed-

stawiają się stosunki naszego rządu z rządem brytyjskim? Nie należy się spieszyć — odpowiedział spokojnie Pragier i dodał, że przecież nie mamy do zaofiarowania Rosji żadnych ustępstw. A w ogóle — mówił — nie jest wcale tak źle. Ambasador Raczyński jest w nieprzerwanym kontakcie z Foreign Office. Ambasador brytyjski przy rządzie polskim O'Malley „utrzymuje łączność” z ministrem Tarnowskim. A jak przedstawia się ewentualność nawiązania rozmów z rządem sowieckim? Jeśli zechcą — odpowiedział Pragier — mogą w każdej chwili rozpocząć z nami rozmowy. Ale możemy mówić z Moskwą tylko oficjalnie. Nie uznajemy żadnych „dróg kuchennych”.

Tyle dziarski „pułkownik” Pragier. Gdy od niego wychodziłem lord Malisz szepnął mi, że spotkanie Mikołajczyk-Arciszewski miało charakter czysto techniczny, związany z przejęciem przez Arciszewskiego urzędu premiera. Nie było żadnych prób wzajemnego dogadywania się.

8 stycznia, poniedziałek, o północy

Przez cały dzień leciały na Londyn V-2.

Wczoraj gadałem z Tomaszewskim u Czerwińskich. Twierdzi, że rozmowa Arciszewskiego z Mikołajczykiem nie była tylko techniczna. Arciszewski jednak nie ma złudzeń aby mógł się w ogóle kiedykolwiek dogadać z Mikołajczykiem. Uważa go za tumana, do którego nie trafiają żadne argumenty w sprawie zamiarów Stalina wobec Polski.

Tę samą opinię o Mikołajczyku wypowiada Piotrowski. Byłem z nim na śniadaniu. Mówi, że nie warto sobie w ogóle zaprzętać głowy dogadywaniem się z tym facetem.

Więc na sobotniej zbiórce „oddanych” Mikołajczykowi miało być 35 osób. Tak mówi Drohojowski. Sytuacyjny referat ex-premiera był arcynudny. Postanowiono atakować rząd Arciszewskiego, zarzucając mu zupełne nieróbstwo. Głównym obiektem ataku będzie mój szef — Pragier.

10 stycznia, środa, 8-ma wieczór

Wczoraj zaszedł do mnie Drohojowski. Chadecy — mówił — wycofali się z rządu. Sprawa wygląda jednak nieco inaczej. Popiel był u Prezydenta i domagał się rozszerzenia podstawy rządu. *Démarche* Popiela nie miało jeszcze charakteru ultimatywnego.

Démarche dowodzi, że Mikołajczyk nie wybiera się na razie do Lublina i nie zamierza tworzyć w Londynie drugiego, konkurencyjnego rządu (bo i taka plotka krążyła ostatnio). A Popiel nie zgłosiłby się do Prezydenta bez *placet* Mikołajczyka. Nie jest również wykluczone, że może Anglicy poradzili Mikołajczykowi, by szukał kompromisu z Arciszewskim. Mikołajczyk lata wciąż do Edena.

Drohojowski mówiąc mi o wystąpieniu Popiela, był wyraźnie zaniepokojony. Przekonywał mnie (może również z inspiracji Mikołajczyka?), że jedynym wyjściem byłoby utworzenie w Londynie „wspólnej delegacji” i to przed 25 stycznia tj. przed spotkaniem się „wielkiej trójki” — Roosevelta, Churchilla i Stalina. Przewodniczącym delegacji mógłby zostać Adam Tarnowski, wiceprzewodniczącym Mikołajczyk.

Tłumacz mi swą koncepcję pojednania Drohojowski powoływał się na rok 1919, kiedy doszło w Paryżu do współpracy pomiędzy endeckim Komitetem Narodowym Dmowskiego i delegacją Piłsudskiego z dr. Dłuskim na czele.

Byłem zaskoczony zarówno samą koncepcją jak jej kulisami. Bo, że nie zrodziła się w głowie Hrabiego — tego jestem pewien. Drohojowski liczy na poparcie pomysłu przez socjalistów. Powtarzał przy tym, że Pragier skończył się nie tylko w rządzie, lecz i we własnym stronnictwie. Popierają go jedynie „bracia” z loży szkockiej z Tomaszewskim i nikt więcej.

O wpół do czwartej po południu spotkałem się z T. Bieleckim. Pomówimy jeszcze w przyszłym tygodniu. Powtórzyłem mu pomysł Drohojowskiego. Ostrożny Bielecki nie obruszył się. Po chwili namysłu orzekł nawet, że się nad pomysłem zastanowi.

Pęta się po Londynie Żyd z Polski, mój kolega uniwersytecki, Michał Glazer. Przed wojną propagował pomysł masowego przesiedlenia Żydów z Polski do Izraela. Żydzi go zwalczali. Ostrzegali, bym się z nim nie wdawał w żadne konszachty. Mimo to spędziłem przed wojną wiele godzin na rozmowach z facetem. Zapoznawszy się jednak z finansową stroną pomysłu, doszedłem do wniosku, że jest nierealna. Odtąd nie mając czasu na tego rodzaju rozmowy — zacząłem go unikać. Glazer stale powoływał się na Augusta Zaleskiego. Twierdził, że popiera jego plan, włącznie z częścią finansową. Nigdy przed wojną nie miałem okazji tego sprawdzić.

W czasie wojny ruchliwy Glazer znalazł się w Stanach Zjednoczonych, gdzie ożenił się z Żydówką amerykańską, córką podobno zamożnego i wpływowego człowieka. Natychmiast zaofiarował rządowi polskiemu swe usługi. Podobno udało mu się wkroczyć do ambasady polskiej w Waszyngtonie.

Ciekaw jestem, jakie „usługi” ofiarowuje Arciszewskiemu. Podobno (zapewne przy poparciu Zaleskiego) udało mu się teraz oczarować ministra Skarbu Jana Kwapińskiego. Muszę koniecznie pomówić o Glazerze z Pragierem. Na mnie robi czasem wrażenie maniaka, święcie wierzącego w to co mówi. Kto stoi za tym maniakiem?

Tyle się o Glazerze rozpisałem wyłącznie z obawy o przyszłość rządu. Znajduje się w ciężkiej sytuacji politycznej. Musi działać niezwykle ostrożnie. Każdy nieopatrzny krok — na przykład w formie pełnomocnictwa dla Glazera — może się srodze pomścić.

17 stycznia, środa, około 8-mej wieczorem

Czołowe tytuły wieczornych gazet angielskich przynoszą dwa słowa: *Warsaw free*. Tylko my rozumiemy ich tragiczną wymowę. Nie ulega wątpliwości, że to „wyzwolenie” będzie miało poważne konsekwencje polityczne. Nie trudno zgadnąć jakie. Nie chcę o tym myśleć. Niech myślą: Arciszewski, Tarnowski, Pragier, Berezowski i inni.

Ulegając namowom Lipskiego zgodziłem się wygłosić referat na międzyministerialnej Komisji do spraw Niemieckich. Mówiłem o ewolucji poglądów w sprawie rozwiązania problemu niemieckiego w Związku Sowieckim. Powtórzyłem swoją starą piosenkę — że choć pobite i rozbite — Niemcy jak tylko odsapną, będą dalej odgrywały poważną rolę w polityce międzynarodowej. Karty niemieckiej nie będą chcieli wypuścić ze swych rąk ani Anglosasi ani Moskale. Powiedziałem jeszcze jedno. W wyniku poniesionej klęski Niemcy mogą się znaleźć z nami w obozie niezadowolonych. Nie wiem, oczywiście, czy tak będzie, lecz nie należy wykluczać i tej ewentualności, myśląc o wielu niewiadomych powojennego jutra.

Po zebraniu komisji poszedłem z Jankiem Kaczmarkiem na kawę. Tydzień temu był w Paryżu. Opowiadał o zwycięskich i zgoła bohaterskich nastrojach jakie ogarnęły Francję. Uwierzyli, że zwycięstwo jest ich własnym dziełem. *Résistance?* Wygrają wojnę politycznie nie dlatego że byli waleczni, że mieli w Londynie mądrego de Gaulle’a, lecz dlatego, że geografia jest po ich stronie. Geografia, jest przeciwko nam.

Spotkałem się z Bieleckim. Cieszy się, że Francuzi „odprężają się”. Wierzy, że — mimo wszystko — będą w przyszłości znowu naszym sprzymierzeńcem. Liczy, że Francja stanie w obronie naszej przyszłej granicy zachodniej. Patrzy na Niemcy jak

na wroga Polski nr 1, choć wróg na razie ledwo zipie. To pewna, że się kiedyś podniesie, lecz dziś wrogiem nr 1 jest, Związek Sowiecki, bo zagraża naszej niepodległości. Bielecki nie jest w polityce szybkobiegaczem. Szkoda, bo musimy się teraz spieszyć. Musimy być wyjątkowo czujni i przebiegli.

Chciałem dać dziś upust swym myślom i wiele zapisać, o niepokojącej sytuacji zewnętrznej i wewnętrznej rządu Arciszewskiego, o spotkaniu „wielkiej trójki” i jeszcze raz o roli Mikołajczyka. Ale jakoś mi się pisanie nie klei.

Prawda! Kaczmarek zetknął się z Polakami, którzy znaleźli się w Niemczech. Zachwycony jest ich patriotyczną postawą. Zadawaliśmy sobie pytanie, co ma się stać z tą masą. Czy ma wracać do okupowanej przez Sowiety Polski, czy też zostać na emigracji? Trudno znaleźć odpowiedź.

19 stycznia, piątek, o północy

Już i Kraków i Łódź zajęte.

Dziś przemawiał do Kraju Arciszewski. Mówił dobrze. Również bardzo dobry był jego wywiad w *Evening Standard*. Ale cóż z tego? Ważniejsze, czy wobec stosunku Moskwy do AK, po masowych aresztowaniach żołnierzy Armii Krajowej, ujawnia się władze podziemne z Janem Jankowskim na czele? A może już salwowały się ucieczką przed „wyzwoleńczą” armią sowiecką i znajdują się w drodze do Francji czy Anglii? Może zeszyły w podziemie? Gdzie są przywódcy ludowców? Kazimierz Bagiński i Wincenty Witos, który miał zdążyć na Zachód?

Po południu rozmawiałem z p. Alexandrem Demideckim. Dobrze umeblowana głowa w Stronnictwie Narodowym. Przewiduje wzmoczoną presję Brytyjczyków na rząd Arciszewskiego jeszcze przed spotkaniem „wielkiej trójki”. Ma się ono odbyć 27 stycznia. Presja ma iść w kierunku reorganizacji rządu z dopuszczeniem do niego Mikołajczyka. Zdaniem Demideckiego Mikołajczyk jest agentem brytyjskim i dlatego nie może liczyć na poparcie Moskwy.

20 stycznia, sobota, po północy

Londyn tonie w śniegu. Prawdziwie polska zima.

Zaszedłem do Kowalewskiego. Zadałem mu pytanie, czy nie obawia się, aby Trzecia Rzesza nie oddała się w ostatniej chwili, pod opiekę Moskwy. Na to Kowalewski, że przed rokiem sły-

szał od Japończyków w Lizbonie, iż Rosja pogodzi się z Niemcami, ale dopiero po ich zupełnej klęsce. Japończycy czekają na tę chwilę. Uważają, że wtedy łącznie z Rosją i Niemcami będą mogli robić co im się żywnie podoba. Nie mam pewności, czy tak będzie, jak sobie przed rokiem marzyli Japończycy.

Dyskutowaliśmy nasze sprawy. Rozważaliśmy trzy kombinacje. Pierwsza. Najpóźniej latem lub jesienią komuniści polscy wejdą do Rządu polskiego. Druga. Powstaje już teraz kompromisowy rząd polski, złożony w połowie z Polaków „londyńskich” i lubelskich. Trzecia. Rząd polski w Londynie „wstąpi” do rządu lubelskiego. Druga kombinacja jest najprawdopodobniejsza. „Londyńskich” Polaków będzie — rzecz prosta — reprezentować Mikołajczyk i jego wyznawcy.

Gadaliśmy o Rosji. — Raczej słuchałem co Kowalewski mówił. Zna się na tym. Według niego w Rosji zajądą wielkie zmiany. Narzuci je konieczność osiągnięcia takiego rozwoju gospodarczego, w którym wreszcie obywatel sowiecki byłby nakarmiony, odziany i miał dach nad głową. Niewolnik sowiecki także myśli. Zwłaszcza, że w tej wojnie zetknął się bezpośrednio ze światem zachodnim i przekonał się, że dzieje się w nim lepiej niż w domu. Jaki będzie charakter i tempo tych zmian — tego Kowalewski nie wie. Ale nie wątpi, że nadejdą.

24 stycznia, wtorek, 10.30 wieczorem

Maliszewski zapewnia, że Mikołajczyk nie ma najmniejszego zamiaru wracać do rządu w Londynie. Maliszewski wie o tym od Drohojowskiego. Hrabia powiedział mu o tym wróciwszy ze śniadania z Mikołajczykiem. Mikołajczyk dowodził, że rząd polski w Londynie i rząd tymczasowy w Lublinie, istnieją bez żadnej podstawy prawnej. (Ciekaw jestem, kto taką interpretację podsunął ex-premierowi. Przypuszczam, że gospodarze brytyjscy. Rozwiązanie zagadnienia, zdaniem Mikołajczyka, leży na jakiejś „kompromisowej linii”. Oznacza to, że przyszły rząd musi być kompromisem londyńsko-lubelskim. Sprawa jasna. Wywody Mikołajczyka nasuwają domniemanie, że rezerwuje dla siebie skromną rolę pośrednika i patrona takiego kompromisu, aby objąć premierostwo przyszłego rządu.

Prawdopodobnie pod naciskiem Mikołajczyka chadecy wycofali się z rządu. Haller żegluję również w stronę autora koncepcji kompromisowej. — Więc nowy kryzys rządowy? Nie ulega wątpliwości, że Mikołajczykowi zależy na osłabieniu obecnego rządu. Liczy, że Arciszewski zmięknie. Idzie jeszcze dalej. Jego

totumfaccy głoszący koncepcję kompromisową (ściślej kapitulacyjną), mówią otwarcie, że trzeba w ogóle wypiąć się na Arcyszewskiego, Prezydenta i cały legalizm, oparty o konstytucję kwietniową z 1935 roku. Tylko to umożliwi dogadanie się z Moskwą. Powiedział mi to *expressis verbis* Mikołajczykowiec, mój kolega uniwersytecki, b. sędzia w Polsce — Feliks Gadomski.

25 stycznia, środa, 11.30 wieczorem

Zbliża się spotkanie „wielkiej trójki”. Churchill i Eden byli na audiencji u króla.

26 stycznia, piątek, po północy

Niebywałe! Już od miesiąca mamy prawdziwą zimą!

Poszedłem na śniadanie z sowieckim agenciakiem p. X. Myślałem że się czegoś dowiem. Ale X. zabawiał mnie opowiadaniami o straszliwych zniszczeniach Rosji. Powtarzał jak katarynka, że Moskwa ma w stosunku do Polski jak najlepsze intencje i złoży tego wkrótce realne dowody.

Wieczór spędziłem u Siekanowiczów z Bieleckim. Było bardzo przyjemnie. Siekanowicz opowiadał o Tarnopolu. Bielecki po koniaku z lekka drzemał. Stanowczo się nie spieszy.

Byłem na śniadaniu z córką znakomitego historyka angielskiego Carlyle'a. Bardzo inteligentna, starsza pani. Zupełnie dobrze orientuje się w sprawach polskich. Warto mieć takie kontakty.

Po południu Pragier zwołał konferencję w sprawie Polaków we Francji z udziałem przybyłego do Londynu konsula generalnego A. Kawałkowskiego. Kawałkowski mówił wiele o zachowaniu się Francuzów pod okupacją niemiecką. Mało budujący obraz.

Po raz pierwszy byłem w politycznym kabarecie londyńskim z moją sekretarką p. Alesową i jej mężem. W podziemiach (gdzie mieści się kabaret) było diabelnie zimno, ale spektakl był nadspodziewanie dobry.

3 lutego, sobota, po 11-tej w nocy

„Wielka trójka” już obraduje. Wszyscy są przekonani, że tym razem wypowie ostatnie słowo w naszej sprawie. Taki

pogląd przeważał na zebraniu „Zespołu Piłsudczyków”. Poszedłem na nie po wielu miesiącach przerwy. Ktoś opowiadał o rzekomo brytyjskim projekcie powołania „w pierwszym stadium” Rady Regencyjnej, do której weszliby ks. T. Śapieha, Wincenty Witos i Bolesław Bierut. Jeśli jest to naprawdę pomysł brytyjski nie można się łudzić, by mogli się liczyć z memorandum jakie im złożył rząd Arciszewskiego. Teraz rozumiem dlaczego Mikołajczyk nosi się jak człowiek, który ma wszystko w kieszeni. Na kogo w tych warunkach może rząd liczyć? Nie utrzymuje normalnych stosunków z rządem brytyjskim. Wysłannik Roosevelta, Hopkins, nie nawiązał z nim kontaktu, lecz nie omieszkął przyjąć Mikołajczyka. Sprawa jasna. Ze względu na Moskwę ani Londyn ani Waszyngton nie chcą sobie płamić rącek stosunkami z naszym rządem. Pragną go jak najszybciej zlikwidować. To kula u nogi. Po zakończeniu obrad „wielkiej trójki” los rządu Arciszewskiego zostanie szybko przesądzony.

Powstał 29 listopada. Za późno, aby mógł odrobić błędy Mikołajczyka i postawić sprawę na zupełnie innej płaszczyźnie. W niespełna po dwóch miesiącach istnienia grozi mu likwidacja. Czy się temu wyrokowi podda, czy też wbrew niemu trwać będzie dalej? Wydaje mi się, że stary niepodległościowiec Arciszewski nie uzna innego wyroku. A my z nim.

Tadeusz KATELBACH

Na tym urywa się pamiętnik T. Katelbacha.

Wojciech KRZYŻANOWSKI

LATA BUKARESZTEŃSKIE (dok.)

Lotnicy

Według naszego ówczesnego rozumienia, najważniejszym zadaniem jakie stało przed nami było odbudowanie polskiej siły zbrojnej, aby udowodnić światu — i nam samym — żeśmy przegrali kampanię, ale nie wojnę.

Ze znanych powodów, których przypominanie obciążałoby

tylko niepotrzebnie narrację, pierwszeństwo w planach ewakuacyjnych otrzymali lotnicy, którzy już rychło mieli wziąć udział w *Battle of Britain*.

◆

Internowanie polskich kombatantów w Rumunii zostało przeprowadzone — oczywiście dla niemieckich oczu — wcale sprawnie, jak na „bałkańskie” stosunki w tym kraju.

Warunki internowania naszych wojskowych różniły się od obozu do obozu, wiele zależało od osoby komendanta, od stopnia służbistości i ludzkości jego podkomendnych. Na ogół, zwłaszcza w pierwszych tygodniach, przestrzegano rygorów dosyć ściśle. Ale żywienie tysięcy było dużym dodatkowym obciążeniem uboższego kraju i początkowa gorliwość w wypełnianiu niemieckich zażeń zaczęła rychło słabnąć. Komendanci sami poczęli szukać *a plausible excuse*, aby móc wydawać przepustki zezwalające na opuszczenie obozu, albo po prostu przymykali oczy na ucieczki. Znam wypadek, kiedy wystarczyła zalotna rozmowa przystojnej pani, aby zmiękczyć serce znanego z surowości komendanta na tyle, że po jej wizycie w obozie zaczęto nocami gasić światła, aby ułatwić internowanym ucieczkę pod osłoną ciemności¹.

Z chwilą wydostania się poza druty i po opuszczeniu, najczęściej pociągiem, miejscowości, w której znajdował się obóz, można się było bezpiecznie po kraju poruszać. Przez całe cztery lata pobytu w Rumunii, przed wojną i podczas wojny, nie zdarzyło mi się ani razu napotkać jakiegokolwiek kontroli, ani na drogach ani w pociągach czy na dworcach. Natomiast wcale dokładna kontrola miała miejsce na granicy; warunkiem nieodzownym opuszczenia kraju było posiadanie rumuńskiej wizy wyjazdowej. Legalny wyjazd bez owej *visa de plecare* był nie tylko w teorii ale i w praktyce niemożliwy, próby przekupienia policji granicznej kończyły się prawie zawsze niepowodzeniem.

Nasz szczupły zapas książeczek paszportowych wyczerpał się bardzo szybko, nikt nie przewidział potrzeby większej ich rezerwy. Nowe paszporty musieliśmy sporządzić własnym sumptem. Ponieważ chodziło o umożliwienie jednorazowej podróży do Francji czy Anglii, wystarczył jako *feuille de route* podwójny arkusz papieru. Do uproszczonego rysopisu łatwo było dopasować przyszłego posiadacza; rok urodzenia był albo dostatecznie wczesny dla osób nieco starszych, aby wywołać wrażenie, że posiadacz już nie był powołany do służby wojskowej — albo dostatecznie późny dla młodszych, którzy w ten sposób stawali się jeszcze młodszy, za młodzi, aby mogli być zmobilizowani. Jeżeli kandydat

1. List Anieli Mieczysławskiej do autora z 10 grudnia 1976.

na wyjazd był np. blondynem, sięgano do szafki „blondyny”, na półkę z jego kolorem oczu, do teczki z paszportami z odpowiednim wzrostem. Świeżo zrobiona fotografia, oczywiście „cywilna”, pięknie naklejona i opatrzona pieczęcią ambasady lub konsulatu uzupełniała wrażenie całkowitej autentyczności paszportu. Najważniejszą i najistotniejszą częścią tej manipulacji było to, że wszystkie czekające na przyszłych właścicieli paszporty już posiadały *visa de plecare*, których otrzymanie „na wyrost” było jednym z naszych skromnych ale istotnych sukcesów.

Rzecz jasna, tych tysięcy wiz wyjątkowych „na zapas” nie otrzymaliśmy za darmo: trzeba było za nie zapłacić i to dobrze. Los nam jednak na tyle sprzyjał, że mogliśmy cenę uiścić nie gotówką lecz w naturze — używanymi samochodami, o czym niebawem.



Po męczących manewrach w roku 1935, w których brałem udział jako podchorąży pułku piechoty imienia Króla Stefana Batorego w Grodnie, przyjaciele doradzili spędzenie spóźnionego urlopu w Balciku, najbardziej na południe położonej nadmorskiej miejscowości Rumunii. Balcic (pisownia rumuńska) okazał się straszną dziurą: na otaczających wzgórzach cygańskie osiedla, kilka ubożuchnych pensjonatów, kilka rachitycznych willi, w małym porcie drewniane moło; na kiwających się zydełkach spożywałem w jedynej „restauracji” jako smakołyk *cartofi cu unt* (kartofle z masłem). Jediną atrakcją był letni pałacyk królowej-matki Marii, który można było zwiedzać pod nieobecność właścicielki.

Gdy w październiku 1939 zastanawialiśmy się w ambasadzie nad możliwościami możliwie dyskretnej ewakuacji naszych żołnierzy, wysunąłem Balcic, podkreślając jego zalety: na uboczu, pusty zupełnie na jesieni, położony najbliżej Konstantynopola; moglibyśmy zorganizować załadowanie statku bez ściągnięcia szczególnej uwagi. Projekt mój został przyjęty i już w parę tygodni później byłem w Balcicu, aby z ramienia ambasady współuczestniczyć w obrzędzie zaokrętowania cywilnych (oczywiście!) uchodźców.

W osadzie znalazłem już wielu młodych ludzi o słowiańskich rysach twarzy, zachowujących się bardzo poważnie i udających, że się nie znają. W porcie stała już przycumowana do mola kilkusettonowa krypa, która kiedyś wozila pielgrzymów do Mekki, ostatnio była wynajmowana do transportu baranów.

Chociaż wszyscy kandydaci na odpłynięcie posiadali wyżej opisane paszporty zaopatrzone w jak najbardziej autentyczną *visa*

de plecarea, to jednak władze portowe i policyjne zarządziły jeszcze jedną kontrolę. Wieczorem w budynku portowym zasiadliśmy w kilku przy stole, przewodniczył starszawy pułkownik „granicerów”; prym wodził tłumacz, bukowski Żyd, kaleczący polszczyznę w niebywały sposób. Kandydaci na wyjazd wchodzili po kolei i wręczali pułkownikowi swój paszport. Za każdym razem powtarzał się między kandydatem a tłumaczem następujący dialog; usłyszałem go kilkaset razy, więc mogłem go dobrze zapamiętać:

„Wojskowe?”

„Nie służyłem w wojsku”.

„Za co?”

Tutaj następowało jedno ze stereotypowych wyjaśnień: byłem za młody, byłem za stary, jestem niezdolny do służby wojskowej. Pułkownik przysłuchiwał się apatycznie wyjaśnieniom tłumacza i zaledwie kilku odmówił zezwolenia.

Późno w nocy krypa była przeładowana setkami pasażerów. Opór kapitana, rozpaczającego, że jego statek jest przeładowany ponad wszelką miarę przełamaliśmy doraźnym pieniężnym argumentem. Odpływający, wbrew surowym nakazom, zaintonowali „Jeszcze Polska nie zginęła”, rumuński pułkownik i jego podkomendni salutowali.

Krypa osiągnęła szczęśliwie Konstantynopol.



W kilka tygodni później brałem udział w zaokrętowaniu drugiej grupy naszych lotników, towarzyszyła mi żona. Tym razem duży statek stał na redzie, odpływających dowożono łodzią. Kontrola rumuńska była ostrzejsza, co dziesiąty nie mógł się prze dostać przez ucho igielne. Żona moja udała się łodzią na statek, od szczęśliwych posiadaczy dodatkowego zezwolenia zebrała kilkanaście paszportów, przewiozła je na ląd w torebce, rozdaliśmy je dyskretnie tym którym los nie dopisał, oni z kolei udali, że się z różnych powodów spóźnili, pozwolono im do kolegów na statku dołączyć.

I ten statek osiągnął Konstantynopol bez przeszkód.

Wigilia 1939

Zwiedzający Zamek Królewski w Warszawie przed wojną pamiętają oczywiście regalia (berło, jabłko i łańcuch) wystawione w Sali Tronowej. Nigdy nie przypuszczałem, że zetknę

się kiedyś z tymi symbolami władzy królewskiej dawnej Rzeczypospolitej w zupełnie nieoczekiwanym miejscu i sytuacji.



Gdy w dzień wigilijny Raczyński wezwał mnie do siebie o wczesnej godzinie, byłem pewien, że łączy się to ze Świętami; po cichu trochę liczyłem na możliwość spędzenia wigilii w domu, o co bardzo piliła żona. Rzeczywiście była mowa o wigilii, ale inaczej aniżeli sobie wyobrażałem.

„Pojedzie Pan ze mną, tylko my dwaj, do Craiovej, do Prezydenta Mościckiego. Zabierzemy ze sobą tę oto teczkę, którą Panu wręczam. Uprzedzam Pana — zresztą Pan się sam przekona — że sprawa jest absolutnie poufna, więc nikomu ani słowa. Niech Pan uprzedzi żonę, że się Pan spóźni na wigilię, niech Pan zwali wszystko na nawał pracy”.

Żona dzielnie przyjęła rozczarowującą wiadomość. W teczce znalazłem kilkadziesiąt polskich paszportów, dyplomatycznych i zwykłych, na nazwisko Prezydenta, jego rodziny i otoczenia. Wszystkie były zaopatrzone w wizy wjazdowe szwajcarskie i przejazdowe włoskie i jugosłowiańskie. Nie trudno było się domyśleć, o co chodzi.

O zmierzchu w Craiovej czekały na nas sanki powożone przez polskiego żandarma w mundurze. W niedużej willi na przedmieściu, nad wyraz skromnie umeblowanej i dziwnie ogłoconej, miałem możliwość po raz pierwszy w życiu osobistego zetknięcia się z ostatnim Prezydentem R.P. Siwowłósy starzec siedział nieruchomo w fotelu, robił wrażenie zupełnie załamane. Z jego apatią kontrastowała energia i ruchliwość o wiele młodszej żony Marii.

Okazało się, że już jest wszystko do podróży przygotowane, co wyjaśniało opustoszenie domu. Rozdałem przywiezione paszporty. Tak zorganizowany wyjazd miał być pomysłem samego Gafencu: chodziło o to, aby Prezydent z otoczeniem mógł opuścić Craiovą pociągiem w noc wigilijną. Gdyby nawet uprzedzeni przez swoich obserwatorów Niemcy zdążyli podnieść alarm, to ich interwencja uderzy w już zamknięte urzędy, a świadomie opieszła reakcja Rumunów może być łatwo usprawiedliwiona przerwą świąteczną.

Nasz pociąg do Bukaresztu odchodził nieco wcześniej; zaczęliśmy się już żegnać, gdy nagle Prezydentowa wykrzyknęła: „Na litość boską, na śmierć zapomniałam o regaliach!”. (Gdy Prezydent pośpiesznie opuszczał Warszawę, ktoś z otoczenia po-

myślał jeszcze o zabraniu regalii, niejako symbolicznych oznak suwerenności).

Nie znaleźliśmy już niczego do opakowania poza starymi gazetami. Skleconą pośpiesznie niedużą ale bardzo ciężką paczkę wzięłem po prostu pod ramię — nie mieściła się w teczce.

W pociągu znalazłem z trudem miejsce siedzące dla ambasadora, sam przestałem parę godzin na korytarzu; współtowarzysze podróży byłiby na pewno zdziwieni, gdyby wiedzieli, co mieści się w zwitku gazet, którego pieczołowicie z rąk nie wypuszczałem.

Do Bukaresztu przybyliśmy po północy; świętowanie wili odłożyłem do następnego roku.

Regalia zostały odesłane do Francji najbliższym kurierem. Ich dalsze losy nie są mi znane.



W swoich rumuńskich wspomnieniach Janusz Rakowski podaje², że Prezydent Mościcki ze swym otoczeniem przejechał przez Baile Herculane w pierwszy dzień Świąt o godz. 16.30. Nie ujawnia, w jaki sposób wiadomość o tak starannie ukrywanym wyjeździe dotarła do internowanych, pisze tylko ogólnikowo: „przychodzi wiadomość”. Jeżeli ta informacja jest ściśła — a nie mam powodu jej ścisłości kwestionować — to trzeba ze smutkiem stwierdzić, że dochowywanie tajemnicy nie należy do naszych cnót narodowych.

Felician Sławoj-Składkowski

Trzymam się zasady — krytykuję jej nieprzestrzeganie u innych — pisanie jedynie o sprawach, w których sam brałem udział, lub których byłem świadkiem. Odstępuję od niej wyjątkowo tym razem, aby wyjaśnić powody zetknięcia się w nieco egzotycznej sytuacji z ostatnim premierem niepodległej Polski, z którym moje poprzednie bezpośrednie kontakty ograniczyły się do otrzymania osobiście przez niego podpisanego dyplomu o nadaniu mi Krzyża Zasługi.



Na kilka dni przed wybuchem wojny przejeżdżała przez Bukareszt generałowa Sławoj-Składkowska; wobec napiętej sytuacji wracała do kraju okrężną drogą, z pominięciem terytorium

Niemiec. Echa powitania jej kolorowej postaci i jej niepoważnego zachowania się na dworcu opowiedział mi naoczny świadek, sekretarz Narzyski. Potraktowałem jego relację jako mało budującą ale zabawną anegdotę; nie wiedziałem, że będę miał osobiście do czynienia z dalszym ciągiem tego epizodu.

Było to wczesną wiosną 1940, gdy poczta dyplomatyczna z Francji przyniosła zadziwiające pismo (cytuję z pamięci):

„Przy kontroli rachunków Ambasady za miesiąc sierpień 1939 stwierdzono, że p. Składkowska otrzymała z kasy Ambasady pożyczkę zwrotną (tutaj była wymieniona nieduża suma), której do tej pory nie uregulowała.

Proszę Pana Ambasadora o skomunikowanie się z przebywającym w Baile Herculane generałem Felicjanem Sławoj-Składkowskim i uzyskanie od niego oświadczenia, w jaki sposób zamierza spłacić zaciągniętą przez jego żonę pożyczkę”.

Pismo było zaopatrzone, o dziwo, we *własnoręczny* podpis ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego.

Powody, jakie skłoniły ministra Zaleskiego do osobistego zajęcia się sprawą stosunkowo błahą w ówczesnej sytuacji miał niebawem trafnie odgadnąć sam Składkowski.

„Niech się Pan tym zajmie, oświadczył mi ambasador, od dawna nikt z nas nie był w Baile Herculane, ten list będzie dobrym pretekstem do odwiedzin”.

Baile Herculane (dawnie Herkulesbad), miejsce zimowego 1939/40 internowania rządu i generalicji, leży daleko na zachód od Bukaresztu, na linii kolejowej Turnu-Severin-Temeszwar. Gdy o świcie na początku marca wysiadłem na odległej o cztery kilometry od uzdrowiska stacji kolejowej, powitała mnie po zaśniętym Bukareszcie wiosna. Rumuński podoficer na szlabanie, zamykającym dostęp do wąskiej doliny, domagał się wprawdzie ode mnie specjalnej przepustki, ale rozbroiłem go życzliwym słowem wypowiedzianym w jego ojczystym języku, tudzież okazaniem legitymacji członka korpusu dyplomatycznego, do której włożyłem przezornie banknot odpowiedniej wysokości.

Baile Herculane robiły schludne wrażenie, zachowały ślady dawnej świetności z czasów c.k. monarchii. W hotelu „Ferdinand” podano mi numer pokoju Składkowskiego, co nie było potrzebne, bo z daleka w perspektywie korytarza widoczne buty z cholewami od razu wskazały szukany pokój. Zapukałem, odezwał się niewyraźny głos, przez zamknięte drzwi podałem kim jestem i że proszę o chwilę rozmowy. Drzwi uchyliły się i nagie owłosione ramię wciągnęło buty i drzwi zatrzasnęło. Przez chwilę dochodziły mnie odgłosy jakby szamotania się, po czym usłyszałem donośne: „Proszę wejść!”.

Na środku pokoju stał Składkowski w mundurze generalskim, wypreżony jak struna. Na moją zakłopotaną uwagę, że przecież nie będziemy rozmawiać w ten sposób, oświadczył nie zmieniając postawy:

„Wielkim jest dla mnie zaszczytem móc stać na baczność przed pełniącym swe obowiązki urzędnikiem Rzeczypospolitej”.

Dał się jednak udobruchać i do dalszej rozmowy zasiedliśmy przy stole; raz jeszcze przedstawiłem się, nawiązałem do jego uwagi o moim stanowisku, prosiłem o zrozumienie, że to co robię, robię jako podlegający dyscyplinie urzędnik i wręczyłem mu pismo Zaleskiego. Biedny Generał przebiegł je oczami i zupełnie stracił panowanie nad sobą: zerwał się i wykrzyknął:

„To Kot — ten cham — się mści!”.

Ale po chwili usiadł znowu i wysłuchiwał mnie względnie spokojnie; raz jeszcze podkreśliłem, że ambasada spełnia co jej zostało polecone, że znamy i rozumiemy jego położenie i że nam zupełnie wystarczy, jeżeli w jakiejś krótkiej pisemnej formie ustosunkuje się do żądania Zaleskiego. Sławoj od ręki skleił odpowiedź, że list przyjmuje do wiadomości i że pożyczkę zwróci, gdy tylko będzie miał możność to uczynić.

(Tę odpowiedź przesłaliśmy do Zaleskiego, który na nią nie zareagował).

Czekając na dworcu na pociąg powrotny, mogłem za świeżej pamięci zanotować kilka punktów z naszej dalszej rozmowy; przytaczam dwa najciekawsze.

1. „Panie Generale, spotkałem się z opinią, że Pan był nie tyle premierem, ile ministrem spraw wewnętrznych, a nawet tylko szefem departamentu sanitarnego. Co Pan o tym sądzi?”.

Składkowski: „Ogólne kierownictwo pozostawało w rękach Pana Prezydenta. Ministrowie resortowi, Beck, Kwiatkowski, Ponia-towski byli wyznaczeni przez Komendanta, na ich działach się nie znałem i wtrącanie się do nich byłoby nierozsądne. Zajmowałem się podstawowymi problemami higieny, co wywoływało łatwe żarty. Nasze społeczeństwo jest ubogie i zacofane; nie można budować wielkich rzeczy bez stworzenia odpowiedniej bazy, przynajmniej w podstawowych potrzebach ludzkich”.

2. „Co sądzi Pan Generał o zdaniu, że katastrofa września była do uniknięcia, gdyby Marszałek pozostawił po sobie następcę. Takiego następcy nie było, premierowie zmieniali się jeden po drugim”.

Składkowski: „Jak Pan sobie wyobraża: następstwo? Nikt z nas nie sięgał Komendantowi do pięt! Komendant pozostawił ekipę, która miała jego dzieło dalej prowadzić, zresztą jednego

wyróżnił, ale on sam od nas odszedł³. Katastrofa września, jak Pan ją nazywa, była wynikiem rozwoju wypadków, dla których nie było alternatywy”.



Raz jeszcze zetknąłem się osobiście z Felicjanem Sławoj-Składkowskim w kwietniu 1941 gdy wstąpiłem do polskiego wojska w obozie Latrun, w ówczesnej brytyjskiej Palestynie, położonym na drodze do Emmaus, tam gdzie Chrystus objawił się niewiernemu Tomaszowi. Energicznym a jednocześnie bardzo dbającym o żołnierzy komendantem był Kordian Zamorski, a funkcje oficera sanitarnego obozu pełnił ostatni premier Rzeczypospolitej. Na tle płowych piasków i skał, na tle naszych płowych drelichów widok sylwetki odzianej w mundur generalski sprzed wojny, kontrolującej stan higieny obozowej, wywoływał mieszane uczucia.

Eugeniusz Kwiatkowski

Nie będę ukrywał, że z całej „ekipy” — jak się wyraził Sławoj — Eugeniusz Kwiatkowski stał w moich oczach najwyżej.

W Baile Herculane rozmawiałem tylko z p. Kwiatkowską i córką Ewą. Żona również prosiła o nienagabywanie męża. Zostawiłem jej mój adres prywatny i nalegałem o zwrócenie się do mnie, jeżeli będą czegokolwiek potrzebowali, czego załatwienie byłoby w moich możliwościach.

Wczesnym latem dostałem list od p. Kwiatkowskiej, że jej mąż jest ciągle w złej formie, że miejscowi lekarze nie mogą mu pomóc, ale zalecają pobyt w sanatorium Świętej Elżbiety w Bukareszcie, gdzie chory mógłby odbyć właściwą kurację.

Udałem się z tym listem do Rogera Raczyńskiego. Trochę się zakłopotał: nie sporo było mu interweniować właśnie teraz, po niedawnej ucieczce Składkowskiego — Rumuni byli oburzeni i zdenerwowani. Ale pozwolił mi zająć się tą sprawą na własną rękę.

Sekretarz Generalny rumuńskiego MSZ zgodził się przyjąć mnie o bardzo późnej godzinie. Gmach ministerstwa był pograżony w ciemnościach, światło paliło się tylko w gabinecie Grigorcea'y. Wysłuchał mnie spokojnie ale gdy skończyłem, zerwał się nieoczekiwanie, pochylił nade mną swą wysoką postać i głosem pełnym pasji wykrzyknął: „A gdzie jest Świętosławski? A gdzie

3. Składkowski miał na pewno na myśli Walerego Sławka.

jest Składkowski?” (Wymawiał te trudne polskie nazwiska nie-spodziewanie poprawnie).

Wziąłem te pytania za dobrą monetę czyli dosłownie i udając, że je rozumiem jako pytania o obecne miejsce przebywania uciekinierów, wstałem i odparłem z całym spokojem na jaki było mnie stać: „Daję Panu, Panie Ministrze, słowo honoru, że nie wiem!”.

Grigorcea zorientował się oczywiście w tej grze słów, ale nie sporo było mu prostować, więc tylko sapał przez chwilę, wreszcie usiadł. Usiadłem i ja. Po chwili milczenia ponowiłem prośbę o zgodę na przyjazd Kwiatkowskiego do Bukaresztu, i zapewniłem najsolennie, że osobiście gwarantuję, że po skończonej kuracji Kwiatkowski wróci „do obozu”. Udzielenie obietnicy przyszło mi bez trudności: byłem przekonany, że Kwiatkowski o żadnej ucieczce nie myśli.

Grigorcea przyglądał się mi uważnie i pożegnał się ze mną bez słowa.

Po kilku dniach otrzymaliśmy formalną zgodę na przyjazd Kwiatkowskiego do Bukaresztu.



Kuracja w klinice Santa Lisabeta nie przyniosła oczekiwanych wyników; lekarze twierdzili, że przyczyną schorzeń (wątroba i woreczek żółciowy) były niewątpliwie stany psychiczne. Odwiedziłem chorego kilkakrotnie. Przyjmował mnie obojętnie i apatycznie, skarżył się na stosunki w klinice, zwłaszcza na ustawiczne przebywanie agentów policji na korytarzu pod jego drzwiami; nawet w nocy, obyczajem przejętym od Turków, zajmowali legowisko na materacu. Ale na to nie było rady. Tylko jeden jedyny raz znalazłem Kwiatkowskiego w nieco lepszej formie, mogłem z nim nieco dłużej porozmawiać, tematem była naturalnie nasza polska przeszłość. Jeden szczegół jego wspomnień utkwiał mi w pamięci. Wkrótce po zamachu majowym Kwiatkowski chciał pośredniczyć między Piłsudskim a Sikorskim, wówczas dowódcą D.O.K. Lwów. Kiedy zgłosił się do Piłsudskiego z zapytaniem, czy może z taką akcją wystąpić, Marszałek zbył go krótkim: „Nie trzeba”.

Gdy pobyt w klinice dobiegł końca, ofiarowałem się, że sam odwiezę Kwiatkowskiego na dworzec kolejowy. Uprosiłem agenta, aby objął nadzór nad internowanym dopiero w pociągu. Ale mimo, że byliśmy tylko we dwóch w samochodzie, Kwiatkowski prawie się nie odzywał; gdy zaproponowałem drogę okólną, aby

mu trochę pokazać Bukareszt, zachnął się i prosił o jazdę najkrótszą drogą na dworzec.

Pożegnałem się z nim jak najserdeczniej nigdy już nie miałem go zobaczyć.

Józef Beck

Dziewiątego kwietnia 1940 — tę datę zapamiętałem dokładnie bowiem zbiegła się ona z dniem inwazji niemieckiej na Danię i Norwegię — otrzymałem polecenie od Ambasadora udania się do Braszowa. Wieści o stanie zdrowia i samopoczucia obu internowanych w Braszowie ministrów, Becka i ministra Przemysłu i Handlu, Antoniego Romana, były niepomyślne, zwłaszcza minister Roman, ciężko chory na cukrzycę, miał być w złej formie. Ambador chciał, aby Romana odwiedził a przy tej okazji złożył wizytę Beckowi.

Samochodem do Braszowa przez centrum naftowe Ploeshti i rezydencję królewską Sinaia na przełęczy Karpat to niecałe trzy godziny drogi. Braszow był wówczas miastem o zupełnie niemieckim charakterze, zaledwie jedno przedmieście zamieszkiwali Rumuni. Hotel internowanych, nowoczesny, był najlepszym w mieście.

Wieści o złej formie ministra Romana nie były przesadzone. Olbrzymiej tuszy, nieustannie ocierający spoconą twarz, miał wielkie trudności z podniesieniem się z kanapy, na której leżał. Od razu podkreślił, że powodem jego stanu jest zarówno choroba jak i warunki w jakich się znalazł.

Starałem się dodać mu otuchy, zanotowałem jego (skromne) życzenia, które po powrocie do Bukaresztu załatwiłem w miarę moich możliwości.

O ile ministra Romana można było osiągnąć bez trudności, o tyle dostęp do Becka i jego otoczenia był ściśle kontrolowany przez agentów „Sigurancy” urzędujących bardzo formalnie na korytarzu hotelowym.

Ministra Becka widywałem niejednokrotnie w latach ubiegłych i jego wygląd dobrze zapamiętałem. Teraz uderzyła mnie wymizierowana twarz o szklistych oczach i lekko zaróżowionych policzkach; tylko wielki nochał się nie zmienił. Nie wiedziałem jeszcze wówczas o śmiertelnej chorobie, jaka miała go niedługo powalić. Zachowywał się zupełnie naturalnie, był opanowany, rzeczowy, żadnych utyskiwań czy żalów, żadnych wycieczek osobistych pod adresem przeszłości czy teraźniejszości. Zastałem

go w towarzystwie sekretarza Domana Rogóyskiego, pochylonych nad mapą Norwegii. Beck był pewien, że Norwegowie będą stawiać opór, pokazywał nam stanowiska nadbrzeżnych baterii, brojących dostępu do Oslo, które zwiedzał przed kilku laty. Kilkakrotnie wracał do myśli: „Gdybyśmy mieli warunki naturalne Norwegii...”.

Pożegnał się ze mną przyjaźnie, niemal serdecznie; nie, nie ma żadnych życzeń pod adresem ambasady, powiedział to ze szczególnym naciskiem; ma wszystko co jest jemu i jego rodzinie potrzebne. „Kwatera i kasyno bez zarzutu”, zażartował. Tak, oczywiście, do siedzących za drzwiami trzeba się przyzwyczaić, ale można się z nimi porozumieć.



Poniński był bardzo zazdrosny o swoją pozycję kierownika spraw politycznych w ambasadzie i dopilnowywał aby np. depesze szyfrowe pozostawały w jego gestii: ujawnianie ich treści innym pracownikom ambasady było możliwe jedynie za jego zezwoleniem. Ale zdarzyło się przecie — a było to latem 1940 — że kierownik szyfrów, attaché Leon Kryj, zawsze sumiennie przestrzegający dyskrekcji, wyłamał się i zwierzył się mi — w naturalnie wielkiej tajemnicy — że „szykuje się grubsza granda — chcą zorganizować ucieczkę Becka, ale zabierają się do tego po głupiemu, wyobraź sobie, że organizatorem ma być Sadkowski!”.

Stanisław Sadkowski, o którym już mówiłem⁴, od dawna przestał być naszym radcą finansowym, ale kręcił się stale po ambasadzie, załatwiając jakieś tajemnicze zlecenia attaché wojskowego. Jeżeli informacje przekazane przez Leona były ścisłe, to rzeczywiście trudno było o mniej szczęśliwy wybór: zaledwie od kilku miesięcy w Rumunii, nie znający ani stosunków ani języka, Sadkowski był, na dobitkę, raczej pedantyczny i ostrożny, aniżeli przedsiębiorczy i rzutki.

Dla byłego „szefa”, jak nazywaliśmy ministra, żywiłem mieszkane uczucia; chociaż byłem przekonany — a bieg czasu miał to przekonanie utwierdzić — że dla zasadniczych wytycznych jego polityki nie było rozsądnej alternatywy, to jednak jego arogancki sposób bycia oczywiście drażnił, a niektóre jego pociągnięcia, jak np. polityka wobec Czechosłowacji a potem wobec „niepodległej” Słowacji, której się mogłem z bliska przyglądać w Bratysławie i której wręcz tragiczne skutki odczuwałem bezpośrednio, dodawały ciemnych barw do jasnego obrazu. Ale teraz jego

4. Por. *Zeszyty Historyczne*, zeszyt 43-ci, str. 177.

godne zachowanie się⁵, widoczny zły stan zdrowia i ogólna nagonka na bezbronnego człowieka robiły go w moich oczach niemal sympatycznym. Dodatkowo ujęło mnie, że moja nominacja na sekretarza w Bukareszcie miała być jednym z ostatnich dokumentów jakie Beck zdążył jeszcze podpisać 4 września w Warszawie — życzliwa mi sekretarka Biura Personalnego potrafiła przewieźć ją przez wszystkie perypetie wrześniowe i doręczyć mi w Bukareszcie. Posiadam ją do tej pory.

Zostałem tego wieczoru umyślnie dłużej i gdy zrobiło się w ambasadzie pustawo, zgłosiłem się na rozmowę do Rogera Raczynskiego. Ambasador wysłuchał, jak zawsze, spokojnie mojej nieco nerwowej przemowy, że znam projekt ucieczki Becka i że uważam ją za skazaną na niepowodzenie dla różnych powodów. Ani słowem nie skarcił za wtrącanie się w nieswoje rzeczy, nie polemizował z moimi argumentami, natomiast podkreślił, że wszystko co się w tej materii dzieje, dzieje się za aprobatą, nie, nie za aprobatą, poprawił się, ale z inicjatywy Londynu; ale nie nazwał żadnego z inicjatorów imiennie.

Katastrofę ucieczki Becka znam jedynie z drugiej ręki. Dotarły do mnie różne sprzeczne relacje; Kryj opowiadał z oburzeniem, że rzekomo miano przebrać Becka w chłopski strój — jego, o głowę wyższego od niskich rumuńskich chłopów i z jego wyglądem. Taka postać musiała zwrócić na siebie uwagę.

Dziś, gdy po latach wracam znowu do szczegółów zebranych informacji o tym epizodzie, utwierdzam się w przekonaniu, że Londynowi zależało na zorganizowaniu ucieczki Becka w ten sposób, aby się ona nie udała.

Metropolita Visarion Puiu

Prawie wszyscy uchodźcy, którzy zdołali osiągnąć stolicę Rumunii samochodami, odbyli dalszą podróż koleją. Posiadacze samochodów prywatnych mogli je przeważnie dobrze spieniężyć: w kraju obfitej a taniej benzyny samochody używane były bardzo poszukiwane, tym bardziej, że nabycie nowego wozu w czasie wojny było praktycznie niemożliwe. Samochody służbowe, przeważnie mocno sfatygowane i noszące dramatyczne ślady działań wojennych, pozostawiano naszej opiece. Wkrótce zebrało

5. Wprawdzie Roman Buczek (*Głos Polski*, Toronto, z 25 listopada 1976) pisze, że Beck uczęszczał do drogich lokali w Bukareszcie i „zachowywał się przy tym w sposób nie przynoszący mu splendoru”, to jednak nie podaje, skąd zaczerpnął te informacje i nie precyzuje, na czym polegało to zachowanie.

się ich sporo i „opiekę” nad nimi objął Tadeusz Lubaczewski, nasz radca handlowy, który zorganizował duży parking, ogrodzony i strzeżony, i przy pomocy kilku szoferów-mechaników starał się doprowadzić je do takiego stanu używalności, aby można je było sprzedać lub używać jako przekonującego argumentu w naszych pertraktacjach z władzami.

Nasze samochody ściągnęły na siebie uwagę potencjalnych posiadaczy i rychło wytworzyło się w Bukareszcie coś w rodzaju psychozy — wielu dygnitarzy zaczęło z własnej inicjatywy coraz natarczywiej zabiegać o uzyskanie uchodźczego polskiego samochodu. Wykorzystywaliśmy tę pomyślną koniunkturę i np. pięknemu Buickowi zawdzięczamy otrzymanie *in blanco* kilku tysięcy wiz wyjazdowych na naszych improwizowanych paszportach, o czym wyżej wspomniałem.

Wśród naszych samochodów jeden zasługiwał na szczególne wyróżnienie. Był nim Cadillac skonstruowany *hors série* dla Prezydenta i dostarczony do Warszawy niemal w przeddzień wybuchu wojny; tym samochodem osiągnął Prezydent Rumunię. Postanowiliśmy wyłączyć Cadillaca z ogólnej puli i zachować dla ambasadora, na wypadek ewakuacji. Pięknie zakonserwowany, został ukryty w głębi garażu ambasady, w oczekiwaniu na ponowne powołanie do służby.

◆

26 czerwca 1940 roku Rosja Sowiecka wyzyskała otrzymaną od hitlerowskich Niemiec *carte blanche* i zażądała ultimatywnie od Rumunii Besarabii i północnej Bukowiny.

(Vladimir Ionescu, były radca poselstwa rumuńskiego w Rzymie a mój kolega w RFE w Monachium, opowiadał mi, że kiedy poseł rumuński w Moskwie protestował przeciwko sowieckiemu ultimatum, Mołotow miał usprawiedliwić żądania „jedną z podstawowych zasad zagranicznej polityki ZSSR”, mianowicie: „co raz było rosyjskie, musi do Rosji wrócić”. — „Ale Bukowina nigdy nie była rosyjska!”. — „Tak, ale my kierujemy się również drugą zasadą: do Rosji musi należeć to wszystko, czego posiadanie jest w jej interesie”).

Wraz z innymi władzami opuścił Czerniowce również Visarion Puîu, Metropolita Bukowiny obrządku prawosławnego. Metropolia sąsiadowała z naszym konsulatem w okresie, kiedy byłem tam wicekonsulem, z metropolitą nawiązałem wówczas bliskie, nawet serdeczne stosunki⁶.

Metropolita Visarion osiadł w Bukareszcie, gdzie niedługo

6. Por. *Zeszyty Historyczne*, zeszyt 39-ty, str. 180.

miał zostać głową rumuńskiego Kościoła Prawosławnego jako *Patriarchul României*. Właściwie należało mu złożyć wizytę kurtuazyjną, ale nie mogłem jej w czasie zorganizować. Dlatego dowiedziałem się nie bez satysfakcji, że któregoś dnia pod koniec sierpnia otrzymaliśmy telefon od osobistego sekretarza Visariona: sekretarz chciał właśnie się ze mną zobaczyć, znał moje nazwisko. Byłem przekonany, że wizyta łączy się w jakiś sposób z przyjazną czerniowiecką przeszłością.

O umówionej godzinie zjawił się w ambasadzie nie duchowny, jak oczekiwałem, ale osoba świecka, młody jeszcze człowiek, ale znacznej tuszy. Zaczął od przekazania pozdrowień od metropolity, wypowiedział kilka ogólnikowych słów współczucia na temat sytuacji w jakiej znalazła się Polska i polscy *refugiati* (uciekiniery), po czym przeszedł z hymnu do prostej powieści: doszło do uszu metropolity, że w polskiej ambasadzie marnuje się piękny samochód (sekretarz nazwał nawet bezbłędnie jego markę), który byłby godny metropolity; metropolita życzy sobie, tak, ni mniej ni więcej, życzy sobie otrzymać ówże samochód.

Przyznam się, że na chwilę oniemiałem. Aby mieć lepsze pozycje wyjściowe do kontrataku, przeszedłem na francuski pod pozorem, że mój rumuński jest daleki od doskonałości (co było prawdą). Udałem, że nie zrozumiałem prośby — żądania metropolity. „Czy Jego Świątobliwość zamierza samochód kupić?”. — „Jakto, kupić? — sekretarz rzucił mi jadowite spojrzenie. — Przecież generał Marinescu⁷ chwalił się, że otrzymał od polskiej Ambasady prawie nowego Buicka!”. — Zignorowałem i tę uwagę. — „Nie, niestety bardzo żałujemy, ale samochód, o którym mówimy, nie jest na sprzedaż. Posiada on dla nas szczególną wartość, jako że przywiózł do Rumunii Prezydenta Rzeczypospolitej i opuści Rumunię razem z Ambasadą”.

Epizod ukraiński

Współzycie na Bukowinie różnych grup narodowościowych — Rumunów, Ukraińców, Polaków, Żydów, Niemców, Ormian — opierało się na wzajemnej tolerancji, jednej ze szczęśliwych tradycji, przekazanych przez c.k. monarchię. Toteż, gdy pewnego poranka latem 1936 — a byłem właśnie „p.o. kierownika placówek” pod nieobecność konsula generalnego — posypał się na czerniowiecki konsulat grad kamieni (z niegroźnymi zresztą skutkami, jeżeli nie liczyć kilku wybitych szyb) i kiedy dowiedziałem

7. Szeff polieji.

się, że ujęty sprawca był Ukraińcem — byłem od razu przekonany, że zamachowiec nie jest autochtonem. Dlatego nie zaskoczyła mnie jego czysta polszczyzna, gdy go odwiedziłem w areszcie; podał mi swoje nazwisko⁸, podkreślił, że jest obywatelem polskim, pochodzi ze Lwowa i że nic nie ma osobiście przeciwko mnie, chciał tylko zaprotestować przeciwko ukraińskiej polityce rządu w Warszawie. Zrobił dobre wrażenie, powiedziałem mu, że i ja jestem lwowiakiem i że musimy znaleźć wspólny język zamiast obrzucania się kamieniami. Prefekt Vântu pozytywnie ustosunkował się do mojej prośby o zwolnienie zamachowca; przypuszczam, że moje wstawiennictwo było mu nawet na rękę: władzom rumuńskim bardzo zależało na nieantagonizowaniu Ukraińców.



Od „zamachu” minęło wiele lat. Szło już ku wiosnie 1940, gdy powiedziano mi, że jakiś biednie wyglądający młody człowiek nastaje na zobaczenie się ze mną.

Twarz wymizerowanego młodego człowieka wydała mi się dziwnie znajoma. Bez słowa podał mi skrawek papieru: był to „list” od mojego ojca Czesława ze Lwowa, ostatni, jaki od ojca otrzymałem. Oddawcą był oczywiście czerniowiecki zamachowiec. — „Kiedy zdecydowałem się na ucieczkę ze Lwowa, zgłosiłem się do Pana ojca — pamięta Pan, że Pan mi opowiadał wówczas w więzieniu w Czerniowcach, że ojciec Pana mieszka we Lwowie, podał mi Pan nawet jego adres. Chciałem się Panu w jakiś sposób odwdziżyć”. Z trudem opanowałem wzruszenie.

Krajanowi-lwowiakowi dopomogłem w miarę moich możliwości.

La fin de l'Ambassade

Agresywność Rosji Sowieckiej, wyrażająca się w zagarnięciu z dnia na dzień ogromnych połaci, kazała Rumunii szukać pomocy u jedyne go sprzymierzeńca; los Polski stał się argumentem nie do odparcia dla rumuńskich germanofilów, że na Francję i Anglię stawiać nie można. Pod naciskiem Berlina premierem został znany z pro-niemieckiego nastawienia generał Ion Antonescu (4 września 1940); ogłosił się dyktatorem i już w dwa dni później zmusił króla Karola do abdykacji. W ciągu października wojska niemieckie zaczęły zajmować stopniowo całe tery-

8. Ze zrozumiałych względów nie ujawniam jego nazwiska.

torium Rumunii. Z Londynu przyszedł logiczny nakaz likwidacji naszych urzędów.

Pod wieczór 3 listopada Roger Raczynski zwołał nas wszystkich po raz ostatni. Podał powody, dla których Ambasada wraz ze wszystkimi innymi urzędami przestaje pracować, podziękował nam i nakreślił po krótko sytuację: interesy polskie w Rumunii będzie od jutra reprezentować poseł chilijski, zostanie mu przydzielony do pomocy Jerzy Giedroyc (który niedawno musiał odejść z naszej ambasady na skutek intryg ludzi Kota); cały personel Ambasady, z wyjątkiem Krzyżanowskiego, Buzka i Kryja i ich żon, odjedzie jutro specjalnym pociągami do Konstancy, skąd odpłynie tego samego dnia do Stambułu. — „Ach, jeszcze jedno: Chilijczyk prosi o zostawienie mu jeszcze jednego pracownika, będzie to w naszych warunkach pytanie retoryczne, ale dla czystego sumienia zapytuję, czy może ktoś się zgłosi?”. — Ku naszemu powszechnemu zdziwieniu, z ostatnich rządów podniosła się wysoka postać: Władysław Wolski i spokojnie oświadczył, że gotów jest zdecydować się na pozostanie.

I znowu Cadillac

Umówiliśmy się z Buzkami i Kryjami, że zbierzemy się w sześćcioro przed moim mieszkaniem na Strada Polona o świcie dnia następnego po wyjeździe Ambasady, czyli 5 listopada. Buzkowie mieli jechać ich Skodą; naszą Skodą miała jechać moja żona; ja sam podjąłem się zostać kierowcą prezydenckiego Cadillaca, tego samego na który ostrzył sobie apetyt metropolita Visarion; kawalkadę, złożoną w sumie z czterech wozów, miał zamykać Plymouth Kryjów. Szofer Darabosz zobowiązał się dostarczyć Cadillaca przed mój dom na godzinę szóstą rano.

Dzień 4 listopada upłynął spokojnie, w byłej Ambasadzie instalował się polski wydział poselstwa Chile, pilnie obserwowany z ulicy przez agentów *Sigurancy*.

Ale nazajutrz znany ze swej solidności i punktualności Darabosz nie zjawił się o umówionej godzinie. Czas mijał, nie było od niego żadnych wiadomości. Zostawiłem zebranych przed naszym domem i sam pojechałem moim służbowym gruchotem, który miał zostać w Bukareszcie, do Ambasady. Mimo wczesnej godziny, brama i wrota garażu były otwarte; Cadillac stał przygotowany do drogi, nawet klucz od starteru tkwił w zamku. Od żony Darabosza dowiedziałem się, że mąż jej wyjechał przed godziną innym samochodem i że ona też nie ma od niego żadnych wiadomości. Zdecydowałem się nie czekać na Darabosza.

Wóz od razu pięknie zastartował i ostrożnie wyjechałem nieznanym mi ogromnym samochodem przez bramę; Aleją Zoe skręciłem w szeroką Calea Dorobancilor w kierunku naszego mieszkania, gdy zobaczyłem w lusterku, że jedzie za mną taksówka, która usiłuje mnie wyminąć. Zwolniłem, aby jej wyminęcie ułatwić, ale taksówka natychmiast zajeżdżała mi drogę i stanęła; musiałem się również zatrzymać, aby uniknąć zderzenia. Z taksówki wyskoczyło trzech osobników o charakterystycznej powierzchowności agentów *Sigurancy*. Jeden z nich pokazał znaczek tajnej policji i zażądał zawiezienia ich na prefekturę policji. Na mój protest, że jestem członkiem korpusu dyplomatycznego, ten sam agent odpowiedział, że od wczoraj Ambasada polska przestała istnieć i że jestem dla nich osobą prywatną. Niechże więc pozwolą mi uprzedzić o tej historii żonę i przyjaciół, którzy na mnie czekają! Agent pogwarzył z kolegami i zgody udzielił. We czwórkę zajechaliśmy na Strada Polona. Czekający ciągle przed domem zrobili niewyraźne miny na widok moich *fellow-travellers*. Z całą swobodą, na jaką było mnie stać, uprzedziłem żonę (po rumuńsku, dla uszu moich towarzyszy), że muszę z tymi oto panami załatwić pewne sprawy na prefekturze policji i że niedługo wrócę.

Wjechaliśmy na podwórze prefektury o dziewiątej (popatrzyłem umyślnie na zegarek). Wysiedliśmy, wyjąłem klucz z samochodu i zabrałem go ze sobą. Agenci zaprowadzili mnie do poczekalni na pierwszym piętrze i zostawili samego. Po chwili wszedł do poczekalni znany mi komisarz policji Stânga, poprosił o pokazanie legitymacji i nieoczekiwanie oświadczył: „Niech Pan zostawi nam Cadillac”. Kategorycznie odmówiłem: Cadillac jest wozem służbowym samego Ambasadora, zresztą Minister Ekonomii Narodowej udzielił Ambasadrowi specjalnego zezwolenia na wywóz samochodu, zezwolenie (o które przeźornie zadbałem zawczasu) miałem właśnie przy sobie i nie bez satysfakcji podsunąłem komisarzowi pod nos. Nieco skonfundowany, Stânga spuścił z tonu i oświadczył, że rezygnuje z Cadillaca. Zapytałem go jeszcze, czy nie wie czegoś o losach zaginionego Darabosza. Zrobił niewyraźną minę, nie, nic mu nie jest wiadome.

Na podwórzu kilku drabów już potrafiło podnieść maskę wozu i grzebało w silniku. Wyładowałem na nich swoje zdenerwowanie, odskoczyli, jak oparzeni.

Żona i towarzysze na Strada Polona, już pełni złych przeczuć, powitali mnie teraz niemal jak triumfatora. Wyruszyliśmy natychmiast w drogę, jako że zrobiło się niemal południe. Ale nasz lepszy nastrój rychło został zepsuty pojawieniem się na szosie wyjazdowej małego czarnego samochodu, który miał nam towarzy-

szyc przez cały czas jazdy przez Rumunię. Zwalniał gdy zwalnialiśmy, zatrzymywał się, gdyśmy się zatrzymywali: wówczas wyskakiwało z niego kilku oberwańców, udających że mają jakieś problemy z silnikiem.

Nie sposób było dojechać do granicy tego samego dnia, zatrzymaliśmy się na nocleg w Fagarasz. Od razu na korytarzu hotelowym zjawiły się materace pod naszymi drzwiami, a na nich nasi towarzysze podróży. Zatelefonowałem do Ambasady, telefon odebrała żona Giedroycia. Raczej *pour l'histoire* aniżeli dla jakichś praktycznych celów opowiedziałem o przygodzie w prefekturze policji.

6 listopada przejeżdżamy przez Banat, popołudniu osiągamy przejście graniczne Stamora-Morawica. Samochód — anioł-stróż znikł.

Dla celników i policjantów nasza kawalkada to gratka nie lada. Celnicy grzebią bez końca w naszych rzeczach, policjanci nieustannie kartkują nasze paszporty. Czas płynie, wreszcie nie sposób oprzeć się atmosferze, która po latach w jednym z krajów demokracji ludowej będzie określana powiedzonkiem: mów mi do ręki, nie do ucha. Do koperty włożyliśmy pozostałości naszych leji, dodałem z żalem kilka pudełek znakomitych greckich papierosów jeszcze z dyplomatycznych przydziałów, kopertę elegancko wręczyłem szefowi urzędu celnego z prośbą, aby zawartość koperty zużył na cel, jaki uzna za stosowny. Od razu twarze się rozjaśniły, okazało się nagle, że wszystko jest w porządku.

Szlaban graniczny unosi się w górę, wjeżdżamy na terytorium Królestwa Jugosławii.

Wojciech KRZYŻANOWSKI

RECENZJE

Jan CIECHANOWSKI

ZAPROSZENIE DO MOSKWY

Z politycznego punktu widzenia pięć zasadniczych kwestii, a mianowicie: problem stosunku do Niemców i Rosjan, Aliantów, Rządu w Londynie, AK i walki zbrojnej, niczym szkarłatna nić przewija się poprzez historię polskiego ruchu oporu. Wynika to zresztą jasno z pamiętników Zbigniewa Stypułkowskiego *Zaproszenie do Moskwy* (Odnova, Londyn, 1977, 2 tomy, str. 488), oraz K. Pużaka „Wspomnienia 1939-1945”, (*Zeszyty Historyczne* Nr 41, 1977, str. 3-196. Zarówno Stypułkowski jak i Pużak odgrywali czołową rolę w politycznym życiu Kraju w czasie okupacji.

Wspomnienia narodowca Stypułkowskiego i socjalisty Pużaka wzajemnie się uzupełniają i tworzą *sui generis* całość. Pokazują nam naszą krajową rzeczywistość z dwu stron tegoż samego medalu. Czytane razem dają nam pełniejszy obraz podziemnego państwa. Ukazują nam jego cienie i blaski, jego rozwój i tragiczny koniec: Powstanie Warszawskie i proces moskiewski. Ukazują elementy, które go łączyły oraz te które go dzieliły na politycznie zwalczające się odcłamy.

Stypułkowski i Pużak przez długie lata byli politycznymi przeciwnikami. W latach 1939-45 Pużak był jednym z głównych filarów obozu rządowego w Kraju. W 1944 został przewodniczącym Rady Jedności Narodowej, która stanowiła podziemną namiastkę sejmu. W lipcu tegoż roku wszedł do „kierowniczej trójki”, która miała podejmować najwyższe decyzje w przełomowym okresie.

Stypułkowski, chociaż uznawał rząd londyński, był w zasadzie w prawie permanentnej opozycji do jego krajowych ośrodków. Stypułkowski ścierał się również z własnym stronnictwem i był jednym z twórców NSZ. Chciał on „unarodowić” państwo podziemne i „uodpornić” je na lewicowe i komunistyczne wpływy.

Z drugiej strony kwestia stosunku do Niemców nie nastroczała większych problemów ani dla Stypułkowskiego ani dla Pużaka.

Polska była jedynym okupowanym krajem w Europie w którym nie było zorganizowanej kolaboracji i była krajem bez Quislinga i Pétain'a. Zresztą sami Niemcy nie kwapili się zbyt-

nio do utworzenia w Polsce marionetkowego rządu. Zgodnie z niemieckimi planami Polska miała być po prostu niemiecką kolonią oraz dostarczycielką taniej niewykwalifikowanej siły roboczej, pozbawionej uprzednio własnej elity politycznej i społecznej. Od początku okupacji Niemcy prowadzili walkę z polskością i Polakami. W rezultacie większość narodu i jego przywódcy w ogóle nie myśleli o żadnym kompromisie z Niemcami. Pod tym względem Polacy w czasie wojny byli niezmiernie solidarni. W Polsce ludzi typu i pokroju Studnickiego i Ronikiera, którzy chcieli szukać *modus vivendi* z Niemcami było niewielu. Sami Niemcy zaczęli poważnie myśleć o zjednaniu sobie Polaków dopiero po aresztowaniu gen. Grota-Roweckiego w czerwcu 1943. Niemniej, Hitler po bliższym zapoznaniu się z życiorysem i profilem politycznym Grota-Roweckiego z pomysłu tego — którego autorem był Himmler — zrezygnował, gdyż uważał go za zbyt niebezpieczny.

Stosunek kierownictwa podziemia do Rosji był kwestią bardziej skomplikowaną niż ich postawa wobec Niemców, szczególnie po ataku Hitlera na ZSSR, upadku Powstania Warszawskiego i uchwałach jałtańskich, kiedy krajowi politycy zrozumieli wreszcie, że Stalin a nie Roosevelt czy Churchill będzie głównym arbitrem w polskich sprawach. Po Jałcie w kołach politycznych w Kraju zrodziła się żywiołowa wprost dążność do ugody z Moskwą. Pierwsze symptomy tej dążności wystąpiły już w ogniu powstania, kiedy RJN przystała na zasugerowaną przez Mikołajczyka rewizję granicy ryskiej i wprowadzenie komunistów do obozu rządowego. W ramach tej dążności doszło do ujawnienia się i aresztowania szesnastu przywódców państwa podziemnego z Delegatem Rządu, Janem Jankowskim, przewodniczącym RJN K. Pużakiem i ostatnim dowódcą Armii Krajowej gen. L. Okulickim na czele. Żadne powojenne „retusze” i „kamufłaze” tej po części zrozumiałej dążności do kompromisu z Rosją, nie są w stanie całkowicie ukryć. Wynika to zresztą z lektury wspomnień Stypułkowskiego i Pużaka. Z drugiej strony można twierdzić że po klęsce Powstania Warszawskiego wszelka myśl o kompromisie ze Stalinem była już wielce spóźniona. W październiku 1944 Stalin zapewniał Bieruta, że rozpadnięcie się „Wielkiej Trójki” na tle sprawy polskiej nie groziło. Pod koniec 1944 Stalin — jak można się domyślać — był już przekonany że potrafi przeforsować u Churchilla i Roosevelta własną koncepcję powojennej Polski. Realizacja tej koncepcji wymagała jednak ostatecznego rozgromienia podziemia. Stąd „zaproszenie” Szesnastu — wśród nich Pużaka i Stypułkowskiego — do Moskwy i ich pokazowy proces który miał, wydaje się, posłużyć jako najlepszy dowód dla niewiernych Polaków, że o ich losach po wojnie będzie głównie decydować Moskwa, a nie Londyn i Waszyngton. Nasz stosunek do Aliantów Zachodnich w latach 1939-44 był w istocie stosunkiem bezkrytycznym, chociaż od zerwania polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych w kwietniu 1943 na tle sprawy

Katynia, zarówno Churchill jak i Roosevelt uważali sprawę polską za nader kłopotliwą i dążyli do jej rozwiązania w sposób, który zadowoliliby zarówno Rosjan jak i Polaków, co było praktyczną niemożliwością.

Postawa Kraju wobec własnego rządu w Londynie była o wiele bardziej krytyczna niż do rządów naszych zachodnich Aliantów. Krajowi przywódcy często nie rozumieli, że możliwości gabinetu w Londynie były niezmiernie ograniczone i że borykał się on z wielkimi trudnościami. Co więcej, po śmierci Sikorskiego najwyższe władze w Londynie były rozbite i skłócone. Premier Stanisław Mikołajczyk chciał szukać porozumienia ze Stalinem, a Naczelny Wódz gen. Kazimierz Sosnkowski próby te zwalczał jako szkodliwe. Niesnaski w Londynie zachęcały Kraj do coraz większego usamodzielniania się od rządu. Było jasne, że od końca 1943 przywódcy krajowi działali w dużej mierze bez oglądania się na rząd, który coraz bardziej uważali raczej za ich dyplomatyczną reprezentację za granicą, aniżeli za główny polski ośrodek kierowniczy. Znowu wspomnienia zarówno Stypułkowskiego jak i Pużaka dają nam na to wiele dowodów. Postawa krajowych przywódców politycznych wobec komendy AK była na ogół nieufna, ze względu na to, że wielu jej członków rekrutowało się z grona zagorzałych zwolenników Piłsudskiego. Politycy obawiali się, że po wojnie wojsko będzie znowu dążyć do ograniczenia ich wpływów i wprowadzenia w Polsce rządów silnej ręki w oparciu o armię. Ponadto przebieg i tempo naszej klęski we wrześniu 1939 ogromnie obniżyło autorytet wojska — korpusu oficerskiego — w całym społeczeństwie. Nieufność do wojska opóźniała akcję scaleniową i doprowadziła do rozłamu w SN i utworzenia NSZ pod politycznym zwierzchnictwem Stypułkowskiego. Istniały też opory wobec AK w Batalionach Chłopskich. Widmo Sanacji straszło wielu naszych polityków. Stypułkowski stworzył NSZ celem skonsolidowania wszystkich podziemnych grup pravicowych pod jedną egidą, a następnie scalenia ich z AK na bardziej dogodnych warunkach niż te, na które przystało SN w 1942 roku. Próby całkowitego scalenia NSZ z AK na wiosnę 1944 zakończyły się niepowodzeniem. Obok scalonego NSZ powstało NSZ niescalone, „dzikie”, którego działalność była wręcz szkodliwa. Niescalone NSZ zwalczało „żydokomunę” i wszędzie węszyło sowieckich agentów. Z „dzikim” NSZ Stypułkowski nie miał już nic wspólnego.

Stosunek krajowych polityków do walki zbrojnej był dość zgodny. Większość ich uważała, że głównym i ostatecznym przejawem i ukoronowaniem walki z Niemcami miało być powstanie powszechne, zmierzające do uwolnienia Polski od sił okupacyjnych i dopomożenie obozowi rządowemu do objęcia w niej władzy. Brak dyplomatycznego porozumienia z Rosją sprawę ogromnie komplikował i gmatwał. Stąd, zamiast powstania powszechnego, krajowe kierownictwo zdecydowało się na tzw. operację „Burza”, która w istocie była szeregiem powstań lokalnych.

W ramach „Burzy” doszło do walk na Wołyniu, Wilnie, Lwowie, Lubelszczyźnie i wreszcie Warszawie. „Burza” miała dokumentować naszą wolę walki z Niemcami oraz chęć do taktycznej współpracy z Armią Czerwoną. W rzeczywistości „Burza” doprowadziła do prawie całkowitej likwidacji AK na wschód od Warszawy przez władze sowieckie i zbiorowego „samobójstwa” stolicy.

Stypułkowski słusznie uważał, że „Burza” zakończy się tragedią i że ujawnianie się AK wobec Rosjan bez uprzedniego porozumienia politycznego z Moskwą było nonsensem. Podobnie Stypułkowski — chociaż uważał że w lecie 1944 Warszawa nie mogła pozostać bierna — był przeciwnikiem decyzji podjęcia powstania 1 sierpnia.

Pużak nie miał takich zahamowań. Powstanie uważał za coś naturalnego i koniecznego, gdyż chciała go cała Warszawa. Co najciekawsze, że dopiero 1 sierpnia, na godzinę czy dwie przed wybuchem walki, Pużak pytał generałów Bora-Komorowskiego i Pełczyńskiego czy Warszawa miała zapewniony „parasol” — pomoc lotniczą Aliantów, jakie postępy czyniła sowiecka ofensywa i co oznaczała panująca od ostatniej nocy cisza „na froncie i w powietrzu”. W odpowiedzi ani Bór-Komorowski ani Pełczyński nie potrafili właściwie dać mu konkretnych wyjaśnień na trapiące go pytania, które niestety były przynajmniej o 24 godziny spóźnione. Najlepszy to dowód na jak kruchych przesłankach opierała się decyzja rzucenia Warszawy do walki. Stypułkowski, niezaangażowany w sprawę podejmowania tej fatalnej decyzji, miał w tej materii o wiele lepsze rozeznanie. Niestety, ludzie którzy dobrze orientowali się w sytuacji i położeniu nie mieli żadnego wpływu na podejmowane decyzje. Wypadki toczyły się poza nimi.

Decydowali ludzie, którzy wierzyli że walka była „dziejową koniecznością”. Zarówno Stypułkowski jak i Pużak dużo miejsca w swych wspomnieniach poświęcają procesowi Szesnastu. Podają jak do niego doszło i malują jego przebieg. Pużak szczegółowo opisuje zachowanie się jego załamanych długim śledztwem kolegów, nikogo prawie nie szczędząc. Stypułkowski, jedyny z Szesnastu, który do „winy” się nie przyznał, o bolesnych tych sprawach pisze bardzo oględnie i z wielkim umiarem. Rozumie, że należy być wyrozumiałym wobec ludzkiej słabości. Pużak przyznał się częściowo do „winy” aby odciążyć Delegata Rządu. Przyznał się, że wbrew rozkazom Czerwonej Armii używał radia do komunikowania się z Londynem. To wyznanie winy jest żenujące. Inni przyznawali się zresztą do jeszcze gorszych „przestępstw”. Wydaje się, że wszyscy członkowie Szesnastki powinni byli pójść śladami Stypułkowskiego i twardo obstawać przy swej niewinności wobec stawianych im oskarżeń. Było jednak inaczej.

Zarówno wspomnienia Stypułkowskiego jak i Pużaka są fascynującą lekturą. Czytane razem pokazują nam naszą wojenną historię w nowym świetle. Uczą nas czym była w istocie nasza

konspiracja na jej szczytach. Dowodzą, że próby podjęcia bezpośrednich rozmów z Moskwą przez kierownictwo Podziemnego Państwa były przynajmniej o cały rok spóźnione. Jego przedstawiciele zimą 1945 nie byli już partnerami do rozmów ze Stalinem, gdyż ruch ich leżał w gruzach, a Armia Czerwona niepodzielnie panowała na całym terytorium kraju.

Jeszcze w trakcie Powstania Warszawskiego stało się jasne, że po jego upadku władza przejdzie w ręce komunistów i to w całym kraju. Upadek stolicy zapoczątkował proces szybkiego rozkładu rządowego obozu w Polsce i za granicą. Jafta i uwięzienie Szesnastu proces ten jeszcze bardziej przyspieszyły.

Jan CIECHANOWSKI

Jan CIECHANOWSKI

OSTATNIA BRON HITLERA

Hitler atakując Polskę 1 września 1939 jeszcze stale łudził się — szczególnie po zawarciu paktu Mołotow-Ribbentrop 23 sierpnia 1939 — że uda mu się konflikt z Polską zlokalizować i że państwa zachodnie — Anglia i Francja — nie wypowiedzą wojny Niemcom z naszego powodu. We wrześniu 1939 Trzecia Rzesza nie była jeszcze gotowa do prowadzenia długiej, przewlekłej i wielkiej wojny. Brakowało jej szczególnie dalekosiężnego lotnictwa oraz silnej floty. Niemcy rozpoczynając wojnę posiadali zaledwie 2.785 samolotów, 52 okręty podwodne, z których tylko połowa nadawała się do walki na pełnym morzu, oraz około 3.200 czołgów.

Nadzieje Hitlera prysły 3 września, kiedy Anglia i Francja opowiedziały się po naszej stronie. Od tej chwili stało się jasne, że bez względu na wynik polskiej kampanii i zachowania się naszych zachodnich aliantów w jej toku, wojna się przedłuży i nabierze światowego charakteru. Klęska Polski ze względu na nasze okropne położenie strategiczne, naszą militarną słabość i polityczną izolację w Środkowej i Wschodniej Europie, była nieunikniona. Chodziło tylko o to jak i kiedy nasze pierwsze starcie z Niemcami przegramy, szczególnie że anglo-francuskie deklaracje wojny były po prostu jedynie dyplomatycznymi gestami, a 17 września doszło do sowieckiej agresji. Niemcy szybko złamali nasz opór dzięki masowemu użyciu przeciwko naszym słabym, powolnym i rozciągniętym w kordonowy sposób armiom,

wojsk pancernych i zmotoryzowanych oraz lotnictwa, których wydajność operacyjna była wielkim zaskoczeniem i rewelacją dla naszego dowództwa naczelnego a częściowo nawet dla samych Niemców. *Blitzkrieg* był w dużej mierze rewolucją w sztuce wojennej, gdyż pozwolił Niemcom na szybkie, „błyskawiczne” manewrowanie ich wojskami w czasie i przestrzeni. Po raz pierwszy w dziejach wojny stosunek przestrzeni do czasu — to jest jedna doba około 25 km. — nie przekroczony dotąd o ile chodzi o masowe ruchy wojsk, przestał nagle krępować planowanie i działania militarne jednej ze stron walczących. Po nas, Danii i Norwegii w maju i czerwcu 1940 przyszła kolej na walną rozprawę z Holandią, Belgią i Francją, która uległa Niemcom po 36 dniach walki. Znowu masowe użycie czołgów i samolotów — „latającej artylerii” okazało się niezawodne.

Na Zachodzie ostała się Niemcom jedynie Anglia, którą od niemieckiej inwazji bronił kanał La Manche, silne lotnictwo i flota. Luftwaffe nie potrafiła złamać angielskiej woli oporu. Do wielkiej operacji na Wyspy Brytyjskie Niemcy użyli 900 myśliwców i 1.300 bombowców. Siły te okazały się jednak zbyt słabe aby zapewnić Niemcom panowanie w powietrzu nad Anglią. Po załamaniu się wielkiej ofensywy powietrznej na Anglię Hitler zdecydował się na wojnę z ZSSR. Uważał, że pokonanie Rosji zmusi Wielką Brytanię do kapitulacji wobec Niemiec i zapewni im trwałą hegemonię w Europie. W trakcie przygotowywania „Barbarossy” Hitler w kwietniu 1941 w ciągu zaledwie dwóch tygodni opanował Jugosławię i Grecję. W przededniu ataku na Rosję, 22 czerwca 1941, Niemcy panowali prawie nad całym europejskim kontynentem i rozporządzali ogromnym potencjałem przemysłowym i gospodarczym. Przeważająca część europejskiego przemysłu zbrojeniowego pracowała na potrzeby Trzeciej Rzeszy. Wydawało się, że niemieckie dywizje pancerne i Luftwaffe były nie do pokonania. Hitler wierzył, że w ciągu sześciu tygodni uda mu się zniszczyć sowieckie siły zbrojne, zlikwidować ZSSR oraz osiągnąć linię od Archangielska wzdłuż Wołgi po Astrachań. Plan „Barbarossa” był jaskrawym przykładem strategicznego i politycznego awanturnictwa Hitlera. Niemniej już w grudniu 1941 okazało się, że Rosjanie potrafili złamać niemiecką koncepcję „wojny błyskawicznej” na wschodzie. W dwumiesięcznych walkach obronnych i odwrotowych pod Moskwą Rosjanie wyczerpali siłę uderzeniową Niemców, następnie przejęli inicjatywę strategiczną i w działaniach zaczepnych zadali Niemcom znaczne straty i zmusili ich do odwrotu. W bitwie pod Moskwą Rosjanie zadali Niemcom pierwszą strategiczną klęskę, po której nawet Hitler zrozumiał, że pełne zwycięstwo nie było już do osiągnięcia.

6 grudnia 1941 Japończycy zaatakowali Pearl Harbour, jedenasatego grudnia Hitler wypowiedział wojnę Ameryce. W ostatnich dniach 1941 Niemcy znalazły się w strategicznym potrzasku. Przed Niemcami powoli zaczynało stawać widmo zajądłej walki na dwa fronty, widmo zbliżającej się klęski, której uniknąć mogli

jedynie przez wprowadzenie do walki nowych broni: samolotów odrzutowych, broni nuklearnych, nowych typów łodzi podwodnych, latających bomb typu V-1 oraz pierwszych dalekosiężnych pocisków kierowanych typu V-2. Masowe użycie V-1 i V-2 przeciwko Wyspom Brytyjskim mogło poważnie zakłócić i opóźnić rozwijającą się anglo-amerykańską ofensywę powietrzną na Niemcy i przygotowywaną od 1942 inwazję kontynentu.

Najnowsza praca Józefa Garlińskiego pt. *Ostatnia Broń Hitlera* (Odnova, Londyn, 1977, 220 stron) zajmuje się i omawia zarówno historię powstania i użycia V-1 i V-2 jak i alianckie wysiłki, zmierzające do ich unieszkodliwienia. Z wielką pasją i dużym znanstwem Garliński kreśli niemieckie wysiłki, zmierzające do wyprodukowania, wypróbowania i przekonania Hitlera o militarnym i psychologicznym znaczeniu nowych broni. *Führer* do końca 1942 myślał jednak jeszcze stale o rozwinięciu produkcji broni konwencjonalnych — czołgów i dział — których tak bardzo potrzebował na Wschodzie, raczej niż „nowych”, których możliwości i działania nie był pewien. Dopiero w grudniu 1942 Hitler zdecydował się na masową produkcję V-2. Do użycia nowych broni doszło dopiero w drugiej połowie 1944. V-1 Niemcy wprowadzili do walki 13 czerwca, a V-2 8 września 1944. Nastąpiło to więc zbyt późno aby wywrzeć większy wpływ na przebieg toczącej się wojny. Po bitwach pod Stalingradem, Kurskiem i udanej inwazji Francji, klęska Niemiec była już tylko kwestią czasu i nowe bronie nie były w stanie jej zapobiec, chociaż ich masowe użycie mogło spowodować duże straty i zniszczenia w Londynie a następnie w Antwerpii, jednym z głównych portów obsługujących od września 1944 alianckie wojsko inwazyjne na kontynencie. W istocie jednak straty zadane Anglikom i Belgom przez tzw. „bronie odwetowe” były niewielkie w porównaniu ze stratami jakie zadawało Niemcom lotnictwo alianckie. A. Speer, niemiecki minister od spraw zbrojeniowych, wręcz pisze że środki użyte przez Niemców od lipca 1943 na rozwinięcie produkcji V-2 były niewspółmierne do osiągniętych rezultatów. Hitler zamierzał produkować 900 sztuk V-2 miesięcznie i codziennie wystrzeliwać 30 rakiet — łącznie 24 tony materiałów wybuchowych — na Anglię. Podobnie zresztą miała się sprawa z V-1, których zaledwie 2.420 spadło na Londyn. Tymczasem w 1944 Alianci codziennie przeciętnie zrzucali trzy tysiące ton bomb na Niemcy. Niemieckie bronie odwetowe były więc prawie dziecinną igraszką w porównaniu z konwencjonalną flotą powietrzną Aliantów, która potrafiła w ciągu kilku koncentrycznych nalotów niszczyć całe miasta niemieckie jak np. Hamburg, Drezno itd.

Garliński wspaniale opisuje współudział europejskich ruchów oporu w wykrywaniu i zwalczaniu niemieckich broni odwetowych. Podkreśla też wielkie zasługi Polaków w tej materii.

Autor jest prawdziwym mistrzem opisów „batalistycznych” jak np. bombardowania przez Anglików Peenemünde w czasie, gdy wprowadzone w błąd niemieckie myśliwce nocne uganiały

się w ogniu własnej artylerii przeciwlotniczej za paroma „Moskitami”, pozorującymi wielki nalot na Berlin. Opis tego nalotu czyta się z zapartym tchem.

Szkoda, że autor nie pokusił się o bardziej szczegółowe opracowanie kwestii wyników użycia nowych broni na Londyn i Antwerpię i nie zastanowił się w jakim stopniu produkcja V-1 i V-2 przyczyniła się do opóźnienia czy zaniechania produkcji innych rodzajów broni, jak np. samolotów odrzutowych czy rakiet przeciwlotniczych, które mogły być dla Aliantów bardziej niebezpieczne niż okrzyczane „latające bomby” i pociski rakietowe. Bronie te groźne są dzisiaj, ale w czasie drugiej wojny światowej były po prostu drogimi namiastkami konwencjonalnych ciężkich bombowców, których Niemcy nie posiadali w dużej ilości i których nie potrafili umiejętnie użyć. Oczywiście wszystko to wiemy dopiero dzisiaj. W latach 1942-44 sprawa „broni odwetowych” urastała jednak do sprawy „życia i śmierci”, szczególnie wśród Anglików, którzy byli nimi najbardziej zagrożeni.

Garliński dobrze też oddaje ogromny bałagan, bezhołowie i brak sprawnej organizacji kierowniczej potrafiącej podejmować rozsądne decyzje na szczytach Trzeciej Rzeszy. Hitler często kierował się intuicją, snami czy też nawet horoskopami raczej niż wnioskami, wysnutymi z zimnej analizy sytuacji. Książka Garlińskiego jeszcze raz potwierdza fakt, że Niemcy z Hitlerem na czele, wbrew ich przysłowiowej ogromnej sprawności i rozwiniętemu zmysłowi organizacyjnemu nie potrafili — na szczęście dla nas — racjonalnie prowadzić wojny. Hitler nie dopuścił do rozwoju fizyki nuklearnej w Niemczech, gdyż uważał ją za „fizykę żydowską”. Stąd już w 1942 Niemcy zaniechać musieli myśli o wyprodukowaniu bomby atomowej. Co więcej, miast produkować myśliwce odrzutowe, które mogły sparaliżować aliancką ofensywę powietrzną na Niemcy, *Führer* do końca prawie marzył o odrzutowych bombowcach, które miały gradem bomb zasypać angielskie miasta. Podobnie miała się też sprawa z nowymi broniąmi Hitlera i w tym kontekście należy je rozpatrywać.

Jan CIECHANOWSKI

Michał HELLER

ŚWIADEK HISTORII

Są książki które wywołują szum, gdy się ukazują, a potem szybko leżą zapomniane w ciemnych kątach półek bibliotecznych. Są też i inne, a wśród nich „Stalin” Borysa Suwarina. Zdumiewające są losy tej książki. Borys Suwarin zaczął ją pisać w 1930

roku, to jest natychmiast po ogłoszeniu Stalina genialnym wodzem, ojcem i nauczycielem światowego proletariatu. Wydana w 1935 roku miała powodzenie wśród czytelników, ale tzw. lewicowa inteligencja odniosła się do niej wrogo. Borys Suwarin wspomina, że André Malraux, członek doradczego komitetu wydawnictwa Gallimard, które odmówiło wydania „Stalina”, oświadczył: „Myślę, że pan i pana przyjaciele macie rację, ale będę z wami dopiero wtedy, gdy siła będzie po waszej stronie”. Uzupełnione, ósme wydanie książki ukazało się w tragicznym 1940 roku. Jest zrozumiałe, że nie można jej było czytać w okupowanej Europie, a gdy autor i książka w 1941 roku znaleźli się w Stanach Zjednoczonych i tam nie chciano czytać, gdyż *uncle Jo* był szlachetnym sprzymierzeńcem w walce o wolność i demokrację. Prawda, chciał swoją biografię przeczytać „osobiście towarzysz Stalin”. Została dla niego przełożona w jednym egzemplarzu. Co się stało z jej tłumaczem — łatwo się domysłuć. Latem 1977 roku wyszło nowe wydanie „Stalina”. Autor uzupełnił książkę przedmową i zakończeniem, w którym wyjątkowo zwięźle i dynamicznie, na 100 stronach wyłożył historię ćwierćwiecza po drugiej wojnie światowej. Tym razem krytyka powitała pracę Suwarina jako „jedną z największych książek francuskiego wieku”.

W przedmowie autor uprzedza: „W tekście książki nie zrobiono ani jednej poprawki, nie zmieniono ani jednego wiersza. Rzadko praca historyczna może wytrzymać taką kontrolę czasu. Rzadko historyk ma niezbędną odwagę, by przyznać się bez wstydu do poglądów bronionych dziesiątki lat temu”.

Odwaga, prostolinijność, uczciwość intelektualna — zdumiewająco rzadkie w naszej epoce — są cechami charakteryzującymi Borysa Suwarina. Jeśli do nich dodać talent historyka i wielki talent literacki, to oczywiste są powody, dla których książka o Stalinie nie zestarzała się.

Książka Suwarina, nosząca podtytuł „Szkic historii bolszewizmu”, przede wszystkim jest historycznym poszukiwaniem. Była pisana w latach 1930-1935, kiedy ogromna większość materiałów o Stalinie była w Związku Sowieckim nieznana. Suwarin dokonał rzeczywiście gigantycznej pracy zbierając źródła. Zebrał i przestudiował wszystko to, co w latach 30-tych można było znaleźć. 40 lat później, kiedy w zakończeniu przytacza źródła, które udostępniono już w naszych czasach, okazało się, że prawie niczego nie trzeba zmienić. Można uzupełnić, potwierdzić faktami, świadectwami i dokumentami ówczesne przypuszczenia. W głównych zarysach historia bolszewizmu i biografia Stalina zostały narysowane ściśle już w 1935 roku.

Biografia bolszewizmu i biografia Stalina zostały napisane przez historyka. Ale zostały napisane również i przez świadka. Borys Suwarin urodził się w 1895 roku i przeszedł razem z wiekiem długą, skomplikowaną i tragiczną drogę — błędzenia, nadziei, gorzkich rozczarowań. W końcu 1916 roku poznaje się

z Leninem pośrednio. Przeczytawszy artykuł Suwarina „Do naszych przyjaciół w Szwajcarii” Lenin pisze z Zurychu „Otwarty list do Borysa Suwarina”. Francuskiemu socjaliście Lenin wydawał się pacyfistą, wrogiem wojny jako takiej. Jako pacyfista wita Suwarin Rewolucję Październikową. W 1920 roku opracowuje rezolucję o przyłączeniu się francuskiej partii socjalistycznej do Kominternu; rezolucja ta uzyskuje większość głosów na zjeździe w Tours. Suwarin staje się jednym z przywódców nowopowstałej Francuskiej Partii Komunistycznej i w 1921 roku jedzie do Moskwy jako przedstawiciel tej partii w Kominternie; następnie zostaje wybrany sekretarzem Ispółkomu Kominternu. Spotyka się osobiście z Leninem, odnawia znajomość z Trockim, nawiązaną w 1916 roku w Paryżu, i poznaje Stalina. Jednakowoż już w pierwszych miesiącach pobytu Suwarina w Moskwie następuje konflikt niepokornego francuskiego buntownika z aparatem Kominternu. Przedstawiciel francuskiej kompartii natychmiast po przyjeździe żąda spotkania z aresztowanymi anarchistami, osadzonymi w więzieniu lefortowskim. Koniecznie chce się dowiedzieć dlaczego po rewolucji proletariackiej i w „proletarskim” więzieniu siedzą rewolucjoniści. Komintern powołuje komisję — pierwszą, ale nie ostatnią — dla zbadania „sprawy Suwarina”.

Krytyczny umysł, niechęć do przyjmowania czegokolwiek na wiarę, prostolinijność i ostrość osądów doprowadzają konflikt z kierownictwem Kominternu do logicznego końca: w 1924 roku Suwarin zostaje wykluczony z Kominternu. Wraca do Francji, gdzie prowadzi działalność polityczną, walcząc z rozszerzaniem się wpływów stalinowskich w lewicowych kręgach Zachodu, a potem poświęca się działalności badawczej i dziennikarskiej.

Osobista znajomość z najważniejszymi „działającymi ludźmi”, znajomość ich psychologii, języka i poglądów, aktywny udział w wydarzeniach historycznych dały Suwarinowi niezmiernie cenną możliwość obserwowania historii wieku zarazem od wewnątrz jak i od zewnątrz. Goethe pisał, że „O historii może sądzić tylko ten, kto ją sam przeżył, kto na sobie tę historię doświadczył”. To określenie doskonale odnosi się do autora „Stalina”. Przeżył on i doświadczył historię w tym sensie, że razem z bardzo licznymi wierzył w Ideę i był wśród bardzo nielicznych, którzy wcześniej od innych stwierdzili najpierw skażenie tej idei, a potem jej kłamliwość.

Gorycz rozczarowania i zawiedzionych nadziei nadaje książce Suwarina charakter osobisty, podkreślający tragizm opisywanych wydarzeń. „Przed nami — pisał rosyjski historyk Georgij Fiedotow w 1935 roku — jest napisana krwią i osobiście przeżyta historia rozkładu i końca partii Lenina”.

„Stalin” to historia nieustannego wchodzenia na szczyty władzy w partii, w państwie, w światowym ruchu rewolucyjnym, historia człowieka, który — jak nikt inny — w drugiej połowie XX-go wieku umiał wykorzystać słabości i siłę swoich wrogów, hasła rewolucyjne i reakcyjne, szantaż, prowokację, który przez

długie lata dla milionów ludzi był wcieleniem nadziei, będąc wcieleniem zła.

Suwarin analizując charakter Stalina pisze, że „instynktownie szedł po linii zachowania, nakreślonej w ironicznym podręczniku hipokryzji i przebiegłości”. Suwarin ma na myśli znakomity „Dialog w piekle” między Machiavellim a Montesquieu, napisany przez francuskiego republikanina Maurice Joly na emigracji, w latach drugiego cesarstwa. „Dialog” zalecał tyranowi: oddzielić moralność od polityki, zastąpić prawo siłą i chytrością, paraliżować ducha indywidualizmu, oszukiwać naród zewnętrznymi formami, ograniczać wolność terrorem, schlebiać narodowym przesądowi, pozostawiać kraj w niewiedzy tego, co dzieje się na świecie, a stolicę tego co dzieje się na prowincji, instrumenty myśli przekształcić w instrumenty władzy, bezwstydnie wykorzystywać egzekucje bez sądu i administracyjne zsyłki, domagać się dla swojej działalności nieskończonych pochwał, samemu opracować historię swego panowania, przekształcić policję w podporę reżymu, a kult uzurpatora w religię, stać się niezastąpionym — stworzywszy koło siebie pustkę, eksploatować skłonność ludzką do donosicielstwa, opanować społeczeństwo wykorzystując jego wady, mówić jak można najmniej, mówić zdecydowanie przeciwnie do tego co się myśli zmieniając nawet sens słów...

Przed nami rzeczywiście jest program, którego Stalin trzymał się przez całe życie. Suwarin zakłada, że wódz narodów robił to instynktownie. Sprawa jednak polega na tym, że „Dialog” Maurice Joly — satyra na Napoleona III — był głównym źródłem dla pracowników carskiej *Ochrany*, która sfabrykowała „protokoły mędrców Syjonu”. Można być przekonany, że Stalin znał „protokoły”. Czy nie z nich właśnie czerpał niezbędne dla siebie cenne wskazania?

Borys Suwarin pierwszy odkrył technikę uchwycenia władzy przez Stalina: wykorzystanie osobistego sekretariatu i wydziałów KC dla rozstawienia swoich ludzi w strategicznych miejscach. Nie można się nie dziwić ścisłości wielu przewidywań, chciałoby się powiedzieć prorocत्व, autora książki co do przyszłych działań głównej postaci. Wystarczy zacytować przypuszczenie: Stalin „człowiek całkowicie zdolny wykreślić ze swego planu powolną mu Międzynarodówkę... jeśli dojrzy w tym swą korzyść” (str. 486). Napisane to zostało w 1935 roku, a 8 lat później Stalin ją rzeczywiście wykreślił.

Uzupełnione wydanie „Stalina” z 1940 roku kończy się analizą paktu Stalin - Hitler, który stał się preludium wojny w Europie. Na ostatniej stronie czytamy wzruszające słowa, skierowane do Stalina przez Ribbentropa, który składał życzenia generalnemu sekretarzowi z okazji jego 60-tych urodzin: „Przyjaźń narodów — Niemiec i Związku Sowieckiego — scementowana krwią, ma wszystkie dane, by być trwałą i solidną”. Depesza ta została wysłana 21 grudnia 1939 roku.

Zakończenie poświęcone jest przede wszystkim wojnie sowiecko-niemieckiej. I nie tylko dlatego, że zamyka ona biografię Stalina. W nowym wydaniu jest to jeden z najważniejszych rozdziałów. Wojna — uważa Suwarin — ukazała wszystkie cechy państwa sowieckiego i charakteru Stalina. Suwarin nie ogranicza się do stwierdzenia zwycięstwa Związku Sowieckiego w wojnie — rozbicia hitlerowskich Niemiec. Stawia pytanie — jaka była cena tego zwycięstwa? Nie tylko zachwycą się heroicznymi obrońcami Stalingradu, ale także stawia pytanie: A dlaczego Niemcy doszli do Wołgi, wchodząc 1.600 kilometrów w głąb Rosji? I dalej: Dlaczego Niemcy które, poczynając od 1939 roku, prowadziły wojnę na trzech frontach straciły 2 miliony 800 tysięcy żołnierzy i oficerów i 500 tysięcy ludności cywilnej, a Związek Sowiecki około 30 milionów?

Suwarin nie zapomina ani o jednym wydarzeniu wojny, które obnażało charakter Stalina i jego państwa: wspomina o Katyniu, o wysiedlaniu całych narodów, o armii Własowa, i o wydaniu przez sojuszników zachodnich na śmierć ponad 2 milionów uciekinierów.

O Stalinie napisano już mnóstwo książek. Być może jeszcze więcej o Hitlerze. Jak dotąd nie ma jednak książki, w której byłaby dana porównawcza biografia obu tych wodzów. Suwarin w zakończeniu podkreśla zasadnicze linie takiej biografii porównawczej. Stalin staje się bardziej zrozumiały, żywszy, gdy stosunek do niego wyraża jego kolega i uczeń, a w niektórych przypadkach nauczyciel — Hitler.

Hitler zawsze uważał, że komuniści są doskonałym materiałem dla jego celów. Hermann Rauschning opowiada, że Hitler „wydał polecenie natychmiastowego przyjmowania do partii byłych komunistów”. Twierdził, że z drobnych burżujów, socjaldemokratów i związkowych bonzów nigdy nie uda się zrobić dobrych narodowych socjalistów, a z komunistów zawsze (str. 565). Hitler był przekonany, że nie Niemcy staną się bolszewikami, ale bolszewizm przekształci się w swego rodzaju narodowy socjalizm. Między bolszewizmem a narodowym socjalizmem jest więcej podobieństw niż różnic. Niewątpliwie głównym motorem takiego przekształcenia był — zdaniem Hitlera — Stalin. W czasie swoich „rozmów przy stole” Hitler mówił o Stalinie: „to jedna z najbardziej zdumiewających postaci światowej historii... wzbudza w nas niewątpliwą szacunek, ...to w swoim rodzaju genialne chłopisko...”. Jakie cechy Stalina specjalnie imponowały Hitlerowi? Niezwykle wyrazisty portret Stalina narysował Hitler w rozmowie z rumuńskim naczelnikiem państwa — Antonescu: „Stalin to człowiek, który nigdy nie ryzykuje. Polski przykład jest tu typowy: wstrzymywał wydanie rozkazu swemu wojsku mimo wezwania niemieckiego do czasu, kiedy wmieszanie się do spraw Polski nie stało się całkowicie bezpieczne... Nawet jeśli ma rewolwer, a przeciwnik jest uzbrojony tylko w nóż, to będzie czekał dopóki ten nie zaśnie: to Goliat, który boi się Dawida. Łączy w sobie

okrucieństwo dzikiego zwierza z tchórzliwością człowieka". Hitler powiedział to 26 marca 1944 roku z głęboką zawiścią do ukochanego wroga.

W książce Suwarina znajduje się szkic o drugiej „porównawczej biografii”: Stalina i Lenina. Spotykają się oni nie tylko na każdej stronicy książki, ale towarzyszą autorowi przez całe jego życie. Od pół wieku Suwarin szuka odpowiedzi na pytanie jaka jest wzajemna zależność między Leninem a Stalinem, między założycielem partii i państwa a jego spadkobiercą. Zapytuje: co ze Stalina było w Leninie i w jakim stopniu? „Stalin”, to nie tylko studium historyczne, to nie tylko świadectwo uczestnika wydarzeń, ale w jakimś stopniu biografia autora, jego pamiętniki, których jeszcze nie napisał. Naturalnie, że na zasadnicze pytanie o wzajemnej zależności Lenina i Stalina, rewolucji i jej skutków Suwarin daje różne odpowiedzi — w zależności od okresu, w których je pisze. Poglądy autora „Stalina” ewoluują, zmieniają się w miarę tego jak pojawiają się nowe, nieznane przedtem dokumenty, w miarę tego jak aktualne wydarzenia czynią historię bardziej jasną.

Końcowy wywód Suwarina można byłoby sformułować tak: Stalin, następca Lenina, który go w czymś przewyciężył, coś ze spadku odrzucił, wiele do niego dodał. W ostatecznym obrachunku różnice między Stalinem i Leninem, które Suwarin podkreśla, sprowadzają się jednakowoż do odmienności psychologicznych. Lenin, taki jakim go znał Suwarin, stał moralnie wyżej od Stalina. Ma się rozumieć nie było to trudne. Suwarin podkreśla najważniejszą różnicę: Lenin przyznawał się do swoich błędów — Stalin nigdy, zwalając zawsze winę na wykonawców swoich poleceń. To jest słuszne. Ale co zmieniło się od tego, że Lenin uznał swój „wielki skok” — epokę komunizmu wojennego — za błąd po tym jak pożoga powstań chłopskich zepchnęła partię bolszewicką na skraj przepaści i zmusiła do ustąpienia? Można się zgodzić tylko z tym, że nie bał się przyznawać do swoich błędów, gdyż bezgranicznie wierząc w swoją słuszość nie miał kompleksu niższości i nie bał się robić zwrotów, nawet o 180 stopni, przekonany, że posłuszni uczniowie pójdą za nim. Można by powiedzieć, że Lenin był wodzem o cechach typowych dla XIX-go wieku, a Stalin typowym wodzem XX-go, a może XXI-go wieku.

Suwarin nie ma jednak wątpliwości, że to Lenin stworzył partię bolszewicką, zorganizował rewolucję i urodził sowieckie państwo, a Stalin był legalnym synem tej partii i tej rewolucji.

I jeszcze jedna zaleta, dzięki której „Stalin” Suwarina różni się od wszystkich innych biografii wodzów sowieckich i od wszystkich innych prac zachodnich historyków partii komunistycznej czy Związku Sowieckiego. Książka Suwarina jest ostrzeżeniem Zachodu. Ostrzeżeniem, którego nie chciano usłyszeć. Książki nie chciano wydać ani we Francji, ani w USA, ani w Wielkiej Brytanii, a o tym że została wydana przez wydawnictwo Martin

Zecker i Warzburg i że dobrze się sprzedawała w 1939 i 1940 roku Suwarin dowiedział się z pamiętnika Fryderyka Warburga, który przeczytał w 1959 roku. Po przyjeździe Suwarina do USA, jako przeciwnikowi Stalina nie dano pracy. Zachód nie chciał znać prawdy o Stalinie i o Związku Sowieckim, pocieszając się tym, że jest to — jak to określił Churchill — „tajemnica, owinięta w zagadkę i przykryta sekretem”. Nie było tu ani tajemnicy, ani zagadki, ani sekretu. Doskonale rozumiał to duchowy brat Stalina — Hitler: „Stalin nigdy nie prosi — zawsze domaga się, albo protestuje. Jeśli cokolwiek mu dają, to dlatego że mu są dłużni. Jeśli cokolwiek oddaje, to tylko dlatego że jest szczodry. Potrafił na przykład przekonać Anglików, a szczególnie Amerykanów, że to nie oni mu pomagają się bronić, ale że to on przystąpił do wojny, aby uratować Zachód...”.

Na ostatnich stronicach książki Suwarin wymienia Sołżenicyna, jego „Archipelag GUŁag” — „wspaniałą pracę, nierozdzielnie związaną z epoką napiętnowaną Stalinem i Hitlerem” która dopełnia, rozwija i potwierdza badania Suwarina. „Praca Sołżenicyna — pisze Suwarin — swoją moralną wielkością, swoim dokumentalnym bogactwem przerasta wszystko co zostało napisane o Stalinie i jego reżymie”.

Aleksander Herzen pisał: „Piszą książki o Rosji, czytają raporty, sprzedają jej broń... jedna rzecz, której nie robią, to nie badają jej poważnie”. „Stalin” Borysa Suwarina jest wyjątkowo ważnym wkładem do prawdziwego poznania Rosji, która 60 lat temu przekształciła się w Związek Sowiecki, stając się fenomenem jeszcze mniej zbadanym.

Michał HELLER

Kazimierz ZDZIECHOWSKI

O STEFANIE TYSZKIEWICZU

Sporo przemawia za tym, by osoba zmarłego w Londynie, w dniu 1 lutego 1976, Stefana Tyszkiewicza, zwanego popularnie „Stetyszem”, nie poszła w zapomnienie. Zadaniem niniejszego szkicu jest próba uwypuklenia faktów i szczegółów z jego życia, bogatego i niebanalnego. Pisząc opierałem się na maszynopisie niewydanych wspomnień, naszkicowanych w języku francuskim.

Jest listopad 1914. Ofensywa niemieckich armii na froncie wschodnim poczyniła duże postępy i bitwa toczy się na przed-

polu Łowicza, prawie u bram Warszawy. Dwudziestoletni Tyszkiewicz, w wieku nie podlegającym jeszcze mobilizacji wojskowej, odbywa służbę w mundurze rosyjskiego Czerwonego Krzyża. Jak tam trafił? Zgłosił się na ochotnika, za radą kolegi szkolnego swego ojca, Aleksandra Timrota, szefa Czerwonego Krzyża na front północny; z Timrotem spotkał się z okazji jego wizyty w rodzinnej siedzibie Tyszkiewiczów, w Landwarowie koło Wilna. W związku z rozbudzonymi przez wojnę nadziejami, i odezwą Wielkiego Księcia Nikołaja Nikołajewicza, w kraju panowała patriotyczna euforia; jej wyrazem było m.in. założenie w pałacu szpitala polowego. Młody Tyszkiewicz chciał wziąć udział w ogólnym wysiłku wojennym. Te dwa fakty oddają dokładnie ówczesne nastroje.

Do szpitala Łowickiego przybywają coraz to nowe zastępy rannych. W pewnej chwili jeden z rosyjskich oficerów 40 pułku piechoty nachylił się do Tyszkiewicza i powiedział: „Widzi pan tę wieś Maluszyce, o jakieś półtora kilometra stąd. Za chwilę zajmą ją Niemcy. Domy już tam płoną, a w pierwszej chacie zostawiłem siedmiu rannych, którzy na pewno spalą się żywcem. Co robić?”. — „Pojadę tam zaraz po nich” — odpowiedział Tyszkiewicz i sam siadł do kierownicy samochodu, gdyż rosyjski szofer cywil odmówił, zaśłaniając się obawą przed ogniem niemieckich karabinów maszynowych. Operacja się udała. Ranni, wzajemnie sobie pomagając wpakowali się do samochodu. Tyszkiewicz szczęśliwie doznał z powrotem do miasta z dwiema nieprzyjacielskimi kulami w karoserii. Dostał Krzyż św. Jerzego, przyznany na wniosek dwóch pułkowników oraz petycji ludności Łowicza. Był to jedyny wypadek odznaczenia Krzyżem św. Jerzego osoby cywilnej. Incydent maluje dobrze charakter i odwagę Tyszkiewicza.



Przeskakuję do drugiej wojny światowej. Po przejściach w Rosji, łącznie z pobytem na Łubiance, Tyszkiewicz znalazł się we Włoszech. Jeszcze na terenie ZSSR nawiązał ścisły kontakt z gen. Andersem, który powierzał mu różne misje, początkowo na miejscu, później w Teheranie, w Iraku, w Kairze i wreszcie we Włoszech. We Włoszech Tyszkiewicz został najpierw mianowany oficerem łącznikowym Drugiego Korpusu przy oddziałach włoskich, walczących już u boku zachodnich sojuszników. Z kolei powierzono mu zadanie organizowania Polskiego Czerwonego Krzyża. Rzeczą wymagała dużej inicjatywy, gdyż trzeba było zaczynać z niczego. Po pewnym czasie organizacja, poza parutysięcznym personelem pomocniczym, liczyła 1.600 umundurowa-

nych Polaków. Misja nie ograniczała się tylko do szpitali, obejmowała również organizowanie licznych kantyn dla żołnierzy Drugiego Korpusu i ich rodzin. Należało zdobywać niedostępne materiały, na przykład nieodzowny w szpitalnictwie lód. Wszystkie fabryki sztucznego lodu zostały przez wycofujących się Niemców zniszczone, Tyszkiewiczowi jednak udało się uruchomić własną produkcję.

Jako człowiek z urodzenia pomysłowy, obdarzony talentem organizacyjnym, Tyszkiewicz nadawał się idealnie na podobne stanowisko. Była to ostatnia powierzona mu misja publiczna na większą skalę. Jej wykonanie miało się zbiec z końcem wojny. I jest coś symbolicznego w tej klamrze, zamykającej długi okres działalności publicznej: rozpoczął ją i zakończył pod znakiem Czerwonego Krzyża. Później, w Londynie, zawsze wierny swemu poczuciu obywatelskiemu, wydawał przez jakiś czas ze Stanisławem Mackiewiczem tygodnik *Lwów i Wilno*. I to musiało się skończyć. Przebywał później długo we Włoszech. Łączyły go więzy rodzinne z włoską rodziną królewską, o czym później. We Włoszech oddawał się działalności, do której był tak uzdolniony i predestynowany — na polu techniki i wynalazczości.

Był bowiem niezwykle fenomenem, posiadał talenty rzadko spotykane u przedstawiciela arystokracji, tym bardziej że należał do generacji, która dojrzała przed pierwszą wojną światową. Stał się entuzjastą samochodów jeszcze w wieku prawie dziecięcym. Jako piętnastoletni chłopiec zdał we Florencji egzamin szoferski. Parę lat po wojnie skonstruował w Paryżu model samochodu „Stetysz”. Za 100 tysięcy dolarów sprzedał broszkę ze szmaragdem o 86 karatach, pochodzącą jeszcze od Katarzyny Wielkiej i należącej do jego żony, i za tę sumę uruchomił z czasem w Warszawie produkcję „Stetyszów”. Warsztaty spłonęły niestety, zanim produkcja mogła naprawdę ruszyć z miejsca. Pech finansowy prześladował go przez całe życie. Liczne wynalazki nie dawały spodziewanych zysków. Raz opatentowane, wymagają one później regularnych opłat patentowych, gdyż inaczej przepadają. Tak też było przeważnie w wypadku Tyszkiewicza. W Turynie pracował po wojnie dla Fiata. Zwrócili na niego również uwagę niektórzy przemysłowcy brytyjscy, powierzając mu próby znalezienia nowych rozwiązań w dziedzinie mechaniki. Ocenic z punktu widzenia technicznego jego wynalazki mogliby tylko fachowcy. Może w przyszłości ktoś się tym zajmie.



Ale wracam teraz do „wspomnień”, które mają jedną ważną

zaletę — są autentyczne. Odzwierciedlają poza tym wiernie — zwłaszcza tam, gdzie odnoszą się do młodości autora — różne aspekty rzeczywistości politycznej i społecznej w Kongresówce, na Wileńszczyźnie i w Rosji.

Tyszkiewicz urodził się w roku 1894 i wyrósł w środowisku bardzo patriotycznym. Można powiedzieć, że dom rodzinny w Landwarowie był prawdziwym ośrodkiem polskości. Gdy na przykład po roku 1905 władze rosyjskie złagodziły antypolski kurs na Litwie, dopuszczając język polski w miejscach publicznych, na zaproszenie rodziców Tyszkiewicza zjechał do Landwarowa zespół Teatru Polskiego z Warszawy, występujący w Wilnie. Ojciec, Władysław Tyszkiewicz, ożeniony z księżniczką Marią Krystyną Lubomirską z Kruszyny, spędzał sporo czasu w Warszawie, gdzie oddawał się pracy politycznej i społecznej. Ówczesny Generał Gubernator warszawski, Skałon, zaproponował mu raz opracowanie memorandum, zawierającego dezyderaty społeczeństwa polskiego w Kongresówce. Tyszkiewicz (nawiasem mówiąc, związany z orientacją narodowo-demokratyczną) zaprosił do siebie na naradę szereg wybitniejszych obywateli, między innymi Henryka Sienkiewicza. Po paru tygodniach opracowane i uzgodnione memorandum zostało przez Tyszkiewicza w asyście dwóch wybranych towarzyszy przedłożone osobiście Skałonowi. Skutek był dość nieoczekiwany. Tej samej nocy zjawił się oddział konnych żandarmów z nakazem aresztowania Tyszkiewicza i deportowania go do Archangielska. Ten sam los spotkał obu jego towarzyszy. W wyniku usilnych interwencji z różnych stron udało się potem aresztowanych ściągnąć do Petersburga. Towarzysze Tyszkiewicza zostali zwolnieni, a nakaz jego deportacji odwołany. Zakomunikowano mu jednak, że nie będzie mógł dalej mieszkać w granicach imperium i że nie pozostaje mu nic innego jak wyjazd za granicę. Wkrótce potem Tyszkiewicz został wybrany posłem do pierwszej Dumy i wróciwszy w tym charakterze nieoficjalnie do kraju, nie mógł już być pozbawiony wolności. Dzielił czas między Petersburgiem, Landwarowem i Warszawą.

Wszystko to składało się na atmosferę, w jakiej dorastał młody Stefan. Dalsze koleje jego losu podczas pierwszej wojny światowej wyglądały następująco.

Aby otrzymać rangę oficerską (zbliżała się bowiem chwila jego powołania do wojska), musiał przejść przyspieszony kurs wojenny w korpusie paziów. Po jego ukończeniu przyjęto go w poczet oficerów elitarnego pułku gwardyjskiego. Bezpośrednio potem — było to w marcu 1916 — podał się na front wołyński. Chrzest bojowy otrzymał jesienią w ofensywie generała Brusi-

łowa nad Stochodem. Na skutek wielkich strat, jakie poniosły gwardyjskie pułki piechoty, część oficerów jego pułku odkomenderowano do zapewnienia luki. Znajdował się wśród nich Tyszkiewicz. Niebawem jednak dowódca pułku zawiadomił go, że z kwatery głównej przyszedł rozkaz cesarski przydzielający Tyszkiewicza Wielkiemu Księżciu Nikołajowi Nikołajewiczowi w charakterze adiutanta przybocznego. Wielki Książę dowodził wówczas frontem na Kaukazie w wojnie z Turcją. Przebywał też tam wtedy ojciec Tyszkiewicza, pełniący funkcję jednego z komendantów Czerwonego Krzyża.

Pobyt Stefana w zupełnie nowym otoczeniu okazał się ważny dla niego z dwóch względów. Po pierwsze, pozwolił mu bliżej poznać Wielkiego Księcia, o którym wyraża się z dużą sympatią, podkreślając jego wyraźny polonifilizm. Po drugie, w czasie pobytu na Kaukazie Tyszkiewicz zakochał się w pasierbicy Wielkiego Księcia, księżniczce Helenie Romanowskiej-Leuchtenberskiej, i wkrótce potem — już na Krymie — ożenił się z nią. Była ona rodzoną siostrzenicą królowej włoskiej, stąd konekcje Tyszkiewicza z dworem włoskim. Pewne znaczenie historyczne mogą mieć niektóre szczegóły opowiedziane Tyszkiewiczowi przez Wielkiego Księcia, według autora wspomnień — nieznanne. Jeden z nich dotyczy ostatniej rozmowy cara z Wielkim Księciem w listopadzie 1916, na terenie głównej kwatery w Mohylowie. Wielki Książę był wówczas ofiarą intryg wszechwładnego Rasputina, który usiłował przekonać cara, że Wielki Książę stara się pozbawić go tronu; co nie było prawdą. W toku dramatycznej rozmowy udało się Wielkiemu Księciu przełamać nieufność cara; gdy po wybuchu rewolucji car abdykował, rezygnując jednocześnie z dowodzenia armią rosyjską, mianował z powrotem Wielkiego Księcia głównodowodzącym. Wkrótce jednak po przybyciu do kwatery głównej w Mohylowie musiał, na skutek interwencji rządu tymczasowego, złożyć swój urząd; wyjechał na Krym. Towarzyszył mu Tyszkiewicz, który pozostał z nim oraz z innymi członkami rodziny cesarskiej na Krymie aż do końca. Tam też odbył się jego ślub z księżniczką Heleną.

Sytuacja na Krymie zaczęła się pogarszać w szybkim tempie. Władzę sprawowały żołnierskie sowiety, przeprowadzając między innymi ciągłe rewizje w poszukiwaniu rzekomej broni. Nie ominęły one również i rodziny Wielkiego Księcia. Anarchia dawała się coraz bardziej we znaki. Zaostrzyła się zwłaszcza po udanym bolszewickim przewrocie w październiku 1917. Gdy na wiosnę 1918 wojska niemieckie zaczęły się zbliżać do Krymu, nad członkami rodziny cesarskiej zawisła groźba śmierci. Wszyscy z wyjątkiem Tyszkiewiczów, mieszkali wówczas w strzeżonym przez

krasnoarmiejców pałacu Dulber. Nie należało tracić ani chwili czasu, jeśli chciało się ich uratować od masakry lub wywiezienia w głąb Rosji. Strażą pilną Romanowych był marynarz floty wojennej, nazwiskiem Zadorożny, człowiek przyzwoity. Tyszkiewicz podjął się ryzykownej misji nocnej, która wymagała pokonania wysokiego muru otaczającego jego domek. Udało mu się zawrzeć z Zadorożnym umowę: w zamian za ochronę życia osób znajdujących się pod jego nadzorem Tyszkiewicz zagwarantował mu nietykalność ze strony Niemców. Bolszewik umowy dotrzymał. Obdarzony biżuterią, kupił sobie kawałek ziemi koło Kijowa, ale po zajęciu miasta przez oddziały bolszewickie został rozstrzelany. Podczas pobytu na Krymie Tyszkiewicz zajmował się również obroną interesów tamtejszej kolonii polskiej, umożliwiając rodakom wyjazd na czas, to znaczy przed ostatecznym wycofaniem się wojsk niemieckich.

Oboje Tyszkiewiczowie opuścili Krym na pokładzie brytyjskiego krążownika „Marlborough” wraz z cesarzową matką Marią Teodorówną, siostrą królowej angielskiej Aleksandry, oraz z rodziną Wielkiego Księcia. Mogli to uczynić, gdyż Krym znajdował się jeszcze wówczas chwilowo we władaniu generała Denikina. Po krótkim pobycie we Włoszech Tyszkiewiczowie udali się przez Paryż do Polski.

Tyszkiewicz wstąpił na ochotnika do oddziału kawalerii, dowodzonego przez słynnego Dąbrowskiego. Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej Tyszkiewiczowie wyjechali do Paryża. Stefan uczęszczał tam do Szkoły Nauk Politycznych i jednocześnie studiował nauki techniczne. Wtedy właśnie zrodził się w jego głowie pomysł samochodów „Stetysz”. Później, w Polsce, Tyszkiewicz był przedstawicielem Fiata i następnie Mercedesa, jak również inicjatorem i organizatorem wystawy Drogowej w Warszawie w 1935.

Po wybuchu wojny we wrześniu 1939 Tyszkiewiczowie musieli się schronić na Litwie Kowieńskiej. Warto przytoczyć charakterystyczny szczegół. Wobec spowodowanego wojną braku benzyny na Litwie, Tyszkiewicz przekonał władze, że da się temu zaradzić przy pomocy generatorów gazowych, zasilanych węglem drzewnym. Udało mu się rzeczywiście uruchomić w ten sposób szereg ciężarówek. Wysławszy żonę i córkę do Włoch, wykorzystywał swoje bliskie stosunki z poselstwem włoskim dla organizowania pomocy i wysyłania Polaków z terenu Litwy via Szwecja na Zachód. Kluczem do tego było bowiem posiadanie wizy włoskiej. Gdy wojska sowieckie zajęły nagle Litwę Tyszkiewicz nie zdążył już wsiąść do pociągu idącego do Warszawy. Zatrzymano go na stacji w Kownie i wywieziono do Moskwy. Przez

dłuższy czas siedział na Łubiance, w warunkach lepszych od tych, które stały się udziałem ogromnej większości Polaków w ZSSR. Fakt koneksji w dworem włoskim zrobił widocznie na przesłuchujących go enkawudystach pewne wrażenie. Chciano go nawet zwolnić z więzienia i pozwolić mu na wyjazd do Włoch, pod warunkiem współpracy z NKWD; oczywiście odmówił. Na skutek interwencji generała Żukowa (na prośbę generała Andersa, który dowiedział się o pobycie Tyszkiewicza w więzieniu od zwolnionych już uprzednio pułkowników Wiśniowskiego i Bąkiewiczza) wypuszczono go z Łubianki 5 września 1941. Wrócił dzięki temu do swego umiowanego zawodu. Generał Anders mianował go szefem parku samochodowego oraz warsztatów reparacyjnych przy formujących się oddziałach polskich.

Gdy później, już w Kujbyszewie, gdy generał Anders oczekiwał zapowiedzianej wizyty generała Sikorskiego, polecił Tyszkiewiczowi udać się do intendencji wojskowej w Uljanowsku dla zdobycia rozrachunków, dotyczących sowieckich dostaw materiałów wojennych dla Polskich Sił Zbrojnych. Wymagało to przejście na piechotę przez nie całkiem jeszcze zamrożoną Wołgę. Mimo tego iż miejscowi ludzie odradzali, Tyszkiewicz zaryzykował. Udało się mu szczęśliwie, ale trzech żołnierze sowieccy, którzy szli za jego śladami zatonęli. Przy tej okazji udało mu się załatwić jeszcze ciekawszą misję, mianowicie widział się z przebywającym tam, po ewakuacji Moskwy, patriarchą prawosławnym Siergiejem. Chodziło o to, że organizujące się Polskie Siły Zbrojne liczyły 7 tysięcy żołnierzy prawosławnych, a ponieważ cerkiew rosyjska nie uznawała autokefalicznej cerkwi prawosławnej w Polsce, uniemożliwiała to odprawianie nabożeństw dla wojskowych. Tyszkiewiczowi udało się uzyskać od patriarchy odpowiedni dokument, załatwiający sporną sprawę.

Po parumiesięcznym pobycie w Teheranie Tyszkiewicz przeniesiony został do Bagdadu, gdzie współpracował przy motoryzacji wojska polskiego ewakuowanego z ZSSR. Odkomenderowano go potem do Kairu, gdzie zajął stanowisko zastępcy oficera łącznikowego przy dowództwie brytyjskim. Formowanie Drugiego Korpusu dobiegało końca i w niedługim czasie oddziały polskie z baz w południowych Włoszech mogły wejść do akcji. O działalności Tyszkiewicza na terenie Włoch w tym okresie była już mowa.

Tak wyglądały — w dużym skrócie — koleje życia Stefana Tyszkiewicza.

Kazimeirz ZDZIECHOWSKI

LISTY DO REDAKCJI

Hollywood, Florida, 3 maja 1978.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Józef Lewandowski w swojej doskonałej recenzji książki o historii porewolucyjnej emigracji rosyjskiej profesora historii i historii literatury Piotra Kowalewskiego „Zarubieźnaja Rossija” (*Zeszyty Historyczne*, zeszyt 43-ci) robi słuszny zarzut autorowi, że pisząc o położeniu emigrantów rosyjskich „znajduje same negatywy”, pisze bowiem, że „byli oni w Polsce prześladowani, nie zezwalano im na tworzenie własnych szkół a w istniejących wprowadzano katolicką katechizację i obowiązek uczęszczania na katolickie nabożeństwa”. Jest to, ogólnie mówiąc, oczywista nieprawda. Kto jak kto, a Rosjanie nie mogą się uskarżać na prześladowania i zakazy w Polsce przedwojennej. Rosjan w przedwojennej Polsce było niewiele. Byli to przeważnie emigranci, których młode pokolenie szybko się polonizowało (znałem w Warszawie młodych Rosjan nie mówiących po rosyjsku). Te, według Piotra Kowalewskiego, „... 5 milionów 250 tys. Rosjan zgodnie ze spisem ludności z 30 września 1921 roku i to przy ogólnym zaludnieniu 27 milionów 177 tysięcy” — to oczywiście prawosławni *Białorusini i Ukraińcy*. Nie będąc zwartą grupą narodowościową, mieszkającą na własnym obszarze etnicznym, Rosjanie tym niemniej mieli kilka szkół średnich ogólnokształcących (gimnazjum w Warszawie, Wilnie i w innych mniejszych miastach na terenach białorusko-ukraińskich), z których żadna (w odróżnieniu np. od szkół białoruskich) nie została przez polskie władze zlikwidowana. Istniały rosyjskie organizacje i towarzystwa kulturalno-oświatowe, studia i teatrzyki dramatyczne, organizacje młodzieżowe, skauting. W Warszawie przez szereg lat ukazywała się codzienna gazeta rosyjska *Za swobodu*, a później tygodnik *Miecz*, w Wilnie 2 dzienniki: *Russkoje Słowo* i *Iskra*, a później *Nowaja Iskra*. Dla kogo były wydawane te pisma? Oprócz rosyjskich emigrantów czytelnikami ich byli głównie duchowni prawosławni, w większości Rosjanie lub zradyfikowani autochtoni — Białorusini i Ukraińcy i zradyfikowana inteligencja białorusko-ukraińska. Toteż pisma te nie były emigracyjnymi.

Niektórzy z wyższych duchownych prawosławnych, jak np. arcybiskup litewski i wileński Eleufery, biskup piński i nowogródzki Pantelejmon Różnowski (pół-Polak, późniejszy, w czasie okupacji niemieckiej, metropolita miński i całej Białorusi), biskup grodzieński Władimir (późniejszy metropolita rosyjski w Paryżu, zastępca wspomnianego przez Józefa Lewandowskiego metropolity Eulogiusza*, postaci wielce kontrowersyjnej), archiman-

* Metropolita Eulogiusz nie stał „przez wiele lat na czele rosyjskiego kościoła prawosławnego za granicą”, jak twierdzi recenzent, lecz przez jakiś czas był członkiem Episkopatu tego Kościoła z siedzibą w Jugosławii z metropolitą Antonim Chrapowickim na czele. Po zerwaniu z zagranicznym Kościołem uznał zwierzchnictwo Moskwy. Później podporządkował swoją diecezję zachodnioeuropejską z siedzibą w Paryżu Patriarchatowi Konstantynopolańskiemu, który mianował go swoim egzarchą.

dryta Szmaragd, ustosunkowali się negatywnie do autokefalii (czyli niezależności od Moskwy) Kościoła Prawosławnego w Polsce, udzielonej przez Patriarchę ekumenicznego w Konstantynopolu Grzegorza III-go w 1924 roku. Szczególnie zaciekle przeciwnikiem autokefalii był archimandryta Szmaragd, który posunął się nawet do zabójstwa w 1923 roku zwierzchnika Kościoła, metropolity warszawskiego, Georgija Jaroszewicza, zwolennika autokefalii.

Że niektórzy Rosjanie starej daty — monarchiści i inni wielkomocarstwowi nacjonaści — „jedinoniedielimcy” z Synodem skrajnie konserwatywnego Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego Za Granicą („Zarubieznaja” — Zakordonowa Cerkiew) na czele — uporczywie nie uznają Białorusinów i Ukraińców jako oddzielne narody, uważając ich za Rosjan („tie ze ruskije”) mimo że jeszcze rosyjska Imperatorska Akademia Nauk w swoim czasie orzekła, iż języki białoruski i ukraiński są samoistne i odrębne od rosyjskiego — to rzecz znana. Ci ludzie już swych poglądów nie zmieniają. Białoruskie przysłowie powiada: „Harbataha tolki mahiła paprawie” (Kulawego tylko grób wyleczy).

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i prawdziwego poważania,

Włodzimierz BRYLEWSKI



Szwajcaria, 14 marca 1978.

Panie Redaktorze!

Dotyczy tomu 182 „Biblioteki Kultury” pt. „Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii 1949-1945”, autor: Franciszek Kalinowski.

Otóż na stronie 231 w historii dywizjonu 305 jest błąd w opisie wyprawy, która według autora odbyła się 31 lipca.

Ja brałem udział w tej wyprawie i według moich zapisów ta wyprawa odbyła się 21 sierpnia. Start był o godzinie 15.35 i wróciliśmy o godz. 19.35. Brało udział sześć załóg a nie pięć. W szóstej załodze był F/Lt. Moseley z F/Sgt. Nugent. Celem był zbiorniki benzyny: trzy a nie cztery. Miejscowość Nomexy jest na południe od Nancy, a nie na północ. Znajduje się przy drodze między Nancy a Epinal, bliżej tej ostatniej miejscowości. Wszystkie trzy zbiorniki zapalił mjr Grodzicki ogniem z działek. A ile tam było benzyny to nie zapisałem, bo nie miałem czasu zmierzyć.

Tyle mej historii.

Z poważaniem,

Adam SZAJDZICKI



Plattsburgh, N.Y., 1 maja 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

W pracy mojej „Na 30-lecie Wyborów w Polsce”, *Zeszyty Historyczne* nr 43-ci, na str. 18, wiersz 12 od góry, przy nazwie „Krajowej Rady Ministrów” w nawiasie mylnie podano „(KRN)” zamiast „(KRM)”. Podobnie niżej w wierszu 18 od góry winno być też „KRM” zamiast „KRN”. Stało się to, wydaje mi się, w wyniku mego przeoczenia w przesłanym Panu Redaktorowi tekście.

Nadto na stronie 20-ej przy omawianiu wystąpienia Zygmunta Żuławskiego w dyskusji nad *exposé* premiera Cyrankiewicza nie jest ściśle stwierdzenie, że „Było to ostatnie publiczne wystąpienie Żuławskiego”, gdyż przemawiał on jeszcze w czerwcu 1974, poddając ostrej, rzeczowej krytyce przedłożony przez rząd projekt budżetu.

Wobec powyższego uprzejmie proszę o łaskawe zamieszczenie w następnym numerze *Zeszytów Historycznych* powyższego sprostowania.

Łączę wyrazy poważania,

Stanisław WÓJCIK

ZAWARTOŚĆ ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH

Nr. 1 - 43

Zeszyt 1-szy. Paryż, 1962, str. 236. — Redakcja: *Słowo wstępne; Nieznane exposé premiera Tomasza Arciszewskiego na posiedzeniu Rady Narodowej w Londynie w dn. 15. I. 1945 r.* (podał do druku Adam Ciołkosz); Zygmunt Nagórski, sr.: *Aleksander Lednicki (1866-1934);* Wacław Lednicki: *Aleksander Lednicki (Oszczersztwa i prawda);* Leon Mitkiewicz: *Powstanie Warszawskie; Wacław Jędrzejewicz: F.O.N. w czasie drugiej wojny światowej; Indeks nazwisk do trzech tomów „Najnowszej Historii Politycznej Polski” Władysława Pobóg-Malinowskiego* (opracowała Zofia Szeli-ga, pseud.).

Zeszyt 2-gi. Paryż, 1962, str. 238. — Bazyli Rogowski: *Wspomnienia o Marszałku Śmigłym;* Edward Rydz Śmigły: *Czy Polska mogła uniknąć wojny; Władysław Pobóg-Malinowski: Nieznane listy Józefa Piłsudskiego; Józef Piłsudski: Listy; Nowości historyczne: bibliografia ukraińska, bibliografia angielska.*

Zeszyt 3-ci. Paryż, 1963, str. 238. — Piotr Wandycz: *Trzy dokumenty: przyczynek do zagadnienia wojny przewencyjnej; Franciszek Kalinowski: Naczelni wodzowie i lotnictwo; Tadeusz Nowacki: Czy mogliśmy uniknąć klęski wrześniowej; Adam Uziembło: Z okazji niedawnej rocznicy. Relacje i wspomnienia (Okres Niepodległości); Tadeusz Święcicki: Jak prof. Władysław Smoleński o mało nie został premierem; Wiktor Sukiennicki: „Made-moiselle” Piłsudskiego; Jerzy Grobicki: Dwa niedoszące zamachy; Walerian Mercik: Wspomnienia z „wypadków majowych”; Leon Orłowski: Pierwsze wiadomości o wojnie. Relacje i wspomnienia (Okres wojny). Michał Borwicz: „Inżynierowie dusz”; Leon Mitkiewicz: Z paryskiej „Reginy” do londyńskiego „Rubensa”; Tadeusz Katelbach: Łoże. — Omówienia; Jakub Hoffman: Dzieje Ławry Poczajowskiej; Stanisław Bór-Tylingo: Głos niemieckiego przyjaciela.*

Zeszyt 4-ty. Paryż, 1963, str. 237. — Jerzy Mond: *O nieznanej dyskusji Gomułki z dziennikarzami. Relacje i wspomnienia (Okres Niepodległości)*; Wacław Chocianowicz: *Sejm wileński w 1922 roku*; W[acław] A[lfred] Zbyszewski: *Nieznane testimonium o Piłsudskim*; Stanisław Fischlowitz: *Kiedy wojna rozpoczęła się naprawdę. Relacje i wspomnienia (Okres wojny i późniejszy)*. Feliks Frankowski: *Kryzysowy okres w stosunkach polsko-francuskich*; Kazimierz Bagiński: „Proces szesnastu” w Moskwie; Wanda Ładniewska-Blankenheimowa: *Z dwóch ostatnich lat Boya. Historiografia sowiecka*. L. Nikulin: *Pochód za Wisłę. Masoneria w Polsce*. Tadeusz Święcicki: „444” czyli „czysta ręka”; Tadeusz Święcicki: *List do redakcji „Zeszytów”*; Marian Kukiel: *List do redakcji „Zeszytów”*. Polemiki. Tadeusz Wasilewski: *W sprawie apologetyki A. Lednickiego*; K. Florek: *Na marginesie „Historii” gen. Kukieła. Przegląd wydawnictw*. Paweł Zaremba: *Najnowszy tom „Niepodległości”*; Zygmunt Markiewicz: *Ludzie starej Ukrainy. Nowości historyczne*. jmb: *Bibliografia węgierska. Listy do redakcji „Zeszytów”*: Wacław Jędrzejewicz; Franciszek Kalinowski; Tadeusz Nowacki; Zdzisław Szczerbiński, Tadeusz Święcicki; Wiktor Turek.

Zeszyt 5-ty. Paryż, 1964, str. 254. — *Dokumenty*. Adam Ciołkosz (podał do druku): *Druga podróż Mikołajczyka do Moskwy*; Jerzy Mond (opracował): *Niektóre materiały z narady aktywu centralnego w sprawie sytuacji na froncie kulturalnym w dn. 23. XII. 1955; Komunistyczna broszura z listą prowokatorów. Relacje i wspomnienia (Okres Niepodległości)*. Stanisław Lubo-dziecki: *Wypadki Listopadowe 1923 roku w sądzie wojskowym (Sprawa gen. dyw. J. Czikiela i innych oficerów)*; Leon Litwiński: *Polacy w życiu belgijskim. Relacje i wspomnienia (Okres wojny)*. Dr Henryk Speedby: *Choroby tagierne. Sąsiedzi*. Peter I. Gosztony: *Pał Maleter — Rewolucyjny generał*; Wiktor Sukienicki: *Moskwa a Ukraina po klęsce Niemiec w 1918 roku. W obcych oczach*. L. Bykowski: *Polskie powstanie w Warszawie w roku 1944*; N. Popiel, gen. porucznik: *Jak „uwalniano” Polskę. Listy i polemiki. Zamknięcie dyskusji*. Zygmunt Nagórski, sen.: *Jeszcze o masonerii*; Tadeusz Święcicki; Tadeusz Katelbach; Marian Kukiel; Michał Borwicz.

Zeszyt 6-ty. Paryż, 1964, str. 239. — *Słownik biograficzny ofiar terroru PRL*; Gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz: *Jak powstała Armia Krajowa. W 20-lecie Powstania*; Witold Babiński: *Powstanie Warszawskie*; Z. S. Siemaszko: *Łączność radiowa sztabu N.W. w okresie Powstania Warszawskiego. Rumunia 1939 roku*. Jan Kowalewski: *Cykl rumuński*; Alfred Poniński: *Wrzesień 1939 w Rumunii. Kronika*. Tytus Komarnicki: *Symposium historyków polskich i niemieckich w Londynie. Książki*. Piotr Wandycz: *Diariusz i teki Jana Szembeka*; Zygmunt Markiewicz: *U źródeł klęski dyplomatycznej Powstania Styczniowego*; Piotr Wandycz: „Teki historyczne”. *Listy do redakcji „Zeszytów”*.

Jeszcze o masonerii. Tadeusz Katelbach; Tadeusz Święcicki; Tadeusz Katelbach; Janusz Laskowski.

Zeszyt 7-my. Paryż, 1865, str. 240 — Kazimierz Okulicz: *Białorusini, Litwini i Polacy w Powstaniu Styczniowym na Litwie historycznej*; Franciszek Kalinowski: *Lotnicza legenda w świetle historii*; Tadeusz Katelbach: *Akt pierwszy dramatu (Z dziejów emigracji)*; Feliks Mantel: *Szkice pamiętnikarskie (Fragment)*; Inż. S. Tarwid: *Wspomnienia kolejarza z drugiej wojny światowej*; Jan Roland: *Partyzantka na Wileńszczyźnie*; Damian S. Wandycz: *Likwidacja polsko-rumuńskiej umowy naftowej w roku 1939. Książki.* Marian Kukiel: *Edward Czapski: Litwa i Żmudź w dobie Powstania Styczniowego*; Piotr Wandycz: *Karta z przeszłości; Wacław Soroka (pseud. „Halny”): Bataliony Chłopskie na Lubelszczyźnie. Polemiki. Na marginesie artykułu Z. S. Siemaszki w 6-tym „Zeszycie Historycznym”*; Uwagi b. pracownika Oddz. Spec. Sztabu Nacz. Wodza; S. Popkiewicz; Kpt. Łączn. S. Kisiel; Witold Babiński: *Refleksje rocznicowe*; Czesław Świrski: *Wyjaśnienia. Listy do redakcji.* M. Biesiekierski; Jan Kowalik; Roman Królikowski.

Zeszyt 8-my. Paryż, 1965, str. 239. — Franciszek Kalinowski: *Polskość Battle of Britain*; Tadeusz Katelbach: *Akt pierwszy dramatu (dok.)*; Jerzy Paszkowski: *Wybuch drugiego Powstania Śląskiego*; Kazimierz Bagiński: *Cenzura w Polsce*; Jakub Hoffman: *Ze wspomnień o marszałku Rydzu Śmigłym*; Michał Łubieński: *Włodzimierz Żabotyński. Dokumenty.* Adam Ciołkosz (opr.): *Ostatnie dokumenty Polski Podziemnej*; Piotr Wandycz: *Nieznane listy Petlury do Piłsudskiego. Polemiki. Z[bigniew] S[ebastian] Siemaszko: Łączność i polityka. Książki.* Tadeusz Nowacki: *Marginesy historii 2-go Korpusu*; Piotr Wandycz: *O Lidze Narodowej*; Leon Mitkiewicz: *Przedwrześniowe Wojsko Polskie w krzywym zwierciadle*; Jerzy Grobicki: *Kawaleria samodzielna Rzeczypospolitej Polskiej w wojnie 1939 roku. Listy do redakcji.* Witold Grabowski (Sprawa Brzeska); Jerzy Pomian.

Zeszyt 9-ty. Paryż, 1966, str. 239. — Kazimierz Okulicz: *Ostatni akt dramatu Józefa Piłsudskiego (1920-1922)*; Karol Popiel: *Wybór Prezydenta Ignacego Mościckiego. Ostatnia wojna a Polska.* Stanisław Żochowski: *Czy Polska mogła uniknąć klęski?*; Tadeusz Nowacki: *Miękkie podbrzusze Europy i sprawa polska*; Tadeusz Rudnicki: *Konferencja teherańska*; Janusz Laskowski: *Radiostacja „Świt” (Cz. I). W obcych oczach.* Georges Lory; *Polska nazajutrz po I-ej wojnie*; Guido Soro: *Upadek Polski. Wspomnienia o ludziach.* Stanisław Mackiewicz: *Stulecie urodzin Władysława Studnickiego*; Witold Babiński: *Kazimierz Fudakowski*; Jan Galewicz: *Wspomnienie o Abrahamie Gepnerze. Książki.* Tadeusz Nowacki: *Pamięniki gen. Kopańskiego*; Piotr Wandycz: *Druga wojna światowa widziana z Ankary. Polemiki i listy.* Adam Ciołkosz: *Sprawa brzeska*; Kazimierz Bagiński: *Jeszcze*

o sprawie brzeskiej; Stanisław Biegański: *Nurt dziejów 2-go Korpusu*; Stanisław Lubodziecki: *Adwokat ma być rzecznikiem prawa i słuszności*; Leon Mitkiewicz: *Legendomania p. Katelbacha. Jeszcze o tęczności*. S. Popkiewicz; Z. S. Siemaszko.

Zeszyt 10-ty. Paryż, 1966, str. 238. — Wacław Lednicki: *Rosyjsko-polska entente cordiale* (jej początki i fundamenty 1903-1905). Indeks nazwisk; Wacław Jędrzejewicz: *Sprawa wojny przewencyjnej z Niemcami w 1933 roku*; Edward Puacz: *Powstanie warszawskie w protokołach P.K.W.N.*; Zygmunt Nagórski, sr.: *Sprawa brzeska. Ostatnia wojna*. Janusz Laskowski: *Radiostacja „Świt”* (dok.). Recenzje. Michał Łubieński: *Pamiętniki Jana Gawrońskiego*. Polemiki i listy. Adam Ciołkosz, Gustaw Łowczowski; Piotr Wandycz; Czesław Ciechoński.

Zeszyt 11-ty. Paryż, 1967, str. 239. — Jan Weinstein: *Władysław Studnicki w świetle dokumentów hitlerowskich* *Drugiej Wojny*; Jan Weinstein: *Dokumenty w sprawie zamordowania przez Gestapo b. premiera, prof. Kazimierza Bartla*; Stanisław Kot: *Wspomnienia*, cz. I; Adam Ciołkosz: *Nieznany memoriał Stanisława Mackiewicza*; Tadeusz Nowacki: *Ludowe Wojsko Polskie* (cz. I); Mieczysław Młotek: *Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich* (cz. I); Stanisław Lubodziecki: *Wspomnienia oficera Drugiej Grupy* (cz. I). Recenzje. Stanisław Bóbr-Tylingo: *Okaleczona „Historia Polski”*; Tadeusz Katelbach: *Przeobrażenia Adama Pragiera*; Tadeusz Nowacki: *Wspomnienia płk. M. Romeyki*; E. Żagieł, pseud. [i.e. Edmund Jakubowski]: *Ze stosunków polsko-litewskich. Polemiki i listy*. W. T. Drymmer i Michał Łubieński: *Na marginesie książki J. Gawrońskiego*; Witold Babiński i E. J. Czerniawski: *Na marginesie wywiadu prof. J. Zawodnego z gen. T. Bór-Komorowskim*. Listy. Krystyna Marek; Włodzimierz V. Poptawski.

Zeszyt 12-ty. Paryż, 1967, str. 240. — Piotr Wandycz: *Z zagadnień współpracy polsko-ukraińskiej w latach 1919-1920*; Tadeusz Nowacki: *Ludowe Wojsko Polskie* (dok.); Z. S. Siemaszko: *Retinger w Polsce w 1944 roku*; Mieczysław Młotek: *Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich* (dok.). *Wspomnienia*. Józef Jaklicz: *17 września 1939 roku w Sztabie Naczelnego Wodza*; Stanisław Kot: *Wspomnienia* (II); Tadeusz Nowacki: *Stefan Mossor*; Stanisław Lubodziecki: *Wspomnienia oficera Drugiej Grupy* (dok.); Stanisław Żochowski: *Wstęp do wspomnienia o płk. Ignacym Oziwiczu*. Recenzje i polemiki. Wacław Jędrzejewicz: *Wypadki majowe w Polsce w 1926 roku*; ERKA, pseud. [i.e. Roman Królikowski]: *Legenda o prawdzie*; Janusz Laskowski: *List do Redakcji*.

Zeszyt 13-ty. Paryż, 1968, str. 239. — Tadeusz Katelbach: *Zet*; Wiktor Tomir Drymmer: *Zagadnienie żydowskie w Polsce, 1935-1939. Wspomnienia*. Stanisław Kot: *Wspomnienia* (III); Edward Puacz (opr.): *Powstanie warszawskie w notatkach Adama Bienia*;

Witold Babiński: *Ze wspomnień o Józefie Lipskim. Dokumenty.* Tadeusz Romer: *U kolebki pewnego sojuszu*; Jan Weinstein: *Scenariusz ministra Gafencu; Wypadki krakowskie w ocenie sądu. Przedruki.* O Marsz. Piłsudskim w... 1941 roku; Czesław Bobrowski-Korolko: *Nakaz wielkości*; Henryk Jabłoński: *Piłsudski jako historyk. Recenzje i polemiki.* ERKA, pseud. [i.e. Roman Królikowski]: *Na marginesie „Bitwy o tajemnice”*; Tadeusz Nowacki: *20 lat Ludowego Wojska Polskiego*; Tadeusz Nowacki: *Jeszcze o kampanii wrześniowej*; Sabin Popkiewicz: *Szczegóły łączności radiowej między Londynem a Warszawą*; Leon Mitkiewicz: *Smutne post-factum*; Karol Popiel: *Wobec „Mojej tułaczki” Wincentego Witosa. Listy do Redakcji.* George G. Fuz; Stanisław Edward Bask-Mostwin; Tadeusz Pełczyński; Tadeusz Tchórzewski (2 listy).

Zeszyt 14-ty. Paryż, 1968, str. 239. — [Redakcja] *Do Czytelników*; Kazimierz Iranek-Osmecki: *Polacy i Żydzi 1939-1945*; Maximilian Tauchner: *W bolesną rocznicę*; Tadeusz Nowacki: *Generał Kazimierz Sosnkowski*; Stanisław Biegański: *Rozkaz Nr 19 Generała Sosnkowskiego i kryzys polityki polskiej*; Franciszek Kalinowski: *Lotnictwo polskie w bitwie o Atlantyk. Wspomnienia.* Stanisław Kot: *Wspomnienia (dok.)*; Roman Królikowski: *Operation Polejum. Dokumenty.* Józef Frejlich: *Trybuna. Recenzje.* Anna Maria Cieniąła: *Interpretacje historyczne: Józef Beck*; Piotr Wandycz: *Kryzys polskiego parlamentaryzmu w Drugiej Rzeczypospolitej*; Piotr Wandycz: *Na marginesie historiografii krajowej*; Stanisław Bóbr-Tylingo: *W kręgu wielowiekowej przyjaźni*; Roman Królikowski: *Wojsko Polskie*, ERKA, pseud. [i.e. Roman Królikowski]: *Generał Józef Zajac*; Przedpłata na dzieło prof. Stanisława Kościakowskiego. *Listy i polemiki.* Józef Garliński; Józef Jaklicz; Stefan Korboński; Mieczysław R. Młotek; Stanisław Żochowski.

Zeszyt 15-ty. Paryż, 1969, str. 254. — *Do Czytelników*; Przedpłata na książkę Franciszka Kalinowskiego pt. „*Lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii*”; Stefan Żeromski: *Na plebanii w Wyszкові*; Adam Ciołkosz: *Broń dla getta Warszawy*; Peter Raina: *Władysław Gomułka (Próba biografii).* Powstanie warszawskie w obcych oczach. Józef Matecki: *Dziennik działań Niemieckiej 9-tej Armii*; Konstantin Rokossowski: *O Powstaniu Warszawskim*; N. Mar: *Skok. Wspomnienia.* Lesław Jurewicz: *Niepożrebny*; Edward Puacz: *Sprawa granic Polski w układach między P.K.W.N. a ZSSR*; Dawid Klin: *Dwudziesta rocznica likwidacji Polskiej Partii Socjalistycznej. Dokumenty.* Witold Sworakowski: *Nieznane listy rosyjskie Józefa Piłsudskiego. Recenzje.* Stefan W. Wojstomski: *Weygand-Rozwadowski — 1920*; Tadeusz Nowacki: *Z ostatniej półki*; Piotr Wandycz: *Odezwa Rządu Tymczasowego z marca 1917 a interwencja angielska. Listy i polemiki.* M. K. Dziewanowski i John Weiss; Józef Garliński; Franciszek Kalinowski; Tadeusz Katelbach (Czytelnicy *Zeszytów Historycz-*

nych o ZECIE); Józef Osiniński; Pan K. (b. pracownik Oddziału Specjalnego; Sabin Popkiewicz.

Zeszyt 16-ty. Paryż, 1969, str. 239. — Do Czytelników; Z. S. Siemaszko: *Powstanie Warszawskie — kontakty z ZSSR i PKWN*; Anna Maria Cienciąża: *Polityka brytyjska wobec odrodzenia Polski. 1914-1918. Dokumenty*. Juliusz Łukasiewicz: *Wspomnienia z 1939 roku — Zmiany na stanowisku Prezydenta R.P.* (Opracował i opatrzył przypisami Wacław Jędrzejewicz); G. K. Żukow: *O Powstaniu Warszawskim i Polsce*; *Lista awansów oficerskich dokonana przez prezydenta Augusta Zaleskiego w okresie od 1954 do połowy 1969 roku*. Wyjaśnienia Redakcji. *Wspomnienia i relacje*. Wiktor Tomir Drymmer: *Pierwsze i ostatnie dni niepodległości Polski — Rok 1918-1939*; Tadeusz Katelbach: „Szlachetny” — wspomnienia o Adamie Kocu; Janusz Kazimierz Zawodny: *Raport dowódcy plutonu A.K. z Powstania Warszawskiego*. Recenzje. Tadeusz Nowacki: *O Polsce, Francji i wojnie*; Piotr Wandycz: *Stosunki polsko-sowieckie podczas drugiej wojny światowej*; Witold Leitgeber: *Dwie książki o Dmowskim*. *Listy i polemiki*. Witold Babiński: *Pokłosie dyskusji*; Stefan Korboński: *Uwagi do „Najnowszej Historii Politycznej Polski”, t. III Władysława Pabóg-Malinowskiego*; Stanisław Biegański; Z. S. Siemaszko: *Celina 1^o voto Broniewska 2^o voto Holm*; A. J. Mercik; Edward Puacz.

Zeszyt 17-ty. Paryż, 1970, str. 239. — Stanisław Kirkor: „Korespondencje” *petersburskie Józefa Ignacego Kraszewskiego*; Wiktor Sukiennicki: *Balfour a Polska. Polska a Litwa*. Wiktor Sukiennicki: *Wilno na schyłku rządów carskich*; *Litwa wobec wojny* (Poufny memoriał Michała Romera z sierpnia 1915); Wacław Jędrzejewicz: *Sprawa Wilna w lipcu 1920 roku*. *Wspomnienia i relacje*. Witold Babiński: *Gen. Kazimierz Sosnkowski*; Leon Mitkiewicz: *Placówka „Star”*; Jerzy Nakaszydce: *Profesor Dr Roman Smal-Stocki (1893-1969)*. *In Memoriam*. Recenzje. Piotr Wandycz: *Nowa Historia Polski po angielsku*; Piotr Wandycz: *Nowy tom „Diariusza” Szembeka*; Roman Królikowski: *Książki wydane w Kraju*; A. K.: *Epitafium dla szpiega*. *Listy i polemiki*. Franciszek Demel; Franciszek Kalinowski; Józef Garliński; Antoni Baranowski; Władysław Baśkiewicz; Janina Pierre-Skrzyńska; Stefan Witold Wojstomski.

Zeszyt 18-ty. Paryż, 1970, str. 239. — Sabin Popkiewicz: *Łączność radiowa z Krajem po Powstaniu Warszawskim*; Stanisław Żochowski: *O Sztabie Głównym i Wyższej Szkole Wojennej*; Józef Garliński: *Oświęcim walczący*; Piotr Wandycz: *Jeszcze o misji Jerzego Potockiego w 1933 roku*. *Wspomnienia*. Doman Rogoyński: *Płk Józef Beck więźniem w Rumunii*; Stanisław Kirkor: *Urywek wspomnień*; Adam Bromke: *Kronika Zastępu „Dębów”*; Józef Lewandowski: *Pamięci Michała Szulmana*; Tadeusz Długoszowski: *Urywki wspomnień. Na 25-lecie P.R.L.* *Słowniczek polityczny dla żołnierzy*; *Do wszystkich członków Polskich Sił*

Zbrojnych; Sposób traktowania żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych powracających do kraju. W ZSSR o powstaniu warszawskim. K. K. Rokossowski: Warszawa (Fragmenty); J. Niemczyński: Warszawa w ogniu. Polemiki. Włodzimierz Onaciewicz: Komentarze do książki Leona Mitkiewicza „Z generałem Sikorskim na obczyźnie”; Józef Łobodowski: Sprawa rewindykacji . . . ponownie; Józef Jaklicz: „Mózg Armii”. Recenzje. Stanisław Sęp-Szarzyński: Z dziejów polskiego lotnictwa; Anna Cienciąła: Stosunki polsko-sowieckie — Federalizm — Polityka polska — 1914-1921; Kazimierz Iranek-Osmecki: Szkodliwa książka; Józef Łobodowski: „W Polsce za drutami”. Listy do Redakcji. A. Kosiński; Doman Rogoyski; Wiktor Sukiennicki.

Zeszyt 19-ty. Paryż, 1971, str. 239. — Polska w obcych oczach. Charles de Gaulle: Bitwa o Wisłę; Redakcja: „Revue de Paris”; Jacques Weygand: „Weygand — mój ojciec” — Bitwa o Warszawę — 1920; Gen. S. Sztienienko: Na drodze do zwycięstwa. Dokumenty. Stanisław Kirkor: Listy Stanisława Grabskiego (1941-1949); Zygmunt Jundziłł: List do Prezydenta Raczkiewicza; Nota biograficzna Zygmunta Jundziłła. Wspomnienia. Rudolf Lessel: Historia jednej gazety; Jerzy Ros: Henryk Holand — ostatnia ofiara Berii; Helena Radlińska. Maria Czapka: Rozmowy; Kazimierz Bagiński: Helena Radlińska w ruchu ludowym; Wanda Pełczyńska: Lata 1913-1921; Józef Piłsudski: Listy do Leona Wasilewskiego; Jakub Hoffman: Helena Radlińska jako łączniczka; Anna Bogusławska: W czasie drugiej wojny światowej i potem; Anna Bogusławska: Szkoła „jutrzejsza” i jej kierowniczka; Zofia Gulińska-Mondschein: Wspomnienia; Jadwiga Różankowska: Gospodarstwo „Babci”. Polemiki. Leon Mitkiewicz: Napastliwe komentarze; Witold Babiński: Ambasada w Moskwie; Adam Ciołkosz: Historiozofia — czy mitomania? Książki. Piotr Wandycz: Pseudohistoria. Listy do Redakcji. Stanisław Biegański; Franciszek Kalinowski; Stanisław Kirkor; Stefan Korboński; W. M. Marcinkowski; Jan Roland; Piotr Wandycz.

Zeszyt 20-ty. Paryż, 1971, str. 255. — Witold Babiński: Prasa angielska w sprawach polskich na przełomie lat 1943-1944; Stanisław Kirkor: Próby dozbrowienia Polski; Paweł Korzec: Materiały do studiów nad historiografią Polski Ludowej (w zakresie historii najnowszej); Tadeusz Katelbach: Na stanowisku wojewody pomorskiego. Dokumenty. Józef Beck: Preliminaria polityczne do wojny 1939 roku; Fotografia grobu Józefa Becka; Józef Beck: Komentarze do historii dyplomatycznej wojny 1939 r.; Leon Mitkiewicz: Nieznane prace min. Józefa Becka. Relacje i wspomnienia. Stanisław Kirkor: Ewakuacja Ministerstwa Skarbu w 1939 r.; Ludomir Rayski: Złoto polskie; Jan Kligert: Nieznane losy Kostka-Biernackiego; Michał Borwicz („Zygmunt”): Kartki z działalności O.W. i O.B.-P.P.S.; Wacław H. Bniński: Ziemianie z podziemia; Józef Czapka: List. Polemiki. Władysław Michniewicz: „Szkodliwa książka”?; Józef Mackiewicz: „Redak-

tor" Bohdan Mackiewicz; Maurice Adus: *Na marginesie „Pamiętników” Witosa* (W 50-tą rocznicę Jabłonny); Adam Ciołkosz: „Dzielnica żydowska” obozu w Jabłonnii; Józef Lewandowski: *O wojnie 1920 roku... inaczej. Recenzje.* Stanisław Swianiewicz: *Próba uprzemysłowienia Litwy w XVIII wieku*; Józef Lewandowski: „Historia Polski” Stefana Kieniewicza; Józef Lewandowski: *Czesi a Polacy*; Taras Hunczak: „Ukraiński historyk”; Roman Królikowski: *Z cyklu „Dokumenty”*; Roman Królikowski: *Przygotowania niemieckie do agresji na Polskę w 1939 roku. Listy do Redakcji.* Czesław Ciechoński; Redakcja.

Zeszyt 21-szy. Paryż, 1972, str. 239. — Z. S. Siemaszko: *Grupa Szańca i Narodowe Siły Zbrojne*; Lucjan Dobroszycki: *Prasa w Polsce w okresie kampanii wrześniowej i niemieckiego zarządu wojskowego (wrzesień-listopad 1939 roku).* Nota biograficzna; Stanisław Kirkor: *Sprawy finansowe Polski w przededniu ostatniej wojny. Wbrew cenzurze.* Stanisław Stempowski: *Ukraina (1919-1920)*; Adam Krzyżanowski: *Dzieje najnowsze Polski w oczach Zachodu* (cz. I). *Dokumenty.* Kazimierz Iranek-Osmecki: *Sprawozdanie i dziennik podróży emisariusza Antoniego. Wspomnienia.* Były Żołnierz A.K.: *5-ta Brygada Wileńska A.K. mjr. Łupaszki*; Franciszek Kalinowski: *Sprawa podchorążych w Eastchurch*; Paulina Ola Watowa: *Paszportyzacja*; Leon Mitkiewicz: *Likwidacja Polskiej Misji Wojskowej w Stanach Zjednoczonych w 1945 roku. Sądziędzi.* Józef Lewandowski: *Historycy czeszy i słowaccy; Memoriał Amorta-Krala* (przełożył Józef Lewandowski). *Recenzje.* Tadeusz Katelbach: „Szosa się skończyła”...; Jerzy Iranek-Osmecki: *Powstanie Warszawskie.* Nota biograficzna autora; Franciszek Kalinowski: *Książki o polskim lotnictwie (Historia polskich konstrukcji latających; „1000 słów o samolocie i lotnictwie”; O poznańskich myśliwcach)*; Witold Babiński: *O pakcie — altera pars.* Listy do Redakcji. Stanisław Biegański: Stanisław Kirkor; Leon Mitkiewicz; Karol Popiel; Edward Puacz; Z listu W. T. Drymmera do redaktora Zeszytów Historycznych.

Zeszyt 22-gi. Paryż, 1972, str. 238. — Paweł Korzec: *Materiały do studiów nad historiografią PRL w zaresie historii najnowszej*; E. Żagiell, pseud. [i.e. Edmund Jakubowski]: *Dwadzieścia lat niepodległej Litwy*; Piotr Wandycz: *Sprawa Józefa Becka jako atak chę wojskowego w Paryżu. Dokumenty.* Stanisław Kirkor: *Rozmowy polsko-sowieckie w 1944 roku*; Kazimierz Iranek-Osmecki: *Meldunek specjalny 1/R Nr 242. Pociski rakietowe*; *Sprawozdanie Komisji Specjalnej Rady Narodowej R.P. z dotychczasowego wyniku jej prac*; Józef Lewandowski: *Instrukcja K. Skirmunta*; *Konstanty Skirmunt: Instrukcja ogólna dla placówek*; *Władysław Gomułka na aktywie partyjnym Huty Warszawa* (cz. I). *Wspomnienia.* Leon Barański: *Rozmowa z Marsz. Śmigłym-Rydzem*; K. Rdułtowski: *Józef Piłsudski w Mińsku*; Wiktor T. Drymmer: *Zespoły dyskusyjne i organizacje tajne. Poprawki historyczne.* Bogusław Miedziński: *Sprostowanie spoza grobu* (ze wstępem

Tadeusza Święcickiego). *Polemiki*. St. Żochowski: *Uwagi do „Grupy Szańca i N.S.Z. Z. S. Siemaszki; Z. S. Siemaszko: Wyjaśnienie; Jan Kowal: List; Roman Zambrowski: Wspomnienia czy fikcja literacka; Ludomir Wymar: Uwagi do recenzji prof. T. Hunczaka na temat „Ukraińskiego Istoryka”. Recenzje*. Witold Babiński: *Na marginesie książki J. M. Ciechanowskiego; Adam Krzyżanowski: Dzieje najnowsze Polski w oczach Zachodu (dok.); Z. S. Siemaszko: Wspomnienia wileńskiego Akowca; Piotr Wandycz: Polska a Francja w okresie między wojnami; George Gömöri: Polska i Węgry między wojnami; Tadeusz Katelbach: „O Wielkopolsce, złocie i dalekich podróżach”; Stanisław Bóbr-Tylingo: Niemiecki wrzesień w Polsce. Listy do Redakcji; Anna Cienciała; Stanisław Kirkor; Rudolf Lessel; Adam Polowiec.*

Zeszyt 23-ci. Paryż, 1973, str. 239. — Józef Lewandowski: *Funkcje specyficzne historycyzmu w krajach systemu sowieckiego; Paweł Korzec: Materiały do studiów nad historiografią PRL w zakresie historii najnowszej (III). Dokumenty*. Witold Babiński: *Wymiana depesz między Naczelnym Wodzem i Dowódcą Armii Krajowej 1943-1944 (Cz. I); Władysław Gomułka na aktywie partyjnym Huty Warszawa (dok.). Wspomnienia*. Stanisław Stempowski: *Z pamiętnika (Wojna. Pogrom — 1914-1917). Przyczynki historyczne*. Bogusław Miedziński: *Ze wspomnień o Walerym Sławku (Uwagi wstępne Tadeusza Święcickiego). Z Archiwum śp. Władysława Pobóg-Malinowskiego*. Jan Kowalewski: *Kierunek na Lwów w 1920 roku; Jan Kowalewski: Dlaczego 17 września?; Jan Librach: Nota o „Akcji Kontynentalnej”. Polemiki*. Z. S. Siemaszko: *Szara eminencja w miniaturze; Aleksander Litwin: O drugiej Rzeczypospolitej — inaczej. Recenzje*. Wiktor Sukiennicki: *Amerykańska praca habilitacyjna o Białorusi; Maria Danilewiczowa: Dyplomaci angielscy o Marszałku Piłsudskim; Tadeusz Nowacki: „W kraju i na obczyźnie” Jerzego Kirchmayera; Józef Lewandowski: Emigracyjne periodyki historyczne: „Teki Historyczne” i „Niepodległość”. W obcych oczach. O Polakach w miesięczniku „Ecrits de Paris” i w książkach: Susanne Bidault, Simone de Beauvoir i Christian de la Maziere. Listy do Redakcji*. Józef Baraniecki; Wacław Bniński; Józef Jaklicz; Tadeusz Katelbach; January Nazorek; Z. S. Siemaszko; Tadeusz Sołowij; Wiktor Sukiennicki.

Zeszyt 24-ty. Paryż, 1973, str. 239. — Spór o wydarzenia marcowe; Paweł Korzec: *Materiały do studiów nad historiografią PRL w zakresie historii najnowszej (IV); Aleksander Litwin: Prawda o Radach Robotniczych. Wspomnienia*. Stanisław Stempowski: *Z pamiętnika (dok.). Dokumenty. Protokoły KC (1945); Witold Babiński: Wymiana depesz między Naczelnym Wodzem a Dowódcą Armii Krajowej 1943-1944 (cz. II). Przyczynki historyczne*. Z. S. Siemaszko: *Misja kuriera politycznego Mostwina; Józef Lewandowski: Prehistoria paryskich perypetii Becka. Recenzje*. Józef Lewandowski: *Roman Dmowski — Andrzeja Mi-*

cewskiego; Józef Lewandowski: „Pamiętniki” Karola Wędrzigołskiego; ag.: *Bibliografia druków konspiracyjnych. Listy do Redakcji.* Aleksander Korczyński; Józef Lewandowski (odpowiedź).

Zeszyt 25-ty. Paryż, 1973, str. 239. — Władysław Żeleński: *Zabójstwo ministra Pierackiego*; Z. S. Siemaszko: *Rozmowy z kapitanem Szabunią*; Roman Buczek: *Tragedia Ryszarda Świętochowskiego*; Paweł Korzec: *Materiały do studiów nad historiografią PRL w zakresie historii najnowszej* (V) (dok.). *Dokumenty.* Witold Babiński: *Wymiana depeš między Naczelnym Wodzem a Dowódcą Armii Krajowej 1943-1944* (cz. III). *Listy do Redakcji.* Zygmunt Zawadowski: *Akcja Kontynentalna.*

Zeszyt 26-ty. Paryż, 1973, str. 239. — Zbigniew Brzeziński: *Współzawodnictwo*; Stanisław Kirkor: *Rola Benesza w sprawie polskiej w 1944 roku. Dokumenty.* Jerzy Michalewski: *Relacja*; Witold Babiński: *Wymiana depeš między Naczelnym Wodzem i Dowódcą Armii Krajowej 1943-1944* (dok.); Wiktor Sukiennicki: *Amerykański memoriał Paderewskiego. Z archiwów polskich komunistów. List KC PPR „Do Tow. D.” z 7. III. 1944 roku; List Biura Komunistów Polskich w ZSRR do KC PPR z dn. 18. VII. 44 r.; Alfred Lampe: Zagadnienie. Okruchy historii. Intendent: Kilka uwag o gospodarce pieniężnej polskich władz w Londynie w latach 1944-1946; Archiwista: Zestawienie wydarzeń dotyczących kierowania konspiracją w Kraju po Powstaniu Warszawskim. Recenzje. Tadeusz Nowacki: „Polska wojna” — jak ją widzi L. Moczulski; Z. S. Siemaszko: *Orzeł Biały — Czerwona Gwiazda. Listy do Redakcji.* Józef Garliński; Adam Ciołkosz, Tadeusz Wyrwa; Mira Małachowska. — Nota biograficzna Jerzego Michalewskiego.*

Zeszyt 27-my. Paryż, 1974. — Wacław Jędrzejewicz: *Sprawa „Wieczoru” (Józef Piłsudski a wojna japońsko-rosyjska 1904-1905)*; Tadeusz Żenczykowski: *Rozmowy Delegatura Rządu - PPR w 1943 roku w świetle faktów*; Jan M. Ciechanowski: *Notatka z rozmowy z płk. dypl. J. Bokszczaninem („Sękiem”) od stycznia do lipca 1944 roku z-cą Szefa Sztabu K.G. A.K. do spraw operacyjnych, odbytej w Paryżu 14 i 15 listopada 1969 roku*; Jan M. Ciechanowski: *Notatka z rozmowy z płk. dypl. Janem Rzepeckim („Prezesem”, „Sędzią”, „Rejentem”), szefem BIP-u K.G. A.K., odbytej 2 kwietnia 1969 roku w Londynie w obecności płk. dypl. Zygmunta Jarskiego; Komunikat Konkurs im. Józefa Wyrwy na prace o tematyce partyzanckiej; Dokumenty: Protokół sowiecko-niemiecki z września 1939 roku; Wiktor Tomir Drymmer: *Wspomnienia* (Cz. I).*

Zeszyt 28-my. Paryż, 1974. — Piotr Wandycz: *Pierwsza Republika a Druga Rzeczpospolita* (szkic); Józef Garliński: *Oświęcim walczący* (podziemne grupy różnych narodowości w oświęcimskim obozie); Jan Drewnowski: *„Proces Centralnego Urzędu Planowania” w 1948 roku; Wyjaśnienia sztabowca*; Wiktor Sukiennicki: *Wilno na schyłku rządów carskich. Memoriał rosyjskiego*

oberprokuratora; *Początki Ober-Ostu i sprawa Konfederacji W. X. Litewskiego w 1915-1916*; Kazimierz Okulicz: *Opowieści nobliwie i sentymentalne*; Wacław Chocianowicz: *Szkic dziejów Litewsko-Białoruskiej Dywizji*; Jerzy Drobnik: *Pobyt i działalność w Kownie (od 10 lipca 1938 do 8 października 1939)*; Wiktor Tomir Drymmer: *Wspomnienia (Cz. II)*.

Zeszyt 29-ty. Paryż, 1974. — Józef Garliński: *Polskie państwo podziemne (1939-1945)*; Roman Buczek: *Działalność opiekuńcza Ambasady R.P. w ZSSR w latach 1941-1943*; Witold Babiński: *Fragmenty rozmów z gen. Sosnkowskim; Jan Ciechanowski: Notatki z rozmów z gen. Marianem Kukielem; Zbigniew S. Siemaszko: Niektóre wypowiedzi płk. W. Bąkiewicz; Wiktor Tomir Drymmer: Wspomnienia (Cz. III); Zygmunt Borkowski: Wspomnienia (1939-1943)*.

Zeszyt 30-ty. Paryż, 1974. — Beata Z. Wojas: *Dzieje Polonii charbińskiej*; Marcin Wyziembło: *Losy Polaków*; Witold Babiński: *Z materiałów archiwalnych; Wacław Stachiewicz: Konferencja Aliantów w Moskwie (W przededniu wojny 1939 roku)*; Wiktor Sukiennicki: *Memoriał o sprawie litewskiej złożony przez Władysława Zawadzkiego w Warszawie w listopadzie 1917*; Władysław Zawadzki: *Memoriał w sprawie litewskiej*; Łukasz Hirszowicz: *Memorandum gen. Wł. Sikorskiego (Wstęp)*; Paweł Korzec: *Wstęp do Memoriału O. Dumina; O. Dumin: Prawda o Ukraińskiej Organizacji Wojskowej*; Tadeusz Romer: *Moja misja jako Ambasadora R.P. w Związku Sowieckim*; Bolesław Kasper Piekarski: *Zielna 25*; Wiktor Tomir Drymmer: *Wspomnienia (Cz. IV)*.

Zeszyt 31-szy. Paryż, 1975. — Bogusław Miedziński: *Polityka wschodnia Piłsudskiego*; V. Sliogeris: *Tajne rokowania polsko-litewskie*; E. Żagiell: *Kronika litewska*; płk Zygmunt Borkowski: *Wspomnienia 1939-1943 (c.d.)*; Stanisław Wachowiak: *Wspomnienia; Roman Buczek: PRL w 1946 roku; Z. S. Siemaszko: O Polakach w ZSSR*; Stefan Benedykt: *Kijowskie „poprawki historyczne”*; Wiktor Tomir Drymmer: *Wspomnienia (dok.)*.

Zeszyt 32-gi. Paryż, 1975. — Świadeństwo Smrkowskiego w opr. Gustawa Herling-Grudzińskiego; Józef Lewandowski: *Podróż za miedzę*; Bogusław Miedziński: *Wspominając Sawinkowa*; W. Masłowski: *Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa*; gen. Antoni Szylling: *O Kampanii Wrześniowej*; Lucjan Szulkin: *O powstaniu i upadku „Ghetta podziemnego”*; działy: *Wrzesień 1939, Dokumenty, Okrucy historii*.

Zeszyt 33-ci. Paryż, 1975. — B. Miedziński: *Moje wspomnienia (I)*; Józef Lewandowski: *Miedzy historią a współczesnością*; K. Smogorzewski: *Eugeniusz Kwiatkowski*; T. Żenczykowski: *Uchwały Rady Jedności Narodowej w sprawie Jałty*; St. M. J. Komornicki: *Fragmenty pamiętnika Stanisława Downarowicza*; Z. Borkowski: *Wspomnienia*; E. J. Czerniawski: *Z mojej służby w Belwederze*; W. Rostafiński: *Wspomnienia z niewoli w Niemczech*; M. Borwicz: *Trzydzieści lat temu; dział W obcych oczach*.

Zeszyt 34-ty. Paryż, 1975. — Józef Garliński: *Konferencja w Belgradzie*; Tadeusz Katelbach: *Piłsudski i Sosnkowski*; Roman Buczek: *Udział delegacji polskiej w Konferencji Poczdamskiej w 1945 roku*; Bogusław Miedziński: *Moje wspomnienia (II)*; dział Dokumenty: *List Rady Zakładowej Stoczni Szczecińskiej do MSW*; *Przemówienie tow. Wiesława na plenarnym posiedzeniu KC PPR 3. 6. 1948 roku*; *Wyjaśnienia Wł. Gomułki w związku z jego referatem i projektem rezolucji Biura Politycznego*.

Zeszyt 35-ty. Paryż, 1976. — P. Wandycz: *MSZ w okresie międzywojennym*; B. Łokaj: *Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945-1946*; J. Garliński: *W poszukiwaniu niemieckich tajnych broni*; B. Miedziński: *Moje wspomnienia (3)*; J. Jaklicz: *Żołnierz 2-giej Rzeczypospolitej*; R. A. Woytak: *Wywiad z litewskim Wodzem Naczelnym, gen. Stasys'em Raštikis'em wraz z Uwagami K. Okulicza*; D. Desanti: *Polska... początek wszystkiego*.

Zeszyt 36-ty. Paryż, 1976. — B. Truchan: *„Burza” pod Wilnem*; M. Pruszyński: *Historyczne wywiady sprzed 40-tu laty*; T. Katelbach: *Moja misja kowieńska*; B. Miedziński: *Wspomnienia (4)*.

Zeszyt 37-my. Paryż, 1976. — P. Wandycz: *Stany Zjednoczone a Europa Środkowo-Wschodnia w okresie międzywojennym 1921-1939*; Jan Nowak: *Sprawa generała Berlinga*; B. Miedziński: *Moje Wspomnienia (dok.)*.

Zeszyt 38-my. Paryż, 1976. — R. Zambrowski: *Uwagi o wojnie polsko-radzieckiej 1920 roku*; Z. S. Siemaszko: *Brygada Świętokrzyska 1945-1946*; R. Buczek: *Udział Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość we francuskim Ruchu Oporu*; W. Sukiennicki: *O oddźwięk w sercu*; P. Wandycz: *MSZ w okresie międzywojennym. Odpowiedź na Ankietę*; B. Szczucki: *Trzydzieści lat w służbie nauki polskiej*; J. Lewandowski: *Dzieje sprzed dwudziestu lat*.

Zeszyt 39-ty. Paryż, 1977. — Wł. Gomułka: *Polemika z „Archiwum Ruchu Robotniczego”*; R. Dębicki: *Węgry a wojna polsko-rosyjska w 1920 roku*; J. Rakowski: *Diariusz wrześniowego dramatu*; W. Krzyżanowski: *Lata bukareszteńskie*; ks. Fr. Cegiełka: *A. G. Roncalli w Poryżu*.

Zeszyt 40-ty. Paryż, 1977. — *I tom Pism gen. Wacława Stachewicza, ostatniego Szefa Sztabu Głównego R.P. pt. Przygotowania wojenne w Polsce 1935-1939*.

Zeszyt 41-szy. Paryż, 1977. — K. Pużak: *Wspomnienia 1939-1945*; J. Lewandowski: *„Tajny” raport Chruszczowa — okoliczności ujawnienia*.

Zeszyt 42-gi. Paryż, 1977. — Natalia Naruszewicz: *Zarys historii PRL — zeszyt 1-szy*; J. Ciechanowiecki: *Stosunek rządu brytyjskiego do Powstania Warszawskiego*; W. Leitgeber: *Rozwiązanie PSZ w świetle dokumentów brytyjskich*; J. Lichten: *O asymilacji Żydów w Polsce*; Julia Brun-Żejmis: *Czaadajewa*

„Słowo o kwestii Polskiej”; W. W. Kulski: *Pamiętnik polskiego dyplomaty* (1); J. Jaklicz: *Historia ostatnich dni 3-ej Dywizji piechoty*; K. Okulicz: *Czy Beck naprawdę chciał dokonać zwrotu polityki w sierpniu 1939 roku*; W. Babiński: *Mieczysława Pruszyńskiego „Love Story” i in.*

Zeszyt 43-ci. Paryż, 1978. — Kazimierz Okulicz: *O Piłsudczykach, Instytucie im. Piłsudskiego i „Niepodległości”*; St. Wójcik: *Na trzydziestolecie wyborów*; *Pamiętniki*: T. Katelbacha i A. Mühlsteina; W. W. Kulski: *Pamiętnik b. polskiego dyplomaty (dok.)*; W. Krzyżanowski: *Lata bukareszteńskie* (3); P. Korzec: *Przyczynek do dziejów Powstania Warszawskiego 1944*; M. Malinowska: *Cztery listy Gomułki*; *Polemiki, Recenzje, Listy do Redakcji*.

Zeszyty *Historyczne* poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 włącznie dwa razy do roku. Od 1973 roku ukazują się co kwartał w lutym, maju, sierpniu i listopadzie.

Każdy Zeszyt liczy 240 (lub 256) stron. Zeszyty Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 13, 15, 20 i 40 są wyczerpane. Cena pojedynczego Zeszytu wynosi F. 35,00.

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %.

KSIĄŻKI „BIBLIOTEKI KULTURY” O TEMATYCE HISTORYCZNEJ

	Stron	Cena F.
ALLILUJEWA, S.: <i>Dwadzieścia listów do przyjaciela</i>	256	20,00
BOBKOWSKI, A.: <i>Szkice piórkem (Francja 1940-1944)</i>		
t. I/II	760	25,00
GRZĘDZIŃSKI, J.: <i>Maj 1926 (Seria „Dokumenty”) ..</i>	112	9,00
KALINOWSKI, Fr.: <i>Lotnictwo polskie w Wielkiej</i>		
<i>Brytanii (1940-1945)</i>	372	36,00
KATELBACH, T.: <i>Rok złych wróżb (1943)</i>	223	8,00
KOESTLER, A.: <i>Fragmenty wspomnień (Seria „Ar-</i>		
<i>chiwum Rewolucji”)</i>	240	13,50
KORBOŃSKI, St.: <i>Polskie Państwo Podziemne</i>	288	40,00
KOSZELIWEĆ, I.: <i>Ukraina 1956-1968 (Seria „Doku-</i>		
<i>menty”)</i>	272	18,50
KOT, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Ha-</i>		
<i>dziackiej</i>	80	7,00
KULSKI, J.: <i>Stefan Starzyński w mojej pamięci</i>		
<i>(Seria „Dokumenty”)</i>	144	12,00
LEDNICKI, W.: <i>Rosyjsko-polska entente cordiale</i>		
<i>1903-1905</i>	144	12,00
MACKIEWICZ, St.: <i>Polityka Becka</i>	190	17,00
PAWLIKOWSKI, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
REALE, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946 (Seria „Doku-</i>		
<i>menty”)</i>	288	18,50
REMBEK, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
<i>Ruch oporu w Polsce (Seria „Dokumenty”)</i>	288	50,00
SINGER, B.: <i>Od Witosa do Sławka</i>	400	18,00
SOLSKI, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
SUKIENNICKI, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość (Se-</i>		
<i>ria „Dokumenty”)</i>	128	9,00
SWIANIEWICZ, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	50,00
TARNIEWSKI, M.: <i>Krótkie spięcie (Marzec 1968)</i>		
<i>(Seria „Dokumenty”)</i>	96	18,00
WITOS, W.: <i>Moje wspomnienia, t.I. I/III</i>	1326	99,00
ZAREMBA, P.: <i>Historia Polski, cz. I</i>	588	25,00
ZAWADZKA-WETZ, A.: <i>Refleksje pewnego życia (Se-</i>		
<i>ria „Dokumenty”)</i>	240	16,50

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %.

SPIS TREŚCI

Wacław Drzewiecki: <i>W walce o jedność polskiej emigracji politycznej</i>	3
Michał Chęciński: „ <i>Ludowe Wojsko Polskie</i> ” przed i po marcu 1968	14
Anna M. Cienciąła: „ <i>Wielka Brytania gotowa była bić się za polski Gdańsk</i> ”?	32
Z. S. Siemaszko: <i>17 wrzesień i jego konsekwencje</i>	44
Władysław W. Kulski: <i>Polskie międzynarodowe orientacje od czasu rozbiorów</i>	57

WSPOMNIENIA

Jan Nowak: <i>Rozmowy z generałem Sosnkowskim</i>	64
Tadeusz Katelbach: <i>Bezdroża</i> (2)	84
Wojciech Krzyżanowski: <i>Lata bukareszteńskie</i> (dok.)	168

RECENZJE

Jan Ciechanowski: <i>Zaproszenie do Moskwy</i>	187
Jan Ciechanowski: <i>Ostatnia broń Hitlera</i>	191
Michał Heller: <i>Świadek historii</i>	194
Kazimierz Zdziechowski: <i>O Stefanie Tyszkiewicz</i>	200

LISTY DO REDAKCJI

Włodzimierz Brylewski: <i>Na marginesie artykułu J. Lewandowskiego „Zarubieżnaja Rossija” w Zeszytach Historycznym Nr 43</i>	207
Adam Szajdzicki: <i>Sprostowanie</i>	208
Stanisław Wójcik: <i>Sprostowanie pomyłki w jego artykule „Na 30-lecie wyborów w Polsce” (Zeszyt Hist. Nr 43)</i>	209
<i>Zawartość Zeszytów Historycznych Nr. 1-43</i>	210
<i>Książki „Biblioteki Kultury” o tematyce historycznej</i>	223

Achévé d'imprimer le 6 juin 1978 sur les presses
de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris 18^e.
Dépôt légal : 2^e Trimestre 1978.



Inst. Litt.
Paris, 7. V. 80

„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAŁ NA POČĄTKU LUTEGO, MAJA,
SIERPŃIA I LISTOPADA KAŻDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA — F. 140,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 120,00.
CENA EGZEMPLARZA W ROKU 1978 — F. 35,00.

Cena 35 F.